I. 128.616 XVII/37. — p. 36.

(Biblioteka Polska T. 42)

PISMA

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Tom III.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.

	złr.	ct
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	2	60
Dr. Antoni J. Nowe opowiadania, wydanie drugie	3	—
— Opowiadania historyczne, 1 tom	3	—
1) Pod pół księżycem. 2) Książę Sarmacyi. 3) Odwiedziny monarsze. 4) Na kresach. 5) Dwór Tulczyński. 6) Losy pięknéj kobiéty. 7) Tynna w końcu XVIII. wieku.		
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5	60
Bełza. Wanda. Opera w czterech aktach	—	60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom brosz. 1 złr. 80 ct., w opraw.	2	30
T. I. II. **Krasiński Z.** Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. III. — VI. **Mickiewicz Adam.** Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII—X. **Zaleski B.** Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. **Pamiętniki Paska.** Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. **Niemcewicz J.** Jan z Tęczyna, Powieść histor. — XIII.—XVI. **Słowacki Juliusz.** Dzieła. Wyd. przej. przez prof. dra A. Małeckego. XVII.—XIX. **El...y,** (Asnyk Adam). Poezye, 3 tomy. XX. — XXII. **Małecki A.** Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wyd. drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. **J. Wybicki,** Pamiętniki. — XXIV. —XXV. **Mickiewicz A.** Dzieła. V. VI. — XXVI.—XXVIII. **Mickiewicz A.** Korespondencya, 3 t. — XXIX—XXXI. **Kitowicz X.** Pamiętniki i pisma historyczne 3 t. — XXXII.—XXXIII. **Kitowicz X.** Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. XXXIV —XXXVII. **Romanowski M.,** Pisma. 4 t. — XXXVIII. XXXIX. **Słowacki J.** Listy 2 t. wydanie II. znacznie pomnożone. **Słowacki J.** Pisma pośmiertne 3 tomy, wydanie II znacznie pomnożone.		
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2	40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2	40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2	40
Bronikowski. Listy Jana III króla polskiego, pisane do królowej Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683	2	80
— Jan III Sobieski i dwór jego czyli Polska w XVIII. w. 2 t.	4	20
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2	40
El...y. Gałązka heliotropu. Komedya.	—	60
Estreicher. W. Pol, jego młodość i otoczenie	2	80
Jeż J. J. Ostapek. Ustęp z przeszłości emigracyjnéj	2	40
Kaczkowski K. gen. szt. lekarz wojsk polskich. Wspomnienia 1808—1831, wydał T. O. Orzechowski, 2 tomy	4	20
Kantecki K. Elżbieta, trzecia żona Jagiełły	1	20
— Dwaj Krzemieńczanie. Wizerunki literackie 2 tomy	3	60
Kubala L. Dr Szkice historyczne, dwie serye każda po	3	40
— Jerzy Ossoliński, 2 tomy	6	80
Lemcke K. Estetyka, 2 tomy	6	40
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4	20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, przez L. Siemieńskiego.	2	80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1	80
Monumenta historiae polonica. Pomniki dziejowe Polski, t. III. Wydanie nakład. Akad. Umiejęt.	12	—
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewiczu	2	20
Pamiętnik damy polskiéj z XVIII wieku	1	80
Przyborowski W. Rubin wezyrski. Powieść.	1	80
— Księżniczka z Minsterbergu	1	50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2	40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3	80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2	40
Wilczyński A. Kłopoty starego komendanta. Opowiadania, 3 tomy z illustracyami.	5	40
— Pamiętniki plotkarza, 2 tomy	4	20
— Medytacye kawalerskie	2	40
Wilkońska P. Na teraz, P wieść.	2	20
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiej i na Syberyi	2	40
Zieliński. August II. i Aurora Königsmark, powieść historyczna, 2 tomy	2	60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3	60

J. SŁOWACKI

PISMA POŚMIERTNE.

WYDANIE DRUGIE, ZNACZNIE POMNOŻONE

staraniem

Dra A. MAŁECKIEGO.

TOM III.

LWÓW.
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1885.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005088218

Zastrzega się prawo własności na rzecz utworzonego stypendyum imienia Słowackiego dla młodzieży.

I. 128.616.

A

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.

St. Zas.

BEATRYX CENCI.

TRAGEDYA

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY:

Orsini, wielki dygnitarz państwa.
Beatryx Cenci.
Tomaso Cenci, Azo Cenci } jéj bracia.
Francesco Cenci, jéj ojciec.
Lucrezia Cenci, jéj macocha.
Pietro Negri, domownik rodziny Cencich.
Giano Giani, malarz.
Cesario, przyjaciel Gianiego.
Padre Anselmo, zakonnik.
Don Lucenzio, prawnik.
Barygiel, dozorca więzienia.
Dolorida, jego córka.
Inkwizytor.
Signor Pamfilio, mieszczanin.
Trastewerына, przekupka.
Odźwierny więzienia.
Trzy Furye.

Penitenci. Sędziowie. Mieszczanie. itd.

Rzecz dzieje się w Rzymie, w roku 1599.

AKT PIÉRWSZY.

SCENA I.

(W pałacu Cencich).

OJCIEC CENCI i BEATRYX.

BEATRYX.

Puszczaj mnie, ojcze!

OJCIEC.

Ha! kąsasz mnie, wężu!
(*Wchodzi* MATKA CENCI).

MATKA.

Puść ją! Beatryx, odejdź! Cóż, człowieku?

OJCIEC.

Cóż, jędzo?

MATKA.

W porę nadeszłam —

OJCIEC.

Zawcześnie!

MATKA.

Ja córkę moję oddam do klasztoru —

OJCIEC.

Ja córkę moję kocham...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Wiedźmo!...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Syreno!

MATKA.

Idź spać, jesteś pijany!..
Gadając toczysz pianę z ust — idź zaśnij...

OJCIEC.

Ohydna strega — ona nigdy nie śpi.
(wychodzi).

MATKA.

Idź do alkowy, idź! — O Eumenidy!
Dajcie mi wężów garść — niech mu je cisnę
Do jego łoża! dajcie mi tę straszną
Pochodnię, która w waszych bladych rękach
Płonie błękitno: niechaj tém piekielném
Światłem zapalę dom, gdzie takie rzeczy
Ohydne dzieją się między ścianami!
(do BEATRYCZY*)*
Cyt, córko! Chodź tu...

BEATRYX.

Matko! ja nieszczęsna!

MATKA.

Chodź do pokoju mego — noc głęboka —
Nie drżyj! zachowaj strach na inną porę.
(wychodzą).

SCENA II.

Trzy WIEDŹMY.

I.

Wołała nas — jesteśmy trzy —

II.

Spokojna noc, ale dom drży —

III.

Poszedł do krwawego łoża
I śpi —

I.

I śpi—

II.

I śpi –

III.

Daj noża!

I.

Czy sama myślisz robić czyn?
Jest matka, jest córka, jest syn...

II.

Żegnajmy wężami drzwi —
To nasz dom, to pałac krwi —
Potępione całe plemię. —
Szach pod ziemię — pod ziemię — pod ziemię!

SCENA III.

MATKA CENCI i BEATRYX *(wracają)*.

MATKA.

Co to za szelest? Ten dom pełny szmerów
Nieodgadnionych...

BEATRYX.

Słyszałaś co, matko?

MATKA.

Gdym odemknęła drzwi, jakby gasnącą
Widziałem tutaj błyskawicę — Ave!
Idź spać, idź blada spać! Nie myśl o niczém.

(Beatryx wychodzi).

Władze piekielne! jeśli wy jesteście
Duchami wszystko wiedzącymi; jeśli
Można śmiertelnéj wyzwać was i nagiąć
Do posłuszeństwa; jeśli to wy, duchy,
Trzęsiecie domem tym jak wicher burzy,
Wtenczas gdy parne powietrze bez ruchu
Cięży na myślach ludzkich... ciemne władze,
Eumenidami nazwane przed wieki,
Wzywam was!...

(Wiedźmy się zjawiają).

I WIEDŹMA.

Jestem!

II.

Jestem!

III.

Jestem! Czego?

MATKA.

Okropne!... czy to wasz głos, czy gwizdanie
Waszych warkoczy słyszę, okropnice?

Od was śmiertelny chłód na twarz mi wieje —
Pochodnie wasze cuchną...

TRZY WIEDŹMY.

Czego żądasz?

MATKA.

Wy dobrze wiecie... Ja nieszczęsna matka
Na rzecz okropną ważę się — straszniejszą
Rzeczą przed wami usprawiedliwiona.
Warkocze moje pobielały — oczy
Wpadły do sinych dołów, wykopanych
Zgryzotą, strachem, zgrozą i cierpieniem...
Mary, pomóżcie mi w robocie strasznéj!
Lękam się w sercach dzieci, że tam znajdę
Niepewność — wstręty i myśl świętą grzechu...
Zróbcie z nich Rzymian!...

WIEDŹMY.

Rzymian? Rzymian? Rzymian?

MATKA.

Co znaczy wasze skomlenie, ohydne?..

WIEDŹMY.

Cha! cha! cha!

II.

Cha! cha! cha!

III.

Cha! cha! cha! *(znikają).*

MATKA.

Zniknęły!
Takaż jest pomoc z was, ohydne kruki,
Duszy człowieczej? Dobrze — zobaczymy —
Ja was przelęknę wszystkie... Kto to stuka?..

SCENA IV.

(*Wchodzi* TOMASO).

TOMASO

Cóż to, ty nie śpisz, matko?

MATKA.

Jeszcze nie śpię.

TOMASO.

Bez światła, sama?

MATKA.

Skąd powracasz?

TOMASO.

Z boju.

MATKA.

Czy odebrałeś mój list?

TOMASO.

Nie, żadnego.

MATKA.

Pisałam wczoraj, byś powracał śpiesznie.
Więc ty nic nie wiész?

TOMASO.

Nic...

MATKA.

O wydarzenie!
Więc muszę wszystko mówić ustnie —

TOMASO.

Matko!
Najokropniejsze miałem wydarzenie
Téj nocy, kiedym powracał tu krwawy;
Bowiem zdobyliśmy dzisiaj Petrelę
Ze starym dyablem Kolonną, a teraz
Wiesza burmistrza na dzwonach, a z ognia
Porobił więźniom jako czarownicom
Straszne warkocze. Więc kiedy wracałem
Przez głuche stepy Kampanii — ścigany
Hukiem pożaru i wyjącym głosem
Rzniętego miasta — na odludnym stepie
Koniowi memu zaszły drogę mary.
Marami bowiem być muszą bez ciała
Te trzy okropne kształty... a może też
Krew moja, walką rozdąsana w żyłach,
Zalała moje oczy i te mary
Ubrała w czerwień straszną. Ja sam nie wiem,
Kto one były... lecz ile pamiętam,
Włos każda miała ruchomy i jakby
Niezależący od poruszeń ciała,
Dziwnego bardzo połysku, a w rękach
Niosły pochodnie. — Matko, te trzy mary
Koniowi memu zdębionemu stały
Na drodze — a koń ostrogami rznięty
Jęczał jak człowiek.

MATKA.

Cóż się stało? czy co
Rzekły?

TOMASO.

Zaczęły się śmiać okropnice,
Trzęsąc bladymi pochodniami... potém
Wrzasnęły wszystkie: śpiesz się, śpiesz się, śpiesz się —
Siostrę ci gwałcą!... Na te słowa czułem,
Że krew, z oblicza mego odegnana
Trwogą, wróciła z szumem wodotrysku
I mózg pod czaszką rozpierała, jako
Kościół gotowy runąć. Gdym się ocknął,
Mary zniknęły...

MATKA.

I cóż myślisz?

TOMASO.

Mary
Zniknęły. — Wtenczas na koniu drgającym
Siedząc, dobyłem, matko, puginału,
I oglądając się w ciemne powietrze
Cicho, jak miejsca przenikniony zgrozą,
Rzekłem: przysięgam śmierć gwałcicielowi!
Na te wyrazy, okropniejsze jeszcze
Wrzaski powstały w powietrzu — jak gdyby
Ta ciemność miała atomami cienia
Człowiecze usta... Matko, i trzy razy
Słyszałem, że mię nazwano po nocy
Straszném imieniem! —

MATKA.

Mów —

TOMASO.

Matko, nie mogę —

MATKA.

Mów!

TOMASO.

Ty się wzdrygniesz, matko — ty się wzdrygniesz!

MATKA.

Więc ja ci powiém sama... powiem cicho:
Nazwały ciebie ojcobójcą —

TOMASO.

A ha!

MATKA.

Te mary były tu...

TOMASO.

Kiedy?

MATKA.

Téj nocy...

TOMASO.

Lecz to piekielne, matko, są zjawiska.

MATKA.

W piekielnym domu są piekielne goście;
Czy masz odwagę...

TOMASO.

Na co?

MATKA.

Na to, o czém
Mówiły te trzy —

TOMASO.

Matko, za godzinę...

MATKA.

Teraz lub nigdy! Idź, obudź na dole
Pietra... on wszystko wié.

(*Wychodzi* TOMASO).

SCENA V.

MATKA (*do wchodzącéj właśnie* BEATRYX).

Chodź, Beatrycze,
Chodź tu w koszuli. Tomaso przyjechał —

BEATRYX.

Pewnie się waha...

MATKA.

Jak człowiek pijany
Krwią i pół tylko mający rozwagi,
Zdaje się miękkim na wszystko, i w gęszczu
Tych okropności najwyraźniéj chwyta
Oczyma twoję hańbę, a na resztę
Zdaje się chować senną obojętność...
Trzeba korzystać, córko, i dzisiejszą
Noc ofiarować bogom tajemniczym
Ciemnéj przyszłości...

BEATRYX.

Matko, matko, mdło mi...

MATKA.

Chowaj krew zimną! Kazałam zawołać
Pietra...

(AZO *wbiega na scenę*).

Ha! co to? z łóżka wstał maleńki
Azo?

AZO.

O mamo! mamo!

MATKA.

Co?

AZO.

Po domu
Czerwone duchy chodzą!

MATKA.

Czemu nie śpisz?

AZO.

Nie mogę zasnąć... mamo, tak mi strasznie!

MATKA.

Czego się lękasz?

AZO.

Ciągle przed oczyma
Jakieś czerwone latają mi plamy,
Jakby czerwone gołąbki...

MATKA.

Beatryx,
Weź go na ręce! — Że też wszystkie czyny
W powietrzu mają świadków! Cyt! — już idą —

SCENA VI.

TOMASO i PIETRO NEGRI *wchodzą*.

PIETRO.

Jesteście wszyscy... byłem na modlitwie,
Kiedy ten człowiek, na twarzy zielony,
Wszedł cicho. Cóż to, czy nowa narada?

MATKA.

Dziś, albo nigdy! Pietro, daj sztylety!

PIETRO.

Ręce umywam...

MATKA.

Ty?? O! na Chrystusa,
Ty poradziłeś sam! Czy nie pamiętasz
Téj nocy, kiedy ścigana po gmachu,
Leciałam boso, wołając ratunku
Dla mnie i córki — ty sam poradziłeś:
Zabijcie tego węża, bo inaczéj
Mieć nie będziecie pokoju... A teraz
Mówisz inaczéj?

PIETRO.

Czy on śpi?

MATKA.

Nie słyszysz
W tamtym pokoju chrapania? cyt, Azo!
Śpi jak zabity — Córko, daj sztylety —
Kto pójdzie piérwszy? ha!.. kto ma odwagę?
Ty chodź Tomaso za mną — Cóż ty?.. we śnie?

TOMASO.

Tam w korytarzu, matko, te trzy mary
Stoją i w rękach mają krwawe chusty —
Ja tam nie pójdę — nie — to rzecz piekielna!

MATKA.

Więc zginęliśmy! — ha! ten człowiek stchórzył!
Czy ty się lękasz mar? chodź jako świadek —
Cóż? — twój nam sztylet niepotrzebny — zakrzesz
Ognia sztyletem... patrzaj — tu masz krzemień —
Przy tych czerwonych błyskawicach widzę
Naszę gromadę owczą... Wstyd! skupieni
Jak owce w burzy! — Cóż? czy pójdziesz teraz?
Co robisz? z lampą idziesz? — Beatrycze,
Weź mu z rąk światło, i niosąc nad głową
Wiedź nas w korytarz ciemny!..

AZO.

Mamo, mamo!

MATKA.

Zaduście dziecka krzyk.

(wychodzą).

PIETRO.

Sza! nie krzycz mały!

AZO.

Dla czegóż wszyscy tak gadają cicho!

PIETRO.

Idź zobacz —

(Azo idzie za nimi).

Gadzin rodzino — o! teraz
Mam ciebie w ręku, Hekate — okropna,
Ale piękniejsza, niż wszystkie marmury
Z grobów dobyte!... Cyt.. dziś go spoiłem
Blekotem — musi spać jak martwe drzewo —
Ja ułatwiłem czyn... widząc, że łatwość
Dla kobiet jest zachętą, a najmniejsza
Trudność odstrasza...

SCENA VII.

MATKA CENCI *(wraca.)*

MATKA.

Pietro, rzecz skończona!
Lecz mój syn stchórzył... ja dobrze wiedziałam,
Że mój syn stchórzy.

PIETRO.

I cóż? nie zabity?

MATKA.

Ona zabiła... mój syn starszy stchórzył...
Ja sama nie wiém, co było. — Beatryx...

(BEATRYX *wchodzi i rzuca sztylet*).

BEATRYX.

Jestem spokojną. —

MATKA.

Ja chciałam już krzyczeć,
Syn mój upuścił sztylet na podłogę...
Wtém ona przyszła z lampą i sztyletem
Skończyła...

(*wchodzi* TOMASO, *prowadząc* AZA).

TOMASO.

Weźcie to dziecko czerwone,
Pod łóżkiem je znalazłem. Chodźmy, Pietro,

Wyniesiem trupa — idźcie spać, kobiéty!
Spać!.. spać!..

MATKA.

Beatryx, weź dziecko na ręce,
A wy wynieście trupa na ulicę,
Potém zacznijcie lament — i śród płaczu
Mieszajcie imię Orsinich — z przekleństwem.
Rzućcie krew jego na Orsinich głowy!
Tak się ukryje cała rzecz. My chodźmy
I na ulicę wybieżmy w koszuli,
Jakby zerwane z łoża przerażeniem.

SCENA VIII.

(Plac przed pałacem Cencich).

WIEDŹMY.

I.

Radość! radość! radość! radość!
Kręgiem, jak przed burzą śmiecie!
Czy widziałeś węży bladość,
Sztylet w pacierzowym grzbiecie?
Ha! ha! ha! ohydna noc!

II.

Cóż teraz robić będziemy?

III.

Z człeka trup — a z trupa kloc!
Przeleciałyśmy gmach niemy
Szach — szach — skrzydłami szach — szach!
Piękność kobiéca to szych —
Jéj trzeba kochanka...

II.

A mnich?

I.

Czwarta, czwarta, bije czwarta!
Zlatujmy w dół! zlatujemy w dół! —
Pokażmy ją oczom bękarta — ,
Zakocha się, będzie truł. —
Czy nie warta?... czy nie warta?
Kss — kss — kss — kss! urodzi czarta,
Będzie ślub uciętych głów.

BIBLIOTEKA NARODOWA

III.

Cicho mów — cicho mów!
Słyszysz idzie człowiek nasz,
Cyt — cyt — cyt — cyt — pokażmy twarz

SCENA IX.

(*Nadchodzą* GIANI *i* CESARIO *zamaskowani*).

GIANI.

Jaka noc parna, pozrzucajmy maski.
Cesario patrzaj — tam, przy obelisku —
Czy widzisz? jakieś trzy straszydła czarne,
Z bladymi stoją pochodniami.

CESARIO.

Chodźmy!

GIANI.

Stój! w ich brzydkości jest jakaś wstydliwość.
Widzisz, jak się w cień usuwają? — za mną!
Muszę przemówić do nich. — Moje matki,
Co wy robicie na odludnym placu
We trzy, ze światłem w rękach? Czy wy macie
Jakie poselstwo od mocniejszéj władzy,
Które musicie spełnić uzbrojone
W narzędzia strachu? Czy wasze zjawienie
Ma z moim przyszłym losem jaką styczność?
Czy mi się tylko nasuwacie, jako
Widma potrzebne malarzowi, aby
Ubrał je w kolor i ludziom zdziwionym
Pokazał rzeczy śnione?... Mówcie do mnie!...

WIEDŹMA I.

Patrz!

II.

Patrz!

III.

Patrz! *(pokazują mu ściętą głowę Beatryczy).*

GIANI.

Co widzę! czyż wy z pod waszych fartuchów
Wydobyłyście tę rzecz straszną? — Patrzaj
Cesario — głowa cudownéj piękności,
Lecz bez podstawy wisi na warkoczach,

Które do sinych rąk tych kobiet lipną;
Dreszcz mię przechodzi — patrzaj, jak ta głowa
Miłosne oczy we mnie utopiła,
Aż tu do serca... Słabo mi, Cesario —
Omdlałość-że to mnie pozbawia wzroku?
Czyli te widma ciemność między siebie
Na niewyraźne kształty rozebrała?
(Wiedźmy nikną).

CESARIO.

Zniknienie tych mar dziwne! Ty powiadasz,
Że coś trzymały w ręku?

GIANI.

O Cesario!
Ty nie widziałeś téj głowy?

CESARIO.

Nie, zgoła!

GIANI.

To rzecz nadludzka. — O! piękna piekielnie
Była ta głowa! A co jest dziwniejsza,
Że tak piekielna rzecz, jak przezroczysta
Anielskiém światłem urna, miała dla mnie,
Uśmiech i litość! O! nic nie mów do mnie,
Aż to, czego jest pamięć moja pełna,
Przeleję w płótno i od znikomego
Gaśnienia myśli obronię...

CESARIO.

Dziwaku!

GIANI.

Bądź zdrów, Cesario — idę żyć w pustyni. *(wychodzi).*

CESARIO.

O dziwna głowa! pełna przywidzenia!...
Wychodzą jacyś ludzie, jak złodzieje...
Coś niosą — skryjmy się za obeliskiem.

SCENA X.

(Wchodzą TOMASO *i* PIETRO *niosąc ciało ojca Cenci).*

PIETRO.

Połóżmy trupa tu na środku placu.

TOMASO.

Czy nikt nie widzi?

PIETRO.

Nie ma żywéj duszy.

TOMASO.

Ja się oddalę, a ty zacznij wołać.
Wtenczas nadejdę — Matka zbudzi sługi,
Przylecą wszyscy na plac z pochodniami.
(odchodzi).

PIETRO.

O! gwałtu! ludzie! gwałtu! gwałtu! ogień!
Pali się! gwałtu!

OBYWATEL Z OKNA.

Co to za krzyk?

PIETRO.

Gwałtu!

II Z OKNA.

Co to za wrzaski?

PIETRO.

Trup leży na placu!
(wbiega Tomaso).

TOMASO.

Co to za krzyki? kogo tu zabito?

PIETRO.

Latarni — światła — ratunku — lekarzy!
(wchodzą ludzie z latarniami).

TOMASO.

O! to mój ojciec! mój ojciec — mój ojciec!
Ratunku! w bramę stukajcie do Cencich —
To Cenci leży skrwawiony — mój ojciec!
Stukajcie w bramę do Cencich — ratunku!
Obudźcie moję matkę — o morderstwo!

SCENA XI.

(Wbiega MATKA CENCI, *potém* BEATRYX *i ludzie z pochodniami).*

MATKA.

Słyszę głos mego syna i lamenty,
Ze snu się zrywam...

JEDEN Z MIESZCZAN.

Zabitego żona!
O nie puszczajcie kobiét!

MATKA.

Ach okropność!
Mój mąż zabity — na bruku — o Boże!
Szukajcie zbójcy! — O! tysiąc dukatów,
Kto sprawcę zbrodni wykryje — słyszycie!
O! noc okropna, boleść niespodziana —
O! córko — biédne my, osiérocone —
Kto tu jest tylko, niechaj będzie świadkiem
Tego zabójstwa! niech zabójcę ściga!

TOMASO.

Matko, Orsinich to być musi sprawa!

MATKA.

Orsinich mówisz? O! tak! Jeszcze wczora
Kardynałowi mój mąż odpowiedział
Kwaśnymi słowy... O! biédny człowieku,
Za słowa tobie odpłacił sztyletem!
Widzicie wszyscy, jaki czyn haniebny —
Widzicie wszyscy, jak ohydna zbrodnia!

OBYWATEL.

Biédna kobieta, zachrypła od płaczu!

MATKA.

Córko, stężwiałaś! biédna córko moja!

OBYWATEL.

My wam do domu zaniesiemy trupa.
Płacz na ulicach — to śmiechy puszczyka...

MATKA.

O! pozwólcie mi rzucić się na ciało!

TOMASO.

Matko, do komnat idź — wyniosę gwałtem...

OBYWATEL.

Biédna rodzina! zanieśmy im trupa,
Resztę téj nocy niech przelamentują.

(wnoszą trupa do domu Cencich).

SCENA XII.

CESARIO (*wychodzi z po za obelisku*).

CESARIO.

To dziwna scena — i lament wysoki!
Co się to znaczy, nie wiém i nie zgadnę —
A raczéj myśli czém inném zajęte
Nie chcą wysilić się w poszukiwania
Bezowocowe. Jedna mnie tu tylko
Twarz zadziwiła... ta córka w bieliźnie,
Albowiem matka ją nazwała córką.
Nieporuszona stała i ku ziemi
Trzymając oczy i pochodnię — jakby
Posąg przeszłości, na którego twarzy
To, co obecne, nie zostawia śladu,
Ani się może odbić. — Pośród zgrai
Lamentującéj — ona jedna cicha
I z surowymi na ustach uśmiechy
Stała — myślałby kto, że sprawiedliwość
Ważąca trupią krew na swojéj szali...
Ta twarz zostanie mi wiecznie w pamięci!
Resztę wyświécą jutro ludzkie gwary.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(*Pracownia malarza* GIANI).

GIANI i CESARIO.

CESARIO.

Gdybyś był został dłużéj na tym placu,
Widziałbyś wszystko.

GIANI.

To dziwnie, Cesario.
Czy ci się furye trzy nie śniły w nocy?

CESARIO.

Nie —

GIANI.

Ja nie spałem, ale patrz, na płótnie
Wymalowałem twarz, którą mi w rękach
Te straszne mary pokazały... patrzaj — —

CESARIO.

Jezus Marya!

GIANI.

Anielskie oblicze!
Lecz to jest tylko sen — filtrum szatańskie
Na obłąkanie moich zmysłów — prawda?
Na ziemi taka piękność nie istnieje.

CESARIO.

Więc to jest głowa mar — czy jesteś pewny?

GIANI.

Jam jéj nie stworzył — wierz mi, jam ją widział.

CESARIO.

I chcesz ją żywą zobaczyć?

GIANI.

Cesario!...

CESARIO.

Nie drżyj tak! Powiédz, chcesz ją widzieć żywą?

GIANI.

Cesario!

CESARIO.

Chodź, chodź! Lecz ubiór Orsinich
Zakryj dominem czarném — i mnie pożycz
Nieznaczonego żadną cyfrą płaszcza.

GIANI.

Lecz to nie może być!

CESARIO.

Chodź — a zobaczysz.
(wychodzą).

SCENA II.

(Plac przed kościołem).

TRZY WIEDŹMY.

I.

Śmierć nie cuchnie od nas w dzień —
Co masz zamiast nogi?

II.

Pień!

A ty — a ty?

III.

Kocie trzewy,
Koło kości wiszą jak cholewy.
Daj grosz, panie! daj grosz — daj grosz —

I.

Przyniosłam kosz
Woskowych świéc —
Zakrystyan fryc
Trupa gromnicami piecze,
W gromnicach sadło człowiecze
Cuchnie, cuchnie, cuchnie, jak dżuma.

II.

Czy zaczęła się nad trupem suma?

I.

Już dzwon bije — już dzwon bije —
Już na krzesłach kawki siedzą
I kłaniają się, kłaniają — łzy cedzą,
I kłaniają się — i gną szyję,
Godzinę mają szkaradną;
Szyje bolą — głowy spadną —
Cyt — cyt — don don — dzwon uderza.

III.

Szach! — skrzydłami nietoperza
Na cmentarz! już biją dzwony
Po ojcobójcy grosz złocony,
Co się na mogiłach zetrze...
Szach! — na cmentarz — już wicher i parne powietrze.
(znikają).

SCENA III.

(*Wchodzą* GIANI i CESARIO).

GIANI.

Widziałeś tu ohydne żebraczki w spróchniałych
Szatach? one mi nocne furye odnowiły
W zatartéj już pamięci —

CESARIO.

Stańmy tu na boku. —
Widzisz przygotowane krzesła dla rodziny,

Gdzie zasiędzie pokorne oddawać ukłony
Przyjaciołom zmarłego, idącym za trumną.

GIANI.

O! smutny obowiązek i grzeczność trudząca!
Lecz cóż to ma za związek z tą cudowną twarzą,
Którą mi obiecałeś ukazać na oczy?

CESARIO.

Zaczekaj — lud się kupi — zakryj oczy płaszczem.
Wszyscy wiedzą, że jesteś Orsinich malarzem —
Odkrycie tu być może fatalne — stój cicho...

SCENA IV.

(Wchodzą MATKA, BEATRYX *i siadają na krzesłach; przy nich* TOMASO *z gronem przyjaciół; rozpoczyna się pochód pogrzebny).*

GIANI.

Co widzę! — jest że to sen? — O! Cesario,
To ona...

CESARIO.

Płaszcza nie odkrywaj z ramion!

GIANI.

Puść mię! — Na Boga, oczy me znalazły
Cel zapatrzenia się na całą wieczność,
I już z uczuciem zaczęły rozmowę
O niezliczonych wdziękach téj dziewicy...
Odtąd — to będzie mojém zatrudnieniem.
Jak się nazywa? — o! nie mów nazwiska!
Już ją nazwałem sam takiém nazwiskiem,
Jakiego nie ma świat. — Ach! bowiem ona
Nie może tu być przez ludzi nazwana,
Tylko westchnieniem...

CESARIO.

Nie mieszaj się, Giani,
Z trumny orszakiem.

GIANI.

O patrz! pomyślałem —
I w myśli tylko stworzone pytanie
Posłałem do niéj oczyma i na to
Odpowiedziała mi schyleniem głowy,
Choć w inną stronę zapatrzona, jakby

Oczu ją moich głos doleciał i już
Zmusił miłośnie uléc. O! anielska...

CESARIO.

W pochodzie trupa jakieś zamieszanie —
O! nie wyrywaj się, Giani — szalony!

I. OBYWATEL.

Co to za zgiełki?... żona z krzesła spada!

II. OBYWATEL.

Krew się rzuciła z trupa.

I. OBYWATEL.

Cóż to znaczy?

II. OBYWATEL.

Zabójców w tłumie trup sam wyszukuje. —

CESARIO.

Giani! oddalmy się, tu niebezpiecznie.

GIANI.

Tu? — co ty mówisz!.. możeli być jakie
Niebezpieczeństwo przy niéj? — Patrzaj na nią —
Od niéj strach żaden nie trąca mi duszy
I nie zaraża. Patrzaj teraz na nią:
Spokojna — jako cyprys, nadto smutny,
Aby nim ruszył wiatr... nieporuszona —
A te galonki, co się zowią łzami,
Ze srebra, lekko u szat zaczepione
Ledwo łyskają przy pochodni blasku.

CESARIO.

O Giani! Ty się odsłoniłeś cały —
Syn zabitego ma ciebie na oku...

(TOMASO *przystępuje do* GIANIEGO *i chwyta go*).

GIANI.

Puszczaj mnie!..

TOMASO.

Śmiałku, krew cię oskarżyła!
Patrzcie! to z domu Orsinich młodzieniec —
Na niego to krew wytrysnęła z trupa.

GIANI.

Czego ten człowiek blady chce odemnie?

TOMASO.

Zabiwszy, trupa przyszedłeś na pogrzeb?
Przepowiedziałem, że się w tłumie kryje
Jakiś z Orsinich — szpieg, albo zabójca.

GIANI.

Nie jestem jednym ani drugim — a ty?

TOMASO.

Cóż to, człowieku? ja syn zabitego...

GIANI.

A więc do pochwy włóż twoje żelazo,
Bo ja nie będę nigdy twoim wrogiem!

CESARIO.

Oszalał! Giani, co słyszę? — oszalał!
Cenci, ja także jestem na usługi
Twojéj wściekłości — ja także z Orsinich.

TOMASO.

Oba mi za krew ojca zapłacicie...
(*bije się z* CESARIO — CESARIO *pada*).

CESARIO.

Giani! zabity jestem — o! zabity —
Pomścij się za mnie...
(*umiéra*).

GIANI.

O! drogi Cesario!..
Co ja zrobiłem?!... (*do* TOMASA) Broń się—ty mój krewny!

TOMASO.

Nie jestem z tobą wcale spokrewniony —

GIANI.

Krewnym nazwałem cię od krwi — broń serca!..
(*biją się — wpada* BEATRYX).

BEATRYX.

Stójcie!.. już dosyć krwi na mojéj duszy!

TOMASO.

Milcz ty szalona!..

BEATRYX.

Panie! ty nam przebacz
I zabierz z sobą ciało przyjaciela,
A prędzéj progi opuszczaj fatalne!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Odejdź!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Oddal się!
Trumnie téj strasznéj zastępujesz drogę —

GIANI.

Niech mię oddali trumna, ale nie ty...

BEATRYX.

Nie rozkazują trumny — lecz słuchają —

GIANI.

Lecz posłuszeństwo mnie położy w trumnę.

TOMASO.

Siostro, ja mu dam odpowiedź na szpadzie...

GIANI.

Śmierć moję zostaw siostrze...

BEATRYX.

O! bezwstydna!
W żałobie słucham, czego nawet w bieli
Nie winnam słuchać! Odejdź stąd, młodzieńcze!
Ten dom nieszczęściem przepełniony — odejdź.
Weź tę gałązkę smutnego cyprysu,
Abyś miał ubrać w co — ostygłe ciało
Twego martwego przyjaciela. Bądź zdrów! —
Tomaso, prowadź mię na czarne krzesło.

GIANI.

Jestem bez mowy, bez myśli, bez czucia.
Cesario! ty mi kupiłeś ten cyprys
I zapłaciłeś śmiercią — O nieszczęsny!..
Mieszczanie! trupa mi nieście do domu!

(wychodzi i pogrzeb mija; ciało CESARIA *wynoszą).*

SCENA V.

(*Dom Cencich.* PIETRO NEGRI).

PIETRO.

Łzy nastrajają serce do miłości.
Teraz czas! Wróci z pogrzebu płacząca —

Odejmę maskę i pokażę siebie
Takim, jak jestem. — Kiedy miasto całe
Przerażającym hukiem dzwonów wyje:
Użyję mocy podszeptów i miodu,
Nakłaniających rad do tajemniczych
Słodyczy. Jeśli się oprze — zabiję!
To jednak dziwna rzecz, jak się ta miłość
I ta nadzieja we mnie połączyła
Z wiedzą wewnętrzną méj własnéj brzydoty...
Dotychczas wiodłem życie pełne brudu,
Nędzy, pogardy, i niejednę ślinę
Miałem na twarzy; bękart —...., syn.....,
Wziąłem się kiedyś do pędzla i każda
Z wymalowanych przezemnie piękności
Z płótna mi jak psu urągała, krzycząc:
Masz mnie na płótnie cichą: żywa — plunę!...
Podarłem wszystkie te widma — i teraz
Próbuję ciepłych ciał — a w mych namowach
Jestem malarzem żądzy...

(*wchodzi* BEATRYX).

BEATRYX.

Cóż się dzieje
Z moją omdlałą matką?

PIETRO.

Ocucona.

BEATRYX.

Pójdę ją cieszyć...

PIETRO.

Widok twój, Signora,
Rozrzewni —

BEATRYX.

Powiédz: przestraszy —

PIETRO.

Signora,
Kogożby twoja postać przeraziła?
Lecz twoja matka jest w okropnym stanie!
Żółta jak drewno — wyjąca jak wicher —
Przeklina wszystko — gnie palcami srebra,
Rzuca z lekarstwem kryształy o ścianę —

Synka małego, gdy zawołał: mamo,
Za krtań chwyciła i zaczęła dusić
Krzycząc: przeklęty dzień twoich urodzin!...

BEATRYX.

Powiédz mi, Pietro Negri, czy tak ma być
Aż do skończenia świata w naszym domu?
Czy ciągle w sercach będą rosły bole?

PIETRO.

Jeżeli w serce nie zachwycisz ognia
Od jakiéj innéj żądzy, to sumienie
Krzewić się będzie wiecznie i gryść serce.

BEATRYX.

Jakąż ja żądzą mogę karmić duszę?

PIETRO.

Miłość!...

BEATRYX.

Któż mego serca się nie zlęknie?

PIETRO.

Każdy, kto ciebie, Signora, zna dobrze,
Kto umié w zbrodni nawet szukać cnoty.
Gdyby nie mój garb — o! gdyby natura
Dała mi ciało odpowiednie duszy —
Albowiem ja wiém, że zwyczajna miłość
Od zmysłów bierze piérwszy popęd, który
Znów przez uczucie traci swą cielesność
I w jedno zmysły i duszę jednoczy.
O! gdyby moje czoło pomarszczone
Było tak gładkie, jak czoło piérwszego
Głupca na świecie, który nigdy nie czuł
Żadnego ognia ani namiętności!
Gdybym był jeszcze niepewny, że każda
Niewiasta daje się złowić za skrzydła
Przez miłość własną — i wtenczas szczęśliwa,
Kiedy tę bańkę mydlaną obaczy
Swatem pomiędzy nią a jéj kochankiem —
Gdybym nie wiedział, że wszystkie kobiéty
Na ubiór patrzą, pióra i trzewiki...
Ja, który chodzę ubogo i boso —
Wierzaj mi — śmiéj się z tego, co wyrzeknę —

Sądziłbym wtenczas, że cię tylko moja
Miłość zrozumieć może — i ocalić...
Śmiéj się! patrz, jestem garbaty — co mówię,
Nie może żadnéj mieć wagi zamiaru.

BEATRYX.

O mów! bo moja myśl te słowa chwyta.

PIETRO.

Miłość dziwaczną jest i fantastyczną.
Łączy pomiędzy sobą ludzi w pary —
Nie żąda nawet podobieństwa — owszem
Z przeciwieństw często jedność dziwną tworzy,
Jak owę dziwną platońską istotę
Androginesem nazwaną —

BEATRYX.

O! miłość!

PIETRO.

Wzdychasz!... I twoje łzy, jak niespokojne
Rosy perełki na trzęsionym kwiecie,
Łyskają w oczach. W ziemię utopiłaś
Oczy rozwarte, błyszczące i chciwe.
O! takie oczy nie widzą, lecz tworzą
Same obrazy — i na utworzone
Patrzą z litością lub zamiłowaniem...

(na stronie)

Dotąd ją ojciec trzymał uwięzioną,
Nikogo nie zna...

BEATRYX.

Czy ty mnie nie zdradzisz?

PIETRO.

Przysięgą tobie dodam zaufania.

BEATRYX.

Pocałuj ten krzyż — tu, gdzie plama — tutaj!
Ten krzyż na piersiach miałam dziś — przysięgnij!

PIETRO.

Na ten krzyż i na piekło...

BEATRYX.

Przysiąż na mnie,
Bo ja straszniejsza, niż piekło —

PIETRO.

Przysięgam
Na wdzięki twoje i na oczy twoje!

BEATRYX.

Ja kocham...

PIETRO.

Nie kończ!..

BEATRYX.

Już wiész? — Ty widziałeś,
Jak stałam przed nim — byłeś na pogrzebie.
On się zapatrzył we mnie i upuścił
Krwawe żelazo. Idź, szukaj go, Pietro,
Powiédz mu wszystko, tak jakbym ja sama,
Gdyby mię nazwał czystą i niewinną,
Wszystkobym usty drżącymi wyrzekła.
Idź — znajdź go — powiédz, żem ojca zabiła,
I patrz mu w oczy — i zapisz to w sercu,
Co jego oczy czarne odpowiedzą,
Bo to mi będzie sądem, karą, śmiercią!...
Lecz kiedy wierzyć nie zechce: wróć do mnie,
Bo to jest człowiek czysty — i po drodze
Kup mi trucizny. Lecz jeśli zapyta,
Dla czego ojca zabiłam — to powiédz,
Że przeczuciami dawno rozkochana
W nim jednym, jemu broniłam wierności
I ciała mego okupiłam czystość
Straszną ofiarą. — Idź — wszystko to powiédz;
Bo chociaż żadnéj nie karmię nadziei
Zgubiona, krwawa i przerażająca,
Choć bez nadziei: — nie jestem gotowa
Umrzeć, nim on mię potępi... bez serca.

PIETRO.

Któż jest ten człowiek?

BEATRYX.

Raz go zobaczyłam,
Nie wiém nazwiska...

PIETRO.

Jak go poznać, po czém?

BEATRYX.

Pytaj się o dwóch, co dziś na pogrzebie
Mojego ojca szpad dobyli razem.
Jeden z nich martwy — drugiego ja kocham!
Pietro! jeżeli tobie nie uwierzy,
Że jestem krwawą i winną: przyprowadź
Pod moje okno; a ja go przekonam,
Że mnie nie można kochać. *(odchodzi).*

PIETRO.

O! fatalność!
Miłość straszliwym płomieniem wybucha
Z téj okropnicy... Co robić? — co robić?...
Jéj ciało dla mnie, a jéj dusza piekłu!

SCENA VI.

TOMASO — PIETRO NEGRI.

TOMASO.

Gdzie są niewiasty?

PIETRO.

W komnatach.

TOMASO.

O Pietro!
Jestże to straszny sen ta noc okropna?
Jaki dom teraz pusty!...

PIETRO.

Tak zwyczajnie.
Przed dziećmi muszą umiérać rodzice.

TOMASO.

Stojąc nad grobem, gdy spuszczano trumnę,
Musiałem rzucić garść gliny do grobu.
Ścisnąłem ziemię w ręku, i krew czarna
Wyciekła z garści — jako praczce, kiedy
Czerwone chusty pierze... ha!

PIETRO.

Przesądy!

TOMASO.

Cóż mówisz o tych trzech jędzach?

PIETRO.

Widzenie!

TOMASO.

Przynajmniéj siostra spokojna i matka?

PIETRO.

Byle milczały...

TOMASO.

Czy się lękasz o nie?

PIETRO.

Uważaj dobrze, a w siostrze spostrzeżesz
Dziwny fenomen. Ta zbrodnia jéj ciąży
I chce ją zrzucić z siebie — niespokojna;
A to uczyni, skoro się narai
Pora — i jaki powiernik. Uważaj,
Ona się brzydzi nie krwią — lecz przymusem
I fałszywością. W pierwszéj to rozmowie
Spostrzeżesz.

TOMASO.

Co ty mówisz? —

PIETRO.

Słuchaj!
To jest rzecz ważna. — Ona dziś widziała
Człowieka, który nas zgubi. Uważaj,
Ona ci powié bezwstydnie, że kocha
Tego człowieka; — nazwij to szczérością,
Ale ta szczérość w młodéj i niewinnéj
Jest nadzwyczajną — i źle bardzo wróży...
Jest to jakoby duma grzechu. Rozważ,
Przez zapłonienie miłość się objawia
W zwyczajnych sercach; lecz u niéj — przeciwnie
Przez bladą hardość...

TOMASO.

Precz z nią! do klasztoru!

PIETRO.

Dobra myśl! klasztor... klasztor... w saméj rzeczy,
Nie widzę innéj rady. — Na Montorio
Jest jeden klasztor pod moim dozorem.
Tam ją osadzić, a choćby przymusem!...

TOMASO.

Chodź, pogadamy o tém z naszą matką.

(wychodzą).

SCENA VII.

(Dziedziniec w domu Cencich).

TRZY WIEDŹMY.

I.

Skwarno! skwarno! ciemno! skwarno!
Słońce piecze — w bramie czarno.
Tu krew każdy dyabeł zwącha...
Pod fontaną tętni koncha
Din, din, słyszycie? din don —
To jest płacz za ojca zgon,
To płacz za piekielne dusze...
Co robisz?

II.

Gołębia duszę,
Licom cery dobréj doda...

I.

Rubinowych nóżek szkoda!
Biały jak śniég — biały jak śniég,
Z ptaszęcia krew — rumieniec strég —
Na kogo tu czekasz, ty maro?

III.

Przyjdzie tutaj w porę szarą
Bieliznę prać...

II.

Bieliznę prać?
Powiédz, kto? czy córka, czy mać?

I.

Sza! sza! obie... sza! dom pusty,
Przyjdą prać czerwone chusty...
W czarnéj bramie — sza! do kąta!
Niech się gospodyni krząta!
Ohydna!... ohydna!... ohydna!
Patrzcie, w korytarzu widna,
Idzie tu, chusty rozwinąć
Jęknąć i wrzeszczeć i truchleć i zginąć.

(Giną z jękiem).

SCENA VIII.

(Wchodzą MATKA CENCI i BEATRYX).

MATKA.

Słyszałaś ten jęk, córko?

BEATRYX.

To był plusk fontany.

MATKA.

Gołąb skrwawiony, patrzaj, w konsze pływa.

BEATRYX.

Idź, matko — umysł ty masz nastrojony
Do strasznych wrażeń...

MATKA.

Daj mi zawinięcie.
Trzeba te rzeczy wyprać — stań przy bramie!
Jeśli usłyszysz kogo, krzycz na Boga,
Żeby nas nie zszedł kto...

BEATRYX.

Bojaźń ohydna!...

MATKA.

Czy rusztowania chcesz? Daj mi bieliznę —
A gdzie koszulka dziecka? — — ha!...

BEATRYX.

Brr... zgroza!...

MATKA.

Patrz, ile tu krwi! na rany Chrystusa,
Ten się człek krwawił strasznie... Czy kto idzie?

BEATRYX.

Ulica pusta w upał południowy.

MATKA.

Ja słyszę jakieś... cyt... cyt!... Ktoś tak syka,
Jakby nakazać chciał święte milczenie...

BEATRYX.

To świerszcze...

MATKA.

Świerszcze?...

BEATRYX.

Cóż! dajesz mi chusty?
Ja się nie dotknę tych chust — wolę umrzeć!...

MATKA.

Umrzesz, nieszczęsna, umrzesz ty okropnie,
Dumna dziewczyno!

BEATRYX.

I dobrze...

MATKA.

O! dobrze!
Smierć jest przepaścią czerwoną — ha!

BEATRYX.

Ciemną!

MATKA.

Mocno wlepiwszy oczy w samo łono
Rzeczy pośmiertnych, można widzieć więcéj,
Niż ci się zdaje .. Rozwieś tę bieliznę,
Niech wyschnie — powieś koszulkę dziecinną
Tam — ot na krzyżu!

BEATRYX.

Zgroza! dom szalonych!...
Matko! nie szukaj córki...

(otwiéra bramę i ucieka na ulicę).

MATKA.

Gwałtu — gwałtu!
Tomaso! Pietro! Moja córka! gwałtu!

SCENA IX.

(Wpadają TOMASO i PIETRO).

TOMASO.

I cóż się stało?

MATKA.

Przeklęta! biegajcie!
Brama otwarta — za nią! o przeklęta!...
Tu przyprowadźcie żywą lub umarłą!
Uciekła z domu — krew wyniosła z sobą —

TOMASO.

Już jéj nie widać, matko, na ulicy!
Gdzież biéc?...

MATKA.

Ach! sen mój wyniosła i ciszę!...
Bieżcie na wszystkie strony i pytajcie,
Czy kto nie widział, gdzie poszła —

TOMASO.

Cóż, Negri?

PIETRO.

Idź! szukaj siostry! Rozsądną ci dałem
Radę, gdym radził zamknąć do klasztoru.
Biegnij i szukaj jéj po całym Rzymie,
A ty, Signora... idź i módl się...

(wychodzą TOMASO i MATKA CENCI).

Piekło!
Co mam tu ginąć z tą czarną rodziną?...
Wolę ocalić się jako delator. *(wychodzi).*

SCENA X.

(Ogród klasztorny — OJCIEC ANSELMO *kopie* — GIANO GIANI).

GIANI.

Ojcze, te furye trzy w rękach skościałych
Trzymały głowę uciętą — a moje
Oczy w téj głowy oczach utonęły
Jako w głębokiém morzu zachwycenia.

ANSELMO.

Słucham, mów daléj. — Chociaż teraz myślę
O tych cebulkach w ziemi pogrzebanych,
W których są dziwne anioły kolorów,
Zmartwychwstające pod promieniem słońca:
Nie jestem wszakże bez ucha dla ciebie,
Młodziku żywy, z ognia — mów więc! Głowa
Była tak piękną, żeś ją zapamiętał
I z mózgu swego przeniosłeś na płótno,
A potém obraz swój postrzegłeś żywy?
Rzecz to jest dziwna, lecz prawdopodobna.
Przynieś mi obraz, przynieś — niech zobaczę.
Bowiem natury każda tajemnica,

Zwłaszcza natura przeczuć, była zawsze
Celem rozwagi mojéj — przynieś obraz!

(wychodzi GIANI).

Nie trzeba sprzeczać się z młodością, ale
Potakiwaniem skłaniać do ufności,
A tym sposobem uzyskawszy władzę
Nad tą ognistą, stopniami ochładzać. —
Starości siła leży w odwlekaniu
Nauk, aż pora sposobna się zdarzy.
Inaczéj czyniąc, stary się rozbraja...
Któżto z ulicy stuka do klasztoru?
Co widzę? jakaś Signora.. w żałobie!...

(wchodzi BEATRYX *zakryta).*

BEATRYX.

Ścigana jestem — dzięki, żeś otworzył!
Chwilę mi tylko pozwól, dobry Ojcze,
W twoim ogrodzie skryć się, tylko chwilę!

ANSELMO.

Signora —

BEATRYX.

Czy tu jesteś sam?

ANSELMO.

W tych murach
Ja tylko jeden, oraz pewien malarz,
Człowiek dyskretny — chociaż bardzo młody.

BEATRYX.

Możesz mię ukryć, Ojcze, do wieczora
I sam być tylko moim powiernikiem?

ANSELMO.

Signora, malarz ów za chwilę wróci.
Jeżeli nie chcesz, aby cię zobaczył,
W téj bukszpanowéj ukryj się alei.
Skoro wyprawię młodzieńca z ogrodu,
Dam ci schronienie; a co jeszcze lepsza,
Radę staruszka... bo jéj potrzebujesz,
Jak widzę, cała drżąca, niespokojna —
Już słyszę... idzie korytarzem — skryj się!

(BEATRYX *wchodzi do alei, której arkadą swoją otwarta jest dla sceny).*

Zwolna a zwolna wyprawmy malarza.

(kopie — GIANI *wchodzi z obrazem).*

GIANI.

Patrz na nią —

ANSELMO.

Boże, co widzę? ?

GIANI.

Czy znasz ją?...

Czego oglądasz się na wszystkie strony?
Czy teraz ci ją pokazały duchy?
Czy furye były tu?

ANSELMO.

Ciszéj, człowieku!
To jest podobny obraz —

GIANI

Dla niéj zginąć!...

ANSELMO.

Czyś tu na kogo dziś czekał, mój synu?
Zakryj ten obraz i odnieś do celi;
Sam nie uważaj, że słońce — idź, przejdź się!
Ty masz gorączkę... Odwiedź Orsiniego.
Od czasu lekce ważysz jego względy,
Jego paternum amorem... rozumiész?
Takie się rzeczy mówią po łacinie,
Język umarły jest czysty dla ucha...

GIANI.

Ty mię oddalasz?... Lecz miłośnik hardy,
Jeśli się waży raz zrobić wyznanie,
Jak bluszcz przyczepia się do powiernika
I ssie go listki wszystkimi. — Mój Ojcze,
Ja kocham! jam ją widział — kocham duszą —
Kocham z rozpaczą — kocham ją szalenie —
A jednak mądrze kocham! Bo z tysiąca
Ona najczystszą jest i najpiękniejszą!
Pomyślał o niéj Bóg, gdy tworzył słońce
I z myśli światła ją stworzył — a ona
Dała początek tęczom i kolorom,

Które ze słońca duszy mają duszę!...
Gdy myślę o niéj, braknie mi powietrza —
Jestem jak człowiek, który we śnie lata
I czuje, że mu nie stanie błękitu
Albo odwagi —

ANSELMO.

Czy wié, że ją kochasz?

GIANI.

Jam ją raz tylko widział...

ANSELMO.

Kiedy?

GIANI.

Dzisiaj —

ANSELMO.

Gdzie?

GIANI.

Na pogrzebie jéj ojca —

ANSELMO.

Nazwisko?

GIANI.

Cenci —

(wychodzi BEATRYX).

BEATRYX.

Strasznego wywołałeś ducha!

ANSELMO.

Wyście tu starca podeszli oboje!
W ogrodzie schadzka miłosna!...

BEATRYX.

Milcz, księżę!...
Ja teraz jestem strasznie zatrudniona
Czytaniem duszy na téj bladéj twarzy.
Oddal się, księże — zostaw! My się znamy —
Ja jestem jego siostrą. *(do* GIANIEGO).
Każ mu odejść!

GIANI.

Ojcze! mój dobry! oddal się — na Boga!
Jestem w téj chwili niebezpieczny —

ANSELMO.

Przemoc?!

GIANI.

Idź do szatana, dziwny, głuchy starcze!
(wypycha go do klasztoru).

(GIANI *przez chwilę w milczeniu spogląda na* BEATRYCZĘ, *którą widzi w rozpaczy).*

GIANI.

Pani! dlaczego twoje ręce białe
Dręczą twe włosy... oczy zakrywają?
Czemu twe usta drżą? — Czemu się cofasz,
Jak do ucieczki nimfa obrócona,
I znów niepewnym stąpasz naprzód krokiem?...
O! powiédz...

BEATRYX.

Słuchaj! nie wiém, kto ty jesteś!
Ale przez twoje ręce pragnę skonać!
Ale przez twoje ręce — być zabitą,
A przez twe oczy, tak smutne — płakaną,
A przez twe serce czyste — przebaczoną....
Czy ty masz sztylet? — o daj! o daj!

GIANI.

Sztylet?
O! co ty mówisz? co mówisz? O! patrzaj,
Ja na kolanach proszę, abyś żyła;
Abyś mi dała życie z twojéj ręki;
Abyś mi dała oczu twoich niebo,
A jedném słowem twojém — nieśmiertelność!...

BEATRYX.

O! śmierć ja daję, nie zaś nieśmiertelność!

GIANI.

Twoim kochankom?

BEATRYX.

Tak! moim kochankom...

GIANI.

Ja ciebie kocham — chcę umrzeć!...

BEATRYX.

Zdaleka!
Zdaleka! Czy wiész? czy wiész, co się stało?
Cenci zabity.... ja....

GIANI.

Księże Anselmo!

BEATRYX.

Nie wołaj księdza!... ja zabiłam ojca —
Splamioną byłam — ha!!

GIANI.

Padre Anselmo!

(Wchodzi ANSELMO).

Weź tę umarłą! — Ja pójdę po trumny,
Po dwie — po jednę tylko... lecz szeroką! [1])

(zasłona spada).

---

[1]) Pierwszy rzut zakończenia tego aktu był taki:

BEATRYX.

Powiédz, czy serce twoje tak głębokie,
Jako grobowiec? Chodź, powiém ci straszną
Historyą... słuchaj — jestem czysta cała;
Ale te ręce — patrz, te małe ręce,
O! to rąk białych dwoje... ha! te ręce...
Zbliż się, te ręce były we krwi — — i cóż?

GIANI.

Gołębia?

BEATRYX.

We krwi człowieka!

GIANI.

Nieszczęsna!

BEATRYX.

I były we krwi ojca...

GIANI.

Święty Boże!

BEATRYX.

Lecz mię ten ojciec plamił...

GIANI.

I zabiłaś?!...

Księże! kobietę tę weź, wyspowiadaj!
Ja pójdę i dwie każę zrobić trumny.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(*Ulica* — OBYWATELE)

I. OBYWATEL.

Mości Pamfilio, cóż nowego słychać?

PAMFILIO.

Ogromna zbrodnia! Cenci zabili ojca. Aresztowano téj nocy matkę i syna i dziecko małe — lecz córka uciekła.

II. OBYWATEL.

Rzecz niesłychana! Któż wydał?

PAMFILIO.

Abate jakiś, zwie się Pietro Negri.

I. OBYWATEL.

Kiedyż będą sądzić?

PAMFILIO.

Niewiadomo.

I. OBYWATEL.

Ja ci powiadam, że to Orsinich zawiść z Kolonnami, a nie żadna zbrodnia. To pretext. Cenci był prawą ręką dyabła Kolonny.

II. OBYWATEL.

Zbrodnia, Panie Pamfilio, zbrodnia! Tryumf nad cnotą! Zbiry znaleźli łóżko krwawe i sztylet pod łóżkiem.

I. OBYWATEL.

Doprawdy?...

PAMFILIO.

I na ścianie z prawéj strony rękę krwawą — jak mi Bóg miły — z pięciu palcami na ścianie...

I. OBYWATEL.

Czy być może?

PAMFILIO.

Któreś z zabójców musiało się zachwiać i oparło się o ścianę. Teraz lud się kupi i nawiedza dom, gdzie ta krwawa ręka jak nietoperz oczy przeraża.

II. OBYWATEL.

I lud nie roztargał zabójców?

PAMFILIO.

Aresztowano ich w nocy, dziś o ósméj godzinie. Nikt o tém nie wiedział, wszystko odbyło się spokojnie.

I. OBYWATEL.

Chodź Waćpan — opowiédz mojéj żonie wszystkie szczegóły. Proszę na wieczerzę i na butelkę Kianti. To rzecz ciekawa... Ojca zabili! .. Ja się tylko dziwię, że taka rzecz może przyjść ludziom do głowy...

SCENA II.

(*Cela klasztoru.* OJCIEC ANSELMO — BEATRYX).

ANSELMO.

Zmęczona jesteś — nie łam się daremnie
Z ociężałością zmysłów! Rzecz zwyczajna,
Że po ogromnéj gorączce — strętwienie.
Oto jest łoże, twarde — lecz spokojne;
Ja na niém miałem ciche sny i dobre.

BEATRYX.

Jak wróci, to mnie obudzisz...

ANSELMO.

Śpij cicho.
Zostawię lampę przy tobie — dobra noc!
(*wychodzi*).

BEATRYX.

Jestem jak kamień — O Jezu kochany,
Czuwaj nademną! Oczy mi się kleją,
Jakby na rzęsach krew gęstniała lipka. (*Usypia*).

(*Zjawia się cień* OJCA CENCI).

CIEŃ.

Piekło mi z ognia dało wyjść, i ciebie
Przerazić śpiącą. Wczora było ciemno —
Nie przypatrzyłaś się memu trupowi
I posiniałéj twarzy! Co? Czy dosyć?...
Muszę ci zimną ręką dotknąć piersi —
Muszę wzdrygniętą widzieć — i posłuszną...
Wstań, i odprowadź mię z lampą do trumny!
(BEATRYX *wstaje śpiąca i bierze lampę*).
Za mną — za mną — pod ziemię śpiąca za mną!
(*Wychodzi* — BEATRYX *za nim*).

SCENA III.

(Wchodzą OJCIEC ANSELMO i GIANI).

ANSELMO.

Synu mój, ona tu śpi. Chcesz ją zbawić?
Zbudź i wyprowadź przez drzwiczki ogrodu.
Zbiry chcą trupa rewidować ciało —
Muszę z latarnią prowadzić do lochów.

GIANI.

Ojcze! to łóżko próżne...

ANSELMO.

Być nie może!
Te drzwiczki na klucz zamknięte — klucz u mnie!

GIANI.

Ona stąd wyszła...

ANSELMO.

Zbiry już stukają,
Muszę otworzyć...

GIANI.

Chciałem się z nią otruć —
Ja jéj katowi nie dam! Księże! zdrajco!
Ty ją gdzieś ukrył...

GŁOSY Z ZEWNĄTRZ.

Otwórzcie! justycya!

GIANI.

Jeśli ją wydasz — patrzaj, śmierć! *(grozi sztyletem).*

GŁOS.

Otwórzcie!

ANSELMO.

Zgubisz mnie! — święta Inkwizycya czeka...

GIANI.

Na wszystkich dyabłów, księże! — pod sztyletem
Wyznaj, gdzie ona? — Wyznaj — bo na Boga
Sztylet uczujesz w sercu!...

ANSELMO.

Gwałtu! gwałtu!

GIANI.

Milcz! na Chrystusa mów! Nim drzwi wyłamią,
Będziesz jak kamień — — —

ANSELMO.

Cóż ja ci odpowiem?
Wyszła — uciekła — skoczyła do Tybru —

GIANI *(obalając go)*.

Dyable!..

ANSELMO.

Zabójstwo!!

(Wywalają drzwi. Wchodzi INKWIZYTOR, PIETRO NEGRI, DON LUCENZIO *prawnik i* ZBIRY).

SCENA IV.

INKWIZYTOR.

W imię Zbawiciela!
Tu się gwałt dzieje! Podnieście go z ziemi! —
Dlaczego, księże, drzwi nie odemknąłeś — ?
Kto się sprzeciwiał prawu?

ANSELMO.

Moja starość,
Moja zgrzybiała starość, Monsignore.
W nogach rumatyzm siedzi — i musiałem
Wołać na pomoc Signora malarza,
Który tu w bliskiéj celi ma warsztaty.
Nim przybiegł, czekać musieliście trochę...

INKWIZYTOR.

Prowadź nas, księże, do kościelnych lochów,
Gdzie leży człowiek dzisiaj pochowany.
Obejrzeć przyszliśmy występku lice
I ślady wszystkie porównać z delacyą.

GIANI.

Któż delatorem jest?

INKWIZYTOR.

Pytanie śmiałe!
Oto jest — Pietro Negri...

GIANI.

Co ja widzę?
Mój brat — stracony mój brat — Gino — brat mój!

PIETRO.

Tak — uściskajmy się, Giani...

GIANI.

Nikczemny!

(plwa mu w oczy i wychodzi).

INKWIZYTOR.

Księże, weź klucze i prowadź do lochów.

(Wychodzą).

SCENA V.

(Lochy kościelne).

(Wchodzi CIEŃ CENCI, *za nim* BEATRYX *śpiąca).*

CIEŃ.

Pościel mi w trumnie, bo nie mogę zasnąć,
Lecz pierwéj ręce obetrzyj! — Tu trumna...

(BEATRYX *ściele trumnę).*

Dobranoc! przykryj mię wiekiem na wieki.
O! jak tu zimno — Córko, dobréj nocy!
Długiéj, ostatniéj, ciemnéj, wiecznéj, dobréj!

(Kładzie się do trumny. BEATRYX *go wiekiem przykrywa).*

BEATRYX *(budząc się).*

Gdzież jestem? byłże to sen? gdzie ja przyszła?
Ja tu nie sama szłam, lecz prowadzona
Przez jakieś widmo blade. — O! czym we śnie?
Czy mi się śniło, że mymi rękami
Słałam skrwawioną pościel trupa w trumnie?...
Jezus Maryja! — ha! — czy pochowana
W letargu — żywom się tu obudziła
I będę jadła z głodu moje ręce,
Skrwawione moje ręce?... Okropności!
Trumny, otwórzcie się jedna po drugiéj,
Bo nie wiém, która moja, pusta trumna,
Tylko przeczuciem jednę z was poznałam —
Tę, z któréj moje oczy... przez szczeliny
Krew wysysają. — O! to drzewo jęczy!..
Ha! kto mnie woła?.. ha!.. ratujcie ducha!..

(Wchodzą ANSELMO, INKWIZYTOR i ZBIRY).

INKWIZYTOR.

Z pochodnią, księże, z pochodnią przed nami!

BEATRYX.

Ojcze!..

ANSELMO.

Nieszczęsna, cicho! *(gasi pochodnię).*

INKWIZYTOR.

Co to znaczy?
Kto tu zagasił pochodnię?

ANSELMO.

Wiatr grobów
Buchnął z otwartych drzwi i zgasił światło...
(cicho do BEATRYCZY)
Signora, skryj się za trumny...

INKWIZYTOR.

Kto szepce?

ANSELMO.

To ja z przestrachu w grobach mówię pacierz —
(do BEATRYCZY)
Signora, skryj się! — już poszli po światło —
Matka i bracia twoi uwięzieni —
Z nami delator jest — jakiś Don Pietro...

INKWIZYTOR.

Z kim ty rozmawiasz w grobie?

ANSELMO.

Monsignore,
Jest to zwyczajem starości, chorobą,
Starzy do siebie mówią... *(do* BEATRYCZY) Nieszczęśliwa!
Biédny mój malarz umrze, jak się dowié...

BEATRYX.

Czy z wami przyszedł?

ANSELMO.

Nie —

BEATRYX.

Więc go pożegnaj!
Drżałam należąc do niego — lecz teraz
Jestem własnością ludu i aktorką.
On wydarł ze mnie więcéj, niż ogniste
Wydrą tortury, niż ta blada mara,
Która mnie tutaj prowadziła... Powiédz —
Lecz nie! — najlepiéj do serca kochanka
Mówi milczący grób. Ten mnie wyprosi

Od zapomnienia... Przyszli z pochodniami —
Prowadź mnie do nich i powiédz, kto jestem.

ANSELMO.

Tu, Monsignore, przez zrządzenie boskie
W grobie znalazła się Signora Cenci,
Która się sama dla uniewinnienia
W sprawiedliwości oto daje ręce...

INKWIZYTOR.

Gdzie jest delator? niech ją pozna!

PIETRO.

Boże!

BEATRYX.

Od wczoraj tyle rzeczy szlachetniejszych
Wygluzowało tę twarz z mego serca,
Żem go na wieki zapomniała..— Bądź zdrów!...
Widać, że garb twój był tylko tłomokiem,
W którym nosiłeś podłość. — Bądź szczęśliwy!
Więcéj nie powiém nawet na torturach —
Jesteś kamieniem dla mnie — żyj spokojny!

INKWIZYTOR.

Otwórzcie trumnę —

BEATRYX.

Ten trup przed minutą
Zasnął, a wy go znowu turbujecie.
We mnie jest także pierś z krwawymi usty,
Która wygada więcéj, niż ten człowiek,
Jeśli mię wasze tortury przymuszą...

(Trumnę otwiérają).

INKWIZYTOR.

Zapisać! piersi rozdarte sztyletem —
Sztylet do rany przypada. — Signora,
Teraz cię będę konsygnował ja sam
Barygielowi świętego Anioła.

(Wychodzą).

ANSELMO.

Bogdaj ją Anioł zbawił!.. biédna ona! —
Lecz cóż? — Skończona rzecz! nic nie pomogę.
Już zorza — pójdę sadzić moje kwiaty.

(Wychodzi).

SCENA VI.

(Pałac Orsinich).

ORSINI — *i komisarz sprawiedliwości* DON LUCENZIO.

ORSINI.

Ciemna zbrodnia — straszna zbrodnia! Papież przerażony, nakazał post. Don Lucenzio, czy zdjąłeś pierwszą interrogacyą?

DON LUCENZIO.

Oto jest, Monsignore —

ORSINI.

Zaparli się. Czy widzisz Acan w téj interrogacyi jaką sprzeczność, z któréjby można wyciągnąć dowód ad confusionem?..

DON LUCENZIO.

Żadnego, Monsignore.

ORSINI.

To znów Kolonna będzie szczekał po Rzymie, będzie obgadywał moję sprawiedliwość — sprawiedliwość, Don Lucenzio, która jest siostrą Ukrzyżowanego, a matką prawa.

(Wchodzi przełożony ZBIRÓW).

ZBIR.

Rzecz dziwna, prawdziwe boskie zrządzenie! W grobie Cencego znaleziono córkę Cencego. Podinkwizytor ją aresztował.

ORSINI.

Don Lucenzio, zdjąć z niéj interrogacyą, lecz łagodnie, bez przymusu — ale zręcznie! Okropna zbrodnia — ludzie zamieniają się w Etyopów. Przysłać mi tu Pietra Negri! Ja go sam wypytam, wyssę, wycisnę, wymyję go mydłem, pod którém puści, jeżeli źle farbowany —

(Wychodzą ZBIR *i* LUCENZIO).

Jakże to smutnie wykrywać z urzędu
Błędy ludzkości i szaleństwa krwawe!
Każdy dzień, w którym sądzę drugich ludzi,
Ciągnie bezsenną noc — a co jest gorsza,
Dukata ciągnie dla Eskulapiego,
Który mię potém z bezsenności leczy. —
Ta krwawa zbrodnia nie ujdzie bezkarnie...

(Wchodzi PIETRO NEGRI).

Ten mię garbaty człowiek we śnie ściga. —
Przystąp tu Acan — podnieś Acan oczy!

Muszę Wacpanu tu rzéc bez ogródek,
Że jego sprawa zły bierze kierunek,
A brak dowodów oczywisty... Primo:
Mieszczanie świadczą, że Wacpan najpiérwszy
Zbudziłeś miasto, wołając ratunku
Owéj to nocy, kiedy Cenci zginął.
Nie mogę tego Wacpanu zataić,
Że się zabójca odkrył sam, i równie
Jest uwięziony. Delacya Wacpana
Może mieć bardzo złe, bardzo złe skutki!..
Wreszcie zostaje jeszcze jakaś ciemność
Circa Wacpana samego. — Kto jesteś?
Nikt ciebie nie zna — nikt się nie przyznaje
Do znajomości z tobą, szary człeku!

PIETRO.

Jeżeli o to chodzi, Monsignore,
Znalazłem w Rzymie rodzonego brata;
Ten może o mnie poświadczyć.

ORSINI [1]).

Ja w Rzymie
O żadnym drugim Negri nie słyszałem —

PIETRO.

(nieśmiało — ale z poufałością)

Okoliczności nieraz przymuszają
Zmienić nazwisko...

ORSINI.

Daléj! szczérze ze mną!

PIETRO.

Mój brat malarzem jest, i Monsignore
Znasz go zapewne... Jesteśmy obadwa
Dziećmi miłości i grzechu — bliźnięta...

ORSINI.

Czy imię Negri masz z matki?

---

[1]) Wkładam tu ustęp ze sceny dłuższéj, którą autor w rękopiśmie przemazał. Zdawało mi się, że bez tego ustępu zbyt niejasną byłaby dla czytelnika cała tajemnica rodu i pokrewieństwa Negrego z osobami, których się to dotyczy. *(Przyp. Wyd.).*

PIETRO.

Nie wcale!
Imię to wziąłem z malarstwa, od czerni...
Przedtém nosiłem imię nieco bielsze,
Które mój dotąd nosi brat...

ORSINI *(zagadując).*

To dobrze!
Wacpan się staraj o świadectwo, dobrze!
Ale to jeszcze nie koniec, mój Mości!
Ta zbrodnia, to jest ta delacya, pachnie
Sznurem dla niego samego! Minimum,
Że na torturze skończy się — jeżeli
Nie zdołasz prawnie dowieść zaskarżenia...

PIETRO.

Dowody jasne są —

ORSINI.

Niedostateczne!

PIETRO.

Tortury srogie są —

ORSINI.

Boleść się znosi.

PIETRO.

Sumienie gada —

ORSINI.

Nie przed ludźmi!

PIETRO.

Panie!..

ORSINI.

Cóż mówisz?..

PIETRO.

Dawniéj trudniłem się sztuką — —

ORSINI.

Jaką!

PIETRO.

Malarstwem.

ORSINI.

Szkoda, wielka szkoda,
Żeś nie mógł sobie wymalować ciała,
I dać na model Bogu, nim cię stworzył...

PIETRO.

Mogęż otwarcie mówić, Monsignore?

ORSINI.

Mów —

PIETRO.

Zbrodnia taka nawet i w sądzeniu
Wymaga pewnéj sztuki, a justycya
Stawszy się muzą, poddanką Eschyla,
Winna zdjąć z czoła chustę — a przywołać
Z gwiazdami inne siostry ku pomocy.
Jeżeli moja delacya upadnie
I swym upadkiem zgniecie delatora,
Co za zysk, co za chwała, Monsignore?
Jedni powiedzą: kalumniator periit,
A ten głos znajdzie echo wyszydzenia
W pałacu Dyabła Kolonny! Lecz drudzy
Przypiszą moję śmierć Temidzie ślepéj
Lub przerażonéj liczbą obwinionych...
Twe Jowiszowe brwi, o Monsignore,
Próżno mi grożą, siwe kładąc chmury
Na błyskawicach. Jestem w mojém prawie
I mogę mówić wszystko na obronę.
Więc, Monsignore, powtarzam, że Cenci
Winni są zbrodni, winni ojcobójstwa;
Że jeśli będzie wolno mnie samemu,
(A nie przez bojaźń to mówię, lecz w chęci
Odkrycia prawdy) jeśli będzie wolno
Podać sposoby, którymi być może
Zeznanie zbrodni ze zbrodniarzów miane:
Ja się podejmę! Choć wiém, że rzecz taka
Do trybunału należy, do sędziów.

ORSINI.

Miałżebyś jaki dowód pod kapturem?

PIETRO.

Nie, Monsignore! Lecz jestem artystą,
Malarzem jestem. Spróbuj, Monsignore,
Pytań, podstępów, głodu, kajdan, tortur;
A jeśli wszystko moc ludzi pokona:
Wystąpię z moją torturą — ostatnią,

Z torturą duszy, nie ciała... z torturą
Łagodną — ale okropną i pewną!..
Upraszam tylko, abyś Monsignore
Kazał mi warsztat postawić malarski
W miejscu dogodném — i czekał cierpliwie,
Aż tajemnica milczenia dojrzeje...

ORSINI.

Chodź — a w odległém pałacowém skrzydle
Każę urządzić wszystko, jako żądasz.

SCENA VII.

(*W klasztorze Ojca Anselma.* OJCIEC ANSELMO — GIANI).

GIANI.

Nie patrz tak na mnie, księże! Ja spokojny...
Weź rydel i kop tulipany —

ANSELMO.

Giani!
Wszystko najlepiéj Bóg wielki układa.
Gdyby się miłość ta zajęła w tobie
Karmiona dłuższą nieuwagą... — A tak
Dobrze, to będzie na przyszłość nauka —
Prędko zajęty ogień prędko gaśnie...

GIANI.

Piękny dziś ranek! słońce wybuchnęło
Gwałtownie po nad cyprysami Rzymu...

ANSELMO.

Spokojny ranek, lecz będzie gorąco,
Bo już bukszpany pachną mocno...

GIANI.

Ojcze,
Jak ty przepędzisz cały dzień?

ANSELMO.

Jak zawsze.

GIANI.

Nie czekaj na mnie z wieczerzą, mój Ojcze,
Bo noc przepędzę dzisiaj z przyjacioły —

ANSELMO.

Niech cię Bóg strzeże! — A ostrożnie, Giani,
Bo zabijają w nocy po ulicach...
Ostrożnie! Ale szukaj roztargnienia.
(wyprowadza go).

SCENA VIII.

(W więzieniu Śgo Anioła. BEATRYX — BARIGIEL).

BEATRYX.

Gdzie moja matka?

BARIGIEL.

Czekaj tu, Signora.
Matka i bracia teraz na torturach —

BEATRYX.

I dziecko?!

BARIGIEL.

Dziecko tylko patrzy.

BEATRYX.

Zgroza!!
Ohydny Rzymie — o! krwawa jaskinio! —
Wy nazywacie to zamkiem Anioła?!

BARIGIEL.

Anioł brązowy na tym zamku stoi —

BEATRYX.

O! niechaj boskie strącą go pioruny!
(Wnoszą omdlałą MATKĘ. *Wchodzą* TOMASO *i* AZO).

BEATRYX.

Omdlała?

TOMASO.

Widzisz —

BARIGIEL *(do straży).*
Precz stąd, zbiry — precz stąd!
(Wychodzi ze zbirami).

BEATRYX.

Czarna godzina — módlmy się!..

AZO.

Czy mama umarła?

BEATRYX.

Umrze, jeżeli będziesz płakał. Powiedziała co?

TOMASO.

Nic.

BEATRYX.

A ty?

TOMASO.

Usta moje słone — krwi pełne. Język pokąsałem z bolu, ale głowa moja do mnie należy. Skronie matce nacieraj, bo moje ręce jak rozpalone żelazo, gorące i suche. Ją posadzono na żelaznem krześle — a jam wisiał na wyłamanéj ręce — w powietrzu. I targano mię, i kości moje krzyczały w ciele o pomoc; ale moja dusza zagłuszyła wołanie kości i wrzask podły cielesnych władz, zbuntowanych przeciwko językowi — łkającemu...

BEATRYX.

Cicho, matka się budzi...

MATKA.

Beatryx...

BEATRYX.

Matko...

MATKA.

Czy ja nic nie powiedziałam?..

BEATRYX.

Nic.

MATKA.

A wy?

TOMASO.

Nic.

MATKA.

Jeżeli nas Chrystus wyratuje, oddam mu część mego światła na ziemi; każę sobie wydrzeć oczy — przysięgam. A ciebie, córko, kto wydał w ręce katów?

BEATRYX.

Ojciec...

MATKA.

Ha!!

BEATRYX.

To był sen okropny!...

MATKA.

Każde z nas ma tu filar — i kamień. Jak tu straszno!... Terazby mogły wyjść te furye czerwone, gdy smutni siedzimy po kątach, i przepowiedzieć nam jutro...

TOMASO.

Te okropne?...

AZO.

Mamo, ja senny.

MATKA.

Tu, psiątko, przy nogach, na kamieniu...

TOMASO.

Głowa mi cięży, nie mogę się oprzeć snowi —

MATKA.

Ha!! kto tu gadał?

BEATRYX.

Poddaj się matko zmysłom, twoje myśli błądzą senne i ciężkie...

MATKA.

Jezu!

(Wszyscy zasypiają oprócz Beatryczy).

BEATRYX.

Spią umęczeni, straszni i spokojni
W kątach — żałobne posągi nieszczęścia!..
A słońca smutny snop — jako czerwony
Piorun bez huku, ze sklepień upada
I trwa w powietrzu ciemném nieruchomy,
Krwawiąc ciemności środek... O! tu... tu... tu...
Jestże to morze ze krwi promienistéj,
W któréj się będę kąpała wzdrygnięta?
Czy z tego światła czerwonego wyjdą
Mary ohydne, co nieszczęścia szmérem
Dom napełniały przed czynem rąk naszych,
Zawsze przytomne, bliskie, niewidzialne...

TOMASO *(przez sen).*

Do mnie, Kolonna!

BEATRYX.

Mój brat przez sen gada.

TOMASO.

Mieczami kata!.. ho! tu, tu, tu lancą!...

BEATRYX.

Na swych rycerzy krzyczy — z rusztowania...
O! sen straszliwy i spełnienia bliski.

MATKA *(przez sen).*

Z Chrystusa płynie krew, a w piersiach słońce —
O! o! ratuj nas!

BEATRYX.

Sumienia bezsenne!..

AZO *(przez sen).*

O! mamo, główka moja...

BEATRYX.

I ten ptaszek?..

Władze dręczące, precz od śpiących ludzi!
Podłe szatany, precz od niebronionych! —
Ha! drzwi więzienia skrzypią. Kto to? cicho!

(Wchodzi DOLORIDA*).*

Piękne dziewczątko jakieś. Czegoś przyszła?

DOLORIDA.

Jestem, Signora, Barigiela córką.

BEATRYX.

Jak się nazywasz, miła?

DOLORIDA.

Dolorida.

BEATRYX.

O! dobre imię, stworzone dla świata!
Dlaczego patrzysz na mnie tak ciekawie?

DOLORIDA.

Signora...

BEATRYX.

Nie drżyj — nie męszaj się, ładna.
Jestem łagodną i cichą — chodź bliżéj!
Jeżeli jakie wypełniasz poselstwo,
Mów, moje dziewczę...

DOLORIDA.

Mam listek od kogoś...

BEATRYX.

Daj! daj, daj, gdzie go ukryłaś?

DOLORIDA.

We włosach

BEATRYX.

Chodź tu pod słońce i klęknij — ja sama
Będę dziś twoją pokojówką...
(wyjmuje strzałę srebrną z włosów Doloridy, rozpuszcza jéj warkocze i wyjmuje list).
Czerwone słońce więzień, teraz nie zagaśnij,
Aż ten list we mnie zagasi nadzieje!
Dzieweczko! ten list — ten list pachnie sercem,
A jednak nie śmiem zajrzéć w jego serce.
Kto ci dał ten list?..

DOLORIDA.

Młody, piękny panicz.

BEATRYX.

Spokojny jaki człowiek?

DOLORIDA.

Hojny panicz,
Bo mi dał listek i ten sznur korali
I... pocałunek — ale taki zimny,
Że go nie można nazwać pocałunkiem.

BEATRYX.

Zimne są usta, gdy się pali serce.
Błogosławiona bądź, dzieweczko moja,
Bo w twoich kruczych przyniosłaś warkoczach
List od kochanka i śmierci narzędzie...
Jeśli zrani list — to strzała zabije.

DOLORIDA.

Pani, ty ojca mojego zabijesz!..

BEATRYX.

Twojego ojca? — ja?

DOLORIDA.

Tak, twoją śmiercią.

BEATRYX.

Więc weź odemnie to. O! do mnie, do mnie,
Myśli rozpierzchłe — do mnie, jak gołębie
W upał źródlanéj wody upragnione!
Tu jest fontana łez... tu w tym listeczku
Najada płaczu jęczy w upał słońca
I rozognione moje myśli wabi —
A jednak może tu jest śmierć w tym liście —
(czyta).
Patrz — pisze do mnie Giani, że mnie kocha...
Czy ty nie wierzysz? Patrz, pisze, że kocha!
Więc ja nie mogę wydrzéć mu osoby,
Którą on kocha — prawda? Ja nie swoja,
Ale kochanka jestem służebnicą. —
Gdyby cię kochał tak piękny kochanek,
Chciałażbyś umrzéć? powiédz, Dolorido! —
Czy taki dziki list nie uniewinnia,
A takie wielkie łzy nie myją duszy?

O Boże! Boże! — Chodź tu, Dolorido!
Daj mi tę srebrną strzałę bez bojaźni:
Ona mi będzie niczém — tylko piórem,
Które miłości bóg wyrwał ze skrzydeł
I dał mi w ręce drżące; a ta chustka,
Jeszcze wilgotna od łez, będzie kartą,
Na któréj miłość wypisze sztyletem
Całą historyą skruchy i żałości...
Ale czém pisać? — Czy w ciemne powietrze
Więzienia tego pióro me umoczę?
Czy w tę czerwoną promienistą jasność?
Czy w moje serce teraz rozjaśnione?...
O! gdybym mogła w serce... lecz nie, lecz nie!
Pocóż zabijać serce już nie moje?
Pocóż tę miłość pisać krwi rubinem?
Pocóż tę chustkę oczerniać słowami?..
Zanieś mu chustkę i powiédz, że na niéj
Są łzy, przysięgi, skargi, pożegnania...
Powiédz, że mnie tu widziałaś spokojną,
O nim myślącą i pełną radości...
Powiédz, że kocham go — jemu posłuszna;
Że czekam śmierci — ale z jego woli,
Z jego rozkazu, z jego osądzenia,
Z jego wyroku; i to mię uczyni
Dla katów rzeczą cudzą, nietykalną,
I nieśmiertelną, tak jak miłość moja...

DOLORIDA.

Będzież on płakał — biédny, biédny człowiek!

BEATRYX.

Gdzież ty go dzisiaj obaczysz, dziewczyno?

DOLORIDA.

Czekać mię będzie na małym cmentarzu,
Koło świętego Piotra —

BEATRYX.

Znam ten cmentarz.

DOLORIDA.

Bądź zdrowa — młoda, piękna moja pani!
(wychodzi).

BEATRYX.

Wejście téj czystéj sen przyniosło cichy
Tym ciemnym, śpiącym; a mnie — żądzę życia.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

(na cmentarzu. GIANI *sam).*

GIANI.

Na tym cmentarzu leży Cesario mój drogi.
Oto jego mogiła — jeszcze biała... o! o!
Jak mi teraz potrzebny przyjaciel Cesario!
Czy ty mnie słyszysz? czy się litujesz nademną?..
Czuję, że teraz, mocno natężywszy pamięć,
Mógłbym cię wydrzéć z ziemi. Ale pamięć moja
Jest jak zbite zwierciadło... Egoizm, egoizm!
Dla siebie chciałbym z grobu obudzić człowieka
I uczynić go żywym. Okropna nieprzyjaźń! —
O! tę mi chustkę białą przysłała... Cesario,
Co ty o téj kobiéty łzach myślisz i sercu?
Cóż? — żadnéj odpowiedzi?... i tylko cyprysy,
Sługi grobów, ruszyły się czarne przy ścianach,
Jakby tu zejść się chciały, otoczyć mnie w koło,
I zacząć ze mną o méj miłości rozmowę...
Cóż? — nikogo w powietrzu cmentarzowém? ha! ha!
Świat się stał ciałem, z duchów wyludniał... A jednak
Czuję w powietrzu, że sam nie jestem, lecz blisko
Niewyjawione twarzą kupią się straszydła
I dotykając ręką zimną moich włosów,
Szczepią w nie jakieś straszne myśli, przerażenia...
Gotowy jestem — na co? sam nie wiém, a jednak
Czuję, że mam przed sobą coś niewyraźnego,
A to coś — będzie rzeczą spełnioną, nim słońce
Ten blady księżyc zetrze...

GŁOS WIEDŹMY.

Śpiesz się! śpiesz się! śpiesz się!

GIANI.

Na Boga! To wasz jęk, trzy piekielnice!
Do głosu tego braknie waszych twarzy...
Myślą dorobię wam, co braknie, mary,
Przygotowany jestem, widma — do mnie!

GŁOS.

Mamy nad tobą litość, mamy litość —

GIANI.

O! o! nieprawdaż, że ja nieszczęśliwy,
Że mi czas tu być pod tą cichą ziemią?
Wy same smętne, patrząc na mnie! i wasz
Głos stał się więcéj kobiécym, niewiasty...
Przez kogokolwiek przysłane jesteście,
Skoro moc macie nad mymi zmysłami:
Jestem gotowy prawie wam się cały
Oddać i waszym radom się powierzyć.
Byleście były ze mną aż do końca
I nie rzuciły z samym sobą, nim się
Ta rzecz rozwiąże...

GŁOSY.

Zbaw ją!
Zbaw ją!
Zbaw ją!

GIANI.

Czy mogę zbawić? Powiédzcie, czy mogę?
Wytężcie oczy skrawe w ciemną przyszłość
I tam zobaczcie, czy mi przeznaczono
Wybawicielem jéj być i obrońcą...
Błagam was, mówcie! mówcie! ja was błagam...

GŁOS.

Od brata twego ją broń, broń od brata!

GIANI.

Co słyszę? miałżeby ten wąż na plecach wzdęty
Do końca ścigać ją?...

GŁOS.

Twój brat ją kocha.

GIANI.

Co? w jego myśli ta piękna już była
Z szat rozebrana? On — ten człowiek sprosny!...

O mary, widzę, że mnie opuszczacie,
Uległe władzy silniejszéj zniknienia,
Niż moja władza zaklęć. — Jeszcze słowo!
Mój brat... co słyszę? cmentarzowe echo
Odpowiedziało: kat!... ha!... drżą mi nogi...
Tu straszne myśli są w powietrzu... brat mój...
Brat mój... okropny wiatr mnie stąd wypycha.
(wychodzi).

SCENA II.

(Pracownia malarska. PIETRO NEGRI — ORSINI).

ORSINI.

Opowiedziałem już Trybunałowi
Wacpana zamiar, i uznał go zmyślnym,
Zwłaszcza że sztuka malarska raz piérwszy
Użyta jako tortura w procesie,
Oprócz piękności duchowego celu
Osiągnie drugi cel — użyteczności.
Wacpana piérwszy charakter uzyskał
Niby pozłotę od pochwał i wagę...
Kończ obraz — jutro uczynimy próbę.
(wychodzi).

PIETRO.

A więc do pędzla! — kończmy dzieło piekła.
Ta lampa płonie blado — niespokojnie,
A obrzydliwy gość, nietoperz szary,
W powietrzu kreśli koła tajemnicze
I miga czarnym błyskiem. Cyt — ktoś idzie...
To z halabardą strażnik pałacowy
Po korytarzu przechadza się — Dobrze!
Jest bezpieczeństwo. Do pędzla, do pędzla!...
Nie mogę — jakaś nadzwyczajna trwoga
Mrozi mi w żyłach krew. — Ten obraz straszny,
Wystawiający człowieka zarznięcie,
Strasznym jest w nocy towarzyszem. Wszystkie
Osoby — oprócz trupa, poruszone
Lampy miganiem, żyją, drżą i szepcą

Straszne wyrazy. — Cyt!... co to?... stuknięcie...
Ktoś w korytarzu upadł... ha!... co widzę?

(Wchodzi GIANO GIANI).

Co widzę? brat mój — rozczochrany — blady!
Co ci jest? czego przychodzisz tak późno?
Kto cię tu puścił? jesteś cały we krwi...
Puszczaj — zawołam ludzi!

GIANI.

Stój, piekielny!

PIETRO.

Gwałtu, zabójstwo! *(lampa gaśnie).*

GIANI.

Trup jest w korytarzu,
Ale nie słyszy. Sza! jesteś zgubiony...
Mary, co robić? kto zagasił lampę?
Zieloność twojéj twarzy jest mi lampą,
Twarz obrzydliwa twoja jest mi słońcem — —

PIETRO.

O! bracie!...

GŁOS.

W serce!

GIANI.

Ha! jesteście ze mną?
Zdejmcie więc ze mnie braterstwo...

PIETRO.

O matko!

GIANI.

Matki na pomoc wołasz?... tyś ją zabił!...
Zbójco, na pomoc wołasz matki? ha! ha!
Czy wy słyszycie, furye? Ten morderca
Woła na pomoc tu — zamordowanych
I mnie tu robi sprawiedliwym...

PIETRO.

Puść mnie!...

GIANI.

Do piekła puszczę z rąk, morderco czarny!
Zmów pacierz!

PIETRO.

Pozwól, niechaj złożę ręce,
Niechaj krzyż wezmę...

GIANI.

Twój krzyż ostry, i rznie...
(Chwyta sztylet Negrego).
Tym samym krzyżem giń! giń! giń!

PIETRO.

O Boże!
Sztyletem Cencich zabijasz... ratunku!
Konam — ratunku!... Zimno mi... o! zimno —
W oczach mi stoi bratobójca... o! tu...
Za nim osoby straszne z pochodniami —
Piekło otwarte — o! pożar i węże —
Krew, krew na brata — ziębnę — jestem trupem...
(kona).

GIANI.

Ja nie wołałem was, lecz teraz czuję,
Że wy jesteście z piekła. O! jak prędko
Myśl zaszczepiona przez was krwią się stała,
Matki rozpaczy! O! wy jako matki
Targacie włosy z okropności, bledsze
Niż przed godziną... ha!...

I. WIEDŹMA.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Nie przerażajcie mnie, bo ja się gotów
Rzucić pomiędzy was z sztyletem — wściekły
Przeciwko waszéj naturze, i szukać
Śmierci pomiędzy wami, jak śród wichru
Piorunowego...

WIEDŹMY.

Zbliż się! zbliż się! zbliż się!

GIANI.

Gdzie drzwi?... To trupy są, z żywymi włosy,
Które podniosła im na czołach trwoga,
Jak garść płomieni... Gdzie drzwi? to są trupy!
Ja stąd nie mogę wyjść — przed moją ręką
Ucieka w ciemność mur...

WIEDŹMY.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Bladość mi własna świéci... tu... niech trupy
Gonią mię — ha! ha! — lampa w korytarzu...
(wychodzi).

WIEDŹMA I.

Widzisz! widzisz! widzisz — trup!
Krwawa szata — oczy w słup...
Złożyć jemu ręce w krzyż...

II.

Czemu ty blada?

III.

A ty czemu drżysz?

I.

Na jutrznię usłyszałem dzwon,
Zebrałyśmy zbrodni plon,
Reszta jest dziełem dla katów i wron,
Wężami sądową zamiotłyśmy kuryę,
Trzy głowy, trzech katów, trzy piekła, trzy furye.
(znikają).

SCENA III.

(Sala sądowa).

DON LUCENZIO — ODŹWIERNY.

DON LUCENZIO.

Która godzina?

ODŹWIERNY.

Piąta.

DON LUCENZIO.

Czy już biła?

ODŹWIERNY.

O! właśnie teraz bije na zégarze.

DON LUCENZIO.

Bogdajby prędzéj zeszli się sędziowie!
Ciekawy proces —

ODŹWIERNY.

Tak, ciekawy proces!
Żona dziś moja w nocy poroniła,
Słysząc od staréj wiedźmy rozczochranéj

Wszystkie szczegóły zbrodni, Don Lucenzio.
Ale ja sądzę, że nie z przerażenia,
Lecz z ciekawości zroniła mi żona.
Kobiéty — to gotowe zawsze zbyć się płodu
Przed karnawałem albo exekucyą.

DON LUCENZIO.

Tą razą, Mości Kustode, być może,
Że exekucyi nie będzie —

ODŹWIERNY.

Na Boga?!

(Wchodzi GIANI *i siada na ławie).*

DON LUCENZIO.

Cóż to za człowiek tam w kącie usiada
Płaszczem okryty?

ODŹWIERNY.

Jakiś Avocato —

GIANI.

Jeszcze raz ujrzę ją — po raz ostatni...

(Wchodzi OJCIEC ANSELMO.

ANSELMO.

Tu pewnie znajdę mojego malarza —
W nocy nie wrócił...

DON LUCENZIO.

Dobry dzień, mój Ojcze!
Ha, ha?... ogródek opuściłeś cichy
I tu przywiodła ciekawość?

ANSELMO.

Mój Boże!
Jak to wy prędko potępiacie ludzi...
Ha! otóż widzę tam mojego ptaszka...
O! dzięki Bogu, Giani, że cię widzę,
Bom był o ciebie mocno niespokojny.

GIANI.

Ojcze! nie siadaj przy mnie...

ANSELMO.

Cóż takiego?
Ja zmordowany. Cóż? coś robił w nocy?
A raczéj spytam ciebie, co tu robisz?

Jestże to miejsce dla ciebie — szalony,
Słuchać o krwawych rzeczach, o zabójstwach,
O rusztowaniach? Giani! chodź do domu!

GIANI.

O starcze, będziesz ty mnie dręczył?

ANSELMO.

Synu!
To mi przynajmniéj przyrzecz, że w tym kącie
Będziesz spokojny i nieporuszony.

GIANI.

Będę spokojny —

ANSELMO.

Daj mi na to rękę!

GIANI.

Rękę?..

ANSELMO.

Jakiż ty jesteś dzisiaj trudny!
Widzę, że trzeba mi być twoim stróżem.

(Wchodzą sędziowie i siadają).

Pamiętaj, Giani, że sądu prezesem
Orsini, ojciec twój. Nie zrób mu wstydu!
Ty jeszcze może tę ohydną kochasz,
Nie sercem, ale głową?

GIANI.

Kocham głową...
Głowa ta, co ją kocha, ojcze, spadnie!

ANSELMO.

Co?

GIANI.

Spadnie mi na serce — jestem senny...
Pozwól mi nieco spocząć tu, przy ścianie.

ANSELMO.

Śpij, śpij... Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem.

(Orsini dzwoni).

ORSINI.

Wprowadzić obwinionych! Nie puszczać tu więcéj ludu.
Niech halabardniki strzegą drzwi od pospólstwa.

ANSELMO.

Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem. Święty Boże! Taka sama cisza będzie przed sądem ostatecznym... Jezu drogi!

(*Wchodzą obwinieni:* MATKA CENCI, TOMASO, AZO, BEATRYX).

ORSINI.

Jak się nazywasz?

MATKA.

Matka Cencich.

ORSINI.

A ty?

TOMASO.

Tomaso Cenci, kapitan w kompanii Kolonny.

ORSINI.

A ty?

AZO.

Azo Cenci.

ORSINI.

A ty obwiniona?

BEATRYX.

Beatryx. —

ORSINI.

Oskarżeni jesteście o zabójstwo ojca waszego.

MATKA.

Kto skarży?

ORSINI.

Pietro Negri.

MATKA.

Więc zawołajcie — niechaj powié w oczy,
Niechaj mi spojrzy w oczy i powtórzy!
Bo ja w téj chwili mam zabójcze oczy;
Bo jeśli kogo w życiu chciałam zabić,
A na czyn taki miałam dosyć mocy,
To teraz zabić go chcę w oczach waszych
Mymi oczyma... Gdzie jest ten ohydny?
Czy już go chęcią zabicia zabiłam?
A więc mnie sądźcie, bo chciałam go zabić...
Chęć moja była sztyletem, piorunem,
I wypełniła się, jak słowo boże.

ORSINI.

Żywy jest człowiek, o którym ty mówisz,
I wprowadzony będzie na czas —

MATKA.

Synu!
Powiédz tym sędziom, że są zabójcami...

TOMASO.

Orsini sądzi, to dosyć!.. Orsini...
Więc się nie dziwię, że chce sądzić na śmierć.
Przed trzema dniami koń mój kopytami
Druzgotał herby niedźwiedzie i kości;
Ręka paliła Orsyńczyków wieże,
Miecz rąbał bramy. Cóż? nie ma tu w sali
Jednego nawet z Kolonnów — choćby psa,
Coby wył, widząc mnie oskarżonego
Tak niegodziwie przez tego szatana?
Lecz i ten szatan nie pokazał twarzy
W całym procesie — tylko swoję duszę
Przelał w tortury, które nas dręczyły...
O! więc nie on mię skarży, lecz tortury...

MATKA.

Nie sprawiedliwość sądzi, lecz Orsini...

TOMASO.

Nie prawdę z nas chcą wycisnąć, lecz krew!...

MATKA.

Azo, o dziecko moje, rośnij ty na zemstę!
Ciebie przynajmniéj katy nie zabiją...
Pamiętaj o mnie, małe dziecko moje!
Niechaj przekleństwa moje rosną z tobą
I rosną w tobie!... i rośnij na zemstę!

BEATRYX.

Orsini! Sądu i sprawiedliwości...

GIANI.

Mówi!...

ANSELMO.

Mój synu, nie wstawaj, zaklinam!
Widzisz — im teraz potrzebna przytomność,
A twarz znajoma, nagle ukazana,
Pomięsza myśli...

GIANI.

Boże, czuwaj nad nią!

ORSINI.

Akuzatora postawić im w oczy!

GIANI.

Anselmo, słabo mi...

ANSELMO.

Oprzyj się na mnie...
Co widzę? ręka twoja krwią zwalana?

GIANI.

Trup gotów powstać...

ANSELMO.

Jaki trup? na Boga!
O czém ty gadasz z twarzą tak okropną?

GIANI.

Anselmo!

ANSELMO.

Usiądź, uf! jak tu gorąco...

(wchodzi ZBIR*).*

ORSINI.

Gdzież Pietro Negri, oskarżyciel?

ZBIR.

Monsignore, Pietro Negri zabity —

ORSINI.

Co???

ZBIR.

Zamordowany.

ORSINI.

Przez kogo?

ZBIR.

Nie wiadomo. Strażnik, który stał na korytarzu, nie żyje. Negri leży we krwi na podłodze, a od trupa aż do drzwi znaleźliśmy ślad krwawy zabójcy i ten sztylet —

ORSINI.

Ten sztylet należał do procesu. Cenci, to wasz sztylet?

BEATRYX.

Mój! *(wyciąga rękę po niego).*

ORSINI.

Signora, nie dam ci do rąk żelaza. Życie twoje należy do sądu —

ANSELMO.

Sąd, przerażony wieścią o zabiciu delatora, waha się. To dobrze dla Cencich!

GIANI.

Dobrze?

ANSELMO.

Orsini wydaje cicho jakieś rozkazy —

MATKA.

Ha! gdzież delator wasz?... gdzie wasz delator?
Trupy z sądzących! — ha!

ORSINI.

Tryumfujecie!
Kolonna znalazł zabójcę — to dobrze!
W Kolonny fakcyi jest wielu zabójców —
Wielu zabójców, przyjaciół zabójców —

BEATRYX.

O Monsignore, ty nam nie urągaj!
A ty, o matko, oddaj się modlitwie,
Bo wola twoja straszną jest i rządzi
Mocą tajemnych władz...

MATKA.

Więc jestem silna!
O! jestem silna. I chcecież wy teraz,
To wam wywołam delatora z grobu
I tu postawię za twém, Monsignore,
Krzesłem... Ja śmierci téj się nie zapieram —
Jam go zabiła przez mury... przez ziemię!
Bo ja pod ziemią byłam uwięziona,
Ale przegryzłam się myślą przez ziemię
I w samo łotra serce ukąsiłam —
Czuję na zębach krew... Cóż, Monsignore?
Czy chcesz mię zamknąć pod ziemię — i zaśniesz?

TOMASO.

Czy zaśniesz, póki jest w Rzymie Kolonna?

ORSINI *(do sędziów)*.

Cóż wy mówicie?

SĘDZIA.

Wielki brak dowodów...

GIANI.

Księżę, o! widzisz ją? uniewinniona!

ANSELMO.

Jezus Maryja! ręka twoja we krwi...
Krew masz na ręce suchą — kto cię ranił? —
Ty pokazałeś na nią palcem krwawym...

GIANI.

Ją uniewinnią...

ANSELMO.

Słuchaj — sędzia mówi.

GIANI.

Ojcze, niewinna! Powiédz, ojcze!

ANSELMO.

Nie krzycz!...

GIANI.

Jabym chciał w ustach jego być wyrazem,
Jednym wyrazem: niewinna!... Cóż to jest?
Wnoszą zakryty obraz. Księżę, co to?

ORSINI.

Winnych niech własne potępi sumienie.
Bracia, uważnie patrzcie na ich twarze,
Bo porównani będą z delatorem...

GIANI.

Nie widzę — co to jest?...

ORSINI.

Odkryć zasłonę!
Sumienia ludzi — gadajcie!

GIANI.

O! bladną!...

AZO.

Mamo! papa we krwi —

MATKA.

Ha!...

GIANI.

Jak się im twarze mienią!

MATKA.

Ha! to tak — to tak — o! krew — my zbrodniarze!
O Jezu! kto to wymalował? — Jezu!
Dzieci, nie patrzcie — Jezu! łóżko z trupem —
Strwożony mój syn, biały jak trup — patrzy

W ciemność, a córka moja. . ha! — czy już?
Czy już?... już... już? ha!!! czy już umarły?
Dajcie mi lampę... sza!... Tomaso stchórzył...
Zobaczę z lampą trupa... jaki krwawy!...
Jaki okropny... o!!

(mdleje).

TOMASO.

Zabójstwo żyje!

AZO.

Mama umarła!...

BEATRYX.

Dosyć téj tortury!
Czy wy czekacie, aż z nas będą trupy
Pozabijane własnymi oczyma?...
Zasłońcie obraz ten rozdzierający!
Mnie samę zimny zlał pot i rozstroił
Tak, że nie słowa mam w ustach, lecz jęki...
Więc mnie potępcie — bo choć jestem biała,
To jestem jako najbielsza z gołębic,
Co się w kałuży krwawéj chciała kąpać
I opryskała krwią całą rodzinę...
Oni niewinni! Ja jedna znalazłam
Sztyletem serce ojca. Oni wszyscy
Niewinni. Trup miał jedno tylko serce,
I jednę córkę, i jednę miał ranę...
To rzecz okropna — i straszne wyznanie!
Lecz gdybym miała zasłonę na twarzy
I mogła mówić z twarzą niewidzialną:
Opowiedziałabym straszną historyą,
Któraby wstrzęsła was, a mnie spłoniła...
Na miejscu, gdzie krew moję rozlejecie,
Postawcie ołtarz białemu wstydowi
I z alabastru posąg przezroczysty;
A szyję jego krwią oczerwieniwszy,
Zakryjcie perły albo lilijami;
A będzie to bóg nowy — w nowym Rzymie!...
I to jest całą obroną — Rzymianki.

ORSINI.

Rzucić welony czarne na tych ludzi
I odprowadzić ich w ciemne więzienia! —

GIANI.

Ha! ha! ha! ojcze —

ANSELMO.

Płaszcz mi został w ręku.
Gdzie ten szalony leci?

GIANI.

Beatrycze!

ORSINI.

Zbiry, młodzieńca tego wyprowadzić!
Precz, do więzienia iść z potępionymi!
(Wyprowadzają Cencich — Beatryx wychodząc ogląda się w stronę, gdzie Zbiry chwytają za ręce pasującego się ze sztyletem Giani).

GIANI.

Precz — precz odemnie! Czy wy nie widzicie,
Żem cały we krwi i na swojém miejscu?...
Orsini dzisiaj pracuje dla kata —
Ja pracowałem dziś dla Orsiniego.
O! usta pełne śmierci otwórz, starcze,
Otwórz raz jeszcze i potęp zbrodniarza!
Tu b r a k o w a ł o jeszcze delatora
I b a k o w a ł o zabójcy z sztyletem: —
Oto więc macie sztylet i zabójcę,
Który zostawił krwawy ślad przy trupie
I ścigającym furyom pokazywał
Krwią zczerwienione podeszwy. O sędzio!
Jeśli nie dosyć, żem zabił człowieka —
Jeżeli moja zbrodnia przy promieniach
Krwawego słońca ojcobójców blednie:
Ja rozczerwienię ją nowém wyznaniem
I śmierć kryjącą się pod waszym stołem
Wywołam — żółtą, cichą — ale wściekłą...
O! śmierci — wystąp — i bądź urodzona
Słowami sądu! Śmierci, ja cię pragnę,
A ty mnie zimną twoją zetnij kosą
Tu przed Orsinim — u nóg tego starca,
Który dziś swoję własną krew potępi
Za to, że jego krew... rozlała własną —
On nie wié... żem jest bratobójcą!

I. SĘDZIA.

Nieba!
Monsignor mdleje — wody — octu — mdleje!...

ANSELMO.

O! wielki Boże, jak twe sądy straszne!...

AKT PIĄTY.

SCENA I.

(Mieszkanie Barygiela. BARYGIEL — DOLORIDA).

BARYGIEL.

Czego ty płaczesz, głupia? — Za godzinę
Exekwowani będą nasi ludzie.
Dobry dla kata dzień!... za cztéry głowy —
Każda po dziesięć dukatów — cztérdzieści.
Czego ty płaczesz, księżniczko zaklęta?

DOLORIDA.

Ten młody biédny człowiek pozawczora
Przyszedł tu do mnie, gdy grałem na harfie,
Jakąś zabawną piosneczkę śpiéwając...
Taki spokojny zdawał mi się człowiek,
Taki łagodny — tak miły w rozmowie...
Jabym przysięgła była, że to święty
I dobry człowiek, nie żaden zabójca...
Oczy miał takie smutne!..

BARYGIEL.

Cyt... ktoś stuka —

DOLORIDA.

Czy już ich przyszli brać? — o! ja omdleję ..

(BARYGIEL *otwiéra, wchodzi* OJCIEC ANSELMO).

ANSELMO.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony —

BARYGIEL.

Na wieki wieków. — Czy spowiednik?

ANSELMO.

Czytaj!

BARYGIEL.

Najwyższéj Władzy rozkaz...

ANSELMO.

Czytaj cicho!
To jest tajemna rzecz... rozumiesz Wacpan!
Monsignor tu Orsini przyśle ludzi
Z pomiędzy szarych penitentów — i tak,
Jak tutaj stoi w papiérze, stanie się.
Wmięszasz to Wacpan zgrabnie do napoju...
(daje mu proszek w pakieciku).
Rozumiesz? —

BARYGIEL.

Córko, chodź — dam ci rozkazy.

ANSELMO.

O! moje kości — com ja się nalatał!
Co na tym świecie trudów i żałości —
Ledwie ułożysz rzecz z rozwagą starca,
Młodość wnet wpadnie i pomięsza wszystko...
Panie Barygiel, chodź tu Wacpan do mnie...
Jak dziś spał więzień twój, Signore Giani?...

BARYGIEL.

Spokojnie...

ANSELMO.

To to jest młodość, mospanie!
Przed śmiercią śpi, jak zabity. — A powiédz:
Gdy zapytano go dawnym zwyczajem,
Czegoby pragnął przed śmierci godziną —
Ten młokos dumne miał zawsze fantazye —
Ciekawy jestem, o co prosił?

BARYGIEL.

Córko,
O co maestro prosił?

DOLORIDA.

Ojcze drogi,
O półgodziny rozmowy samotnéj
Z Signorą Cenci...

ANSELMO.

Nie pozwalać!...

DOLORIDA.

Czemu?

ANSELMO.

Oni gotowi zapłakać się na śmierć...
A ta panienka o co was prosiła?

DOLORIDA.

Gdyby wiedziała, że kochanek blisko,
Pewnie prosiłaby mnie o kochanka.
Ale nie wiedząc, że Signore Giani
Przez mur więzienia tylko.. biédny człowiek
Na rusztowanie skazany... Bo ona
Nic nie wié, ojcze, o swoim kochanku
I myśli, że Signore Giani, jak zwyczajnie,
Już się pocieszył i wyjechał z Rzymu...
Więc gdy spytałam ją dziś, czego żąda?
Biédaczka z takim żałosnym uśmiechem
Rzekła: przynieść mi koszyk napełniony
Różami — aż mi łzy stanęły w oczach —
Przynieś mi, rzekła, koszyk róż... biédaczka!
Patrz, ojcze, róże stoją; o! czy widzisz,
Jaka biédaczka?

ANSELMO.

Bu!... ja stary płaksa!
To dobrze, córko — zanieś biédnéj róże!...
A wreszcie... to jéj zaprowadź kochanka!
Niech płaczą. — Ja to wszystko znów naprawię...
(odchodzi).

BARYGIEL.

Addio, księże!...

ANSELMO *(we drzwiach).*

Wrócę niezabawem,
A Wacpan wszystko zrób, jak rozkazano.

BARYGIEL.

Córko, zanieś jéj róże — a ja pójdę
I drzwi otworzę do niéj malarzowi.

SCENA II.

(*Więzienie.* MATKA CENCI, TOMASO, AZO *i* BEATRYX).

MATKA.

Pobłogosławię was po raz ostatni.
Już za więzieniem słychać straszne gwary
Ludzi ciekawych. — O dzieci, odwagi!...
Ja was zgubiłam, przebaczcie mi, dzieci!
Jam się oddała czarnym duchom, które
Czyhały na krew naszę. *(do Tomasa)* Cóż, człowieku?
Nie stchórz — i nie bądź blady! — A ty Azo,
Ty jeden, naszą krwią okryty, rośnij,
A ja do ciebie będę przychodziła
We śnie... i uczyć będę rzeczy strasznych,
O których wiedzieć trzeba człowiekowi
Krwią oblanemu matczyną w dzieciństwie.
Furye! oddaję wam dziecko w opiekę!...

BEATRYX

Matko! ja znajdę dziecku opiekuna,
Który przez pamięć i litość nademną
Będzie mu starszym bratem...

TOMASO.

Moja siostro,
Nie śmiem cię w czoło pocałować — siostro,
Módl się i za mnie...

MATKA *(do Tomasa).*

Chodź, spowiednik czeka.

AZO.

Mamo, ja pójdę z tobą...

MATKA.

Chodź, kurczątko... *(wychodzą).*

BEATRYX.

Jam nie wybrała jeszcze spowiednika
I wszystko mi się snem wydaje strasznym.

(*Wchodzi* DOLORIDA).

DOLORIDA.

Signora, róże przyniosłam...

BEATRYX.

Kochanko,
Postaw tu koszyk pod mymi nogami...
Niech się zapatrzę na kwiaty spokojne. —
Która godzina?

DOLORIDA.

Jeszcze do zachodu
Długie godziny pół, długie... o długie!

BEATRYX.

Słońce zajść musi —

DOLORIDA.

Gdybym była, Pani,
Panną Najświętszą, nie zaszłoby słońce...

BEATRYX.

Moja dziewczynko, czy ty masz kochanka?

DOLORIDA.

Lat jedenaście mam — to jeszcze nie czas...

BEATRYX.

Śpiesz się i kochaj — lecz wybierz człowieka,
Który ma pamięć dobrą... dobrą pamięć
I dobre serce...

(Wchodzi GIANI, *bez szpady — i* BARYGIEL. *Barygiel daje znak ręką córce, aby odeszła).*

DOLORIDA *(do Gianiego).*

Nie mów jéj, że umrzesz...

BEATRYX *(do wychodzącéj)*

Kochaj — i bądź zbawioną — i żyj długo!...

(Dolorida z Ojcem wychodzą).

O! żyj tak cicho, jak te róże łzawe,
Jak te ucięte głowy róż... te głowy,
Które są piękne i świéże... ucięte
I rozsypane, o tak, po więzieniu,
Jak prześcieradło śmiertelne — *(spostrzega Gianiego)* Ach Giani!

GIANI.

Beatryx!

(roztwiéra ręce, Beatryx rzuca się w jego objęcia).

BEATRYX.

Usta twoje!

GIANI.

Twoje usta!

BEATRYX.

Czy ty mój jesteś kochanek?...

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ziemio, pochłoń nas!...

GIANI.

Śmierci! teraz śmierci!
Jaki to nagły dreszcz? — czemuś wzdrygnięta?

BEATRYX.

Jak ty przyszedłeś tu? Prócz spowiednika
I Barygiela, tu nikt nie przychodzi;
A kto przychodzi — śmierć go wyprowadza...
O! mów, mów — mów mi, kto cię tutaj wpuścił?

GIANI.

Kto?

BEATRYX.

Wychodź, blady mój kochanku — wychodź!
Ja tu zostanę sama. Kto cię wpuścił?

GIANI.

O bądź spokojna! miłość mię przywiodła.

BEATRYX.

Ty spokojniejszy, niżli mój kochanek —

GIANI.

Ja cię spokojnie kocham — ale wiecznie...

BEATRYX.

Jeśli mnie kochasz, uciekaj na słońce!

GIANI.

Słońce... ty moje słońce — ja cię kocham —
Dlaczego ty mnie odsyłasz do ludzi?
O! zapomnijmy o nich, duszo moja!...

BEATRYX.

O! zapomnijmy o nich. — Siądź tu, Giani,
A ja upadnę na drżące kolana

Tutaj na różach — i będę mówiła,
Jak ty masz o mnie pamiętać... O Giani!
Jestem spokojną teraz i szczęśliwą...
Pamiętaj o mnie — pamiętaj ty o mnie
Inaczéj, niż lud, który się lituje;
Inaczéj, niż Bóg, co patrzy bez żalu.
Pamiętaj o mnie — jako o Rzymiance
Nieskazitelnéj, strasznéj, nieszczęśliwéj,
Którą... splamioną... miłość oczyściła
Ze wszelkiéj zmazy. — Ja się czuję czystą!
Lecz miłość przyszła późno... Słuchaj, Giani!
Ty weźmiesz mego małego braciszka
I będziesz kochał — co? będziesz go kochał?
A jeśli przyjdzie do ciebie spłakany,
Że go odepchnął jaki człek zwyczajny
Przejęty zgrozą... weźmiesz go na ręce
I będziesz mu łzy ocierał — ustami...
To mój braciszek. — Cóż?... będziesz go kochał?
Dzisiaj go tobie przywiodą wieczorem —
Sam umyjesz mu rączki — sam — i uśpisz,
Bo on się będzie lękał... Przebacz, Giani —
Ja ci rozdziéram serce, ale muszę. —
Dzisiaj wieczorem — ty będziesz... Nie mogę
Wystawić sobie — dziś — tam — w twojéj celi
Ciebie — bezemnie — ha! Lecz bądź spokojny,
Zaklinam ciebie — dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, żem ja zdolna
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą.
Lecz ta godzina jest bez drugiéj dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu...
I Bóg mnie weźmie... o! tak rozpłakaną...

(Słychać głos dzwonów i hałas głuchy).

GIANI.

Co to za dzwony są? co to za głosy?

BEATRYX.

Straszne zbudzenie — to czytają wyrok.

GIANI.

Komu czytają?...

BEATRYX.

Tutaj, przed więzieniem.

GIANI.

Słuchajmy, moja kochanko.

BEATRYX.

Słuchajmy...

GŁOS.

Obwinieni i przekonani mają być nakryci czarną zasłoną ojcobójców, prowadzeni na rusztowanie i ścięci przez kata: Lukrecya Cenci, żona — Tomaso Cenci, syn — i Beatryx Cenci, córka zabitego. Niech Bóg odpuści duszom zmarłych!

BEATRYX.

Amen! odpowiédz, Giani: Amen...

GIANI.

Amen...

GŁOS.

Ma być zaprowadzony pod rusztowanie Azo Cenci, syn zabitego, który patrzał oczyma swymi na czyn zbrodni, aby oblany był krwią zbrodniarzy. Niech Bóg oczyści duszę dziecka! Amen.

BEATRYX.

Słyszałeś?...

GIANI.

Słuchaj!

BEATRYX.

Co?... wyrok skończony!
O Boże, ten sam głos pod oknem wyje.

GŁOS.

Obwiniony i przekonany o zabójstwo Pietra Negri, powszechnie nazwanego Gino, zaprowadzony ma być na rusztowanie, okryty zasłoną bratobójców i ścięty przez kata brat zabitego, Giano Giani. Boże, świéć nad jego duszą.

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ścięty — ścięty — ścięty!...

GIANI.

Amen.

BEATRYX.

Ty?

GIANI.

O Beatryx — ja! — idziemy razem!

BEATRYX.

I nie przeczułam, że o n zabił Pietra!
O! jak okropne nas związały losy!
O! jak mi będzie strasznie skonać...

(Wchodzi OJCIEC ANSELMO *i drugi kapłan).*

ANSELMO.

Dzieci,
Przyszła godzina — trzeba się rozłączyć.

BEATRYX.

O! o! tu Giani, na serce...

GIANI.

Beatryx!...

ANSELMO.

Przyszła godzina, trzeba się rozłączyć...

GIANI.

Do zobaczenia!... Anselmo — ty ją weź...
A ty chodź, ojcze nieznajomy, ze mną
I porusz słońce, niech prędzéj zachodzi! *(wychodzą).*

ANSELMO.

Chodź, moja córko, odwagi, odwagi!

BEATRYX.

Czy on ma umrzéć? — czy on skonać musi?

ANSELMO.

Córko — ja ciebie pocieszę... Orsini
Wyprosił życie syna u Papieża;
I oto zaraz mu dadzą w napoju
Usypiający napój Penitenci
I do méj celi zaniosą śpiącego...

BEATRYX.

O dzięki tobie! bo mi daleś życie...

ANSELMO.

Biédna — ja tobie życia dać nie mogę!
Ty nie masz żadnéj nadziei, prócz w Bogu —
A Boga zyskaj skruchą i spowiedzią...

SCENA III.

(Plac Ponte Sant' Angelo).

TŁUM LUDU.

I. Z LUDU.

Nudzą nas, mówię — nudzą nielitośnie!

II.

Co jeszcze gorsza, powiadam, co gorsza,
Że pewnie wszystkich głów nie zobaczymy!
Powiadam, cztérech głow. Panie Pamfilio,
Powiadam, że nam cztérech głów nie dadzą.

I.

Parno, jak w piecu! — Hej! Trastewerina!
Z pomarańczami tu! — hej! moja Juno —

TRASTEWERINA.

Cóż, mój signore Babuino?

PAMFILIO.

Eheu,
Tu, Atalante z Hesperyd owocem!...

III.

Ephemerido, wiele za bajoka?

TRASTEWERINA.

Trzy, signor Bacco!

PAMFILIO.

Per Bacco! daj quatro!

II.

Cztéry pomarańcz, głowa w głowę cztéry!...
A ta maleńka, powiadam, w przydatku —
Za główkę dziecka daj w przydatku piątą.

TRASTEWERINA.

Piąta na drzewie wisi — idź pod drzewo
I urwij sobie piątą z szubienicy...

PAMFILIO.

Cyt — cyt — więzienie się otwiera czarne,
Pochodnie blade wychodzą na słońce.

PANTALON.

Ta piérwsza — matka...

PAMFILIO.

Mości Secretario,
Co na welonach napisano białém?

PANTALON.

Biało na czarném stoi: p a r r i c i d a.

PAMFILIO.

Po grecku? — to ja rozumiem — po grecku!

TRASTEWERINA.

Ha! ojcobójce — dobrze wam tak, dobrze!
Chcecie pomarańcz? hej hej! parricidi!
Chcecie pomarańcz, co pod zębem ciekną
Czerwoną śliną?... ho! ho! apelcyny
Czerwone wszystkie głowa w głowę.

PAMFILIO.

Furyo!

TRASTEWERINA.

Socrate!

PAMFILIO.

Wiedźmo, czego krzyczysz?..

TRASTEWERINA.

Krzyczę,
Bo to zabójce... to zabójce... słyszysz?...

I. Z LUDU.

Idzie ostatnia pod czarnym fartuchem,
Idzie, jak jaka królowa z dzieciątkiem
I białą świécą — ona najwinniejsza!

KOBIÉTA.

Niesprawiedliwość, że idzie ostatnia!
Powinnaby iść piérwsza — Santo Padre,
Powinnaby iść piérwsza!

PENITENCI i DOLORIDA *(wchodzą)*.

DOLORIDA.

Penitenci!
Bierzcie z téj tacy, dawajcie ubogim,
Niech proszą za nich!

(Penitenci rozdają pieniądze).

I. PENITENT.

Starcze! weź bajocco,
Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRACZKA.

Kaleka, uboga...

II. PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRAK.

Un bajocco!...

III. PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

GŁOS W TŁUMIE.

Zdrowaś Marya —

I. PENITENT.

Módlcie się za nich, za matkę i syna,
I za panienkę...

I. Z LUDU.

O widok okropny!
Rozpłakała się, gdy kat uciął włosy.

DOLORIDA.

Płakała...

I. Z LUDU.

A z nią i lud zaczął płakać,
Jak małe dziecko...

DOLORIDA.

Gracya! gracya! gracya!
Wszyscy wy idźcie za mną na Watykan!
Chodźmy do Ojca Świętego po łaskę!...
Ucięto włosy — czyż nie dosyć? — gracya!

ŻEBRACY.

Na kulach za nią! — gracya, Santo padre!

(*Wchodzi* PANTALON i PAMFILIO).

PANTALON.

Signor Pamfilio, widok był okropny!
Czego ci ludzie krzyczą?

PAMFILIO.

At! jak zawsze.
Krzyczą zapóźno i chcą zmartwychwstania!
Jakby prosili, aby zachodzące
Słońce wróciło. Idźmy spać do domu.

SCENA IV.

(Cela Giano Giani).

(Penitenci wnoszą na noszach śpiącego GIANI *i mówią po łacinie na dwa głosy Ave Maria).*

I. PENITENT.

Tu go połóżmy śpiącego na łożu.
Trzeba opatrzyć, czy gdzie nie ma broni
I zabrać noże — to rozpaczny człowiek...

II. PENITENT.

Niech śpi! Za chwilę wróci Don Anselmo.

(Zdejmują broń ze ściany i wychodzą).

WIEDŹMY.

I. WIEDŹMA.

W oczy jego blaskiem rzuć!
Dotknij go wężem i zbudź —

II.

Poco?

III.

Niech zobaczy życie!

I.

Sza! zawieśmy na suficie
Głowę ściętą — on widzi śpiąc...

II.

Dajcie mu pokój — zabije go ksiądz.

I. i III.

Czém? czém? czém? czém?

II.

Ha! siostrzyce,
Rzućmy tu trzy błyskawice,
Rzućmy ciche ognie trzy!
Niech się jemu w oczach skrzy,
Niech okropność w oczach błyśnie,
Aż serce się skurczy i zadrży i pryśnie.

WSZYSTKIE.

Dyabeł tutaj księdza śle.
W powietrze! znikajmy w mgle... *(Znikają).*

GIANI.

Oh!... gdzie ja jestem? — żywy to ja, Jezu?
Czy ta noc śmiercią jest? — gdzie Beatrycze?

A ha! to księdza mieszkanie — o! widzę
Całą okropność rzeczy. Gdzie sztylety?
(rzuca się na ścianę, skąd penitenci zabrali broń).
Tu była moja broń — zabrano — żywy!
Wszak słońce zaszło już — okropne słońce,
Które widziałem za krwawymi plamy.
Kiedy? — dziś, we śnie... Ha! więcem ja zasnął! —
O! morze ciemnéj okropności... czarne,
Rozwidniające się teraz stopniami,
Gdy tonę w strasznéj pamięci oczyma —
Morze krwi! pochłoń mnie... pochłoń mię, ziemio!
(Wchodzi ANSELMO *z latarnią, prowadząc* AZA *za rękę).*

ANSELMO.

Gdzie tu mój Giani, mój syn ukochany?
Cóż to? na ziemi leży mój syn twarzą?
Jestże to człowiek? rozumne stworzenie? —
O! wstań, mój synu — i odgoń od siebie
Rozpacz bez celu... smutek bez nadziei!

GIANI.

Więc już umarły?

ANSELMO.

Co te jęki znaczą,
Które do ucha mówisz téj podłodze?...
Wstań! tu jest ciepłe łono przyjaciela ..

GIANI.

Ziemia mnie woła...

ANSELMO.

Wstań i obacz, Giani,
Z kim ja przyszedłem... Wstań, bo mnie przerażasz!
(podnosi go).
O! — wstań ja ciebie nie udźwignę, martwy!
Mamże na ziemię paść, synu, przy tobie?

GIANI.

Czegoż odemnie ty chcesz, starcze? — wstałem.

ANSELMO.

Bogdajby w tobie tak powstała dusza!
Maleńki! — przystąp do tego człowieka
I zaszczebiotaj mu, jak cię uczono...

AZO.

Panie! kazała prosić cię siostrzyczka,
Abyś mnie kochał...

GIANI.

Nie tul się ty do mnie!

ANSELMO.

I cóż? odpychasz go?

GIANI.

To jest... ostatni?...

ANSELMO.

Tak...

GIANI.

Jeśli głodny, daj mu jeść —

ANSELMO.

Mój synu,
Ja nie poznaję ciebie — twarde serce
I twarda jakaś obojętność dla mnie!...
Ja nie poznaję ciebie.

GIANI.

Czy mam płakać?

ANSELMO.

Płakać?... O! mógłbyś ty płakać nad sobą!
Teraz godzina, że serce zmiękczone
Winnoby płakać przestępstwa. — O Giani!
Jestto okropna nauka i krwawa,
Ale na całe życie pozostanie. —
Tak! kto bez Boga, lecz z ciemnymi duchy
Chce porządkować świat, często go łamie
Bóg, tak jak ciebie, i myli go w drodze.
Tyś ją chciał zbawić — jak? — okropną zbrodnią?
A zbrodnia ta się nagle obróciła
Przeciwko właśnie téj drogiéj osobie,
Którą ty chciałeś zbawić. — Sam się dowiesz,
Że Ojciec święty, poruszony wdziękiem
Téj biédnéj panny — już umoczył pióro
I chciał podpisać już ułaskawienie:
Gdy oto nagle... druga w Rzymie zbrodnia,
Jakby świadcząca o strasznéj zarazie
Upadającéj na Rzymianów ducha,
Z rąk Papieżowi wytrąciła pióro —
A zaś tę drugą tyś popełnił zbrodnię. —

GIANI.

Ha! okropności! —

ANSELMO.

Boleścią się zrywa —
Co ja wyrzekłem!!...

GIANI.

Nic — tylko rzuciłeś
Do mego serca wianek gadzin. Starcze,
Onaby żyła, gdyby nie ja... Starcze,
O! tu mi serce boli — ha — tu, starcze!
Zrobiłeś ze mnie zabójcę i kata...
To jest rzecz... onaby żyła, bo papież
Chciał ułaskawić...

(tłucze szybę i szkło połyka).

ANSELMO.

Boże! szkłem się truje —
Matko Najświętsza! szkłem!...

GIANI.

Cicho! daj rękę!
Bo tam — w ciemności furye widzę ciemne.
Przyszły po ducha. — Precz! ohydne mary —
Krwią plwam na wasze węże — precz! precz, matki!
Widzisz — zniknęły. Patrz, ja na téj szybie
Najświętszą Pannę sam wymalowałem,
A teraz zbita — w tęczę blasków — o! tu —
Pod sercem tu już!...

(upada).

ANSELMO.

Ociężał i skonał...
Skonał — mój drogi syn — mój słodki chłopiec!
A ja z tém dzieckiem sam — w cichym klasztorze...
Dobra noc, Giani! — Niewdzięczni są ludzie
I to im powiem na ostatnim sądzie.
Ja go kochałem jak mojego syna:
Tyle nadziei moich... leży w grobie! —

NIEPOPRAWNI.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH.

OSOBY:

HRABIA RESPEKT, były marszałek powiatowy.
HRABINA RESPEKTOWA, jego żona.
DYANA, STELLA } ich córki.
HRABIA FANTAZY DAFNICKI.
RZECZNICKI, marszałek powiatowy, jego przyjaciel.
HRABINA IDALIA, rozwódka, sąsiadka Respektów.
KSIĄDZ LOGA, kapelan.
WOŁDEMAR HAWRYŁOWICZ, rodem Czerkies, stary major rosyjski.
JAN, zesłany na Sybir w sołdaty.
KAJETAN, kamerdyner hr. Respektów.
HELENKA, pokojowa Idalii.
KAŁMUK, sługa majora.

Rzecz dzieje się na Podolu, około r. 1841 — w trzech piérwszych aktach w domu hr. Respektów, w obu ostatnich — w majętności hr. Idalii.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

(W domu hr. Respektów).

FANTAZY *i* RZECZNICKI. *Później* HR. RESPEKT.

FANTAZY.

Widziałeś Wasan, jakie w przedpokoju
Hamadryjady, Laokonty, Psylle
W ojca Adama przenajświętszym stroju
Stoją, z lokajstwem w zgodzie? — A nie tyle
Lokajów, ile posągów! — a wszyscy
Postaci większéj, niźli chce natura:
Bo ci lokaje są sufitów bliscy
Głowami, a ich olbrzymia struktura
Herkulesowe przypomina członki.
Sądzę więc, że i panny tu znajdziemy
Jako Dryjady albo Amazonki,
Nadludzkie. — Ślepy więc będę lub niemy,
A ty, rozsądny, patrz za mnie i gadaj;
Co człowieczego znajdziesz pod boskością|
Kształtu, wydobądź, ojca wyspowiadaj
Z politycznego sumienia, z Jejmością
Wejdź w jak najbliższe stosunki, aż ci się
Przyzna, pod jakie jarzmo zegnie zięcia; —
Słowem: jak gdybyś zjechał na komisyą,
Gadaj, rób i patrz; a ja się w dziécięcia
Roli dam wszystkim, gdzie chcą, za nos wodzić.

RZECZNICKI.

Lecz ciebie znają.

FANTAZY.

Cóż? Że kilka listów,
Które w gorączce można było spłodzić,
Przepisać nawet przez płatnych kopistów,
Samemu nawet pisać nie umiejąc —
Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone, mdlejąc
I krzycząc: — ach! ten list na Kapitolu
Był napisany! a ten z Wezuwiusza
Leciał jak gołąb aż na Ukrainę!
Że wykrzykniki te: ach! co za dusza!
Ach! co za ogień!. . . . . .[1])
Brzmiały tu stokroć razy: — to ja, hrabia
Fantazyusz, głupim być już nie mam prawa?
A cóż to, powiédz, jest opinia babia?
Czy to szacunku godna rzecz? czy strawa,
Na któréj serce tyje? czy poduszka,
Na któréj głowa leży? — Mój Rzecznicki,
Ty mój swat, ty mój — raczéj moja drużka,
Bo się jak panna spłonię, w jezuicki
Talerz wlepiwszy me panieńskie wzroki...
Ty mnie zachwalaj, wynoś pod lazury,
Po nad Wezuwiusz, nad Alby, obłoki!
Mów, żem napisał poemat ponury
O cztérech wiatrach; złoć mię jak barana!
A mnie pozwól się troszeczkę zagapić
I z siebie lakier byroński szatana
Zrzucić...

RZECZNICKI.

Fantazy! możesz się poszkapić
I źle wyjść —

FANTAZY.

Jakto?

RZECZNICKI.

Piérwsze złe wrażenie
Trudno się ściéra...

[1]) Tu koniec karty w rękopisie wydarty. *(Przyp. Wyd.)*.

FANTAZY *(przerywając niecierpliwie)*.

Nie dbaj, nie dbaj o to!
Jeśli zakocham się, to się odmienię;
Jeśli nie... *(widząc wchodzącego* HR. RESPEKTA).
Hrabia Respekt...

HR. RESPEKT.

Jak to? co to?
Sami? nikogo na wasze przyjęcie?
Sami?... Przepraszam was zá moje baby.
Przynajmniéj tu was...

RZECZNICKI *(na stronie do Fantazego)*.

Nie chodź mi po pięcie!

HR. RESPEKT.

Przynajmniéj tu was moje główne sztaby
Przedpokojowe...

FANTAZY *(do Rzecznickiego)*.

Rekomendujże mię!

RZECZNICKI.

Hrabia Fantazy, mój przyjaciel.

HR. RESPEKT.

Miły
Będzie mi w domu gość: ziemia o ziemię
Nasze dwa dwory, a bogdajby były
Serce o serce nasze dwa stosunki!
Lecz gdzie to moja żona i figlarne
Córki? gdzież moje kobiéty? Korónki
Mówią, czy jakie gdzie romanse czarne
Gryzą po kątach i żółć w sobie płodzą?
(do lokaja).
Kajetan! gości zaanonsuj paniom!
Ha! otóż przecie i są — otóż wchodzą.

SCENA II.

(Wchodzą) HRABINA RESPEKTOWA, DYANA *i* STELLA.

HR. RESPEKT.

Hrabia Dafnicki —

HRABINA.

Pana opisaniom
Rzymu winniśmy bardzo mile chwile!
Znamy go dobrze: taki ogień w piórze

I tyle serca, entuzyazmu tyle!
Ach! listy Pana... to są na marmurze
Pisane lawą! czy prawda Dyjanno?
Te dwie fontany, co przed Watykanem
Jak duchy, tęczą opasane ranną —
Ten krzyż drewniany w Cyrku — ach! my z Panem
Dawno się znamy, dawno!

FANTAZY.

To być może,
Żeśmy się znali przed śmiercią...

HRABINA.

Słyszałam,
Że Pan jest mistyk — teraz się założę,
Że Pan jest mistyk. — Ach! jak ja się bałam,
Że Pana znajdę mistycznym.

HR. RESPEKT.

Maryanno,
Nie zaczynajże zaraz z gościem kłótni!
Proszę was za mną, proszę. Ty Dyjanno
Zagrasz nam; a was ostrzegam, że smutni
Ludzie są w mojém sercu podejrzani
O brak szczérości!

(Wychodzą wszyscy oprócz Hrabiny).

SCENA III.

HRABINA.

Kajetanie!

LOKAJ *(wchodzi)*.

LOKAJ.

Pani,
Co Pani każe?

HRABINA.

Każ zapędzić trzody
Na małą łąkę w ogrodzie! Niech stary
Anton zapuści swoję sieć do wody
I sam pod wierzbą siądzie obok pary
Chłopiąt plotących koszyki — jak w Tassie.
Opodal żeńców postawić gromadę
I niech śpiéwają! Anna niechaj pasie

Kozy na skałach... Ach! puścić kaskadę!
Pamiętaj, puścić kaskadę wieczorem,
Wprzód nim wstaniemy od stołu... Ach, jeszcze
Powiédz Dubynie, niech stanie za dworem
I pieśń Padury śpiéwa!

LOKAJ.

Ale deszcze
Popsuły rurę w kaskadzie — —

HRABINA.

Nowina!
No, to nie puszczać wody...

LOKAJ.

Ale, Pani...

HRABINA.

Ale! co ale?!

LOKAJ.

Ale dziś Dubyna
Pojechał kupić cukru i araku
Do Berdyczowa —

HRABINA.

No, to się bez dumy
Obejdzie; ale pomnij o rybaku —
Pomnij o trzodach i...

LOKAJ.

Summa do summy:
Rybak i trzody.

HRABINA.

I małe chłopięta,
Które koszyki plotą.

LOKAJ.

I koszyki.

HRABINA.

I żeńce!

LOKAJ.

Ale pszenica pożęta!

HRABINA.

Mój Kajetanie, rób, co chcesz. Ten dziki
Ogród angielski, to kłopot prawdziwy!

LOKAJ.

Zawsze w nim czegoś brak: to się altana
Załamie, burza krzyż umyślnie krzywy
Zwali — o mało co nie zabił Pana. *(odchodzi).*

HRABINA.

Ach, jaka, jaka z tym ogrodem biada!
Stelko!

SCENA IV.

STELLA *(za sceną).*

Co?

HRABINA.

Stelko, chodź tutaj!

STELLA *(wchodzi).*

Co mamo?

HRABINA.

Czy pan Fantazy już z Dyjanką gada?

STELLA.

Nie.

HRABINA.

Zostaw, Stelko, ją w salonie samą,
A ty idź dziadka odwiedź, potém biało
Ubierz się cała, i wiész — tam nad stawem,
Pod brzozą naszą płaczką — stań pod skałą
I wab łabędzie; bo my niezabawem
Wyjdziemy z gośćmi pod dąb Wernyhory
Pić kawę...

STELLA.

Dobrze, mamo; ale potém
Pozwolisz mi pójść z Hanką na nieszpory?

HRABINA.

Dobrze... Lecz cóż to widzę? Ach, pod płotem
Kibitka jakaś i konne Baszkiry! —
(Do wchodzącego LOKAJA).
Co to?

LOKAJ.

Oficer moskiewski, gwardzista.

HRABINA.

Proś! — ach! drżę cała... Nie wiész, czy kwatéry
Żąda?

LOKAJ.

Nic nie wiém.

HRABINA.

Proś!.. Matko przeczysta!
Jeśli to jaki feldjegier... drżę cała...
Idź, ostrzeż ojca, Stelko! *(Stella wybiega).*

SCENA V.

(*Wchodzi* MAJOR).

HRABINA.

Witam Pana...
Kogoż mam honor?...

MAJOR.

Pani nie poznała?

HRABINA.

Ach! Pan Wołdemar! Ach! cóż za kochana
Siurpryza! — Mężu! Steluniu! Dyjanko!
(*Wbiegają wołani, a z nimi* FANTAZY *i* RZECZNICKI).

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Patrzcie! nasz dawny znajomy!

HR. RESPEKT.

Ach Major! przyjąć-że go pełną szklanką!
Iluminować-że mój dach poziomy!
Cukrem wysypać srebrnym mój dziedziniec
I zamienić mu w Sybir! — Mój ty drogi! *(ściska go).*
Teraz-że widzisz: ot ja, Ukrainiec,
Już nie twój więzień! już tobie bez trwogi
Patrzę za mundur, czy zeń nie wyziéra
Jaki róg biały carskiego ukazu...
Panowie! w rękach tego oficera
Był mój los; a on — mówię, ani razu
Nie dał mi uczuć niewoli! i owszem —
Gdym z żoną, z dziećmi, w pobliżu Tobolska
Siedział, zasłany tam jakoby w zdrowszém
Dla mnie powietrzu, aby dżuma polska
Nie zaraziła méj skóry (bo wiécie,
Żem takiéj rządu pieczołowitości

O moje zdrowie, jako tu w powiecie
Piérwszy urzędnik, doznał): — on, litości
Pełny, widząc mię z córkami i z żoną
W małéj wioszczynie, w dziurawéj stodole,
Był nam pomocą wtenczas i obroną,
Tak, że nas wściekłe sybirskie Eole
Nie rozdmuchały.

MAJOR.

Szczęsny, żeście w zdrowiu.

HRABINA.

A jak się ma pop Osip?

MAJOR.

Pijany z duszą!

STELLA.

A moje gile czerwone?

MAJOR.

W pustkowiu
Swiszczą po drzewach i w róże się puszą,
Smutne, że nie ma Panny na Sybirze!

STELLA.

A oswojone szczygiełki?

MAJOR.

Jak w raju
U kaznaczeja...

DYANA.

A trzy polskie krzyże?

MAJOR.

Stoją.

HRABINA.

A Pani Potopof.

MAJOR.

Przy czaju —
W zielonéj sukni.

HRABINA.

I zawsze w zielonéj?

MAJOR.

I w kokoszniku —

STELLA.

Z którego ja chciałam
Zrobić gniazdeczko suczce oszczenionéj!

Ach, jak tam zimno być musi! zadrżałam
Myśląc, jak zimno tam Pani Potopof!
Dyjanko, a nasz?..

DYANA.

Kto nasz?

STELLA.

Kto? — nasz drogi,
Nasz biédny Pan Jan, co na czele chłopów
Z kosą wzięty był. On taki ubogi,
A taki dobry! aresztant — i taki
Piękny, jak Michał Anioł na obrazie.

MAJOR.

Ten wasz przyjaciel dał nam się we znaki:
Buntował nam lud — a dziś na Kaukazie
Bije się, w proste posłany sołdaty.

STELLA.

Patrzaj, Dyjanko!

HRABINA.

Dość, Steluniu! prowadź
Pana Majora do polskiéj herbaty,
Którą przyrzekłaś jego uczęstować
Za kwas sybirski.

(wychodzą wszyscy oprócz Fantazego i Rzecznickiego).

SCENA VI.

FANTAZY i RZECZNICKI, *przy końcu* STELLA.

FANTAZY.

O nas zapomnieli!

RZECZNICKI.

Gniewasz się?

FANTAZY.

O! nie.

RZECZNICKI.

Lecz trochę zazdrościsz.

FANTAZY.

Czego?

RZECZNICKI.

Dyjany spojrzeń i łez Stelli.

FANTAZY.

Jeszcze nie kocham.

RZECZNICKI.

Ale już się złościsz.

FANTAZY.

Wcale nie ! — Ale powiédz mi, Rzecznicki,
Kto to jest ów to pan Jan, wzięty z kosą?

RZECZNICKI.

Jakiś kosynier...

FANTAZY.

Jesteś jak delficki
Posąg: — wyrocznie twoje prosto niosą
W sam cel i w samo serce prawdy; ale
Radbym dowiedzieć się, jaki to smutny
Upior nad srebrne gdzieś sybirskie fale
Pierś pokazuje i łańcuch okrutny
Wstrząsa, i w panien tych ładnéj pamięci
Staje z ranioną piersią i z brylantem
Téj łzy, co mu się w oczach mglistych kręci,
Próżno roniona. Z takim aresztantem
Adonis nie mógłby walczyć o miłość
Szlachetnéj Polki!..

RZECZNICKI.

Przecudna tyrada:
Peryody długie...

FANTAZY.

Ta dawna zażyłość
Sybirska — chmura ta błękitno-blada
Szronu złotego, która go obwiewa —
Te pod nim jary, pełne wilczych kości —
Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...

RZECZNICKI.

I w czarności
Kominie białą napisane krédą
Imię Dyjany...

FANTAZY.

Przeklęty człowieku,
Któremu jeszcze dziś świątynie w Knido

Dostarczą wody kastalskiéj! O! ćwieku
Z byronowego krzyża! O! baranie,
O którym niegdyś w mistyczném widzeniu
Śnił Sanczo Pansa, w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło! O! ty, co w płomieniu
Wiekowym głupstwa jesteś Salamandrą
I w ogniu będąc, tyjesz, o Rzecznicki!

RZECZNICKI.

O nieszczęśliwy wieszczu!

FANTAZY.

O Kasandro
Przedkontraktowa!

RZECZNICKI.

O ty, potrzebnicki
Zdrowego sensu!

FANTAZY.

O ty, sekaturo!
Patrz — poszli wszyscy na ogród, a o nas
Ani kto wspomniał!

RZECZNICKI.

Bo ty jesteś pióro,
Które sonety pisze... et andronas
Scribit — i bawisz ludzi, gdy się nudzą,
A nudzisz, gdy się bawią.

FANTAZY.

To być może...

RZECZNICKI.

Abyś się widział sam, weź głowę cudzą
I włóż na swój kark.

FANTAZY.

A moję położę
Na twoim?

RZECZNICKI.

W karty przegraj twoję głowę,
Jeśli na stawkę szulery pozwolą
Stawić wiatr, a nie pieniądze gotowe.
Lecz pierwéj złap ją tak, jak wróbla — solą
Na ogon, bo ci z rąk samych wyleci!

FANTAZY.

Prawdę ty mówisz: same jakieś światła
Chodzą po mojéj głowie — jak u dzieci —
Zielone, jasne, czerwone — jak na tła
Złote rzucone przez Wenecyanina
Świętych postaci; różne jakieś tony,
Z których ton każdy mi coś przypomina
Smutnego, a ma niewytłómaczony
Urok dla ducha. W powietrzu mi dzwonią
Różne pamiątki miejsc; koło mnie chodzą,
Każda ze swoją twarzą, swoją wonią,
Zmieniona w Nimfę, w postać... Ach! jak szkodzą
Uczuciom myśli nadto rozwinięte!
Zda się, upiory piękniejsze, że smętne —
Zdaje się, kwiaty smętniejsze, że ścięte —
Zda się, że bóstwa — tak, krwią nie namiętne,
Ale grzejące słonecznością lica —
W wieńcach, w kameliach z gwiazd, których kolory
Niepewne jako półtęcze księżyca
Srebrzeją... Myśli me — już pół-upiory,
A jeszcze myśli...

RZECZNICKI.

Bądź zdrów, balagułо,
Który handlujesz końmi Apolina!

FANTAZY.

Stój!

RZECZNICKI.

A co?

FANTAZY.

Serce moje coś uczuło.

RZECZNICKI.

Fenomen!

FANTAZY.

Słuchaj: — ta w czerni dziewczyna,
Ta wybielona wiatrem na Sybirze
Dyjana, która czarnymi oczyma
Widzi tam jakieś mogiły i krzyże,
Słyszy tam jakieś łańcuchy, i trzyma
Ręce na piersiach, jak posąg słuchania
I bolu — słuchaj! — ta Dyjana dumna,

Co pod piorunem tu zatradowania,
Pod ruinami gmachu, jak kolumna
Ostatnia trzyma wysoko swe czoło —
Ta, która patrząc na matki aktorstwo
I na twarz ojca — zbladłą, a wesołą
Dla ludzi... czuje całe gladyatorstwo
Nędzy domowéj, ze światem walczącéj —
Ona, co na mnie jako narzeczona
Patrzeć tu musi, a w duszy gorącéj
Czuje, że będzie majątkiem kupiona,
A cierpliwością wypłacić się musi —
Ta panna — czuję, że to podłość we mnie!
Ale mnie jakiś szatan wnętrzny kusi
Popełnić taką podłość i nikczemnie
Kupić ją złotych polskich pół-milionem!

RZECZNICKI.

Rzecz ułożona.

FANTAZY

Tak — lecz jakim tonem
Mówić z nią?

RZECZNICKI.

Tonem kupca trzeciéj gildy.
(*Przychodzi* STELLA).

STELLA.

Mama przysyła mi zaprosić Panów
Pod dąb, na małą wysepkę Matyldy.

FANTAZY.

Z romansu Cottin...

STELLA.

Bo do trzech kurhanów
Pójdziemy potém na spacer.

FANTAZY.

Cudownie!
(*Fantazy i Rzecznicki wychodzą*).

SCENA VII.

STELLA (*sama*).

Smutni dziś wszyscy! Dyjanka — tak blada,
Jakby opłatek, wzdryga się gwałtownie

I drży jak w febrze i z nóg, zda się, pada;
Papa nie mówi anekdot, a mama —
Kiedy spojrzałam na nią: tom się zlękła!
Taka przy oczach szafirowa plama
I taka wielka łza w jéj oczach pękła
I taka twarz się wydaje stroskana!..
(*Wbiega do pokoju* JAN).
Ach! jakiś Baszkir! Baszkir! ach! w drzwi wpada!
Baszkir!.. Czego Pan chce! Ach! proszę Pana,
Ja jestem sama...

JAN.

Stelka mi nie rada?

STELLA.

Ach! Pan Jan?!

JAN.

Cyt! cyt!

STELLA.

Ach! Pan Jan przebrany?

JAN.

Moja Steluniu, cicho!.. Jak urosła!
Jaki z niéj kwiatek biały i różany!

STELLA.

Puść mię, ażebym Dyjance doniosła,
Że tutaj jesteś...

JAN.

Moja dobrodziéjko,
Mój aniołeczku, o tém ani słowa!
Pamiętaj, że mnie prosiłaś na mléko
I miód z pasieki twojéj, jak królowa
Rusałek, kwiatów podolskich caryna.
Bądźże mi teraz wierną i zaklętą,
Jak czar — bo dla mnie ta cała kraina
Musi być tylko snem i wizyą świętą,
Na którą muszę patrzeć tak jak we śnie —
Z uśmiechem, ale w milczeniu... O! biada
Tym, co stracili Ojczyznę!...

STELLA.

Boleśnie
Gadasz — i słyszę, jak za ciebie gada

Głuchy sybirski wiatr, co tak okropnie
Wył, w szyby bijąc brzęczące...

JAN.

Milutka!
Proszę cię — teraz postępuj roztropnie,
Widząc mię tutaj: jedna bowiem krótka
Radość mogłaby mnie i dom wasz cały
Strącić w nieszczęście...

STELLA.

Pan zawsze w niewoli?

JAN.

Zawsze —

STELLA.

I wraca znów na Sybir biały?

JAN.

Wracam.

STELLA.

I Pan mi mówić nie pozwoli,
Że Pan przyjechał?

JAN.

Zgubiłabyś obu,
Mnie i Majora!

STELLA.

Cóż mam robić?

JAN.

Oto
Ja, Stello, szukam jakiego sposobu,
Abym Dyjanie tę obrączkę złotą,
Zgubioną... dawno w śniegu, dziś wieczorem
Oddał. — O wschodzie słońca wyjeżdżamy!

STELLA.

Jakże to zrobić? — Ach! oto za dworem
Jest staw i łódka, którą my pływamy —
Niekiedy same nawet tylko panny —
Na drugą stronę do ładnéj pasieki.
Lasek należy cały do Dyjanny;
Lecz teraz, jak nam tutaj mnichy Greki
Wzięli kościółek i parafią, w dworku
Pasiecznym mieszka nasz ksiądz, ojciec Loga. —

Otóż w tym — jak dziś zwiemy go — klasztorku
Często z Dyjanką prosiłyśmy Boga
Za ciebie, biédny Panie Janie; często
Wieczorem, kiedy w łąkach derkacz krzyczy,
A staw nakryty mgłą srebrną i gęstą,
Pełny różowych smug, a głos słowiczy
Po czarnym lasku girlandami spada
Z dębów aż na staw, i za stawem jęczy:
Często Dyjanka księdzu Lodze gada
O tobie, o téj śnieżno złotéj tęczy,
Która świéciła, gdyście wy Cyganki
Na Sybirze się o wasz los pytali. —
Nie wiem, czy równie ty nas, dwie wygnanki,
Pamiętał? — Jak ty westchnąłeś! — Cóż daléj?..
Cóż ja mówiłam? Ha!.. więc do téj chaty,
Jeśli chcesz, siostrę moję zaprowadzę.

JAN.

Ale nic nie mów!

STELLA.

Nic...

JAN.

Ptaszku skrzydlaty!
Zawsze, jak widzę, masz rusałki władzę
Nad twoją siostrą.

STELLA.

O! zawsze mnie słucha!

JAN.

Więc dobrze: będę wieczorem w pasiece. *(wychodzi).*

STELLA.

Powiem Dyjance, że zobaczy ducha.
(żywo).
Ducha zobaczy! ach! zaraz polecę
I powiem Dyani, że ducha zobaczy.
(Chce wychodzić — wchodzi HRABINA IDALIA).

SCENA VIII.

STELLA i HRABINA IDALIA.

IDALIA.

Stelko!

STELLA.

Ach! Pani hrabina —

IDALIA.

Gdzie mama?

STELLA.

Niech Pani chwilę tu zaczekać raczy!
Pobiegnę, powiem...

IDALIA.

Stój! — ja pójdę sama?
Powiédz mi...

STELLA.

Pani jesteś cała drżąca.

IDALIA.

To nic... serce mi bije... jestem chora:
Z podróży jestem... z wielkiego gorąca...
Prędko jechałam pomimo doktora
Rad... mimo własne stokrotne zakazy.
(na stronie).
O nieszczęśliwa ja!... ach, i szalona! —
(głośno).
Czy są tu goście?

STELLA.

Jest hrabia Fantazy
Z panem Rzecznickim.

IDALIA.

Czy niepostrzeżona
Mogłabym, powiédz, podejść tam, gdzie oni
Są teraz wszyscy?

STELLA.

Wszyscy są nad wodą...

IDALIA.

Czy mię tam jakie ukrycie zasłoni?
Powiédz — czy jakie drzewa tam dowiodą
Aż do nich — blisko — abym niewidziana
Mogła dać jaki znak twéj mamie? Stello!
Patrzaj ty, jak drżą podemną kolana,
Jak moje oczy... *(na stronie)* Ach! piorunem strzelą
Na czoło tego zmiennika! sztyletem
Przebiją serce jego! —

STELLA.

Chodźmy, Pani!
Staniemy za drzew tych oto bukietem
W kłębach georgiń —

(Wychodzą).

SCENA IX.

(Pod dębem w ogrodzie).

HRABIA i HRABINA RESPEKTOWIE, DYANA, MAJOR, FANTAZY i RZECZNICKI.

DYANA *(nalewając w filiżanki).*

Pan Major herbaty?

MAJOR.

Dawno ja takie widział jasne kwiaty
I takie drzewa!

HRABINA.

Bez kultury rosną.

MAJOR.

Wasz kraj ogrodem zdaje się i wiosną
Temu, kto stoi w śniegach garnizonem.
Nie dziw, że tęskno wam do waszéj ziemi,
Że wy wzdychali do niéj pełném łonem.
Ja to czuł dobrze!

HRABINA *(do Fantazego będącego w zamyśleniu).*

Z uszkami złotymi
Ta filiżanka grotesque się należy
Panu Hrabiemu. Panie Hrabio, proszę —

RZECZNICKI.

Fantazy!

FANTAZY.

Niechaj piorun mię uderzy!
Chociaż amulet koralowy noszę
Od złego oka, słyszałem za sobą
Szelest... i znany krok... czyscowéj duszy!

HRABINA.

Ta dusza miłą być musi osobą,
Że tak w Hrabiego sercu wszystko głuszy
I tak daleko od nas odprowadza
Myśli... i w taką nieprzytomność wtrąca!

FANTAZY.

Przepraszam Panią — to mi nie przeszkadza
Być tu — jak światło bladego miesiąca
Nie szkodzi lampom.

HRABINA.

Więc Pan Hrabia z nami?

FANTAZY.

Duszą i ciałem, sercem i oczyma!

HRABINA.

I nie zostało nic teraz z duchami?

FANTAZY.

Ani włos jeden!

DYANA *(podając filiżankę nieprzytomnemu Fantazemu).*

Ale czy Pan trzyma?
Niechże Pan trzyma! Ach! Pan puszcza z ręki!
(filiżanka pada i tłucze się).

HRABINA.

To nic! Dyjanko, naléj Panu drugą!

FANTAZY.

Na Chrystusowe zaklinam się męki,
Że nie umyślnie! — Jestem Pani sługą
Najpokorniejszym — przepraszam Ją za to;
Ale w téj chwili... gdybyś była Pani
W oczy mi lała gorącą herbatą:
Byłbym nie poczuł. *(na stronie).* Sami tu szatani
Grają komedyą ze mną najsmutniejszą.

HRABINA.

Dyjanko, naléjże Panu Hrabiemu,
Ale herbatę daj mu jak najlżejszą,
Daj cień herbaty.

FANTAZY.

Cień jéj? a to czemu?

HRABINA.

Szanuję nerwy Pana...
(widać za plecami Fantazego stojącą śród zarośli Idalią).
Co ja widzę?

FANTAZY.

Co to jest? komuż ukłon ten, Hrabino? *(kłania głową).*

HRABINA.

Nic... Stelka widząc na jednéj łodydze
Kwiat rzadki — za tą w gwiazdach georginą —
Gestem pytała, czy zerwać pozwolę,
A jam jéj na to odkłoniła głową...
Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?

FANTAZY.

Pół roku —

HRABINA.

Któż tam z naszych?

FANTAZY.

Daję słowo,
Że oprócz kilku wielkich dziwolągów
Suchych, co jeden za drugim się wleką,
Powysychani nakształt wodociągów
I wydają się ruinom opieką,
Jak mech i chwasty: nie ma w całym Rzymie,
Kogobym wspomniał.

HRABINA.

Przecież dla nas sielan
Wszystko ciekawe.

FANTAZY.

Przy ruinach drzémie
Jeden katolik Polak — i szambelan
Cesarskiéj Mości, wielki filharmonik:
Rogaty złotą lirą Apolina,
Śpiéwa, ale tak, jak Egeryi ponik
Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa, młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą;
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczni gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzecby można,
Że swojéj szkolnéj zasady nie łamie. —

HRABINA.

Któż więcéj?

FANTAZY.

Jedna hrabina pobożna,
Któréj spadają loki aż na ramię,

A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo kanonik, albo Monsignore.

HRABINA.

Dewotka. — Jakież są więcéj kobiéty?

FANTAZY.

Najwięcéj blade są i bardzo chore,
Ruiny kobiét, resztki Karlisbadu,
Wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze.

HRABINA.

Zacytuj mi Pan jednę dla przykładu!

FANTAZY.

Ach! jest tam, chora do głębi na duszę,
Znajoma Pani — Hrabina Idalia,
Rodzaj Pani Staël — machina parowa
Pisząca listy...

HRABINA.

Czy ładna?

FANTAZY.

Jéj talia
Jest do połowy z mgły, druga połowa
Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — zresztą w oczach cała...

HRABINA.

Piękne ?

FANTAZY.

Dwie czarne plamy atramentu
Na prześcieradle białém...

HRABINA.

Taka biała?!

FANTAZY.

Jak prześcieradło.

HRABINA.

I takie ma oczy?

FANTAZY.

Jakby atrament.

HRABINA.

Widzę ją przed sobą!

FANTAZY.

Kto prześcieradło to sztyletem zbroczy:
Popełni — wielką poezyą... z osobą,
Którąby dała dziś dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną. —
Jéj trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem — takie biédnéj przeznaczenie —
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył, chciała mnie poznać: ja służę
Chętnie kobiétom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy. —
Przychodzę: — była zajęta ideją,
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze. —
Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!"
I powiedziałem mojéj Pani szczérze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świécącą, w oczu skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach,
Amiant prawdziwy! — Tu rzekłem, że widzę
Na jéj błękitno kruczanych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia. — Myślała, że szydzę,
Z początku; ale widząc, że ja na tém
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden — w jednéj czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,

Na jaką jestem samotność wskazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystéj druga
Z téj saméj pary i z tego numeru.

HRABINA.

Przepraszam Pana — Stelka na mnie mruga.
(Wychodzi ku IDALII *i odchodzi z nią razem).*

(RESPEKT *bierze* MAJORA *pod ramię i odchodzą w inną stronę ogrodu).*

RZECZNICKI (*na stronie do* FANTAZEGO).

Teraz, Fantazy, z drugiego krateru
Sypnij Dyjanie w oczy!

FANTAZY.

Idź do dyabła!...

RZECZNICKI (*do* DYANY).

Zapewne Mamie Pani co się stało —
Może tam w domu Stelunia zasłabła:
Pójdę zobaczę. (*do* FANTAZEGO) Przypuść szturm, a śmiało!
(odchodzi).

SCENA X.

(FANTAZY *i* DYANA *sami*).

DYANA.

Chce Pan herbaty?

FANTAZY.

Nie.

DYANA.

Chce Pan odwiedzić
Moję ptaszkarnię?

FANTAZY.

Nie — pozwól mi Pani
Przy samowarze tym, co zaczął cedzić
Ukrop — pozwól mi z Plutona otchłani
Wydobyć słowo, które na cmentarzu
Żywych jest, jako trupia głowa w kwiatach.

DYANA.

Pan mówi?

FANTAZY.

Prosto mówię — o maryażu.

DYANA.

Ha!

FANTAZY.

Czy mam klęknąć?

DYANA.

W tych namiętnych światach,
W których Pan żyjesz, klękanie nie w modzie.

FANTAZY.

Zaprawdę — trochę już się zestarzało.

DYANA.

Więc...

FANTAZY.

Więc, hrabianko?..

DYANA.

W słowach tych na spodzie
Jest oświadczenie...

FANTAZY.

Cukier...

DYANA.

To za śmiało,
Mój Panie Hrabio! Wcale po kupiecku
Zbliżyłeś się Pan po towar. Gdzież łokieć?
I gdzie są szalki? — Szlacheckiemu dziecku
Bóg dał — patrz, hrabio — nawet ten paznokieć
U palca, jako rubin gdzieś obmyty
Krwią przodków, a gdzieś wzięty na Wezyrze!
Me łzy — patrz, są jak perły Amfitryty,
Bom obrażona we łzach. — W tym szafirze
Oka mojego znajdziesz niby mętne
Łzami rodowych myśli zdrojowisko.
Wszystko, co mogło w spadku dziecko smętne
Wziąć po umarłych: całe serc ognisko,
Z szlachetnościami wszystkimi — i całą
Myśli ich piękność — ja mam po nich w spadku;
A ten mój posag ich — to moje ciało!
Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę, i o niéj nie mówiła wcale,

Traktując z tobą o siebie na funty: —
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze oczy te, co straszne bunty
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną. —
Jakto? — więc chciałeś, hrabio, nie klękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową, zrumienić jéj lice
I grubijaństwem cud otrzymać święty,
Że się łzami jéj napełnią źrenice
Lub z płótna tryśnie krew? — Więc żeś ty wzięty,
Żeś w okolicy sławny, że się ludzka
Miłość za tobą goni, żeś pomięty
Jak dziwna jaka perła kałakucka,
Tém droższa, ze ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako monstrum dziwne, drogie:
To już myślałeś, że ja się zapalę
Do tego dziwu, jak dziecko ubogie
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące
Na twéj koszuli?... Bo wyznasz mi, Hrabio,
Że Endymiona mirty i miesiące
Niepotrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków!...
Dobrze więc! oto odpowiem ci szczerze,
Tém szczerzéj, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie, a bierze
Twoje pieniądze. Przebacz, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
A jutro wszystkim chłopom biorą pługi
I w każdéj chacie stawiają żołnierza.
Więc jeśli chaty te jutro posłyszę,
Że krzyczą: Boże! a Bóg nie uderza
Piorunem; jeśli duch, co we mnie dysze,
Modlitwą o! téj wioski nie obroni;
Jeśli mnie chłopki okrążą i padną
Do nóg, jak gdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach, a ja męką żadną
Nie będę mogła wyratować ludu;

Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia
Chce siły, która, podobna do cudu,
Ten lud obroni: — to się do zamęścia
Z Panem... przychylę.

(wychodzi).

FANTAZY.

Co za duch! o Jezu!

RZECZNICKI *(wychodząc z za drzew).*

A cóż? — za drzewem stałem...

FANTAZY.

Wichry! burze!
Jestem szalony!

RZECZNICKI.

Napij się Xerezu.

FANTAZY.

Rzecznicki! w mojéj duchowéj naturze
Wielka się stała, ogromna przemiana!

RZECZNICKI.

Wiwat! — A cóż? rzecz czy do skutku doszła?
Czy panna w tobie szczerze zakochana?

FANTAZY.

Duchowi memu dała w pysk i poszła!

RZECZNICKI.

Wiwat!...

FANTAZY.

Lecz partya ta nierozegrana! *(wybiega).*

RZECZNICKI.

Poleciał; — dziwnie ten Fantazyusz żyje:
Z babami się jak na palasze bije.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Z jednéj strony widać domek księdza Logi, z drugiéj sztuczną grotę otwartą; środek sceny zajmuje ogród, pełny w głębi skał połamanych, mostków wiszących i kwiatów).

IDALIA *(sama).*

Nie! nie! Ja w domu tym, gdzie oni żyją,
Nie będę... tylko wytchnę sobie z drogi
I tu, gdzie różne powoje się wiją
Około sosen, w domku Księdza Logi
Pomieszkam. — Niech te źródła, gdzie Dyjanna
Widziała swą twarz, widzą me oblicze;
Niech widzą, że ja chociaż w serce ranna,
Bez trucizn jestem... Nie! — ja jéj nie życzę
Żadnéj tortury! Ja exaltowana,
Mówią: — dlatego właśnie przebaczyłam
I w osty moje kolące ubrana —
W osty, które ja łzami uiskrzyłam —
Podobna jestem... do jakiéj Rzymianki
Lub Florentynki, co poety słucha
I ma kolczate na warkoczach wianki,
Jak gdyby burza, powstająca z ducha,
Tłómaczyła się wieńca rozczochraniem
I kolcem liści zjeżonych na głowie. —
Poetą moim jest przeszłość: śpiéwaniem
Mego poety, jestem tu w połowie
Smutna i razem na poły radosna
Jestem, że mnie ta pieśń nad nich podnosi. —
Widzę, że trzeba mi będzie wziąć krosna,
Jak dawnéj Polce; i ten duch, co prosi
O piękność, a chciał niegdyś miesiąc złoty
Uczynić swoim zwykłym domownikiem —
Trzeba go, widzę, pięknością prostoty
Upoić; i mieć nad moim stolikiem

Zamiast miesiąca — twarz prababki białą,
Groźną — świętości lampę, twarz umarłą...
Tak, tak! — wrzeciono będzie mi burczało
I tańcząc złote me dywany darło,
A ja pomyślę patrząc: tak się kręci
Świat — tak tańcuje każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnéj pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch, a mnie nie zna!...
Zaprawdę, że tak będę drwić ze świata,
Przędąc jedwabie —

SCENA II.

STELLA *i* JAN *wchodzą z przeciwnych stron, nie widząc Idalii).*

JAN.

Stelleczko lubieżna!
A cóż?...

IDALIA.

Ktoś idzie! — skryjmy się do groty.
(wchodzi do groty).

STELLA.

Niech Pan Jan do mnie po rusku nie gada.

JAN.

Słuchaj — to język jest mojéj tęsknoty,
Język, który mi z piersi tak wypada,
Jak pies, i wyje — wyje, jak przy trumnie,
A czasem w ustach jak karabin szczęknie...

STELLA.

Dobrze — lecz Pan tu na gościnie u mnie,
W mojéj pasiece; a więc to niepięknie
W mojém królestwie i przy moim piesku,
Który jest moim ministrem policyi,
Niepięknie, że Pan mówi po moskiewsku.

JAN.

Dowcipny ptaszku!

STELLA.

Pies mój ciebie chwyci
Za piętę, jak cię poczuje Moskalem,
Bo nauczony tak — wziął edukacyą...

JAN.

Gdzież jest Dyjana?

STELLA.

Z bardzo wielkim żalem
Nie mogła tu przyjść.

JAN.

Ha!

STELLA.

Humla waryacyą
Na fortepianie gra...

JAN.

I tu nie przyjdzie?

STELLA.

Nie wiem; jak skończy, to może spacerem...
Bo wiesz, że ona jutro za mąż idzie.

JAN.

Jutro?!...

STELLA.

Cóż ci to?

JAN.

Prawda! — to jest zerem
W moim rachunku... Jutro więc — drżę cały —
Dyjana za mąż idzie... a za kogo?

STELLA.

Ach! jak szczęknęły dziwnie twoje strzały
W kołczanie! — Słuchaj — teraz z wielką trwogą
Patrzę na ciebie — teraz ty zupełny
Baszkir — ach czarny teraz Baszkir z ciebie!
Czemu ty patrzysz tak na księżyc pełny?

JAN.

To nic, Steluniu; szukałem na niebie
Tych gwiazd — tych siedmiu gwiazd, związanych razem,
Które ty niegdyś, astronomka złota,
Pokazałaś mi nad strasznym obrazem

Zmrożonéj nędzy, zgasłego żywota,
Śnieżnego piekła. — Tutaj być powinny,
W téj stronie niebios — te skrzypce z gwiazd — skrzypce,
Po których ty jak aniołek niewinny
Wodziłaś smyczkiem. Twéj pasieki lipce
Nie są tak słodkie, jako ta muzyka,
Która na gwiazdach po tobie została;
I kiedym siadał pośród mogilnika,
To na Sybirze mi tam grała — grała —
Grała — jak wasz głos, panny... *(na stronie)* Czy w łeb strzelę
Sobie? Czy pójdę po żołniersku spić się? —

STELLA.

Skrzypeczka ta z gwiazd?..

JAN.

Na siostry wesele
Sprowadź ją z nieba!

STELLA.

Więc ty musisz kryć się?
Więc ty nie przyjdziesz jutro do kościoła?
Więc ty...

JAN.

O! biédny! biédny! biédny! biédny,
Który ojczyznę straci!

STELLA.

Nie kryj czoła!
My z Dyanią pacierz kończyły powszedny
Twojém imieniem; ty byłeś tu z nami
Każdéj niedzieli i każdego piątku;
Dyanka twoimi gadała słowami,
Na chrzcinach chłopskich każdemu dzieciątku
Dawała imię Jan... Dyanka dzisiaj szlocha,
Dyanka dziś blada, Dyanka dzisiaj chora:
O! ty wiész, ty wiész, że cię Dyanka kocha!

JAN.

Ha!

STELLA.

Ale mama z papą przyszli wczora,
Na łóżku siedli, mnie kazali iść precz,
Zamknęli na klucz drzwi — i coś tam siostrze

Gadali. Ona krzyczała: To miecz!
Trucizny dajcie! Sama nóż wyostrzę
I sobie gardło poderznę po ślubie! —
A mama z papą do niéj: Jesteś głupia!
Gadasz, jak gdybyś żyła w jakiéj grubie
Albo w romansach! — A tu nędza trupia!
A tu rodziny naszéj honor trzeba
Ratować! — A ty, głupia fircynelo,
Myślisz co? — z torbą po kawałek chleba
Naprzód, a starych nas dwoje ze Stellą
Za tobą, grać po kawiarniach w Kijowie
Na starych harfach? — Tu zaczęła mama
Mdleć — i mój papa załamał na głowie
Ręce — i nie wiem, co... Ale ja sama
Pod drzwiami płakać zaczęłam i ryczeć,
Aż po mnie biédna Dyjanka wybiegła,
Wzięła na ręce i zaczęła krzyczeć:
— Wezmę krzyż! wezmę krzyż! — i prześcieradła
Wlokąc, na ręku mię w ogród wyniosła,
Jak obłąkana krzycząc: — Wezmę krzyża,
Bo widzę, żem tu w domu na to rosła!

JAN.

To tak?.. Więc niechaj do mnie się nie zbliża
Ta męczennica! — Stelko, daj mi rączkę —
Proszę cię... teraz... na wszystko zaklinam,
Weź... oto widzisz tę złotą obrączkę!
Czekaj — bo jeszcze czegoś zapominam —
Weź... i ten suchy pierwiosnek, urwany
W dalekiéj ziemi łez, do któréj wrócę
Kończyć mój straszny czas... dźwigać kajdany.
Cóż mi więc z tego, że tu w piersi rzucę
Więcéj boleści i otworzę rany,
Zamiast... o! Stelko, dokończ tych wyrazów!...
I te — oto masz — drogie dla mnie dary
Schowaj!.. I kiedyś, późniéj — gdy z obrazów
Przeszłości żołdak, wasz przyjaciel stary,
Na umilenie jakiego wieczora
Wtrąci się nagle do waszéj rozmowy;
Gdy ten dom czarny z postacią upiora.

Cały sybirską zorzą purpurowy,
W oczach wam stanie; gdy to wszystko dawno,
Co kiedyś serca nam biédne dręczyło,
Stanie się marą: — ty wtenczas te jawne
Ślady przeszłości — z twarzą taką miłą,
Jak anioł, który w niebie przypomina
Boleści nasze, już dawno przebyte —
Rzucisz przed siostrą twoją do komina
I w skrach pokażesz — czarne — łez już syte
I obrócone w popiół...

STELLA.

Więc już z tobą — —

JAN.

Więcéj już ze mną nic...

STELLA.

Lecz cię zobaczę?

JAN.

W tym domu żadną nie jestem osobą,
Ale mundurem! Mniéj niż człowiek znaczę,
A więcéj żądałbym, niż król niebieski!
Więc wolę nie mieć nic — niż mieć pod miarą.
Nawet już, Stelko, te perłowe łezki,
Które ty, co mi serduszkiem i wiarą
Dotrwałaś, sączysz odwrócona bokiem —
Że są litością, to mi są obrazą! —
Idź, Stelko — ja tu sobie nad potokiem
Legnę i strzałek mych będę żelazo
Ostrzył, bo w biédzie przywykłem do pracy —
Jest mi kochanką! — mam także piosenki,
Które śpiéwamy sobie my żołdacy,
A w których jest — brud śmiechu i są jęki...
Bądź zdrowa! —

(Stella odchodzi).

SCENA III.

JAN, IDALIA.

IDALIA.

Poszła!... O! cudowna scena!

JAN (*kładzie się i śpiéwa, Idalia słucha, postępując zwolna i cicho naprzód).*

Hej! hej! — Kaukaz nasz!
Hej! hej! — kopalnia cyn!
Hej! matka gorzałka!
Hej! kochanka mi pałka!
Hej ojczyzny ja syn!
Kto idiot? — Swoj! — Ty mój? ja nie wasz! —
— Dobrze ta straszna pieśń tu z echem wyje. —
Jeszcze raz niechaj mi jaka Kamena
Da głos i schwyci mię razem za szyję,
Abym zacharkał i wył jak hyjena. —
Hej! hej! trzymaj straż!
Hej! hej! zabębnił grzmot!
Hej! hej! siostra gorzałka!
A śmierć generałka!
Hej na konia, taj wlot!
Kto idiot? — Swoj! — Ty mój? ja nie wasz!
Jaka cudowna pieśń! — szczekają skały,
Jakby stu wilków otworzyło paszcze
I razem z głosem czarną krwią rzygały.
Po Pieśni jęczy powietrze i klaszcze,
Jak czarownica...

IDALIA *(niepostrzeżona przez Jana).*

A on u strumienia
Niby cudowny rycerz z Ariosta:
Głowę mu srebrny kołczan opromienia,
I zda się, ciepłe to powietrze chłosta
Energią głosu. Sylaby ostatnie
Jeszcze grzmią. — Ach! to jedna z dusz ranionych,
Jedna z dusz, które są mi dawno bratnie...
Znam go — ach! i tych wyłogów czerwonych
Dotknę się — nie tak, jak ten świat francuski,
Ale się dotknę, jak relikwii świętych...
(podchodzi ku niemu).

JAN.

Kto takoj?

IDALIA.

Polka!

JAN.

Nu tak szto?! ja Ruskij!

IDALIA.

Czy wielu takich jest na Sybir wziętych,
Jak ty? — Przebacz mi, że cię prosto t y k a m,
A nie obrzucam cię światowym „Panem“.
Wtém „ty“ ja wiele — ja wiele zamykam!
I więcéj daję ci nad ludzi stanem
Wyższości, niż świat da Jaśnie Wielmożnym.

JAN.

Nu — ja nie znaju szto!... ja z moim Chanem
Z majorem... tak my tu za podorożném
Zjechali pocztą.

IDALIA.

Biédny ty, człowieku,
Że się wystrzegać musisz własnéj mowy!
I ciągle być za serce — na tym ćwieku
Twojego krzyża! Jam mniejszéj połowy
Historyi twojéj wysłuchała, w grocie
Ukrytą będąc: — domyślam się reszty.

JAN.

Jeśli tak, powiem Pani, że w istocie
Śpiéwałem z bolu i z męki.

IDALIA.

A wiesz ty,
Że ja słuchając przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że téj boleści pół biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bolem gore,
Także ranione. — Nie pytaj o więcéj,
Ale wiédz, że tu jedne mamy cele:
Ty ustępujesz — bo kochasz goręcéj,
Boś jest męszczyzną, bo masz mocy wiele
I szlachetność ci męska nie pozwala
Za prawo serca przeciw prawom ziemi
Bunt podnieść. Lecz ja — ja — mnie tu krwi fala
Na brzeg rzuciła, żaglami złotymi
Płynącą; tu ja próchnieję — ja, dawniéj
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,

Ja, rozgłoszona już miłością sławniéj,
Niźli niejedna Neapolitanka
Sztyletem romans kończąca — a przecie
Tak porzucona, jak Basia lub Rózia,
W któréj się cała palestra w powiecie
Kocha i wierszem dzwoni, że jéj buzia
Jest pełna cukru!... Horor! mówię tobie:
Bo że ojczyzna ta mrze, to się zdaje,
Że wszystkie kwiaty więdną na tym grobie
I wszystko państwo ginie — a lokaje
W panów ubrawszy się, wiodą romanse,
Serca zdobyte czepiąc u zegarka;
Potém poezye piszą i bilanse
Handlowe... Taka wielka gospodarka
W głowie tych ludzi teraz, że na wszystko
Jest czas i miejsce: to też wszystko blade;
Każdy jest panem, paniczem i chłystką,
Każdy od kuchty swego bierze radę,
A gdy co czyni, to siebie się pyta,
Czy kamerdyner się tam gdzie na boku
Nie śmieje. — Słuchaj! ja jestem kobiéta:
To co mam w sercu, to widzisz i w oku —
Wzgardę, ogromną wzgardę, błyskawicę!
Otóż tą wzgardą... z tą wzgardą, o Boże!
Z tą wzgardą ja tu wpadłam w nawałnicę
Nieszczęścia — i coś rzucam w mgłę — coś tworzę —
Coś — sama nie wiem; ale jestem pewna,
Że przyjdzie jaki wypadek, zdarzenie,
Które tonącéj mi jak kawał drewna
Pomoże. A nie? — ha! to mam schronienie
Nie między ludźmi!...

JAN.

Darujesz mi Pani,
Lecz jeśli tutaj jest jaka kobiéca
Zemsta...

IDALIA *(z śmiechem szydersko-bolesnym).*

To ona się nie ukołczani! —
Co? — to ty, rycerz, nie spadniesz z księżyca
Na Ariostowym koniu, i kochanki
Jak sokół sobie nie weźmiesz z dziedzińca?

To za mnie bić się ty nie pójdziesz w szranki?
Cha! cha! cha! — ludzie myślą, że prócz sińca
Nic ofiarować nie można kobiécie!
Jeżeli nie dasz ręki — daj modlitwę,
Daj serce, sercem mi pomagaj skrycie!
Myśl twoję zawieś tak jako rybitwę
Nademną — sercem bijącą, krzykliwą!
Niechaj mię broni, niech wiem, że nademną
Jest kto mój — z parą skrzydeł sprawiedliwą,
Z szalą, która tu przez rękę nikczemną
Pofałszowaną nie była. I więcéj,
Więcéj żądałabym jeszcze od ciebie —
Ale to ledwo za kilka tysięcy
Lat człowiek będzie mógł dać zaraz z siebie
Na piérwszą prośbę, anielską a szczérą...

JAN.

Cóż to za taka prośba?

IDALIA.

O pokorę...

JAN.

A! to jest dla mnie, Pani, wielkie zero!
Ja, który teraz z kazny co rok biorę
Na żołd pół rubla, a resztę u chłopa
Muszę wyżebrać, mam pokory tyle...

IDALIA.

Nie masz jéj dosyć!

JAN.

Patrzaj: moja stopa
Wygląda z bóta...

IDALIA.

Słuchaj: ja się schylę
I pocałuję tę krzyczącą ranę
Twojego bóta — jeśli mi dasz słowo...

JAN.

Że...?

IDALIA.

Słuchaj! — wioski te są zrujnowane,
Połową jedną szlachcie, a połową

Skarbowi dłużne; — słuchaj! ślub Dyanny
Jest oto takiém bóta załataniem.

JAN.

A więc jest święty!

IDALIA.

Towar z niéj nie tanny
Zrobiono długiém bardzo targowaniem!
Na pół miliona zbito panny cenę
I teraz idzie z domu w pół-milionie!

JAN.

Niedrogo!

IDALIA.

Prosto idź na targu scenę
I mów, że siostra ci jedna po zgonie
Na zagranicznym banku zostawiła
Tyle, ile ci ludzie chcą za córkę...
Ja jestem twoją siostrą!

JAN.

Pani miła!
To przypomina mi „Z g o r k i n a g o r k ę“,
Piosenkę ruską...

IDALIA.

Oko moje śledzi
Twe czoło — i twarz zda się nieczłowiecza.

JAN.

Nie, nie! — Coś w sercu tu polskiego siedzi,
Coś w sercu siedzi tutaj i zaprzecza
Takiego czynu — jakieś straszne „veto“,
Przeciw któremu nic — świat cały! — Nawet
Gdybyś nie była, o Pani, kobiétą:
Czuję, że musiałbym zaraz wet-za-wet
Na twoję złotą kulę odpowiedzieć
Ciężką, żebracką kulą — ołowianą...
Co to los! — Można nad strumieniem siedzieć
I kwiatów wonią oddychać różaną
I mieć w boleści ulgę od natury,
Co wszystkie, zda się, części zna bolące
I wie, gdzie dotknąć kości, a gdzie skóry.
Lecz człowiek, choćby wyższy nad tysiące

Ludzi, choć z chęcią najlepszą się zbliży,
Choć, jak ty, Pani, od róż weźmie woni
W słowach: — to zaraz czémś albo poniży
Albo łzę taką nad człekiem uroni,
Że ona jemu pali na wskróś czoło
I czerni wstydem.

IDALIA.

Ha! widzisz, jak trudno
Wejść w czarodziejskie tych aniołów kolo,
Dla których taki czyn nie byłby trudną
Pokorą brata...

JAN.

Na Boga! na Boga!
Opuść mię, Pani — to jest dar szalonéj!...

IDALIA.

Bo ja szaloną jestem; bo złowroga
Gwiazda świéciła wcześnie urodzonéj
Pomiędzy ludźmi, którzy jeszcze rosną,
Nie śmiejąc kroku zstąpić z bitéj drogi.
Tak! — twa szlachetność jest cudowną wiosną
Dojrzalszych twych lat: każdy dziś ubogi —
Nie lokaj, ani piszczyk, wierz mi, Panie —
Tak jak ty, rzuciłby mi złotem w oczy!.....
Nie idzie za tém, by to odrzucanie
Było boskością: ono tak się toczy
Po bitéj drodze ludzkiego zwyczaju,
Jak stara Państwa Rzecznickich kareta...

JAN.

Tego już, Pani, ja nie panimaju
I śmiech mnie bierze —

IDALIA.

Śmiech? że ja, kobiéta,
Moim majątkiem rzucam tak jak błotem,
A sama choćbym poszła za klucznicę?...

JAN.

Kto Pani jesteś?!

IDALIA.

Jestem tu przelotem
Przelatujący anioł: błyskawicę

Rzuciłam w oczy tobie — i znikniona
Jestem dla oczu twych, jak błysk na niebie...

JAN.

Stój!...

IDALIA.

Nie idź za mną!... *(odchodzi).*

JAN.

To jakaś szalona!
Ale oddałaby, widzę, w potrzebie
Duszę — choć dyablu! Co do mnie, to może
Złoto więc rzucić swoje — i do stawu,
Bo mnie jak więźnia karmią ręce boże...
Jednak — ja nie wiem — ona mi wszczepiła
W to serce jakiś gniéw na tego człeka,
Który tu... który, jak pieniężna siła,
Jak wódz od swych wojsk dukatowych czeka
Zwycięstwa, a sam spokojnie i cicho —
Nie wytężywszy żadnéj serca władzy —
Weźmie ją... Pójdę — bo jakieś mi licho
Ubrązowane, jak ja, trochą sadzy,
Wściekłe, jak Baszkir gdzieś odźwierciedlony —
Pokazuje swe zęby zgrzytające.
O! co bym nie dał za plac rozmierzony
W dziesiątek kroków, a w ręku gorące
Dwa pistolety! — O! gdyby nie słowo,
Które odemnie Major wziął, że będę
Jako baranek i nic własną głową
Nie przedsięwezmę, ale na komendę
Jako machina będę się obracał
I wszystko czynił, co mi on rozkaże: —
O! jakżebym dziś te lalki wywracał
I tym światowym ludziom zajrzał w twarze
Spokojnie — ale marmurowo, krwawo,
Jak niegdyś w gardło harmat pod Warszawą...
(siada i czyści broń).

SCENA IV.

(Wchodzi KSIĄDZ LOGA*).*

KSIĄDZ LOGA.

Pobiegła... Męka to jakaś okrutna,
Która tę panią tak po lasach goni!
Chciałem przyjść z radą — a ona fiut! za dom
I poleciała nad staw jak cyranka.
A byłbym tu dał miejsce kilku radom
Dobrym, pokazał jéj śmierć i kochanka
W świétle właściwém... Czego chce odemnie
Ten ruski żołdak?

JAN.

Pomówić z Wacpanem.

KSIĄDZ LOGA.

Polak?

JAN.

Tak, Polak.

KSIĄDZ LOGA.

I Wacpan nikczemnie —
Po polsku czysto mówiący, więc stanem
Zapewne nie chłop rekrutowy, ale
Szlachcic — w moskiewskiéj służbie, z dobréj woli?...
Czego Wacpan chcesz?

JAN.

W tym w twoim zapale
Czuć, że na twojéj, mój staruszku, roli
Nie rośnie zdrada. Więc się tobie zwierzę
Pod tajemnicą jakoby spowiedzi,
Żem szlachcic, w proste posłany żołnierze
Za rewolucyą; że tu we mnie siedzi
Polska; że tutaj przybyłem sekretnie,
Abym się pozbył jednego ciężaru,
Który przez czasy mię dziesięcioletnie
Dręczył i nakształt straszliwego czaru
Myśl moję ciągle wypijał z płomienia,
Serce mi z ognia mojego wyniszczał...
Proszę cię, księże, byś z tego pierścienia...

(zdejmuje pierścień z palca i daje go Ks. Lodze).

KSIĄDZ LOGA *(opatrując).*

Złoty pierścionek —

JAN.

Który mi tak błyszczał,
Jak gwiazda niegdyś świécąca na kucyą
W domu rodzinnym...

KSIĄDZ LOGA.

Cóż z pierścionka tego...?

JAN.

Proszę, ażebyś zrobił restytucyą,
Bo go ukradłem.

KSIĄDZ LOGA.

Nie!

JAN.

Na Boga mego!
Bo go ukradłem...

KSIĄDZ LOGA.

Z męką ty straszliwą
Mówisz! — a ja ci mówię, ojciec stary:
Przedemną oto nie przysięgaj krzywo,
Bo ja ten pierścień znam, bom go u fary
Dawniéj poświęcił.

JAN.

Więc wiész, że jest wzięty?
Że dziś do niego nie mam, Ojcze, prawa?

KSIĄDZ LOGA.

Dobrze: wypełniasz obowiązek święty.
Niechaj ci, synu mój, wiara i sława
I patria będą pomyślne i dadzą
Swoje trzy wieńce, wieńce te zwyczajne,
Które na grobie wielkich ludzi sadzą
Te trzy kochanki. Bo ci to nie tajne,
Że ludzie wprzód do trumny odprowadzą —
Potém kochają. Cierp więc podług stanu,
A znoś cierpienia podług wielkiéj duszy;
A ja pamiętać będę o Wacpanu
W moich pacierzach...

JAN.

I perłami pruszy
Ze źrenic, jak król jaki ze skarbnicy...
Bądź zdrów, staruszku! — Dobrzy w Polsce ludzie!
(odchodzi).

KSIĄDZ LOGA.

Otóż sumienie téj młodéj dziewicy,
Która zrobiła ślub w sybirskiéj budzie,
Wolne jest. — Pójdę i pierścionek zwrócę.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(Salon, jak w Akcie piérwszym).

FANTAZY i RZECZNICKI.

FANTAZY.

Rzecznicki! Dasia tu jest, albo była.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Czułem ją po zapachu.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Mówię ci, że się już nademną mściła
Przez tego czarta golijata, draba,
Baszkira: — już jéj wenecki sztylecik
Uczułem — i wiatr z jéj ust pełny szpilek
Już mię obleciał — już miałem pasztecik
Z jéj kuchni — już, już ten zemsty motylek
Zrzucił poczwarkę swoję i tu lata,
Zrobiwszy traktat z ludźmi na mą zgubę.

RZECZNICKI.

Mści się nad tobą?

FANTAZY.

Tak jako harmata,
Nabita puszką ćwieków.

RZECZNICKI.

Daj mi próbę,
Bo nie uwierzę.

FANTAZY.

Ten Baszkir najęty,
Ten Baszkir połknąć mię chce jak Jonasza.
Dziś właśnie, kiedy ranne dyjamenty
Stały na kwiatach...

RZECZNICKI.

Słuchaj: niech ta kasza
Z gwiazd, z dyjamentów, z kwiatów...

FANTAZY.

Jesteś gapem!
Otóż ci powiem prosto: dziś stoimy
Na ganku — Baszkir z ogromnym harapem,
W futrach, jak bożek gdzieś sybirskiéj zimy,
Ujeżdża konie — panny z ganku patrzą,
Starosta swoje anegdoty plecie...

RZECZNICKI.

Ty stoisz z twarzą od księżyca bladszą,
Jak Manfred...

FANTAZY.

A ty, mój swat, przy bukiecie
Jak Gawel...

RZECZNICKI.

No! kończ! —

FANTAZY.

Wtém Baszkir niecnota
Naprzód mi konia prawie na pierś wsadza
Ogonem — zmykać przymusza, od błota
Spędza jak wróbla, pałaszem zawadza
O moje złote na piersiach binokle
I ciągnie —

RZECZNICKI.

No! to wszystko jest przypadek.
Takie zdarzenia mieli Temistokle
Na olimpijskich grach. — Ustępuj z kładek,

Kiedy przez błoto konie idą kłusa.
Baszkir nie winien nic.

FANTAZY.

Ale mi potém
Bestya mojego zabił Spartakusa!

RZECZNICKI.

Jak to?

FANTAZY

Kiedy mnie już obrzucił błotem,
Dyabeł podszepnął jakiś pannie Stelli,
Że do Majora przybiegła i prosi:
„Niechaj, Majorze, Baszkir z łuku strzeli!“
Ojciec tę prośbę natychmiast podnosi,
Prawi uczoną wielką dysertacyą
O sławném z łuku strzelaniu Baszkirów,
Dowodząc, że zna strzał przez elewacyą.
Schodzą się panny, do niebios szafirów
Odprowadzają tę strzałę oczyma;
Ja sam aż w gwiazdy okiem idę za nią,
Widzę, jak srebrna się na niebie trzyma,
Maleńka — komar pod niebieską banią —
Potém przechyla — skręca — w ziemię mierzy
Główeczką srebrną, daje świdra, młyńca —
Spadła: patrzże, gdzie? — Mój Spartakus leży,
Mój wyżeł leży na środku dziedzińca,
Drgając łapami! — Czy tybyś uwierzył
Albo spodziewał się? — W niebiosa godził,
A szelma w mego Spartaka wymierzył!

RZECZNICKI.

Rzecz prosta: Spartak po dziedzińcu chodził —
To los...

FANTAZY.

Lecz psów tam — —

RZECZNICKI *(przerywa)*.

Więc Baszkir miał racyą,
Że najpiękniejszy wybrał cel. — Fantazy,
Strzelając, widzisz, tak przez elewacyą,
Trzeba mieć piękność celem...

FANTAZY.

Po sto razy
Mówię ci, że w tém czuć rękę Idasi.

RZECZNICKI.

Strzeliła z łuku?

FANTAZY.

No! zgryzłem to w sobie.
Wtém Stelka, co się do każdego łasi,
A coś z dyabelka ma w swojéj osobie,
Pyta Baszkira, jak się to przez barki
Ów kołczan wkłada? czy ciężki? czy z blachy?

RZECZNICKI.

No? i ten Baszkir...?

FANTAZY.

Syn jakiéjś Tatarki!
Zdjął kołczan i mnie — co jemu pod pachy
Byłem, a właśnie wylazłem był z kąta
I stałem przy nim z maleńką dziewczynką —
Przez głowę rzucił nagle jak chomąta
Ten kołczan, pasy te żółtawą glinką
Pomalowane: i nagle przed okiem
Panien zniknąłem, jakby syn Latony,
Okryty białéj kurzawy obłokiem —

RZECZNICKI.

I obryzgany i ochomącony
Jak koń —

FANTAZY.

I straszny wstał na ganku klamor,
A gdy opadł kurz, tom się przy łajdaku
Baszkirze — —

RZECZNICKI.

Pannom pokazał, jak Amor
W kusym tużurku, w sążnistym sajdaku
I ożółcony pasem ładownicy!
A ba!

FANTAZY.

Idalka więc w zmowie z tym chłopem!
Przysięgnę, że gdzieś stała w okolicy
Na wieży lub na dębie z teleskopem.

RZECZNICKI.

A ba!

FANTAZY.

Ty zawsze a! ba!

SCENA II.

(*wchodzi* HRABIA RESPEKT).

HR. RESPEKT.

Cóż, Panowie?!
Major nadzwyczaj smutny z tych wypadków —
Z żołdakiem się tym obejdzie surowie.
Kochałeś może tego psa? bez świadków
Może i parę łez nad nim zroniłeś?
Niech cię pocieszy to, że moja żona,
Któréj ty dawno głowę zawróciłeś
Twymi listami, już jest zatrudniona
Obraniem miejsca pięknego w ogrodzie
Na grób dla twego psa i monumenta.
Gdybyście byli z moją córką w zgodzie
Lepszéj: to możeby jakie mementa
Znalazła w książce angielskiéj i napis
Godny. — Lecz z moją córką coś ty, Hrabio — —
Chciałbym was widzieć jak lazuli-lapis
Błękitnych! chciałbym tu, pod czwartą schabią
Zobaczyć, czy ty masz serce?... Masz serce —
Ale zobaczyć chciałbym, czy się wreszcie...?
Wiesz, Hrabio, ojcem jestem... a kobierce
Nagotowane...

FANTAZY.

A my tu po kweście
Waszych serc...

HR. RESPEKT.

Niechże pan Fantazy gada,
Jeżeli można, bez żadnych floresów
Choć chwilę!

FANTAZY *(na Rzecznickiego wskazując).*

Ten Pan mój podpis posiada.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! nie lubisz, widzę, interesów —
Dobrze — idź, same róże zrywaj, a my

Weźmiemy ciebie w siatkę — weźmiem w siatkę
I myśli twoje ładne pochwytamy
W piękne więzienie. — Masz ojca i matkę:
We mnie masz ojca, matkę — w mojéj żonie;
(do Rzecznickiego).
A my, jak ludzie ziemi, chodźmy pisać.
(wychodzi z Rzecznickim).

FANTAZY.

Czoło mi jeszcze całe wstydem płonie
Za tego starca. — Jak on się kołysać
Musiał — uśmiechać i na pół dowcipnie
A na pół seryo rzucać mi na szyję
Tę córkę! — Krew tak czerwona nie lipnie
Do rąk zabójcy, ani modre żmije
Nie okręcają takimi uściski
Laokontowych ramion, jak on zięcia! —
To dziwna! — Jak on żebraka był bliski —
Jak cały drżący porwał mnie w objęcia —
Jak od psa zaczął, a skończył na sobie:
Niby wyraźnie mówiąc: nad psem płaczę —
Więc płacz nademną! — Kiedy te łzy obie,
Co w oczach jego błysnęły, tłómaczę:
To mu odpuszczam uśmiech ów fałszywy,
Którym się zakrył przedemną jak maską.

SCENA III.

HRABINA RESPEKTOWA *(wchodzi).*

HRABINA.

Hrabio!

FANTAZY.

Jéj sługa!

HRABINA.

Mąż mój... dzień szczęśliwy!
Sądzę, że Pan Bóg nam swą świętą łaską
Pomoże... Hrabio! we łzach jestem cała,
Widzisz mnie drżącą: nie dziw się — ja matka!...

FANTAZY.

Pani mię mocno tém zobowiązała,
Żeś mnie tu wzięła piérwszego za świadka
Tych łez. Umiem je cenić.

HRABINA.

Niech Pan będzie
Pewny, że moja Dyana zrozumie
To serce jego; i chociaż nie wszędzie
— Bo ona latać po gwiazdach nie umie —
Poleci za nim: to przecież Go w żadnym
Złym losie córka moja nie opuści.
Ona ci będzie, Hrabio, kwiatem ładnym
W domu; przed twoją błyskawicą spuści
Oczy, i będzie płakała — nie wiedząc,
Skąd te łzy, czemu się po licach toczą.
Nigdy cię ona nie obrazi, śledząc
Twoich czynności; ani z twą proroczą
Przyszłości myślą będzie się kłóciła —
Ani z przeszłością twych złotych pamiątek
W bój wstąpi. Dla nas ona wszystkich była
Jak w domu jaki czarodziejski kątek,
Gdzie jest najlepiéj — smutnym!... Ale, Panie,
Ja, matka... muszę przewidywać za nią
I muszę matki to przewidywanie
Powierzyć tobie...

FANTAZY.

Od téj chwili z Panią
Nie powinienem mieć żadnych tajemnic.

HRABINA.

O tak! — nie prawdaż? — otwarci oboje
Wpuścimy oczy do najskrytszych ciemnic
Naszego czucia. — Hrabio, ja się boję,
Że tu... pod lawą tą — jakaś Westalka
Rzymska ma ogień jeszcze nie zagasły...

FANTAZY *(do siebie)*.

Jak widzę, była tu moja Idalka.

(głośno).

Pani, tym ogniem się serdecznym pasły
Różne... cóż powiém? różne salamandry
I w ogniu żyły...

HRABINA.

I są jeszcze żywe?

FANTAZY.

Nie wiém. — Nimfy się także w oleandry
Zmieniały dawniéj — albo nieszczęśliwe
W źródła płaczące, lecz w ręku poety
Dafne zmieniała się zazwyczaj w laury.
Powinnyby dziś to polskie kobiéty
Dobrze rozważyć...

HRABINA.

Wy jesteście Giaury,
Wy wszyscy Giaury! wy zawsze wracacie
Do piérwszych waszych snów — na śmierci łożu...

FANTAZY.

Czy tu przybyła?

HRABINA.

Jest.

FANTAZY.

Gdzie?

HRABINA.

W małéj chacie
U księdza Logi.

FANTAZY.

Chora?

HRABINA.

Jak na morzu!

FANTAZY.

Co?... ma chorobę morską?

HRABINA.

Ciągle mdleje.

FANTAZY.

Pójdę — to moje fatum ta kobiéta! *(wybiega)*.

HRABINA.

Mężu! Dyjano! Stelko!

SCENA IV.

(*Wchodzą wołani wszyscy — z nimi* MAJOR *i* RZECZNICKI).

HR. RESPEKT.

Co się dzieje?

HRABINA.

Poleciał do niéj!

HR. RESPEKT.

Wojna więc odkryta! —
Jak się to skończy?

HRABINA.

Ach! jak się to skończy?
Nieszczęście jakieś wyniknie.

MAJOR.

Paniska!
Czart złączył — Moskal tę parę rozłączy.
Bo ja zrozumiał z mego stanowiska,
O co tu chodzi; tak dziś ja z Baszkirem
Moim nie wiele sobie pogadawszy,
Zrozumiał, że tu maryaż — a tam wirem
Jakaś kobiéta kręci... Tak ja krwawszy
Był żalem, niż wy, że mój Baszkir w zmowie
Z tamtą kobiétą drwił z waszego zięcia.
Więc ja rozwidnił Baszkirowi w głowie,
Że on zobaczył waszego dziecięcia
Nieszczęście, i sam zapłakał nad wami
I przyrzekł pomóc wam przeciw téj furyi.
Tak jeśli wam to nic, tak my tu sami
Zrobimy sztukę. Tak ja na dyżuryi
Przy sobie teraz zatrzymał Kałmuka
A Baszkirowi kazał jechać w pole.
Tak on téj pani hrabiny poszuka
I odprowadzi przez całe Podole
Babę do domu.

HR. RESPEKT.

To gwałt!!

MAJOR.

Nasza sztuka!
Co wam do tego?

HRABINA.

Lecz, Panie Majorze!...

MAJOR.

No! ja mam dekret na nią, że w jéj domu
Jest Włoch, Franmason!

HR. RESPEKT.

Ale w moim domu
Taki rapt...

MAJOR.

Co? ja źle zrobił?

RZECZNICKI.

Nikomu
Do głowy ani przyszło, byś Pan sobie
Tak śmiał postąpić.

MAJOR.

Tak ja źle się sprawił?

HRABINA.

Majorze, lepiéj abyś był nas obie
Zaaresztował!

HR. RESPEKT.

Mnie przed sądem stawił?

STELLA.

Nas kazał odwieść wszystkich do Kijowa...

HR. RFSPEKT.

Mnie starca kazał chwycić na kibitkę...

MAJOR.

Nu! cóż ja zrobił?!

HRABINA.

Nic już! ani słowa!
Mężu! każ zaprząc! — Dyjanko, włóż świtkę
Czarną, podszytą łabędziami! — Stelko,
Przynieś mi boa! — sama włóż szlafroczek!
Tak jak kompanią tu jesteśmy wielką,
Jedźmy!

(Hrabia idzie do drzwi; służba się krząta; panny wychodzą i wchodzą przebrane).

MAJOR.

Ot piwa nawarzył!...

RZECZNICKI.

W tłómoczek
Włóżcie czém trzeźwić!

HRABINA.

Prawda! — Kajetanie!
Włóż do powozu — o! te dwa flakony.
Jedźmy!

MAJOR.

Ja zaraz tam dopędzę Panie
Z moim Baszkirem.

LOKAJ.

Powóz zaprzężony! —

HRABINA.

Jedźmy kompanią całą w przeprosiny!
Pan Major konno niechaj przodem rusza!

MAJOR.

Nu tak! ja przodem! —

HR. RESPEKT.

Przez lasek brzeziny!

(wszyscy oprócz Rzecznickiego wychodzą z pośpiechem).

RZECZNICKI.

A ja na mego czekam Fantazyusza.

SCENA V.

(Wpada FANTAZY).

FANTAZY.

Rzecznicki!

RZECZNICKI.

Co to?

FANTAZY.

Konia!

RZECZNICKI.

Intercyza
Już podpisana...

FANTAZY.

Słuchaj: w moich oczach
Porwał ją przez pól! chwycił jak narcyza!
Róże, co były w jéj czarnych warkoczach,
Wytrząsał! uniósł jak wicher! — Rumaka
I pistoletów!!...

RZECZNICKI.

Stój!

FANTAZY.

Póki na siodle
Dosiedzi jedna kosteczka Polaka,
To będzie rąbać!

RZECZNICKI.

Bah!

FANTAZY.

Jeśli ją podle
Opuszczę, to mi w twarz pluń! — Do widzenia!

RZECZNICKI.

Poczekaj! jakże to było?

FANTAZY.

Podchodzę —
Widzę ją zdala — nad brzegiem strumienia
Smętnie idącą: — już się na pół godzę
Z tą dawną myśli moich Pelejadą —
Wtém — patrzę: jakiś Kałmuk przed nią staje —
Pokorny zda się z razu — czy z doradą
Czy z prośbą?... Słucham, co? — wtém klasły gaje:
Dała mu ręką w twarz — do oczu skacze —
On ją porywa wpół, jak zwierz unosi...
Horor!! puść — konia sam, biegnę, kulbaczę —
Lecę... Jeżeli ten Major się zgłosi
O swego człeka do sądu, daj parol
Za mnie, że człowiek ten wymazan z pułku
Znajdzie się w piekle!... *(Wybiega).*

RZECZNICKI.

Widzę, że wziął rzecz z poetycznéj strony!
A więc ja szłapię także — dla trzeźwienia
Różnych mdlejących; a zaś dla obrony
Od dyabła, którym już walczyć nie mogę,
Wezmę na bryczkę moję księdza Logę.
(Chce wychodzić, wtém wchodzi IDALIA).

SCENA VI.

IDALIA.

Ha! Pan Rzecznicki?

RZECZNICKI *(zdziwiony).*

Co widzę?!

IDALIA.

Dla czego
Oczy Pan sobie przecierasz? — Zapewne
Cieniem się, marą wydaję dla niego!...

Obadwa macie serca bardzo rzewne:
Płaczecie trupów, nim umrą; a żywych
Macie za mary, gdy wam stają w oczy...
Cóż więc? natrętna jestem dla szczęśliwych?

RZECZNICKI.

Czy ja śnię?

IDALIA.

Cóż to?

RZECZNICKI.

Róże z jéj warkoczy
Mówił Fantazy — powylatywały!
Baszkir uchwycił ją w pół, jak narcyza!...

IDALIA.

Gdzież są ci państwo? — i gdzie jest dwór cały?
Słyszałam, że już młodych intercyza
Jest podpisana: — wszystkie serca mocy
Zebrałam — świadkiem szczęścia być przychodzę.

RZECZNICKI *(z szyderstwem)*.

To więc ten Kałmuk...?

IDALIA.

Co za Kałmuk?

RZECZNICKI.

Nocy
Szecherazady!

IDALIA *(wzgardliwie)*.

Czy tu Panu szkodzę
W jakich intrygach?

RZECZNICKI.

Bynajmniéj! nie widzę,
Abyś mi Pani teraz w czém szkodziła.
Sam jestem tylko w ogromnéj intrydze:
Przed chwilą Pani Hrabina tu była
Porwaną...

IDALIA.

Jakto? ja?! — przez kogo, proszę?

RZECZNICKI.

Przez... przez... przez...
(do siebie) W zmowie jest baba z Kałmukiem —

(głośno).

Pani, jak widzę, masz wielkie rozkosze
Jak dawniéj, rządzić amorowym łukiem,
Wszystko zamieniać jak pędzel Albana
W obrazek pełny róż i Kupidynów —

IDALIA.

Co to za Sfinx jest nowy? — Proszę Pana
Mówić tu prozą!

RZECZNICKI.

Śród róż i jaśminów
Stojąc, jak słońce, co oku doskwiéra —
Z oczu olśnionych kochankowi zniknąć —
Zniknąć z Centaurem, tak jak Dejanira —

IDALIA.

Jak Dejanira?... Pan musiał nawyknąć
Lub do poezyi, albo téż do wódki
I spirytusu — żałuję Go mocno!

RZECZNICKI.

Widać, że Pani czas wystarczył krótki
Na tę przejażdżkę, zdrowiu tak pomocną
I fantastyczną —

IDALIA.

Czy Pan do mnie gada?

RZECZNICKI.

Pytam się Pani, czy koń dobrze niesie?

IDALIA.

Jaki koń?

RZECZNICKI.

Centaur.

IDALIA.

Jestem bardzo rada,
Że Pan tak mocny mitolog — w zakresie
Swojego głupstwa.

RZECZNICKI.

Jam także szczęśliwy,
Że Pani wracasz bez żadnego szwanku.

IDALIA.

Dziękuję, że Pan dla mnie taki tkliwy.

RZECZNICKI.

A gdzie jest Nessus?

IDALIA.

Czy p a n?... Mój kochanku,
Zawsześ lokajski spełniał obowiązek:
Gdy Fanio w Rzymie był, toś od służącéj
Mojéj dostawał dla niego podwiązek,
Róż, co na balu na piersi gorącéj
Uwiędły; stałeś jako szpieg, przy bramie
Czekając, abyś doniósł, gdzie wyjadę...
A ja mówiłam: oto psie ma znamię
Ten człowiek — wierny jest! i nad gromadę
Ludzi wiernością wyższy jest ten człowiek;
A więc ma dobre serce, myśli świetne.
Choć więc z pod twoich szarych, wężych powiek
Odrażająca szła skra; nieszlachetne
Choć z ciebie jakieś pary wychodziły
I odrażały mnie instynktem ducha: —
Tylem zdobyła, że mi stał się miły
Twój widok i głos dla mojego ucha
Umiłowany. — Miéj więc dziś torturę
Z téj jednéj męki, która żre głęboko
Tą myślą: żeś był podniesiony w górę,
Że w jednéj stałeś opinii wysoko,
Że w jednéj myśli ty byłeś istotą
Wyższą nad ludzi, żem była gotowa
Klęknąć przed tobą: — a ty byłeś błoto,
Jednego nie wart spojrzenia i słowa,
Chodzący dowód, że mój sąd o świecie
Był sądem młodéj kobiety — pomyłką!
Teraz tu jesteś marszałkiem w powiecie:
Jego pieniądze wzniosły cię! Z posyłką
Już cię nie pośle po mego trzewika
Albo po zwiędły kwiat — pan teraz z ciebie!
Lecz to, co ludziom serce tu odmyka,
Szczęście... to ciebie tak, jak kreta grzebie
W intrygi — w lochy idące podziemnie —
W pochlebstwa, które ci u niego służą. —
Cóż? — czemu teraz Pan już nie drwisz ze mnie?
Jakąż to mnie Pan po stepach podróżą

Prześladowałeś?.. Mów! — uwieńczę laurem
Komiczny talent Pana. Cóż? — ciekawa,
Z jakim mnie tu Pan wyprawiasz Centaurem?!..
Milczysz?

RZECZNICKI.

Więc to jest ta koszula krwawa,
Którą dał Nessus?

IDALIA

Cóż, ciągle te żarty?!

RZECZNICKI.

Wybacz mi Pani! — Cha! cha! cha! — nie mogę —
Pozwól mi Pani, że będę otwarty
I spytam: dobrą Pani miałaś drogę?
Czy trakt był bity i gładki i suchy?
Czy zdala widać było Kapitole?
Ach!.. jak to się te nazywają muchy
Świécące, proszę Pani... czy luciole
Za konia grzywą leciały jak grzywa
Z gwiazd? — Wszak podobno tak bywa w Italii —
Słowem, czy Centaur ten, który porywa
Z konia chwytając dziewicę w pół talii —
Czy nie obraził?

IDALIA.

Więc Panu się zdaje,
Że ja porwaną byłam?

RZECZNICKI.

Tak wieść niesie.
Zresztą patrz Pani — państwo i lokaje
Wszystko rozbiegło się oto po lesie...

IDALIA.

Gdzie?

RZECZNICKI.

Całe nasze poszło towarzystwo
W pogoń za Panią — sprzyja pora ranna —
Fantazy nawet tak jak na myśliwstwo
Wziął trąbkę.

IDALIA.

I on?!

RZECZNICKI.

A panna Dyjanna
Wzięła lornetkę.

IDALIA.

Ha!

RZECZNICKI.

I Pani Fanio
Wziął pistolety.

IDALIA.

Zrozumieć nie mogę.

RZECZNICKI.

Ja także, wierny sługa, chciałem za Nią
Pędzić się jak wiatr, wziąwszy księdza Logę,
Nie wiedząc, czy ślub, czy pogrzeb wypadnie
Z natury rzeczy.

IDALIA.

I Pan sam we dworze?

RZECZNICKI.

Samiutki!

IDALIA.

I dwór wyjechał gromadnie?

RZECZNICKI.

Wszyscy! i Baszkir nawet przy Majorze
Poczwałowali.

IDALIA.

Więc i Pańska żona?

RZECZNICKI.

Jakto!?

IDALIA.

I żona Pańska z nimi razem?

RZECZNICKI.

Ja tutaj jestem nakształt Korydona,
Tęskniący za jéj dalekim obrazem.
Szczęście to dla niéj, bo z tą katolicką
Duszą, o Pani słysząca przygodzie...

IDALIA.

Jakto? — ja z panią Omfalią Rzecznicką
Tu przed godziną gadałam w ogrodzie.

RZECZNICKI *(zmięszany)*.

Pani żartuje...

IDALIA.

Nie żartuję wcale!
Owszem mówiła, że ci chce siurpryzę
Zrobić: — ubrała się w błękitne szale
I w blondynową wielką moję kryzę —

RZECZNICKI.

I w Pani kryzę?! —

IDALIA.

Nawet wyznać muszę,
Że Pana chciała podejść w moim stroju
I pomieniała się na kapelusze
Ze mną.

RZECZNICKI.

I pieszo szła?

IDALIA.

Jak dla podboju
Serca Pańskiego!

RZECZNICKI.

Szła pieszo?.. ogrodem?..

IDALIA.

Przez parkan do mnie skoczyła z powozu.

RZECZNICKI.

Prru! prru! prru!

IDALIA.

Że mnie naśladuje chodem,
To wiész...

RZECZNICKI *(do siebie)*.

Czuję dreszcz — prru! ściętym od mrozu!

IDALIA.

Czy Panu słabo?

RZECZNICKI.

To nic... *(do siebie)* Z mego łona
Wychodzą mrówki, za serce mię chwyta!
(głośno).
Czy Pani pewna, że to moja żona!

IDALIA.

Jak to?

RZECZNICKI.

Może to kto?.. jaka wizyta?..
Ktoś wzrostem do niéj podobny?... jéj talia
Nie jest znacząca...

IDALIA.

Ja panu powiadam
Wyraźnie: Pani Rzecznicka Omfalia,
Z którą ja...

RZECZNICKI.

Więc — więc — więc do nóg upadam!
(chce wychodzić).

IDALIA.

Gdzież Pan?

RZECZNICKI.

Niech Pani Hrabina przebaczy! —
Droga mi każda chwila i minuta.
(do siebie).
Ten Kałmuk... moja żona... sto kartaczy!!...

IDALIA.

Ha! więc tu jakaś intryga popsuta — —

RZECZNICKI.

Tak, tak! intryga jakaś —
(krzyczy przez okno). Wyprząc z bryczki,
A włożyć siodło!

IDALIA.

Pan jest niespokojny?

RZECZNICKI.

Ale czy Pani pewna?

IDALIA.

Przez uliczki
Te jaśminowe szła...

RZECZNICKI.

I Kałmuk zbrojny..?

IDALIA.

Co?

RZECZNICKI.

Kałmuk zbrojny podjechał?

IDALIA *(śmieje się).*

Cha! cha! cha!
Teraz rozumiem!...

RZECZNICKI.

Tak, Pani rozumie,
Że taki afront...

IDALIA.

Przejażdżka!... Gdzieś macha
Z Kałmukiem, jak wiatr —

RZECZNICKI *(przez okno)*.

Ten szelma nie umie
Położyć siodła!... podepnij strzemiona!
Ale jeszcze raz błagam na kolanach,
Czy Pani pewna, że to moja żona,
Którą — —

IDALIA.

Tak — którą —

RZECZNICKI.

Niesie po kurhanach.
Nie! nie, nie! — bo to przechodzi granice
Wszelkiéj na świecie znanéj... tak nie było!...
Ale —

IDALIA.

Być mogło!

RZECZNICKI *(krzyczy w okno)*.

Wkładaj-że terlicę!
Na Boga! Czy ty masz serce, Hawryło?!
Cóż ty tam myślisz?!

IDALIA.

Więc Pan także kłusa
Jako Kupidyn w obrazku Albana?..

RZECZNICKI.

Pani widziałaś ją?...

IDALIA.

Nim przez Nessusa
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Pani dzisiaj z rana
Widziałaś?

IDALIA.

Dzisiaj.

RZECZNICKI.

Czy spytać pozwoli,
Jak to być może dawno?

IDALIA.

Niezbyt dawno!

RZECZNICKI.

Karczmy dwie! — jeśli jechali powoli,
To przy tych karczmach... To jest bardzo jawno,
Że jeszcze nie są w lesie... Tak! być muszą
Przy karczmach... Gdyby tam jaki znajomy
Był taki dobry!..

IDALIA.

Nim do lasu ruszą...

RZECZNICKI.

Ha! Pani ze mnie drwisz?... Niech trzasną gromy
We mnie i w moję hańbę!! *(Wybiega).*

IDALIA.

Przecież — człowiek!
Gdy ból mu wszystkie zęby powyrywał,
Zacierpiał sercem, krwią — i trysnął z powiek
Iskrą człowieka. — Lecz jak długo pływał
W błocie i patrzeć nie pozwolił z góry
Na konwulsyjne swoje śmieszne męki!
Ja, nawykniona śród każdéj tortury
Nadziei z serca, a trucizny z ręki,
Zawszem gotowa powitać wypadek
Uśmiechem — albo śmiertelną bladością.
Lecz ten rozsądny i kościany dziadek
Za swą porwaną poleciał Jéjmością
Już bez rozumu — na wychudłéj szkapie,
Bótów cholewy pokazując szare. —
I to się zowie świat zimny, co chrapie!
Kiedy mu serce, miłość albo wiarę
Wspomnisz — wszystko to romansem nazywa!
A gdy sam w romans wpadnie — kawał błota —
Jak żyd na koniu wychudłym się kiwa!
Gdyby na drodze stały, podruzgota
Apolinowe posągi! i wróci
Z małżonką w ręku, jako Hesperyda
Z jabłkiem. — O ten świat — że anioły smuci.
Nie dziw! — Mnie samę wzgarda i ohyda
Bierze, gdy widzę, że takie gadziny

Rozsądkiem przeciw exaltacyi świszczą?
A jakieżto w tym domu były czyny
Ludzi, co sercem i rozumem błyszczą?
Przedali córkę — mnie, natrętną marę,
Chcieli oddalić — jak? — afrontowaną!
Tak że mi chyba wziąć habity szare
I za klasztorną trzeba było ścianą
Przeżyć ostatek... Precz, serca przedajne! —
Za was rumienię się, jak róża sromu. —
Szczęście, że blisko konie mam rozstajne.
Powrócę — sama — do smętnego domu
Z moją niedolą i z mojém cierpieniem
Dawném, lecz mędrsza stokroć doświadczeniem.

AKT CZWARTY.

SCENA I.[1])

(Mieszkanie hrabiny Idalii).

RZECZNICKI i HELENKA, *(która uprząta pokój).*

RZECZNICKI.

Helusiu, widzisz — do waszego domu
Musiałem z moją żoną — była chora.
Proszę, nie mów też Panienka nikomu,
Że ja tu konno z nią. Tego wieczora
Miałem przypadek — powóz mi się złamał;
Musiałem na koń wziąć — żona mi słabła...
Czy doktor już był?

HELENKA *(do siebie).*

O! to się wykłamał!
Żona w malignie mówi, że przez dyabła
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Co mówisz Acanna?

[1]) Cała scena I i początek drugiéj przekreślone są w autografie poety. *(Przyp. Wyd.).*

HELENKA.

Mówię, że Pani Marszałkowa chora.

RZECZNICKI.

Tak, chora trochę. Ta przejażdżka ranna...
Ona ma nerwy słabe... do wieczora
Na koniu... aura zła... więc nieco słaba...
To to kobieta delikatna, święta!

HELENKA *(na stronie)*.

O! delikatna! ta czerwona baba! —
Prawda, że teraz tak jak z krzyża zdjęta
I rozczochrana...

RZECZNICKI.

Patrzajno Acanna,
Czyj to jest powóz?

HELENKA.

Jedzie Pani nasza!

RZECZNICKI.

Idź, proszę, czy tam mojéj żonie wanna
Przygotowana? Niech się nie rozgłasza
Ta awantura między służącymi...
Idź! — ja tu Panią przyjmę i powitam.

(Helenka odchodzi — wchodzi IDALIA).

SCENA II.

IDALIA — RZECZNICKI.

IDALIA *(nie spostrzegając Rzecznickiego)*.

O! jak tu miło! drzewami ciemnymi
Pozasłaniane okna — piersią chwytam
Powietrze pełne kwiatów... *(zobaczywszy Rzecznickiego)*.
Co?! Pan u mnie?

RZECZNICKI.

Pani, pod samym jéj domem... wypadło
Do Niéj zajechać...

IDALIA.

I żona?

RZECZNICKI.

Jak w trumnie,
Jako grobowe, okropne widziadło.

IDALIA.

Tu?...

RZECZNICKI.

Tak, Wielmożna Mościa Dobrodziéjko,
Tutaj, na moich przyniesiona rękach.

IDALIA.

Gdzież ją Pan?.. lecz nie! nie jestem tak dziką,
Ażebym w Pana wycierpianych mękach
Szukała zemsty. Czyś Pan mógł zasłonić
Przed ciekawością sług?

RZECZNICKI.

Pani, ja sądzę...

IDALIA.

Że?

RZECZNICKI.

Że nie wiedzą...

IDALIA.

Chciałabym obronić
Pana, więc muszę... Nessus?

RZECZNICKI.

Wziął pieniądze.

IDALIA.

To słuchaj mię Pan! — Awantura taka
Dla was, którzy tu jesteście na świecie
Nakrochmaleni — każdy pół Polaka,
A pół aktora we własnym powiecie,
Jak na aptécznych półkach różne flaszki
Z etykietkami: ten polityk dzielny —
Ten sensat — a ten dowcipny na fraszki [1]).
Wamby, powiadam, niosła cios śmiertelny
Smieszność, zabiłaby was na wiek wieków,
Na dzieci wasze spadła i na wnuki!
Bo z was można drwić, lecz tak jak z kaleków —
Nie potrącając nigdy krzywéj sztuki
Waszego ciała. — Twoje więc kalectwo
W dowcipkowaniu było: — a tyś ranny
W ten garb rozumu na całe sąsiedztwo

[1]) Aż póty scena ta przekreślona jest w rękopisie. *(Przyp. Wyd.).*

Sławny!... Rogaty miesiącem Dyjanny,
Zgubiony człowiek! jeśli ja na siebie
Nie wezmę garbu twego, i niosąca
Ciężar, ciężaru tak nie upotrzebię,
Że skrzydlatością i blaskiem miesiąca
Moje ramiona dumne uwachlarzy
I upiękni mię, zamiast ciebie zabić. —
Pozbądź więc, proszę, Pan téj smętnéj twarzy,
Ja Mu przyrzekam przynajmniéj osłabić
Pierwsze wrażenie — oczu mych szafiry
I postać moję ułożywszy zgodnie
Ze smutną rolą nowéj Dejaniry...

RZECZNICKI.

Nie! To nie może być! — ja udowodnię,
Że jestem człowiek! —

IDALIA.

Lecz, szanowny Panie,
Tu przyjechałeś z żoną, twoją bryczką;
Kałmuk pieniądze dostał — i dostanie
Rozkaz milczenia. — Ja stoję z pożyczką
Mego honoru — ty szlachcic, bierz sumę,
Ani się pytaj! — bierz ją bez procentu!

RZECZNICKI.

Ja także, Pani, mam tu swoję dumę
I tę rzecz biorę także z fundamentu...

IDALIA.

Lecz patrz! Hrabiostwo Respektowie jadą: —
A więc ty powiesz im, że twoja żona...?

RZECZNICKI.

Ja nie wymówię tego.

IDALIA.

Więc tą radą,
Którą ci dałam, nie gardź! — Rzecz skończona!
Ja byłam w stepie przez ciebie odbitą —
Ja jestem teraz w łóżku mojém chora...
Mów — żartuj ze mnie — baw ich — bądź kobiétą,
Baw ich plotkami...

RZECZNICKI.

Lecz tego wieczora
Ja moję zrobię rzecz...

IDALIA.

Dobrze, pozwalam,
Lecz do wieczora ja rzecz moję zrobię,
I te małżeństwa wasze porozwalam —
Albo... odejdę was, a wy na grobie
Grajcie komedyą.

(odchodzi).

RZECZNICKI.

Zda się dobra rada:
Na czas niech ona będzie tu na celu
Żartom. Ja potém zrobię rzecz nie lada;
Bo trzeba, żeby na obywatelu
Nie było plamy —

SCENA III.

(Państwo RESPEKTOWIE *wchodzą z* DYANĄ *i* STELLĄ).

HR. RESPEKT.

Witaj mi, Rzecznicki! —
A cóż tu? mówią — chora!

RZECZNICKI.

Tak, tą jazdą —

HR. RESPEKT.

Cyt! cyt!... to jéj dom — to kościół delficki!
Widzisz — przywiozłem całe moje gniazdo.
I Major z nami, ale go ukryłem
Po za kulisy; — w sam czas wyprowadzę
Na perypecyą... Ja z nim długo żyłem;
To prosty człowiek, dobry — —

HRABINA.

Czy ma władzę
We wszystkich członkach?

RZECZNICKI.

Co?

HRABINA.

Czy ją oszczędzał?

RZECZNICKI.

Tak, dosyć — —

HR. RESPEKT.

Czy gdzie nie zawadził w lesie?

RZECZNICKI.

Nie.

STELLA.

Więc nie bardzo rumaka rozpędzał?

HR. RESPEKT.

Dosyć — widzicie, że stanął przy kresie.
To dosyć... lecz nas nabawił kłopotu:
Wszyscy w cierniowéj jesteśmy koronie! —
Widzisz, Rzecznicki, takiego powrotu
Niktby nie życzył swojéj własnéj żonie.
W głębi — taka rzecz jest niemałéj wagi!...
Co to jest?!.. krew się na to każda burzy.

RZECZNICKI.

Gdzie jest Fantazy?

HR. RESPEKT.

Brakło mu odwagi!
W ogrodzie chodzi — wena mu tam służy —
Coś komponuje... *(do żony)* Wypraw do ogrodu
Dyjanę, niech ze Stelką idą obie...

HRABINA.

Czy położyli jéj na głowę lodu?

RZECZNICKI.

Tak, położyli.

HR. RESPEKT.

Przywieźliśmy tobie
Kapelusz —

RZECZNICKI.

Jak to?

HR. RESPEKT.

Przestrzelony z łuka,
Strzałą rogaty — tak, strzałą rogaty!
Widzisz — był rozkaz dany dla Kalmuka,
Ażeby leciał jak Amor skrzydlaty,
A nie dał sobie odbić téj hrabiny —
Major mu to sam wyraźnie powielił.
Otóż on widząc twe rycerskie czyny,

Gdyś go dopadał: przymierzył i strzelił —
Jak gdyby na twój rycerski kartelusz
Odpowiadając — prosto tobie z łuka.
Szczęście, że trafił cię tylko w kapelusz!
Stelusiu, niech go Kajetan poszuka,
Niech tu przyniesie. *(Stella wychodzi).* Pokazać ci chcemy,
Że twój rycerski czyn nie uszedł oka;
I ubierzemy ciebie, ubierzemy
W strzały — —

RZECZNICKI.

Rzecz to jest zanadto wysoka,
Aby żartować...

HR. RESPEKT.

No — ty jesteś skromny,
Ja wiém; ty skromny jesteś. Cały w locie —
Możeś był nawet sobie nieprzytomny,
Gdy cię ten Kałmuk — —

RZECZNICKI *(przerywa).*

Tak, Hrabio, w istocie!...

HR. RESPEKT.

Gdy cię ten Kałmuk ubrał, ubrał w strzały —
Numida jakiś — —

RZECZNICKI.

Więc Pan wie?

HR. RESPEKT.

Numida,
Mówię ci, jeździec jesteś doskonały!
Widzisz — talent się taki zaraz wyda,
Mój ty kochany Rzecznicki!

RZECZNICKI.

Co, Hrabio?

HR. RESPEKT.

Daj, niech cię z serca uściskam!... Szałaput!
Jeżeli w tobie lata nie osłabią
Téj żyłki, to gdzieś zrobisz verte-caput.
Orlando! — gonił się jak za podradem!
Orlando!

RZECZNICKI.

Hrabia się powtarza...

HR. RESPEKT.

Drogi!

RZECZNICKI *(do siebie)*.

Zemszczę się! *(głośno)*. Czy Hrabia jadąc moim śladem
Nie znalazł... czy gdzie nie postawił nogi
Na tym papiérze...? Otóż to przypadek!
Intercyza mi wypadła z kieszeni.

HR. RESPEKT.

Cóż? — ty sam stoisz jak układów świadek —
Rzecz maléj wagi — papiér się odmieni —
Lekka odmiana! Nową intercyzę
Przypieczętujesz litewską Pogonią.
Tak! Pogoń teraz weźmiesz za dewizę,
Pogoń ognistą — z uwieńczoną skronią...
Lecz widzę, że zły jesteś... a to zwykła
Rzecz w ludziach, co się heroizmu wstydzą —
Wstydzą i tak się czerwienią jak ćwikła,
Kiedy się nagle w laurach jasnych widzą
A niby niemi gardzą... Moja żono,
Pójdźmy na ogród z dziećmi, nim Hrabina
Zgodzi się naszę postać zasmuconą
Oglądać. *(wychodzą)*.

RZECZNICKI.

Piekło! piekło!... Starowina
Pod paznokcie mi w nogi wbija drzazgi!
Na mękach jestem!...

(*Wbiega* FANTAZY).

SCENA IV.

RZECZNICKI — FANTAZY.

FANTAZY.

Rzecznicki, jestem trup!

RZECZNICKI.

Co to się znaczy?!

FANTAZY *(rzuca się w fotel)*.

Okropny, mówię, miałem pojedynek!

RZECZNICKI.

Z kim?

FANTAZY.

Z tym Moskalem...

RZECZNICKI.

Tysiąc sto kartaczy!!
Bez sekundantów?!

FANTAZY.

Wieczny odpoczynek
Mów za mnie... jestem trup!

RZECZNICKI.

Na Pana Boga!
Gdzieżeś raniony? jesteś żywy, cały! —

FANTAZY.

Mówię ci, że już moja prawa noga
W grobie... i moje złote ideały
Biorą twarz czaszki. W myślach moich zamęt!
(Wskazując na biurko).
Masz papiér? siadaj, proszę i bierz pióro:
Chciałbym... w trzech słowach tutaj mój testament
Napisać...

RZECZNICKI.

Słuchaj...

FANTAZY.

Pisz! —
(Rzecznicki siada i bierze pióro do ręki).
Milijon z górą
Mego majątku, kiedy się spieniężу —
Zamienić w złoto, w jeden zlać pierścionek
Spleciony kształtem saturnowych węży —
Poświęcić — wyryć na nim: trup małżonek
Swéj narzeczonéj — i Pannie Dyjannie
Wtoczyć go. Jeśli nie weźmie — w staw rzucić!

RZECZNICKI *(wstając).*

Czyś ty oszalał?!

FANTAZY.

Ja téj młodéj pannie
Winienem wiele. — Gdybym mógł powrócić
Z grobu, to życie zacząłbym inaczéj,
Prościéj — i młody starałbym się o nią.
Jutro — jak ona w trumnie mię zobaczy:

To pewny jestem, że mnie siostry dłonią
Uściśnie... Ale ostatnia godzina
Moja... innym się tu duchom należy.

RZECZNICKI.

Panie Fantazy! w imię Ojca, Syna...
Gdybym cię nie znał...

FANTAZY.

Dość! czas szybko bieży...
Do grobu śpieszno — a strach!... Nie idź za mną!
Bo gdybyś i szedł: to nie trafisz wcale;
Śmierć ma tebańską stolicę stubramną;
Jedne są bramy jak krwawe korale
Czerwone — inne są jak perły białe;
I białe, bez ran, duchy przez nie wchodzą.
Bądź zdrów!... Królestwo mego ducha całe
Niezbuntowane, ale z ciała już się płodzą
Robaki... i te w ustach słowa zimne
Są robakami...

RZECZNICKI.

Niech cię sto piorunów!!..

FANTAZY.

Ha! ha! ha! teraz pod laurami drzémnę
I Plutonowych dosiędę biegunów
We śnie... Rzymianin jestem...
(wychodzi).

RZECZNICKI.

Co to znaczy?!
Na Boga! muszę widzieć się z Majorem
Twarz w twarz: on mi to wszystko wytłómaczy
I pod właściwym te rzeczy kolorem
Musi obaczyć ze mną, i traktować
Jak ze człowiekiem...
(*Wchodzi* IDALIA).

SCENA V.

RZECZNICKI — IDALIA.

IDALIA.

A cóż?

RZECZNICKI.

Niechaj Pani
Leci! Fantazy coś zaczął waryować...
Wszyscy w tym domu jak powaryowani!
Ja także myślę po waryacku skończyć.
Do nóg upadam!..

(wychodzi).

IDALIA.

Co mówił? — Fantazy
Waryuje? — Cóż to? — Ach, jak łatwo złączyć
Miłość z szaleństwem! Są to dwa wyrazy
Nierozłączone. — Waryacya więc wraca
Do tych różanych uczuć, owiniętych
Girlandą kwiatów i gwiazd, i zbogaca
Krainę duchów, moc pieśni natchniętych
Rzucając wiatrom... Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mię ciągle poił
Z serca, jak z czary! — Gdy nakształt murzyna
Otellowego — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?
A uśmiech z oczu moich nie uciekał,
Ale jak pająk, który z blasku przędzie
Swe pajęczyny złote na szafirze
Jakiego kwiatu: podobnie mi radość,
Że się przez jego śmierć do nieba zbliżę,
Opromieniała oczy. — O! jak bladość
Śmierci daleka była od téj bieli,
Którą on wtenczas zwał alabastrową!
O! jak mi dobrze było, na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi,
Jeśli nie skala się tém ludzi błotem
I nie zapragnie spić się moszczem wina.

SCENA VI.

(HELENKA *wchodzi*).

HELENKA.

Pani nie przyjmie więc Hrabiny?

IDALIA.

Potém.

HELENKA.

Koniecznie Panią chce widzieć Hrabina,
Ze łzami prosi.

IDALIA.

Więc wpuść ją, Helenko;
A gdyby chciał tu wejść i pan Fantazy,
To... to mnie ostrzeż wprzód jaką piosenką,
Albo przed drzwiami kaszlnij kilka razy.
A teraz wpuść tę Walterskotkę ...

(Helenka wychodzi).

(Wchodzi HRABINA RESPEKTOWA*).*

HRABINA.

Droga!
Moimi łzami zlana — krew bym dała!
Bogdajby tutaj nigdy moja noga
Nigdy, ach! nigdy więcéj nie postała:
Jeśli ja winna co, że tobie, duszo
Anielska, taki sztylet!... Ja to czuję...
Wszystkie się żółci we mnie tém poruszą,
Bo ja kobiéta, bo mnie także truje
Ten świat, przeciwko nam ciągle i wszędy
Na wspak idący... Ja tego Majora —
Gdyby nie mój mąż — tobym do komendy
W łańcuszkach była odesłała wczora
Z mojego domu! — O! kraj nieszczęśliwy,
Gdzie Moskal, widzisz, pijany robi burdy,
A my musimy cierpieć!.. Jak Bóg żywy,
Polacy dawniéj byli haraburdy,
Lecz teraz... są mniéj, niż...

IDALIA.

Nie płacz, Hrabino,
I nie utyskuj: moja reputacya

Jest taką dzisiaj odzłoconą cyną
I woskiem...

HRABINA.

Ja wiem, że ci aprobacya
Ludzi niczém jest; bo ty — w sobie złota,
W sobie zamknięta, jak brylant bez ceny —
Pogardzasz każdą garścią tego błota,
Którém świat... Lecz ten z nad Oki czy Leny
Major — prawdziwy jakiś barbarzyniec —
Wstyd mi, że w moim domu — wstyd mi wielki!
To ja zelżona! Wyjdę na gościniec
I siędę w karczmie, bo obywatelki
Dom stał się karczmą...

IDALIA.

Odmieńmy rozmowę,
Proszę... Powiédz mi, gdzie wyprawę szyto
Dla twéj Dyjanki?

HRABINA.

Ach! ja tracę głowę!
Ten maryaż!... Głowę mi, Pani, nakryto
Jak kuropatwie... jam ani wiedziała,
Że pan Fantazy... nie jest sercem wolny.

IDALIA.

On wolny.

HRABINA.

I tyż to mówisz, Idalko?! —
On! co powinien był, a był niezdolny,
Uznać, że tobie będąca rywalką
Moja Dyjana — bez pochlebstwa gadam —
Gaśnie, jak świéca gaśnie w słońca blasku...
O nie! Ja jemu teraz w oczy zadam
Fałsz! — Nie myśl, proszę, że my go w zatrzasku
Trzymamy, jako złowionego szczygła:
On wolny —

IDALIA.

Wolny?...wszakże już kontrakta
Pomiędzy wami —

HRABINA.

O nie! tyś prześcigła
Za rzeczywistość. Czyżby jakieś akta

Mogły poprzedzić czyn, gdzie miłość sama...?
Ty to rozumiesz — maryaż jest osnuty
Na sercu —

IDALIA.

O tak, na sercu.

SCENA VII.

(*Wpada* STELLA *na scenę.* HRABINA RESPEKTOWA — IDALIA).

STELLA.

Niech Mama
Leci!...

HRABINA.

Co?!

STELLA.

Dyanka — —

HRABINA.

Co?.. *(wybiega ze Stelką).*

IDALIA.

Maryaż popsuty
Sercem! — Zeszła się Dyanka z panem Janem —
Sztambuch przejrzała i zeszła się w sieni
Twarz w twarz z tym pięknym brązowym ulanem,
Co teraz nosi koszulę z pierścieni
I burkę — straszny na miłości scenie
Aktor... *(Wbiega* HELENKA*).*
Helenko, cóż?

HELENKA.

Panna omdlała
I padła głową swoją na kamienie.
Gdy ją podjęto, z czoła krew się lała,
Zbladła jak kreda, a łkała jak dziecko.

IDALIA.

Ale nie mocno ranna?

HELENKA.

Nie! przytomna...

IDALIA *(do siebie).*

Czuję, że scena ta była zdradziecką;
Ten sztambuch — potém on — taka ogromna
Nagłość — i takie przejście... *(głośno).* Daj mi burnus!

Lecz nie — ja się tam teraz nie pokażę;
Tu będę, jak ten brązowy Saturnus,
Co nieruchomy siedzi na zegarze
I pod nogami swymi ma godziny
Obracające się...

SCENA VIII.

(Wchodzi LOKAJ, *i niesie karteczkę i sztylet).*

LOKAJ.

Pani, ten bilet...

IDALIA.

Co widzę?! — Boże! Boże mój jedyny! *(czyta).*
Daj burnus!... Ha! ha! ten wenecki sztylet
Tu?! Jezus! Marya!
(Wybiega ze sztyletem, a bilet zostawia).

HELENKA.

Co to?

LOKAJ,

Pan Fantazy
Dał mi i kazał pani oddać w ręce.
(Helenka bierze bilet i czyta go).

HELENKA.

Niezrozumiałe są dla mnie wyrazy!
Próżno ten papiér w rękach gnę i kręcę.
Muszę biéc za nią.

LOKAJ.

Daj, niech ja przeczytam!
„Schadzka ostatnia dusz naszych na ziemi
„Dziś o północy..."

HELENKA.

Pana Boga pytam,
Czy jest tutaj sens?

LOKAJ.

„Czarami złotymi
„Ostatni toast dziś — lub z tobą razem
„Piję aniołom — albo też samotny..." —
Święty Józefie! za każdym wyrazem
Wykrzyknik, a list taki był wilgotny,
Że na nim moje palce znać wyraźnie

Wydrukowane. — Dyabli jacyś wodzą
Pióra tym panom: piszą niepokaźnie
W gzygzaki. *(Czyta).* „Tam, gdzie na świecie się schodzą
„Wszyscy i wiecznie zostają — gdzie Juliet
„Obudziła się i zasnęła — czekam."

HELENKA.

Muszę wziąć pani ten łabędzi duliet
I zanieść, bo to rosa. Psy powściekam,
Ażeby panią odstraszyć na zawsze
Od tych przechadzek nocnych po pustyni.
Bo to stworzenie dla ludzi łaskawsze,
Niż zwykle bywa taka monarchini
Zła, jak dyablica! — U państwa Rzecznickich
Nie można służyć dla zimna a głodu.
A gdzie jest też dom w rękach jezuickich,
To także trzeba płakać bez powodu
Co piątek, albo oczy trzeć cebulą,
Gdy człowiek idzie na mszę za hrabiną. —
A tu się ludzie w domu jakoś tulą
I...

(*Wpada* HRABIA RESPEKT — *za nim* MAJOR).

SCENA IX.

HR. RESPEKT.

Gdzie jest Pani?

HELENKA.

Nie wiem.

HR. RESPEKT.

Nad dziewczyną
Moją śmierć wisi!... Proszę was, doktora!
(Helenka i Lokaj wychodzą).
Majorze! — z naszą ty, widzisz, krainą
Nie jesteś w tonie: jednego wieczora,
A tyleś mi tu napsuł! — Po co było
Tego człowieka przywozić?! — Że dzieci
Poznawszy się tam, sentymentu siłą
Były porwane śród śniegów, zamieci
I strasznych, białych sybirskich hororów...
Że sobie tęczę usnuli z sympatyi:

To trzebaż było tu do naszych dworów
Z téj Antologii czy tam Chrestomatyi
Wyrwaną kartkę?!... Jedném słowem, mówię,
Żeś Major mi tu — może z serca — aleś
Ćwieków nasypał strasznych pod obuwie!
Ten Sybir — to to straszna jakaś zaleś
I kraj przeklęty!!

MAJOR.

Nu! Hrabia bogaty —
Tak puskaj, niechaj córka sercem bierze!

HR. RESPEKT.

Co mi tam gadasz? Dobryś do harmaty,
Ale nie do serc! — Mówię tobie szczerze,
Że... niech cię wszyscy dyabli, mój Majorze!
Zięć mi się gotów ten zerwać z kontraktu!

MAJOR.

Który zięć?

HR. RESPEKT.

Wszak wiesz, że mam zięcia...

MAJOR.

Może?

HR. RESPEKT.

Jakto? — przytomny podpisowi aktu
Ślubnego, wątpisz, że ja wkrótce będę
Kołysał wnuki?... Co? wątpisz?

MAJOR.

Jéj Bogu,
Ja wątpię.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! cha! zięcia pozbędę?...
A to jak?

MAJOR.

Nu! jak? — Tak karta na rogu
Kiedy zagięta przegra: tak prepały
Diengi. — Nu wot tak zięć Panu Hrabiemu
Może się ze mną grając, przegrał cały.

HR. RESPEKT.

Co to jest?! — jak to?! — po co?! — jak i czemu?!
Zięć mój z Majorem grał? i o co chodzi?

MAJOR.

Nu tak, o zięcia chodzi.

HR. RESPEKT.

Zgrał się w karty?!
Głową mi tylko kiwasz Pan Dobrodziéj;
Mów proszę... proszę, bądź ze mną otwarty!
Nie wiesz, ile w tém mego interesu,
I jaki kamień na mém sercu leży!

MAJOR.

Nu, tak weź hrabia tu z pugilaresu
Ten kontrakt: mój pysk do niego należy,
A do mnie jego łeb — wygrany w karty.
Nu! tak Hrabiemu ja ten łeb daruję
A z pyska mego ręką honor zdarty
Znajdę u Boga! *(oddaje mu papiér)* Niech Pan Hrabia czuje,
Że ja nie człowiek zły; — głupstwem zaszkodził,
A swoim własnym honorem zapłacił.

HR. RESPEKT *(przeczytawszy dany mu papiér)*.

Piorun szaleństwa w tych ludzi ugodził —
Mózgi pomięszał. — Zięć mój głowę stracił!
Maryanno! zięć nasz truje się! Maryanno,
Zięć nasz zabija się! *(wybiega)*.

MAJOR.

Wot i teatry!
(Wchodzi JAN).

SCENA X.

JAN i MAJOR.

JAN.

Majorze!

MAJOR.

A szto? obaczył się z panną?

JAN.

Jedźmy w sybirskie nasze mgły i wiatry!
Major mi będziesz ojcem — tak jak dawniéj —
I przyjacielem. — Ten świat to zagadka!
Gdybyś ty widział, jak tam najzabawniéj,
Najwściekléj na mnie wrzeszczała ta matka:

— „Dzieckoś mi zabił! — idź precz! nie stój blisko,
Podły!... bo śmierdzisz tu prostym żołdakiem,
Bo cuchniesz, cuchniesz tak, jak lokaisko!
Bo cię czuć wódką prostą i tombakiem
Spleśniałym! precz mi z oczu!“ — Tyle brudu,
Tyle znalazła przekleństw ta kobiéta,
Że ja, com słyszał niegdyś wycie ludu
Wieszającego, ludu, co w jelita
Drgające ręce kładł...
Na takie krzyki
Córka omdlała podniosła powieki
I wzrok rzuciła na nią taki dziki,
A na mnie taki anielski, że wieki
Będę pamiętał, jakie są balsamy
W rozmiłowanych oczach u dziewczyny!

MAJOR.

Nu, my w Sybirze tobie dziewcząt damy
Piękniejszych...

JAN.

Jedźmy, jedźmy z téj krainy,
Która mi we snach była szczęścia rajem —
Matką! — a teraz jest taką macochą! —
Słuchaj: nazwała wygnańca lokajem
I w to bolesne me serce tak płocho
Wrzuciła ziarno gniewu...

MAJOR.

Tak duj babu!
A ja pomogę... Wot, wot! — polskie grafy!
A kazał ty już Kałmukowi drabu,
Żeby zaprzęgał?

JAN.

Już.

MAJOR.

Nu, tak wakształy
Zakurym w trubkach, taj na pożegnanie
Temu szlachectwu dym!

JAN.

Jedźmy, Majorze!
Temu, kto wpadnie raz w nieszczęścia morze,
Trzeba iść na dno i dać falom głowę. —
Oczęta sine we łzach — bądźcie zdrowe!..

AKT PIĄTY.

SCENA I.

(Cmentarz — w głębi kaplica zamknięta. Miesięczna noc).
Wchodzą FANTAZY *i* IDALIA.

FANTAZY.

Oto są Idy marcowe Cezara
Śmiertelne — bo ty jesteś moją Idą.
Cóż? dotrzymałem słowa... Godzin para
Ostatnich — z tobą! Gwiazdy nasze przyjdą,
Miesiąc nasz złoty już jest i dotrzymał
Słowa — na ucztę śmierci przyszedł piérwszy.
Świat mię był w takie łańcuchy poimał,
Że teraz pewnie mój sen będzie szerszy,
Gdy oddam ducha. Tony moje drżące
Były boleścią ducha ostateczną. —
Siądź tu. W twych oczach widzę dwa miesiące
Błękitne: — będziesz mi harmonią wieczną,
A oczy wieczném źródłem światła będą;
Wypiję wszystkie złote z nich promienie.

IDALIA.

Ten cmentarz zawsze był najmilszą grzędą
Mego ogrodu. — Patrz, jakie tam cienie
Czarne pod gęstwą lip! i głazów twarze
na czarności krzyżów niewidzialnych
Głowice trupie...

FANTAZY.

Ja ci tam pokażę
Tęczowe duchy, twarze bóstw fatalnych,
Które mi zawsze w nocy były blisko
I to zrobiły, żem tak głupio — marnie
Życie me rzucił.

IDALIA.

Co tam za zjawisko?

FANTAZY.

Nic! to są we mgle chodzące latarnie;
Pewnie szukają nas.

IDALIA.

Daruj mi, Fanio,
Jeszcze raz spytam ciebie... spytam ciebie —
Bo wszakże życia nie można tak tanio
Oddawać ludziom! bo wszakże na niebie
My zapisani jesteśmy u Boga
I tu aż — przezeń tu przyprowadzeni. —
Słuchaj — zdejmuje mię tu jakaś trwoga —
Tyś drgnął: jesteśmy oboje ruszeni
Skrzydłami śmierci... Przyszłość ta bez kształtu
Okropność swoję ma. Słuchaj mię, Panie:
Ja nie doznałam tu żadnego gwałtu,
I ta przyczyna śmierci, to porwanie —
Tak los uczynił, że obelga cała
Spadła na inną zupełnie osobę.
Jam więc jest winna — winna, żem skłamała;
Jam winna, żem tu całą jednę dobę
Chciała aktorką być i podług świata
Fałszem dopomóc sobie na téj ziemi...
Owszem — posłuchaj: ta śmierć, która lata
Jak nocny motyl, skrzydły kościanymi
Gruchocąc, marną jest — i nam urąga
Jak dzieciom głupim; — boś nie za mnie mścił się,
Ale za jakąś furyą — dziwolągą —
Za Rzecznickiego, który podły krył się
Ze swą obelgą, ze swoją kuchcianą
Żoną, z łachmanem swoim przewietrzonym,
Który ja w domu dziś znalazłam rano
W wannie z rumianku, z fontaziem czerwonym
Na czepcu, z krzykiem i z twarzą koguta,
Na cały cichy dom krzyczącą: gwałtu!

FANTAZY.

Cha! cha! cha! Pani Rzecznicka popsuta!
Cha! cha! cha! — Gdyby sam Rzecznicki stał tu
I o truciznę prosił, to nie dałbym
Łezki opiatu! — Cha! cha! żyj, Brutusie!
Cha! cha! cha! jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
Zejść się na ziemi i w tym famulusie
Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę

Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
Na moim grobie. Cha! cha! cha! Utonę
We łzach serdecznych! — Cha! Kałmuk archaniol,
Porywający z ręku Jezuitom
Panią Rzecznicką — i w galop — i w galop!...
Cha! cha! cha! śmiéch mój gwiazdom i błękitom.
Wiwat typ wszystkich dewotek i salop,
Pani Rzecznicka, która była duchem,
W pielgrzymce!! Dyabli! dyabli! cha! cha! cha! cha!

IDALIA.

Ten śmiech — —

FANTAZY.

Uderzył po głowie obuchem
W posąg piękności — i w szarego stracha
Zamienił tę śmierć, która przy nas stała
Niby cudowna postać z alabastrów,
W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała,
Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
Pod cichą stopą. — Patrz, jakich komików
Wydaje Polska: aż do grobu śmieszą!
O! o koncercie śmiechu i słowików,
Graj!... Otoczona dziwolągów rzeszą,
Straszliwa, w czepcu — nowa Dejanira
Poprzedza orszak nasz, dwie nasze trumny,
I krzyczy: za mnie ginie syn Zefira
Z córką Aurory!!

IDALIA.

O! szał nierozumny!...

FANTAZY.

Co? wybijam cię ze snu? — Masz! w téj łasce,
W téj złotéj gałce jest snu na lat tysiąc...

IDALIA.

Więc to trucizna?

FANTAZY.

Tak! w cukrowéj masce
Zamaskowana złość! możnaby przysiąc,
Że rzecz uczciwa.

IDALIA.

I nie ma ratunku?

FANTAZY.

Jest!...

IDALIA.

A więc użyj go, żyj dla Ojczyzny!!

FANTAZY.

Na to — o! na to trzebaby trafunku
Wielkiego...

IDALIA.

Aby...?

FANTAZY.

Aby na siwizny
Majora głowy, która jak Eolid
Harfa pod moim policzkiem odjękła,
Spadł albo piorun albo aerolit
Przed... przed kwadransem!

IDALIA.

Jakto?

FANTAZY.

Aby pękła
Harfa, na któréj ja honoru strunę
Urwałem... Kontrakt — widzisz — jest wyraźny,
Że północ jednę dziś zapełni trunę —
Na stemplowanym papiérze; do kaźny
Weszło pół rubla za ten papiér, który
Poważnym kiedyś będzie dokumentem...
Daj laskę!

IDALIA.

Wieszczu! do góry! do góry!
Śmierć jest okropnym, słuchaj, sakramentem.
Nie jédz trucizny z taką twarzą.

FANTAZY.

Co to?

IDALIA.

Po szatańsku się twarz tobie skrzywiła.

FANTAZY.

Nie prawda... śmierć jest tą kolumną złotą
Powietrza. — O! w tém powietrzu jest siła!...
O! to powietrze i ciepłe i wonne,
O! to ramiony mymi ogarnięte,

Ma w sobie duchy piękne i niezgonne,
Jak ja, wyrwane z ciał, dawno poczęte,
Pełne miłości jak ja, niewidziane,
A kształtem swoim świat rozpierające.
Czekaj, przy tobie tak za chwilę stanę
Powietrzem...

IDALIA.

Widzisz me piersi dyszące?!...
O! znajdź, znajdź jakie słowo większéj mocy,
Aby mnie w ciemnéj śmierci rozmiłować!

FANTAZY.

Patrz — ta kaplica z krzyżem złotym, w nocy
Stojąca jak duch, zacznie tu panować
Ducha naszego siłą... i z kamieni
Miłością świata lać sakramentalnie!
Jutro ten kościół tak się w nas wpromieni,
Jak w smętne światło, i będzie fatalnie
Działał na smutne duchy, serca młode —
Jak pieśń, która nam dzieciom w piersiach dzwoni.
Chodź! do kaplicy cię téj ciemnéj wiodę.
Astarte!... o ty, bez lauru na skroni
Nieznanego tu ducha Beatricze,
Którą porwałem i aniołom niosę,
Chodź, chodź! i w Madonn się wpatruj oblicze
I w zachwyceniu świętém daj pod kosę
Miesięczną śmierci cichéj twoję głowę!
Co mówię? — na niéj stań, jak na miesiącu,
A on skrzydlaty z nami w światy nowe
Uleci — i w słońc ognistych gorącu
Postawi czoła nasze na granicy
Ostatniéj, kędy ludzki duch dolata...
Chodź! chodź! chodź do téj, o siostro, kaplicy!
Chodź ze mną! stamtąd nie wyjdziesz bez brata,
Ani bez siostry ja — chociaż oboje
Bez ciał wyjdziemy...

IDALIA.

Duchu! w ręce twoje,
W twe usta ducha mego! —

FANTAZY.

Z błyskawicy
Twe usta, duchu mój!

IDALIA.

Chodź do kaplicy,
Niech świat za nami pędzi!
(słychać bliski strzał).

FANTAZY.

Stój! co słyszę?
Strzelono...

IDALIA.

Słuchaj! jęk —

GŁOS MAJORA.

Pomiłuj Boże!

FANTAZY.

Co to jest? kto śmie tę miesięczną ciszę...

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Ratunku!

IDALIA.

Nie idź!

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Ohe!

FANTAZY.

Na ugorze —
Blisko cmentarza...

GŁOS RZECZNICKIEGO.

Kto tu w Boga wierzy,
Niech mi pomoże! — ho!...

FANTAZY.

Rzecznicki krzyczy.

GŁOS HR. RESPEKTA *(za sceną).*

Strzelono!.. niechaj kto na cmentarz bieży!
Stamtąd strzał — —

FANTAZY.

Hrabia! — Zegarek mi liczy
Pięć minut życia... Miałyżby te chwile
Z gadułą starcem tym przeminąć marnie?

SCENA II.

(Wpada HRABIA RESPEKT *i służba z pochodniami — rozwidnia się głąb sceny).*

HR. RESPEKT.

Tu był strzał — tu są!... tu! tu! na mogile
Widzę białego coś... tu! tu latarnie!
Tu Pan Fantazy jest z Panią Hrabiną.
Tu! tu! — oboje żywi Bogu chwała!
Co robisz? dziecko, stój... Młodzieńce giną,
Idąc na wały, reduty i działa,
A nie tak, jak ty! — *(Daje mu skrypt Majora).*
Struj się tym papiérem
I tajemnicę połknij — i żyj z nami!
(Spostrzega Majora leżącego we krwi).
Cóż to znów?...

RZECZNICKI.

Niechaj kto pójdzie z giwerem
Po wodę!...

MAJOR.

Nu, ja trup... pod chorągwiami
Boharodycy... jak człowiek honoru
Dał satysfakcyą... i za honor ginę...
(Do Fantazego).
Nu, tak nie będzie teraz z nami sporu
O trumnę, Panie Hrabio... Na godzinę
Dwunastą ja się zamelduję Bogu,
A ty zmów za mnie pacierz — ściśnij ruku,
Praszczaj! — ha, szkoda, że ja się nie mogu
Tłómaczyć jaśniéj. — Ja twojego stuku
Po twarzy nie czuł już... Czuł? — to zapomniał:
A nie zapomniał — to odpustył z duszy.

IDALIA.

Ach! jak ten człowiek cudownie zogromniał!
W śmierci godzinie — prosty...

MAJOR *(do Idalii).*

Łzami pruszy
Duszeczka moja... daj ruku!.. nie płacz ty!
Ja stary człowiek — czas do grobu dawno...

FANTAZY.

Sprowadzić powóz!..

MAJOR.

Nu! nu! nu! a zacz ty
Do Chrysta myślisz wozom?.. Sławno! sławno!
Wot i żart!.. trupa sadzą do karety.
(do Respekta).
Hrabio! na ucho proszę coś...

HR. RESPEKT *(po chwili rozmowy).*

Rzecznicki,
Sprowadź tu, sprowadź tu moje kobiéty.
Pan Major, jako człowiek katolicki — —

MAJOR.

Grecki!..

HR. RESPEKT.

Chce z moją widzieć się rodziną
I niektóre swéj myśli testamenta
Objawić...

MAJOR.

Nu tak! Niech matka z dziewczyną
Przyjdzie i niechaj to sobie pamięta,
Że ja, człek prosty — na śmiertelnym progu
Tak będę prosić o śmiertelną łaskę...
(Rzecznicki odchodzi).

SCENA III.

(Wpada JAN *i* KAŁMUK).

JAN.

Gdzie Major?

HR. RESPEKT.

Tutaj na grobie —

MAJOR.

Przy Bogu.

JAN.

Co to jest?! Pustą znalazłem kolaskę
W karczmie. — Wyprawił mnie Major z posyłką.
Sam wyprawiony przodem, byłbym gonił
Aż do Tobolska, gdyby nie przeczucie
I strach... Co to jest?... Głowę tak pokłonił,
Jak... jak... jak...

MAJOR.

Ruku daj...

FANTAZY *(do Idalii)*.

Nasze otrucie
Było błazeństwem! Patrz, patrz! jak bez jęku
Przez ręce, oni gadają do siebie...
Patrz, patrz: dziesięć lat sybirskich w tych ręku
Ściśniętych jak wosk...

SCENA IV.

(Wpada HRABINA *z córkami —* RZECZNICKI *zdala za niemi).*

HRABINA.

O święci na niebie!
Co to jest?

HR. RESPEKT.

Cicho! okropny wypadek:
W pojedynku nasz Major zastrzelony!

HRABINA.

Patrzaj, list!

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Umarł nasz dziadek...

HR. RESPEKT.

Co?!

HRABINA.

Dzisiaj w nocy.

HR. RESPEKT.

Ha!

RZECZNICKI.

Jesteś czerwony,
Jak upior! [1])

HR. RESPEKT.

Krew mi uderzyła w głowę
Jakby siekierą.

[1]) Całe to miejsce zadziwia i nasuwa różne przypuszczenia o hr. Respekcie. Zdaje się, że poeta nie miał tu jednak innéj myśli, jak tylko tę, że się hrabia wielce ucieszył z téj nowiny niespodziewanéj i nie umie ukryć radości swojéj z tego powodu. *(P. W.)*.

HRABINA.

Pokryj to wrażenie!

HR. RESPEKT.

To jest odmiana wielka!... i domowe
Rzeczy — —

HRABINA.

Schowajże, mówię, list w kieszenie
I nie pokazuj twarzy, bo ci z oczu
Ta śmierć wygląda i pójdzie pod wnioski.

HR. RESPEKT.

Czy wiedzą dzieci?

HRABINA.

Nie. — *(głośno)*. Może go w koczu
Można położyć?...

FANTAZY.

Cyt! Ten sen przedboski,
Który mu igra uśmiechem na twarzy,
Gdy anioł śmierci siwym włosem rusza,
Szanuj! On teraz o czémś takiém marzy,
Że pewnie, pewnie cała jego dusza
Jest jako słońce. — Cyt! oczy otwiera.
Majorze! oto jest z dziećmi Hrabina...

MAJOR.

Dajcie mi wody potiahnut' z giwera! *(pije)*.
Nu tak — jeszcze świat... W imię Ojca, Syna
I Ducha!... Proszę Hrabiny tu bliżéj
I dzieci proszę tu — koło mogiły...
Nie mógł ja ludzi kochać ani szczérzéj,
Ani otwarciéj, jak was. Syn Hawryły
Wołdemar Major, wasz dawny znajomy,
Serdecznie wasze serca umiłował.
Ot i odwiedził wasze dobre domy
Przyjaciel — i tu u was zanocował
Aż do prysudnych dni. — Kałmuk! szkatuła! —
(Kałmuk odchodzi).
Słuchaj Hrabina. Ja czerkieski plennik,
Porwany kiedyś dzieciątkiem z auła,
Taj zmoskalony — Grek, łotr i moszennik
(Odpusti mnie Boh!). Byłby i generał

Już, tak jak drudzy, by nie Murawiewy,
Z którymi ja był — człowiek i liberał,
Dopóki żyli... Dziś pod tymi drzewy
Ranny, ot wspomniał ja ich sobie czule,
Na własną patrząc krew. Ach! pod senatem
Gdyby ja był miał w sercu tutaj kulę,
Byłoby lepiéj — ufff! ze mną i z światem...
Ufff! Apostołów! ufff! ufff! Apostolczyk...

HRABINA.

Majorze!...

FANTAZY.

Cicho, Pani!...

MAJOR.

Ot ten kolczyk
Od Apostoła ja miał staréj matki,
Któréj kawałek przyniósł wtenczas drzewa
Od szubienicy, ufff! ufff! ufff! staruszka — —
Nu, tak ja potém przez Arakczejewa
Wyrobił sobie, że był bez łańcuszka
Posłan w sybirskie komendy w degradzie,
W upokorzeniu... Jak wy mnie poznali,
To ja w domeczku tam małym i w sadzie
Cały dzień trubku kurzył, a wy stali
Patrząc na smutek mój, że ja milczący
Nie odpowiadał wam, gdzie serce boli. —
Wot liberalność tu, jak żar gorący —
Wot czarny smutek był, wot méj niedoli
Była przyczyna! — Tak gdy panna śpiéwa
Piosenki smutne, to ja stojąc w kącie
Wspomniał, bywało, sobie Bestużewa,
Taj potém wspomniał, że ja stał przy loncie
I nie wypalił... Taka boleść była
Na sercu mojém wężem i kamieniem!
Kiedyście znali wy już mnie Hawryła,
Ja tam przed wami stał z upokorzeniem
I z trwogą, że wy mną biédnym gardzicie
Jak starym, siwym, durnym liberałem,
Który miał w ręku harmatę i życie
Carskie — i trzymał ogień nad zapałem,

Taj zadrżał, widząc w gwieździstym szeregu
Cara i główny sztab w tęczowych lentach,
Taj lont syczący przyłożył do śniegu,
Uczuł strach w sercu i w głowie i w piętach,
Taj paszoł w durnie — —

IDALIA.

Na Boga, Majorze!
Krew ci się rzuca z rany — mów spokojnie!

MAJOR.

Nu, tak to wszystko wielkie sądy boże!
Bo ja był kiedyś na tureckiéj wojnie,
Z Persami się bił, w kwarantanach służył,
I śmierci palcem dotykał — nie blady!
Nu, a przed carem wtenczas jednym stchórzył
I tak jak dziecko darmo oddał szpadę,
Gdy po nią przyszli —

(Kałmuk wraca na scenę ze szkatułą).

HR. RESPEKT.

Cóż to? chory gada?
Zabronić jemu... cóż? zabronić mowy!

MAJOR.

Nu, niech Pan Hrabia tu poważnie siada
I słucha, bo ja człowiek już grobowy
Mówię ostatkiem duszy. — Na Sybirze
Ja miał jednego sercem przyjaciela.
Tak my z nim często chodzili pod krzyże,
Na których imię Rumina, Pestela
I drugich — z tyłu jednego kościoła
Postawili my — na cichą pamiątkę...
Tak tam mojego pamięć Apostoła,
Którego kochał ja i lat dziesiątkę
Bez niego musiał żyć!.. i byłby skonał,
Gdyby żył dziesięć lat bez przyjaciela!
Nu, on zmocował mnie, sercem pokonał!
Apostoła ja stracił, a Chrzciciela
Dostał, katoryj mnie ochrestił łzami...
Tak cóż ja jemu dam, jak mnie nie stanie?...

(do Dyany).

Diewoczka, siuda! nu tak ty, z różami
Na ustach, stań tu ot przy tym ułanie

I tu rodzicom pokińcieś oboje,
A ja, ja z wami trzeci. — Kałmuk, siuda!
(wstając).
Nu ot ja, chociaż ranny, ot ja stoję
I wam do kolan ot... *(klęka).* Na boskie cuda!
Nie odmawiajcie!.. przez krew moję proszę,
Nie odmawiajcie!

HR. RESPEKT.

Lecz tu związki rodu — —

MAJOR.

Słuchaj! — Ja zebrał wielkie, wielkie grosze,
A sam żył z gaży, z mojego ogrodu,
Z domu... No — niegdyś w kwarantanach, srogi
Dla kupców, nu tak przyjął podwieczorek
I okręt sobie przepuścił przez nogi
Z żaglami, z masztem, a chwycił za worek,
Jak za kotwicę... Nu tak i basetla
I skrzypce na to wesele u żyda
Leżą w Hamburgu. — Graf! wot bankocetla —
(do Kałmuka).
Stupaj, stupaj procz! Niech Graf córkę wyda!
My milionery... pfu!!..

HR. RESPEKT.

Panie Majorze!
Tu pieniądz, chociaż w dosyć znacznéj sumie,
Jest niczém — —

MAJOR.

Nu ja znaju.

HRABINA.

Ach mój Boże!
Pan Major może myśli i rozumie — —

MAJOR.

Nu ja nie myślę nic...

HR. RESPEKT.

Bo nasze słowo
Ma pan Fantazy —

MAJOR.

Nu tak! pan Fantazy —
Ja przed nim pójdę moją siwą głową
W proch...

FANTAZY.

Stój na Boga! — W proch?.. Twoje rozkazy
Są jak aniołów. *(do Dyany)*. Ręka ta szlachetna
Nie była jeszcze moją — dotąd wolna!
Oczarowałaś mię, jak gwiazda świetna.
Sądzę, że Pani będziesz sercem zdolna
Ocenić powód, dla którego muszę
Tę rękę z mych rąk wypuścić na zawsze! —
(do Idalii).
Brat twój, Hrabino — dziś do Rzymu ruszę
I sądzę, że twe serce, najłaskawsze
Z serc, po królewsku obejdzie się ze mną,
Mniéj biorąc, niż dać mogę.

IDALIA.

Chcę szacunku.

FANTAZY.

Pani! przez tę śmierć, tak krwawą i ciemną,
Jestem człowiekiem ochrzcon!.. Pocałunku
W serce ten człowiek wart... Żegnaj, Majorze!
Przyślę doktora mego... miéj nadzieję!

MAJOR.

Nu tak już teraz Pan Hrabia nie może
Odmówić córki. Krew ze mnie się leje —
Ot, z boku mego krew strumieniem leci
I prosi — prosi łaski, zmiłowania!

HR. RESPEKT.

Majorze! — no to weź sobie te dzieci...

MAJOR.

Ha! ot i z Janem moim moja Dania
Na wieki! — Więcéj nie mogę!.. W pigułce
Téj pistoletnéj sto ognistych mieczy...
Dania — Jan — Dania — poszukaj w szkatułce...
Mnie się do niebios już...
(umiera).

HORSZTYŃSKI.

DRAMAT

W PIĘCIU AKTACH

(ZDEFEKTOWANY).

OSOBY:

Horsztyński, dawny konfederat.
Salomea, jego żona.
Świętosz, sługa domu Horsztyńskich.
Ojciec Prokop, kapucyn.
Hetman litewski.
Szczęsny, Michaś } synowie Hetmana.
Amelia, jego córka.
Ksiński, szlachcic
Karzeł, błazen
Sforka, stary sługa
Małgorzata, żona Sforki. } dworzanie Hetmana.
Sługa
Hajduk
Maryna, dziewczyna wiejska.
Nieznajomy.
Wyrwik.
Skowicz.
Garnosz, trombonista.

Rzecz dzieje się na Litwie w roku 1794.

AKT PIÉRWSZY.

SCENA I.

(W pałacu Hetmana na wsi).

SZCZĘSNY — AMELIA.

SZCZĘSNY.

Piosenki świata zaczynają się od falszywych akordów — a kończą się gwałtownem zerwaniem strun — stłuczeniem harfy...

AMELIA.

Smutny jesteś... zdziwaczałeś...

SZCZĘSNY.

Nudzę się.

AMELIA.

Szukaj zabaw.

SZCZĘSNY.

O!... nie potrzeba daleko szukać... Ojciec mój sprowadził mi dziesięciu arlekinów rewolucyjnych — otoczył mię płatnymi trefnisiami... i prawdziwie że nieraz dziecinniejąc śmieję się do rozpuku, powiązawszy te wszystkie karciane figury jedną nitką, która pociągniona nadaje skoczne ruchy i zwroty całéj psiarni darmojadów...

AMELIA.

Ojciec nasz nie może pojąć nagléj zmiany twojego charakteru i dlatego używa wszelkich sposobów, aby ciebie z nieczynnego życia obudzić, wyrwać i między ludźmi postawić na wysokim szczeblu...

SZCZĘSNY.

Ojciec ma dla mnie wysoki ojcowski szacunek...

AMELIA.

Jak to?...

SZCZĘSNY.

Szacuje mnie, jak Holender rzadkiego tulipana... szanuje mnie jako rzadką osobę, któréj nie płaci — a która go kochać musi.

AMELIA.

To więc ja powinnabym droższą jeszcze być dla ojca osobą, bo mnie nie kocha, a ja mu płacę miłością. Zdaje się, że wszelkie uczucia moje zamykają się w miłości dla ojca... Nie prawdaż, Szczęsny, że on dobry i wielki człowiek...

SZCZĘSNY.

Tak... hetman!... wielki, jak hetman...

AMELIA.

Pomyśl, bracie mój, że on podpiéra spróchniały tron Stanisława Augusta...

SZCZĘSNY.

Tak, on podpiéra tron Stanisława...

AMELIA.

Jakie ty dziwne echo masz w ustach...

SZCZĘSNY.

Trzy razy tylko powtarza twoje pochwały, a uwielbienie obcych ludzi ani razu.

AMELIA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Śmiesznie jest, kiedy syn ojca chwali... A potém, raz pochwaliłem ojca przy ludziach, to mi zaraz zapłacił... tureckim koniem...

AMELIA.

Cóż powiedziałeś ludziom o naszym ojcu?

SZCZĘSNY.

Co?... Oto mówiłem, że lepszy od brata swego, a nam stryja, Biskupa... bo nie włożył fioletowéj sukni —

AMELIA.

Stój! stój!... gorzki jesteś — i obrażasz dziewiczą i czystą wiarę siostry twojéj... Także nieszczęśliwy jest biédny starzec, że

w sercu syna nie ma dla niego poważnego uczucia, miłości, sprawiedliwego sądu?... Patrz na te siwe głowy starców, które się przed nim schylają — patrz na oznaki zasług błyszczące na jego piersiach... a potém rzuć okiem na twoję samotność — na nieczynność życia...

SZCZĘSNY.

Jestem niczém...

AMELIA.

Dlaczego nie starasz się zostać użytecznym?...

SZCZĘSNY.

Nie mogę — nie mogę... nie chcę...

AMELIA.

Ty masz jakąś tajemnicę... może miłość...

SZCZĘSNY.

Może miłość.

AMELIA.

Wyznaj mi wszystko, bracie miły... Ach! jak musi być szczęśliwa ta dziewica, którą ty kochasz... Ty nie odpowiesz jéj nigdy z gorzką ironią... ty musisz być przy niéj wzniosły i piękny. Ja znam duszę twoję, znam ją aż do najgłębszych uczuć i tajemnic... Gdybym nie była twoją siostrą, to musiałabym zostać twoją narzeczoną... albo... mniszką.

SZCZĘSNY.

Co ty mówisz?... Jestem taki roztargniony, że nie słyszałem ani słowa... Już późno... powoje błękitne w twoim wieńcu otwierają się na księżyc... Idź, siostro, i czytaj biblią, moja świętoszko...

AMELIA.

Dobréj nocy!... zawołaj maleńkiego Michasia braciszka, muszę go rozebrać — i zmówić z nim pacierz. Czy ty mnie nie pocałujesz za to, że twojego braciszka uczę modlić się za ciebie?...

SZCZĘSNY.

Dobrze robisz, że przez usta dziecka posyłasz modlitwy do nieba. Błogosławieni maluczcy...

AMELIA.

Czy mnie nie pocałujesz, bracie?...

SZCZĘSNY.

Nie.

AMELIA.

Dobréj nocy! *(odchodzi smutna).*

SZCZĘSNY.

Jak oświécone prawe skrzydło pałacu! Ojciec ucztuje w gronie pochlebników — i płaci za śmiech i żarty, bo żarty i śmiech stały się prawdziwie rzadkim towarem w Polsce... O smutek! smutek! Czasem jakaś błyskawica myśli pokazuje mi nicość wszystkiego, a nawet nicość saméj myśli, marzącéj o nicości... Czasem zdaje mi się, że świat wart małpiarskich przymileń się twarzy...

MICHAŚ *(wpada).*

Cha! cha! cha! braciszku!...

SZCZĘSNY.

Z czego się śmiejesz, chłopcze?...

MICHAŚ.

Przez dziurkę od klucza patrzałem do jadalnéj sali... Tata nasz z piórem brylantowém, piękny jak w książce obrazek Pana Boga...

SZCZĘSNY.

Gdzie twoja piastunka?

MICHAŚ.

W kuchni; a ja wolny jak ptaszek.

SZCZĘSNY.

Amelka czeka na ciebie — idź, zmów pacierz.

MICHAŚ.

Ale posłuchaj no, braciszku, co ja widziałem. Papa nasz nalał wielką dudkę szklaną — i zawołał: zdrowie naszéj Kasi!... Otóż kiedy zawołał: zdrowie naszéj Kasi, wszyscy wstali, jak świeczki — a jeden staruszek, biały jak gołąb, siedział na końcu stoła i nie wstał. Nasz Tata zamalował go w papę... paf!... i staruszek wywrócił się, jak moja drewniana lalka...

SZCZĘSNY.

Okropność! okropność!... *(chce wybiéc z sali).* Michasiu! gdyby twoja Mama żyła, płakałaby nad tobą!

MICHAŚ.

Za co?

SZCZĘSNY.

Idź mi zaraz, chłopcze, do siostry! To co widziałeś przez dziurkę od klucza, był to obrazek taki, jak ten...

MICHAŚ.

A dlaczego ludzie się ruszali?

SZCZĘSNY.

Ja ci powiadam, że Tata śpi — a to był obrazek... Idź i nie mów nic Amelce, bo się będzie śmiać z ciebie, że ty się śmiejesz z obrazka. Pocałuj Amelkę w czoło *(wtrąca go do pokoju Amelii)*. Ach te ściany — to prawdziwa Sodoma! Starca, że nie pił zdrowia północnéj nierządnicy, uderzyć w policzek? A gdybym ja ojca napiętnował znakiem?... Cicho!... Trzeba jednak tego starca ratować...

KSIŃSKI *(wchodzi)*.

Ojciec twój każe, abyś przyszedł na ucztę...

SZCZĘSNY.

A ten starzec? co się stało ze starcem?! Ksiński, idź powiédz zhańbionemu, niech tu przyjdzie — ja mu dam karabelę... i zemstę!

KSIŃSKI.

Nad ojcem?

SZCZĘSNY.

Syn za ojca stanie. Powiédz mu: że zrobię się starym, jak on — że będę miał drżącą rękę jak starzec... że... idź, powiédz mu, jeżeli ma dzieci, niech się o dzieci nie lęka.

KSIŃSKI.

Daj mi rękę...

SZCZĘSNY.

Czy ty myślisz, że gram komedyą?

KSIŃSKI.

Nie! bądź spokojnym o tego starca. Skoro twój ojciec uderzył go w policzek, zwalił się pod stół — a potém nagle skoczył na nogi i zaczerwieniony — —

SZCZĘSNY.

Co?... zarąbał... mego...

KSIŃSKI.

Nie! nie!... ukłonił się nisko — i rzekł: Dziękuję Jaśnie Oświeconemu Panu memu Hetmanowi, że mnie przebudził, bom był zasnął...

SZCZĘSNY.

Ha!... tak powiedział?!... czy śmiali się?...

KSIŃSKI.

Smiali się, jak waryaty...

SZCZĘSNY.

A ty?

KSIŃSKI.

Pomyślałem sobie, że czytał ewangelią... i śpiącemu śniło się, że był świętym Piotrem...

SZCZĘSNY.

Wróć na ucztę... i pij za mnie i za siebie...

. . . . . .

(Tu braknie w rękopiśmie karty).

. . . . . .

KARZEŁ.

...wyskoczy ci na połach munduru Adama krzyż albo klucz szambelański. Ręczam, że zezwoliłbyś na zieloną kuracyą...

KSIŃSKI.

Błaźnie, obiję!

KARZEŁ.

Bij — ale słuchaj! Będziesz, panie Ksiński, posłem z Medyolanu..?

KSIŃSKI.

Ale mię Sforka pozna...

KARZEŁ.

Ugalonujemy ciebie, jak zebrę, Panie Ksiński. Zjé dyabła, nim odkryje, że zebra jest Ksiński... On ciebie zawsze widział bez galonów i brał za Chrystusowego konia...

KSIŃSKI.

Wysmagam, psie!..

KARZEŁ.

Będę wysmugłym... a ty, Panie Ksiński, będziesz posłem z Medyolanu. Tylko jeżeli ciebie zaprosi pan Sforka na obiad, to nie jédz nic prócz sałaty — bo pan Sforka przekonany, że Włochy żyją liściami...

KSIŃSKI.

Powiédz mi, karle, coś odkrył w postępowaniu pana Szczęsnego; a może pohandlujemy z tobą słowem d o b r z e...

KARZEŁ.

Odkryłem, że pan Szczęsny kocha się.

KSIŃSKI.

W kim?

KARZEŁ.

Wróciwszy tu z Warszawy, pan Szczęsny przepędzał dnie całe w łódce na stawie, wywrócony twarzą do nieba. Otóż razu jednego na staw nasz przyleciało parę białych łabędzi. Pan Sforka zagrabił je, jako należące do pana Horsztyńskiego z pobliskiéj wioski, z którym Pan Hetman ma jakieś zatargi. Pani Horsztyńska przyjechała sama nad staw nasz kolaską — i pan Szczęsny oddał na prośbę jéj białe ptaszki. Ale tak długo rozmawiali o łabędziach, że... etc. etc...

KSIŃSKI.

Któż jest ten pan Horsztyński?

KARZEŁ.

Stary konfederat barski. Wpadł niegdyś w ręce Drewicza, i Moskale zaprowadzili go do kościoła — położyli krzyżem na wznak i gromnicami zapalonymi kapali na oczy. Dziś nie potrzebuje okularów.

KSIŃSKI.

I Pan Szczęsny przyprawił mu to, czego w zwierciedle mężom nawet nie ślepym widzieć nie można... Jakże? ten stary ma młodą żonę? bo młoda być musi...

KARZEŁ.

Była to biédna dziewczyna, wychowana w klasztorze. Matka jéj zwaryowała i znaleziono ją utopioną w rowie błotnistym. Doktor przepowiedział, że młoda panna Salomea wzięła dziedziczne usposobienie do melancholii, i dla tego panienka, mająca za posag expektatywę waryacyi, nie mogła się spodziewać męża młodego — ani bogatego. Pan Horsztyński, ani młody ani bogaty, ofiarował jéj swoję rękę... i dziś... żałuje może dawno pierścionka więcéj, niż wykapanych gromnicami oczu. Ale sądzę, że starzec nie wié o niczém, bo pan Szczęsny zgrabny chłopak w takich rzeczach.

KSIŃSKI.

Powiédzże mi, moja beczułko śledzi holenderskich, co to ma obchodzić pana Hetmana, że pan Hetmanowicz zbałamucił żonę ślepego człowieka?..

KARZEŁ.

Panie Ksiński, zgódź się naprzód na to, że ja mam więcéj rozumu od ciebie.

KSIŃSKI.

Rzecz nie dowiedziona!

KARZEŁ.

Wszakże nie jesteś zupełnie, Panie Ksiński, pozbawiony zdrowego rozsądku. Mów zatém, że szukasz rozumu, gdziekolwiek bądź sądzisz, że się znajduje.

KSIŃSKI.

Z czego to wnosisz?

KARZEŁ.

Kiedy wczoraj dano kurczęta, uważałem, że z wielką rozwagą wyjadałeś móżdżki w głowach kurczęcych...

KSIŃSKI.

Dalibóg, że ten błazen kpi ze mnie...

KARZEŁ.

Panie Ksiński, jakże można tak posądzać? a, wstydź się!

KSIŃSKI.

Pamiętaj, że ze mną niebezpiecznie...

KARZEŁ.

Boję się ciebie, bo jak się wyciągniesz, to podobny jesteś do pamfila.

KSIŃSKI.

A ty krótki! ty niźniku — ty kulko!...

(wybiega za uciekającym karłem).

SCENA II.

(Skromny pokój szlachecki w domu Horsztyńskiego).

KSIĄDZ KAPUCYN *i* HORSZTYŃSKI.

HORSZTYŃSKI.

To powiadasz, że moja szkółka owocowa dobrze podrosła?

KSIĄDZ.

Renety i bery szare już kwitną.

HORSZTYŃSKI.

Jesienią, mości księże, będziemy z sobą dzielić czerwone jabłuszka.

KSIĄDZ.

Jeśli Bóg da doczekać.

HORSZTYŃSKI.

Tak, jeśli Bóg da doczekać! Czy nie widziałeś gdzie Salusi?

KSIĄDZ.

Żona twoja chodzi sama jedna po lipowéj alei.

HORSZTYŃSKI.

Księże, straciłem oczy i widzieć nie mogę jéj anielskiéj twarzy. Czy ona zawsze tak piękna, jak była?

KSIĄDZ.

Zdaje mi się, że zawsze piękna.

HORSZTYŃSKI.

Ale nie tak wesoła, jak niegdyś...

KSIĄDZ.

Dosyć zawsze wesoła. — Czy chcesz, Panie Horsztyński, to ci przeczytam jaki rozdział z pamiętników Janczara.

HORSZTYŃSKI.

Dziękuję, księże... już późno. Słuchaj, zdaje mi się, że żona moja nie tak wesoła, jak dawniéj...

(chwila długa milczenia).

KSIĄDZ.

Mówią, że wielka jest niespokojność między wileńskim ludem. Coś nowego gotuje się w garnku.

HORSZTYŃSKI.

Nie mów mi o tém, księże —

KSIĄDZ.

A gdyby téż Wilno powstało...

HORSZTYŃSKI.

To mu gromnicami wykapią oczy.

KSIĄDZ.

Może się uda...

HORSZTYŃSKI.

Księże, nie masz nadziei, że będziemy jedli czerwone renety z mojéj szkółki — a spodziewasz się owoców na spróchniałém drzewie!... Słyszysz, ktoś nadjeżdża konno...

KSIĄDZ.

Młody hrabia.

HORSZTYŃSKI.

Dobrze, pogawędzimy sobie.

KSIĄDZ.

Lubisz tego młodzieńca?

HORSZTYŃSKI.

Głos jego przypomina mi... Potém ci powiem, księże, dla czego lubię dźwięk głosu Szczęsnego... Jutro będę się komunikował.

KSIĄDZ.

Ten młodzieniec jest wielkim, ale niedokończonym tworem Opatrzności...

SZCZĘSNY *(wchodząc)*.

Witam cię, Panie Horsztyński! Jak się miewasz, ojcze Prokopie?

HORSZTYŃSKI.

Siadaj, mój sowizdrzale! Cóż? nic nie przynosisz nowego?

SZCZĘSNY.

Nic

HORSZTYŃSKI.

Powiédz mi, jakże tak żyć na świecie, nie wiedząc o niczém?

SZCZĘSNY.

Tak, jak gdybym spytał ciebie, Panie Horsztyński, jak ty żyjesz, nie patrząc na nic?

KSIĄDZ.

Młodzieńcze! źle, że przypominasz kalectwo...

SZCZĘSNY.

Przez zazdrość — przez zazdrość...

HORSZTYŃSKI.

Widzisz, księże, że mi ktoś jeszcze na świecie zazdrości.

SZCZĘSNY.

Ten, komu wypalano gromnicami wielkości oczy rozumu — oczy nadziei... który w krainie myśli błądzi jak ślepy... Ty musisz mieć piękne, słońcem oświécone wspomnienia, Panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI.

Tak, mam miłe wspomnienie... Raz koło Baru, na wielkiém polu, przychodziło do walki z Drewiczem. Piękny był ranek—

tak cicho. Skowronki tylko śpiéwały — na prawo był lasek brzozowy — za nami,

(Wchodzi SALOMEA *i staje cicho —* SZCZĘSNY *słucha starca i oczy ma zakryte dłonią).*

HORSZTYŃSKI (*mówi daléj*).

Mości panie, było miasteczko z blaszanymi wieżami. Dowodziłem całą jazdą... Marsz, marsz!.. Pomyślałem sobie, co teraz robi moja żona?... Spojrzałem na zégarek, bo jeszcze miałem oczy, na zégarku była piąta godzina... Ha! żona moja śpi, spokojna jak dziecko, ani wié, że tu jéj stary mąż, jak młody chłopiec, z rozwianymi włosami, z dobytym pałaszem krzyczy: marsz! marsz!... Myślałem, że zginę, a żona moja będzie spała spokojnie w godzinę śmierci mojéj... Było mi smutnie i miło... Ha! jeszcze mi wtenczas przyszło do głowy jakieś dziwne zachcenie; chciałem był mieć przy sobie białego gołębia z mojéj wioski. Nie, nie! to po wygranéj bójce, kiedy odpoczywałem w lasku brzozowym, przyszło mi takie zachcenie, żeby to wysłać gołąbka z listkiem, ołówkiem napisać — buzi, moja Sally!... Mości panie, zbiliśmy wtenczas dwa kara bataliony na miazgę...

SZCZĘSNY.

Muszę ciebie pożegnać, Panie Horsztyński. Przypomniałem sobie, że mnie w domu czekają dwa kara bataliony przyjaciół z szampanem. *(Wstaje i spotyka się z Salomeą).* Ha! Pani...

HORSZTYŃSKI.

Co? żona moja słyszała?... Jak ty cicho weszłaś, moja Salusiu... będziesz się śmiała z męża gaduły, co chciał wysłać gołąbka...

KSIĄDZ.

Jak ona zbladła.

SALOMEA.

Nigdy mi o tém nie opowiadałeś, mój mężu.

HORSZTYŃSKI.

A kiedy, a kiedy... Słuchajcie mnie, bo i to wspomnienie nie może zawsze leżeć w sercu mojém... Kiedy mię wzięto w niewolę... wieczorem, wieczorem to było... dwóch Moskalów prowadziło mię do kaplicy — pamiętam... cmentarz cały ocieniony lipami... na cmentarzu — okropnie!... dwudziestu moich żołnierzy zakopanych w mogiłach po szyję. Moskale kosili głowy... skoszone głowy toczyły się czasem pod moje nogi... Jedna spoj-

rzała na mnie, przysięgam wam, że spojrzała na mnie!... A pod wielką lipą ujrzałem jakiegoś białego człowieka... nagi — stary. — Na piersiach miał wycięte mieczem wyłogi — w ciele wycięte wyłogi ułańskiego munduru. Spojrzał na mnie i rzekł: — Żegnaj mi, Panie Horsztyński. Nic mu nie odpowiedziałem. Bóg mię skarze w godzinę śmierci mojéj za to, że nic nie odpowiedziałem temu człowiekowi w godzinę męki... Ale bo téż ja nie mogłem rozpłakać się jak dziecko. — Był to Grzegorz, stary rybak z pobliskiéj wioski. Musiałeś go znać, Panie Szczęsny? to twój chłop...

SZCZĘSNY.

Rybak... Grzegorz...

KSIĄDZ.

Co tobie, młodzieńcze?...

HORSZTYŃSKI.

Bądź tam dobry dla jego dzieci!... jeżeli ma dzieci.

SZCZĘSNY.

Rybak... Grzegorz...

HORSZTYŃSKI.

Wszak musisz wiedzieć, jego chata naprzeciw pałacu, na drugim brzegu Wilii; musisz wiedzieć... czy on ma dzieci?...

SZCZĘSNY.

Ma... córkę.

HORSZTYŃSKI.

Czy hoża dziewczyna?... wydaj ją za mąż, dam ze sto złotych na krówkę.

SZCZĘSNY.

Powiédz mi, Panie Horsztyński — jakiego uczucia doznawałeś, kiedy ci gromnicami oczy wysmalano?

HORSZTYŃSKI.

Z razu ból wielki — potém niby kłucie szpilek. A kiedy zdzierano z rzęsami skorupę zastyglego wosku, aby... Czy żona moja jest w pokoju?...

KSIĄDZ.

Niech kobiéta wycierpi słuchem, co inni wycierpieli ciałem! Mów, Panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI.

Wy, księża, zawsze chcecie, aby ludzie cierpieli dla niczego; dosyć, niech umieją cierpieć, kiedy potrzeba... Sally! dalibóg myślałem wtenczas o tobie... myślałem, że już nigdy nie zobaczę

ciebie oczyma — że głosek twój będzie jak śpiéw niedojrzanego w niebie skowronka...

SALOMEA.

O anieli niebiescy! czemużeście wy nie bronili?...

HORSZTYŃSKI.

Czy ty myślisz, Salusiu, że ten świat podobny do moskiewskiego obrazu w cerkwi, gdzie Abraham ze strzelby mierzy do syna Izaaka, a zaś anioł z nieba leje dzbankiem wody na panewkę, aby nie spaliło...?

SZCZĘSNY.

Bóg się nie mięsza do wypadków światowych. — Słuchajcie, kiedy byłem paziem króla Stanisława, raz zrobiłem okropny występek... Oto na Bielanach w ptaszkarni księżny Sapieżyny zacząłem rąbać pawie i papugi — podchmieliłem był sobie solennie!... Dalibóg, żaden anioł z palmą nie stanął w obronie biédnych ptaszków! Okropna była rzeź. — Nazajutrz sławny byłem w Warszawie, jak książę Józef... Cha! cha! cha! nie śmiejcie się Państwo... Chciałem wam pokazać, żem wielki człowiek... Wszak, księże, miałeś o mnie wielkie i zarozumiałe wyobrażenie... Chciałem, żebyś dziś uwierzył, że ja jestem, czém jestem... Jakiś Francuz w napisanéj podróży o Polsce czyn mój umieścił... będę żyć na wieki wieków... cha! cha! nie prawdaż?... Dodajcie jeszcze, że miałem taki faeton jak książę Józef Poniatowski, i Francuz umieścił opis faetonu w swojéj podróży...

SALOMEA.

Pan żartuje z nas smutnie...

SZCZĘSNY.

Na Boga! to wszystko prawda!... Przyniosę Pani książkę, będziesz łaskawa przeczytać mężowi kart kilka o moich dziełach.

SALOMEA.

Pan Hrabia był dzieckiem.

SZCZĘSNY.

Byłem rozumniejszy od wielu starych. Sława to piękna rzecz; warto na nią pracować... Czyny ludzi dają blask krajowi.

HORSZTYŃSKI.

Młodzieńcze, rozumiem ciebie... Dajesz mi wieniec laurowy na moje siwe włosy.

SZCZĘSNY.

Ja? ja? ja?... Powiem ci szczérze, że gdybym nie był mną, chciałbym być tobą, Panie Horsztyński. Ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywięzują się do tego słowa j a... oprócz kobiét, które przywięzują się czasem do słowa m ó j... Ale źle robią — źle robią...

KSIĄDZ.

Salomeo! idź przygotuj dla męża szarą polewkę.

SALOMEA.

Zaraz... O! nie teraz...

SZCZĘSNY.

Kobiéty biorą nas za aniołów, a potém musimy z największém wysileniem grać komedyą, aby się utrzymać na jednéj nodze na wysokiéj kolumnie, na któréj nas postawiły. Każde słowo rzucamy z bojaźnią, aż nareszcie znudzeni rzucamy się z kolumny w błoto... Od razu trzeba zakończyć z miłością własną... i być sobą... niczém...

HORSZTYŃSKI.

Do czego zmierzasz ironią taką?...

SZCZĘSNY.

Nie! zamiast kobiéty, położę słowo księdza. Mości Prokopie, wiele nocy nie spałem myśląc o tém, coś mi powiedział; a powiedziałeś: widzę w tobie wielkiego człowieka. Z razu postanowiłem dążyć ciągle do téj wielkości, nareszcie znudziło mnie napięcie niezgrabne przyrodzonych władz — przerabianie ciągłe nicości na wielkość olbrzyma. Na Boga, powiédz mi, że zmieniłeś swoje zdanie, bo chcę spać spokojnie... Znudzony jestem, starając się myśleć tak, jak ludzie sądzą, że ja myślę... Dusi mię maska, którą mi na twarz włożono... Ludzie krępują nas nitkami pochwał, i człowiek mija się z drogą swego przeznaczenia, nie śmiejąc rozerwać słabych węzłów. Pan Horsztyński opowiadał o wielkich cierpieniach; słuchałem wtenczas uderzeń mego serca... i na Boga! — co uczułem w sercu, powiedzieć nie mogę... Coś okropnego urodziło się we wnętrznościach mojéj myśli... jakaś szalona duma...

HORSZTYŃSKI.

Obróć ją ku dobremu celowi!

SZCZĘSNY.

Trzeba mieć charakter, Panie Horsztyński... Trzeba się naprzód nauczyć ludziom nie zazdrościć, a ja czasem zazdroszczę

pastuchowi, co grzeje swoje ręce przy ognisku rozpaloném w głębi lasu. A czasem zazdroszczę królowi Stanisławowi, że w teatralnym ubiorze siedzi na tronie izby poselskiéj. Pokażcie mi jaki cel, coby zaspokoił te dwie dziwne zazdrości!... Trzeba być aktorem krotochwili i tragedyi.

SALOMEA.

Pan dziś jesteś, jak moja biédna harfa. Muzyk z Wilna nie przyjechał i nie naciągnął strun... Chciałam grać wesołą piosenkę mężowi, a z rozstrojonéj harfy wychodziły tak dzikie tony, że nie mogłam dokończyć.

SZCZĘSNY.

I rozpłakałaś się może Pani, że harfa tak dziko grała...

HORSZTYŃSKI.

Widzisz, jak pan Szczęsny zna ciebie, Sally...

SZCZĘSNY.

Biada kobiétom, które słuchają nadto długo szumu płaczącéj brzozy, albo śpiéwu słowika!... Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku, poezyą.

SALOMEA.

Chciałabym znać naszych słowików...

SZCZĘSNY.

Zimna woda — letnia woda... rymowana!... Przyniosę Pani bajki Krasickiego i strofę:

„Święta miłości kochanéj ojczyzny,
Czują cię tylko...“

Panie Horsztyński, zapomniałem, że ty nie umiesz smakować w poezyi, nie umiesz czuć wdzięku...

HORSZTYŃSKI.

Lubię hymn: Święty Boże — Święty mocny!...

SZCZĘSNY.

Nie ma rymów, nie ma rymów! — Ja wolę słuchać rymowanego galopu mego konia, niż poezyi bez rymów!... Żegnaj mi, sąsiedzie!

SALOMEA.

Pan siostrze zawiezie bukiet naszych kwiatów.

SZCZĘSNY.

Moja siostra lubi tylko belles-de-nuit, dla tego że się po francusku nazywają.

SALOMEA *(zdejmuje z warkocza jednę).*

Więc niech jéj Pan ten kwiatek zawiezie — chciałabym kiedy widzieć moję klasztorną przyjaciółkę...

SZCZĘSNY.

Bardzo zatrudniona! wyszywa na kanwie historyą mego ojca czerwonym jedwabiem, i uczy pacierza mojego maleńkiego braciszka... Dobréj nocy! *(odchodzi).*

HORSZTYŃSKI.

Księże, co mówisz o tym młodzieńcu?

KSIĄDZ.

Widzę, że w jego sercu jest jakaś okropna walka.

HORSZTYŃSKI.

Sądzisz, że ojciec nakłania go do jakiego przestępku przeciw sumienia i dobréj sławy?

KSIĄDZ.

Słyszałem, że Hetman zbiéra silną partyą; dom jego pełny płatnéj namówionéj zgrai...

HORSZTYŃSKI.

Czas, księże, użyć tych papiérów.

KSIĄDZ.

Jutro... Sam pojadę do Wilna...

HORSZTYŃSKI.

Salomeo, odprowadź mnie od mego pokoju.

SALOMEA.

Księże, oto jest twoja latarnia, zapalona... Chodź mężu!— Dobréj nocy, ojcze! *(odchodzi z Horsztyńskim).*

KSIĄDZ.

Ta kobiéta zgubiona... *(wychodzi).*

SCENA III.

(Sala w domu Hetmana).

(Wchodzi HETMAN *i* KSIŃSKI).

HETMAN.

Więc to pewném jest, co mi Acan powiadasz o moim synie?

KSIŃSKI.

Niestety...

HETMAN.

Czy przypadkiem Waszmość nie jesteś żonaty?

KSIŃSKI.

Nie, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Ha, bo widzi mi się, że bardzo ubolewasz nad losem małżonka. Nie zapomnę o tobie, Mości Ksiński. — Zawołaj mi mego karła albo Sforkę. Muszę niektóre z nimi załatwić interesa...

KSIŃSKI.

Nie mogęż ja usłużyć Hrabiemu?

HETMAN.

A to właśnie każę Acanu zawołać moich ludzi.

(Ksiński wychodzi).

HETMAN *(sam).*

Ha, Panie Horsztyński! jeszcze jedna broń przeciwko tobie! Gdzie twoje stare serce, Panie Horsztyński? nauczę ciebie cierpieć — (*Wchodzi* SFORKA). Pójdź tu, Sforka... Posłałeś ludzi do miasta?

SFORKA.

Szpieguję, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Trzeba zająć szewców i krawców wileńskich. Sprowadź tu ze dwieście tych pijaków i każ im szyć w zamku liberyą nową dla ludzi.

SFORKA.

Jutro poślę pięć ławek zaprzężonych po tę hołotę.

HETMAN.

Wybierać najśmielszych — i najburzliwszych!

SFORKA.

Prochy sprowadzone.

HETMAN.

Wiele?

SFORKA.

Dziesięć beczek i dwa jaszczyki ruskie.

HETMAN.

Gdzie je złożono?

SFORKA.

Na téj wieży.

HETMAN.

Kto mustruje moję legią?

SFORKA.

Pan Horda.

HETMAN.

Nakaż mu, niech zawsze zamyka bramy w tylnym dziedzińcu, gdzie się odbywa mustra. Nikt teraz nie zaziéra do tego dziedzińca? — czy dobrze pilnujesz Acan?

SFORKA.

Od czasu, jak jaśnie wielmożny Hetman zastrzelił tego kuchtę, co przez ciekawość wysunął głowę z bocznéj strzelnicy...

HETMAN.

Myślałem, że to był kot.

SFORKA.

Prawda, jaśnie wielmożny Panie! w kociéj chodził czapce nieboszczyk kuchta... Otóż ja znów wrócę do dawnéj piosenki: życzyłbym Panu Hrabiemu wykarczować las koniecznie... i zbudować osadę braci morawskich — poczciwi ludzie!... sto chat przyniesie czynszu na rok dwadzieścia tysięcy złotych polskich... Drzewa handlowego...

HETMAN.

Potém, potém o tém!... Czy nie widzisz, Panie Sforka, że ja coś mam ważniejszego w głowie?

SFORKA.

Polityka, jaśnie wielmożny Panie!... znam się i ja cokolwiek na polityźmie. Życzyłbym Panu Hrabiemu...

HETMAN.

Dobréj nocy... co?

SFORKA.

Nie! jest ważna rzecz w zamku, która może obrazić Najjaśniejszą panią Carową, jeżeli się dowié.

HETMAN.

Co takiego w zamku moim?

SFORKA.

Oto jaśnie wielmożny Pan wié, że na téj wieży jest zégar tak mechanicznie ukształcony, że po uderzeniu godziny dwunastéj w południe lub w nocy wyskakuje Pogoń litewska i pałaszem rąbie orła rosyjskiego. To może właśnie obrazić Najjaśniejszą Panią.

HETMAN.

Cha! cha! cha!... stary polityku! — Dziękuję ci bardzo, że tak ułatwiasz mi drogę wielkości... Prawdziwie, że rozsądny jesteś i przezorny.

SFORKA.

To ja każę, najjaśniejszy Panie, zégar wygrzebać z muru.

HETMAN.

Ani się waż, głupcze! Ten zégar bawił mnie, kiedy byłem dzieckiem. Pilnuj kur, Mości Sforka. I ty, stary, bawiłeś mnie, kiedy byłem dzieckiem — dlatego siedzisz w murze pod zégarem.

SFORKA.

To już, kiedy Pan Hetman łaskawie mię traktuje, muszę mu udzielić jednéj wiadomości. Oto spada na mnie fortunka.

HETMAN.

Skąd... po jakim siwoszu?

SFORKA.

Jak z nieba.

HETMAN.

Winszuję... idź spać!

SFORKA.

Czy jaśnie wielmożny Pan zastanowił się kiedy nad mojém nazwiskiem, jak mówi jeden uczony mój przyjaciel — estymologicznie?...

HETMAN.

Estymuję...

SFORKA.

Jaśnie wielmożny Pan słucha tak łaskawie, że mi się usta zamknąć nie mogą... Oto nazwisko moje pochodzi...

HETMAN.

Od — od?...

SFORKA.

Od Sforcyi...

HETMAN.

Głupi siwoszu! Ojciec twój czy dziad był psiarzem w domu mojego ojca czy dziada, i psy wiązał na sfory, i od tego nazwano ciebie Sforką. — Idź, bo mię już nudzisz. Niech teraz karzeł przyjdzie do mego sypialnego pokoju odmówić ze mną litanią.

SFORKA.

Natychmiast, jaśnie wielmożny Panie! *(odchodzi).*

HETMAN.

Za kilka dni wszystko się rozwiąże. Bogdaj tylko syn mój chciał stanąć na czele!... Za kilka dni wszystko się rozwiąże... Dlaczego te psy tak wyją smutnie na moim dworcu?... Te psy wypędzą mię do mojego pałacu w Wilnie... Czyny wielkie zawsze są ponure barwą i smutne nastręczają myśli... (KARZEŁ *wchodzi*). Chodź, karle!...

KARZEŁ.

Czy śmieszyć Pana, czy cicho siedzieć i w pięty skrobać?

HETMAN.

Chodź mówić litanią. *(odchodzą).*

SCENA IV.

(Noc. Ogród nad Wilią. Na górze widać biały wielki pałac, na drugiéj stronie Wilii chatę rybacką).

SZCZĘSNY *(sam).*

Patrząc na te gwiazdy, dusza moja wyrywa się do nieba. Gdyby rozszerzenie i wzniosłość myśli, jaka przelatuje błyskawicami przez moję duszę, były naturalnym stanem człowieka i nie znikały ze słońcem: człowiek ten byłby wielkim bohaterem, a przynajmniéj byłby szczęśliwy uczuciem wewnętrznem wielkości i dumy!..

GŁOS DALEKI.

O! ho!...

SZCZĘSNY *(świszcze).*

To on... Nie spóźnił się o kwadrans!... *(Przypływa łódka — Nieznajomy człowiek w szerokim płaszczu wysiada na brzég).*

NIEZNAJOMY.

Czekałeś na mnie?

SZCZĘSNY.

Krótko.

NIEZNAJOMY.

Namyśliłeś się?

SZCZĘSNY.

Głęboko — i płasko...

NIEZNAJOMY.

Czy możemy liczyć na ciebie?

SZCZĘSNY.

Nie.

NIEZNAJOMY.

Ale ja ci zaręczam, że nasza sprawa pewna.

SZCZĘSNY.

Więc ja wam niepotrzebny.

NIEZNAJOMY.

Niepotrzebni są przeciwko nam!...

SZCZĘSNY.

Niepotrzebni jednak muszą żyć, bo nie wiedzą, jak być na świecie, a nie zajmować dwóch stóp ziemi. Człowiek, póki żyje, dwie tylko; jak umrze, sześć stóp potrzebuje miejsca... Pokaż mi jakie Eldorado dla niepotrzebnych ludzi, a będę ci bardzo wdzięczny. Wystaram się o obywatelstwo w kraju niepotrzebnych...

NIEZNAJOMY.

Nie wiem, co mam o tobie myśléć, Panie kolego.

SZCZĘSNY.

Myśl o mnie tak, jak ja o sobie myślę... Raz zdaje mi się, że jestem zanadto wielki, abym mógł skonać na bruku między bijącą się zgrają — i przeciąć niewiadomą śmiercią życie przeznaczone do wielkich czynów. Drugi raz zdaje mi się, że jestem tak mały — tak mały, że nie ma czém nabić harmaty...

NIEZNAJOMY.

Poświęć się wielkiéj sprawie, a urośniesz z wypadkami...

SZCZĘSNY.

Otóż tu nieszczęście, że wypadki wydają mi się raz tak wielkie, że nie śmiem stanąć przy posągu olbrzyma, bojąc się, aby mnie ludzie nie wzięli za karła; drugi raz wypadki wasze zdają mi się tak małe, że boję się rozgnieść ludzi, chodząc nieuważnie.

NIEZNAJOMY.

Bądź zdrów! — Szkoda mi ciebie.

SZCZĘSNY.

Gdybym co zaczął, skończyłbym... To biéda, że nic zacząć nie mogę. Gdybym był Rzymianinem, zacząłbym od okropnéj rzeczy... Wczoraj śniło mi się o niéj, a oczy miałem otwarte...

NIEZNAJOMY.

Masz teraz twarz zabójcy!

SZCZĘSNY.

Okropniejszą! Znów mi się śni... Bądź zdrów! bądź zdrów!.. Mam tutaj rendez-vous miłosne...

NIEZNAJOMY.

Żal mi ciebie, Szczęsny!

SZCZĘSNY.

Nie żałuj! nie żałuj! ja używam życia...

NIEZNAJOMY.

Więc nie chcesz być z nami?

SZCZĘSNY.

Nie chcę... nie mogę...

NIEZNAJOMY.

Koledzy moi osądzą ciebie tchórzem...

SZCZĘSNY.

Będzie to bardzo zasmucać mego ojca...

NIEZNAJOMY.

Sądzę, że jeszcze się zobaczymy razem... Masz czas do utra... Bądź zdrów! *(odchodzi).*

SZCZĘSNY.

To jest przecie — to się nazwać może postanowieniem... Odrzucam dziś od siebie mary. — Ty, kwiatku błękitny, zwiędły we włosach Sally, rzucam ciebie także na fale — to się nazywa także postanowieniem. Jak się te rybki pluszczą wesoło na błękicie rzeki!... *(Woła:)* Maryno!

(Słychać głos).

Płynę.

SZCZĘSNY.

Jak Nereida.

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Pokój w domu Horsztyńskiego).

HORSZTYŃSKI *i stary sługa* ŚWIĘTOSZ.

HORSZTYŃSKI.

Gdzie moja żona?

ŚWIĘTOSZ.

Pani wyszła o wschodzie słońca do celi księdza Prokopa — zapewne komunikować się.

HORSZTYŃSKI.

Świętoszu, nabij moję dubeltówkę!...

ŚWIĘTOSZ.

Pan dawniéj lubił z ptaszynki strzelać...

HORSZTYŃSKI.

Jakże ty chcesz, mój stary, żebym ja strzelał teraz ślepy? Dubeltówka nie na ptaszki!... nabij ją kulami...

ŚWIĘTOSZ.

Cóż Pan zamyśla?

HORSZTYŃSKI.

Pan Hetman ma przyjechać do mnie w odwiedziny...

ŚWIĘTOSZ.

Co? Jaśnie wielmożny Hetman w naszym domu? A weźże Pan przecie pas złoty...

HORSZTYŃSKI.

Nie trzeba, nie trzeba... Słuchaj! nabijesz dubeltówkę i staniesz tam za ścianą w ciemnéj alkowie. Jeśli zaświszczę barską piosenkę — pal!

ŚWIĘTOSZ.

Jezus! Marya! Józef!

HORSZTYŃSKI.

Pal mu w łeb z dwu rur!...

ŚWIĘTOSZ.

Jak Pan zaświszcze barską piosenkę?

HORSZTYŃSKI.

Tak.

ŚWIĘTOSZ.

A może Pan i chrześcijańską rzecz radzi! .. Mówią ludzie, że ten złotowielmożny pan coś zwąchał się z Moskalami.

HORSZTYŃSKI.

Idź, idź! bo zdaje mi się, że słyszę turkot powozu... cicho!... i nie pokazuj się!... W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!... Czyńmy, jak należy... (ŚWIĘTOSZ *odchodzi*).

Śmierć będzie między mną a twoją wściekłą ręką, Hetmanie! Nie przyszedłem jeszcze na to, aby mię hańbiono w moim własnym domu...

(HETMAN *wchodzi bogato ubrany*).

HETMAN.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

HORSZTYŃSKI.

Na wieki wieków, amen.

HETMAN.

Sam jeden, jak tego wymagałeś po mnie, przyjeżdżam do ciebie, Mości Horsztyński, gotów ofiarować ci moję rękę.

HORSZTYŃSKI.

Ślepy jestem; nie wiém, czy mam moję dłoń na wschód, czy na północ wyciągać, aby się spotkała z twoją dłonią...

HETMAN.

Więc sądzisz, mój Horsztyniu, że ja zawsze trzymam z północą...

HORSZTYŃSKI.

Niech ciebie Bóg sądzi, panie Hetmanie.

HETMAN.

Horsztyński, wiém, że masz powierzchowne dowody...

HORSZTYŃSKI.

Na piśmie!...

HETMAN.

Tak! zabrawszy obóz Moskali, znalazłeś między gratami jakieś pismo, napisane może umyślnie na to, aby mnie oszkalować w oczach ziomków. Może umyślnie nawet dali sobie Moskale zabrać wojenne sprzęty, aby to pismo wpadło w ręce Polaków...

HORSZTYŃSKI.

Straciłem dwustu ludzi, mości Hetmanie, biorąc ten obóz umyślnie porzucony.

HETMAN.

Być może! być może!... Ale ja ci przysięgam, Horsztyński, że nic nie wiedziałem o tym szelmowskim papiérze... Chcieli mnie zgubić! — A ty pomyśl... Wiedząc, że pismo takie jest w rękach mojego wroga, muszę się rzucać w przepaść, bo najczystsze moje zamiary, najświętsze postępowanie może nie przydać się na nic, skoro siwy starzec, nie przy zdrowym rozumie, zechce zwalić mnie tą oszczerczą bronią...

HORSZTYŃSKI.

Łagodniéj, Panie Hetmanie, z wrogiem twoim!... wiész, że nie jest przy zdrowym rozumie...

HETMAN.

Horsztyński! niech nasze dawne zatargi pójdą w zapomnienie! Wszak tyś mnie piérwszy obraził...

HORSZTYŃSKI.

Wydarłeś mi ją...

HETMAN.

Ty mi wydarłeś jéj miłość! Słuchaj, hańba mojéj małżonki żyje w moim domu i nazywa się moją córką...

HORSZTYŃSKI.

Hetmanie! gotów jestem na kolanach błagać ciebie, abyś nie rzucał przekleństw na jéj mogiłę... Śmierć jéj była okropna...

HETMAN.

Ha! okropna!... Widzisz, że nasze dwa serca połączone są okropną tajemnicą. Oddaj mi papiéry! Daj! niech moje ręce mają co rwać i targać, bo kiedy patrzę na ciebie — —

HORSZTYŃSKI.

Ciszéj — na Boga!

HETMAN.

Jutro nie przyjdę do ciebie, stary — po co dziś przychodzę...

HORSZTYŃSKI.

Choćbyś umarł, cień twój będzie klęczał na progu mojego domu co północy, błagając mnie o ten dowód okropnéj — okropnéj zdrady.

HETMAN.

Tak myślisz?... Są wysokie góry, na które człowiek może wejść i być niedosięgnionym przez pociski ludzkie...

HORSZTYŃSKI.

Tak myślisz, Panie Hetmanie?

HETMAN.

Panie Horsztyński, ostatni raz mówię do ciebie: oddaj mi papiéry! Spalę je na twojém ognisku i będę żył spokojny w moim zamku.

HORSZTYŃSKI.

Ale ja nie będę żył spokojnie w mojéj chacie. Te papiéry są oczyma, którymi patrzę na ciebie, Panie mój miłościwy — i spokojny jestem, bo zdaje mi się, że ciebie otrętwiłem, jak wąż, kiedy z biédnéj ptaszyny oka nie zwraca.

HETMAN.

Podły szlachciuro!

HORSZTYŃSKI.

Co?... jesteś w moim domu, miłościwy Panie!

HETMAN.

I syn bywa w domu twoim... dla czego?

HORSZTYŃSKI.

Bo .. bo mi przypomina głos twojéj żony, miłościwy Panie!

HETMAN *(dobywając szabli).*

Ha! .. powtóre...

HORSZTYŃSKI.

Nie dobywaj szabli, Mości Hetmanie, bo ci ją wyświszczę z ręku!...

HETMAN *(tnie pałaszem w zwierciadło).*

HORSZTYŃSKI.

Co to za brzęk?

HETMAN.

Zabiłem twego zdrajcę, Horsztyński... zwierciadło...

HORSZTYŃSKI.

Nie rozumiem —

HETMAN.

W tém zwierciedle stał człowiek z dubeltówką.

HORSZTYŃSKI.

O! mój Boże!

HETMAN.

Chodź tu... chodź! Stań za krzesłem twego pana — niech się nie boi! *(Świętosz wychodzi żołnierskim krokiem).* Ludzie, jak ja, wchodzą sami do jaskini zdrady i nie boją się. — O hańbo! Nie można ufać szlacheckiemu słowu. Nie chcę twoich papiérów, Horsztyński, tyś je może sam sfałszował. Ludzie będą wiedzieli, co mają o tobie myśléć, Panie Horsztyński. Jutro... zatraduję ci majątek, Panie Horsztyński; boś był winien żydom pięć tysięcy dukatów, a ja od żydów skupiłem wexle za połowę ceny, bo nikt nie wierzył twojemu obligowi, tylko na pół, Panie Horsztyński! a wyrok sądu ziemskiego gotowy leży u jurysty. A kiedy ci Hetman litewski zabierze majątek, to pójdziesz z żoną pod próg sali jakiéj konfederacyi i przedasz za kilka groszy papiéry zdradzieckie i będzie to chléb ostatni kupiony — a nie wyżebrany, bo ty będziesz żebrakiem, Panie Horsztyński.

HORSZTYŃSKI.

I moja żona!...

HETMAN.

Żona twoja? Żonie twojéj mój syn da pieniędzy, Panie Horsztyński.

HORSZTYŃSKI.

Syn... dla czego twój syn?

HETMAN.

Głupi stary, jak bót! — każ strzelać za mną!

(Odchodzi).

ŚWIĘTOSZ.

Panie mój...

HORSZTYŃSKI.

Precz, precz! — czy on odszedł?

ŚWIĘTOSZ.

Odjechał.

HORSZTYŃSKI.

Idź, Świętoszu, idź! Ja sam zostanę z hańbą. Co ten starzec mówił o mojéj żonie? Myślę, myślę głęboko i nie mogę nic rozwidnić w głowie. Ludzie wlepiając oczy w jedno miejsce, dopomagają głębokiéj pracy umysłu; moje oczy w ciemnościach utopione — a nie rozumiem! dalibóg, nie rozumiem.

(Po chwili gwałtownie).

Cudzołożnica!...

(Wstaje i pada na krzesło).

Ja zwaryuję!... Dlaczego ja mu nie oddałem papiérów? Nie wiedziałbym... Więc to jeszcze okropniéj nie wiedzieć i całować ją w czoło. Brr! O jak mi zimno! I ksiądz — i ksiądz — i ksiądz — wszak on ma oczy! gdyby co widział... stary przyjaciel! Ha! ja odzyskałem jakiś wzrok, sięgający w przeszłość — okropne widzę obrazy: oszukują starca i śmieją się i czekają śmierci starca. Nie, ja nie mogę spytać mojéj żony! czuję, że jakaś wstydliwość zamknie mi usta. A jeśli powié „nie“ — nie będę wierzył... a ona nic innego odpowiedzieć nie może, tylko „nie! — nie! ja niewinna!“ a twarz jéj, któréj ja widzieć nie będę, może się odwróci odemnie z wyrazem... O! Boże mój, Boże! niech się ziemia zapadnie podemną!

Sally! Sally! ty taka byłaś biédna i nieszczęśliwa, kiedym ciebie prowadził do ołtarza. Matka twoja obłąkana krzyczała m nad uchem: kto weźmie moję Sally, weźmie waryatkę, bo Sally — to ja!... I biédna dziewczyna płakała, a ja przysięgałem, że będę

ją prowadził kwiecistą drogą życia — że będę jéj ojcem. I... byłem jéj ojcem.

Zastanów się, starcze, co ty jéj na ziemi zostawisz po sobie — zgryzotę i żebractwo?... Biédna ona! biédna ona! Trzeba czynić, jak Jezus Chrystus nakazał. — Co mi po tym błahym świecie?! Zostawmy ludzi w pokoju, niech jęczą — śmieją się — szaleją — skaczą! niechaj szukają szczęścia w nieszczęściu drugich — ale niech nie przeklinają umarłych! Ja umarłem... Spokojność! spokojność! spokojność...

Mam jakąś dziwną wizyą przeznaczenia ludzkiego — spokojność. (SALOMEA *wchodzi w słomianym kapeluszu).*

SALOMEA.

Czy on śpi? Trzeba przejść cicho i zamknąć okiennice — słońce pada na jego siwe włosy.

HORSZTYŃSKI.

Siwe włosy... ha...

SALOMEA.

Myślałam, żeś usnął. Idę przygotować pod lipą ogrodową śniadanie, zbiorę tobie sama świéżą śmietankę, sama nazbiérałam poziomek.

HORSZTYŃSKI.

Gdzieś była, Sally?

SALOMEA.

U księdza Prokopa.

HORSZTYŃSKI.

Czy ty poziomki dla mnie zbiérałąś na mogiłach cmentarza pod kościołkiem?

SALOMEA.

Nie, mój Xawery, wracając zbiérałam je po lesie.

HORSZTYŃSKI.

Spowiadałaś się dziś?

SALOMEA.

Poszłam do celi z tą myślą, bo byłam smutna, i nie znalazłam księdza u siebie. Może był we wsi u starego Grzegorza; mówią, że ten starzec bardzo chory. Usiadłam w celi, czekając na księdza — i znudziłam się. Jak ta cela cicha, oświécona wschodzącém słońcem, piękna i miła! — las sosnowy pod oknami kołysał się z szumem — wilgi smutno śpiéwały. I zaczęłam dumać, potém chcąc

się nieco rozerwać, zaczęłam przebierać książki na zapylonych policach szafy. Widać, że nasz księżulo nie często do szafy zaziéra — a takie dziwne w tych książkach obrazki. Jakaś święta uderza białą lilią lwa po nosie, a w drugiéj książce znalazłam piekło — jeden czarny dyabeł pali czarną lulkę, a w lulce zamiast tytoniu palą i skwarzą i dymią biédne duszeczki.

HORSZTYŃSKI.

Ale czy się spowiadałaś?

SALOMEA.

Nie spowiadałam się, bo te obrazki tak mnie dziecinnie rozweseliły.

HORSZTYŃSKI.

Nie spowiadałaś się? dlaczego?

SALOMEA.

Mówiłam ci, mężu, że te obrazki... Jaki ty dziś roztargniony, mój Xawery. Czy tu był kto?

HORSZTYŃSKI.

Żono! powiédz mi...

SALOMEA.

Co, mężu...

HORSZTYŃSKI.

Ale tak, bijąc się w piersi, powiédz mi...

SALOMEA.

Bijąc się w piersi...

HORSZTYŃSKI.

Powiédz!... Prawdziwie zapomniałem, o czém cię chciałem pytać... jaki ja stary!

SALOMEA.

Może ja tobie przypomnę, mężu!

HORSZTYŃSKI.

Nie — nie — nie!... ty nie możesz wiedzieć o tém, o czém ja myślę. Podaj mi papiér i pióro, napiszesz odemnie list... kilka słów.

SALOMEA *(siada do pisania)*.

Dyktuj!...

HORSZTYŃSKI.

Wielmożny Mości Dobrodzieju —

SALOMEA *(pisząc)*.

Dobrodzieju...

HORSZTYŃSKI.

Prawdziwie, że to śmieszne słowo!...

SALOMEA.

Cóż daléj?

HORSZTYŃSKI.

Poczekaj — pomyślę... Pisz: Jeżeli Acan jesteś honorowym człowiekiem, to czekam na ciebie dziś wieczór w moim domu.

SALOMEA.

Do kogo ten list?

HORSZTYŃSKI.

Daj! podpiszę —

SALOMEA.

Ale na miłość Boga, do kogo?

HORSZTYŃSKI.

Co mi Acani!

SALOMEA.

O! to okropne słowo!

HORSZTYŃSKI.

Sally! bo ty mnie drażnisz, jak dziecko. Daj mi ten list — gdzie podpisać?

SALOMEA.

Tu.

HORSZTYŃSKI.

Idź teraz, przygotuj mi śniadanie i zawołaj mi Świętosza!

SALOMEA.

Dobrze! ale pocałuj mnie w czoło i przeproś za to słowo „Acani!"

HORSZTYŃSKI.

Dobrze!... pocałuję ciebie, jeżeli mi będą smakować twoje poziomki.

SALOMEA *(bierze dzbanek i tłucze)*.

Mężu, rozbiłam dzbanek.

HORSZTYŃSKI.

Umyślnie?

SALOMEA.

Umyślnie, żebyś mnie pocałował w czoło nie za poziomki.

HORSZTYŃSKI.

Źle zrobiłaś, Sally... Swiętoszu!

(ŚWIĘTOSZ *wbiega*).

ŚWIĘTOSZ.

Słucham...

HORSZTYŃSKI.

Po śniadaniu odprowadzisz mnie do mojego pokoju. Mam ci coś ważnego zalecić. — Daj mi rękę żono! pójdziemy pod lipę.

(*wychodzą*).

SCENA II.

(*Chata rybacka*).

(SZCZĘSNY *i* MARYNA *ubrana w długiéj przewiązanéj koszuli z szarawego płótna, z wiankiem bławatków na głowie*).

SZCZĘSNY.

Gdzie ty chodziłaś, Maryno?

MARYNA.

Zbiérałam w życie bławatki, żeby się paniczowi ustroić. Czy ja ładna?

SZCZĘSNY.

Tak sobie.

MARYNA.

Wczoraj panicz mówił, że ja ładna?

SZCZĘSNY.

Wczoraj, kiedyś wypłynęła z Wilii na brzeg ogrodowy — do jaśminowéj altany — słowiki śpiéwały, księżyc świécił — wczoraj byłaś ładna...

MARYNA.

A dziś?... To paniczowi nigdy wierzyć nie trzeba.

SZCZĘSNY.

Jak chcesz sobie.

MARYNA.

Panicz był kiedyś lepszy... przychodził do chaty, uczył mnie czytać, jak bakałarz — i śmiał się — i żartował...

SZCZĘSNY.

Cóż to czytasz?

MARYNA.

Książkę, co panicz dał.

SZCZĘSNY.

Ojciec twój podobno umarł?

MARYNA.

Zabili Moskale.

SZCZĘSNY.

Modlisz ty się za niego?

MARYNA.

Jak pomyślę, to się modlę... jak nie pomyślę, to nie.

SZCZĘSNY.

Ojciec twój, gdyby żył, możeby się bardzo smucił z ciebie, Maryno?

MARYNA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Wszak ty wiész, że ja się z tobą nie ożenię.

MARYNA.

Właśnie ja nie znajdę sobie chłopca?!

SZCZĘSNY.

To ty myślisz, Maryno, pójść za mąż... za poczciwego człowieka?

MARYNA.

Za poczciwego i przystojnego jeszcze.

SZCZĘSNY.

Więc ty mnie nie kochasz?...

MARYNA.

Czegoż panicz chce odemnie więcéj?

SZCZĘSNY.

Prawda! ja szalony... ty dobra dziewczyna. — Co to za zgiełk?... Zobacz, kto to nadchodzi — (MARYNA *wychodzi*) O dziwne serce ludzkie!... zmysły moje rozigrane do dziś nie spostrzegły, że to kamień... Zdawała mi się Nereidą Wilii — serca nasze biły razem — usta płonęły — cała altana wydawała mi się mitologicznym kościołem miłości. Słowiki, księżyc były częścią téj kobiéty... Ja się muszę już starzeć...

MARYNA (*wbiegając*).

Paniczu! jacyś panowie tu biegną!

SZCZĘSNY.

Cóż to? na ciebie polują?

MARYNA.

Za co mnie panicz bierze?

(KSIŃSKI — WYRWIK — SKOWICZ *wpadają*).

KSIŃSKI.

Ha! dalibóg, Pan Szczęsny przy ładnéj dziewczynie...

SZCZĘSNY.

Podoba ci się, Mości Ksiński?

KSIŃSKI.

Na honor ładna!

MARYNA.

Niech Panicz mnie broni!.. ci panowie śmieją się ze mnie.

WYRWIK.

A któżby zaś śmiał śmiać się? i śmiejąc się śmiał śmiać się?

SZCZĘSNY.

Czy ten Jegomość pijany?

KSIŃSKI.

Biédny Wyrwik, chce sobie wyłamać język, bo się jąkał. To Demostenes naszéj partyi teraz.

WYRWIK.

Pozwól, zwolennico wdzięków — całopalenie całusem shołdować.

SKOWICZ.

Stój! czy nie widzisz, że Pan Hrabia krzywo patrzy na ciebie?

WYRWIK.

Krzywda krzywopatrzeniem nie konstytuuje obrazy.

KSIŃSKI.

Panie Szczęsny, czy doprawdy ta dziewoja trzyma w dłoni twoje serce?

SZCZĘSNY.

Abym dowiódł, że nie, daję téj dziewczynie tysiąc dukatów posagu; niech ją który z was weźmie za żonę.

KSIŃSKI.

Panie Skowiczu?

SKOWICZ.

Chłopka!..

SZCZĘSNY.

Bywajcie zdrowi, republikanie! *(odchodzi)*.

KSIŃSKI.

Czy pan Szczęsny kocha ciebie, dziewczyno?

MARYNA.

Co Panom do tego!

KSIŃSKI.

Wiécie Panowie, że ta dziewczyna posłuży nam w naszych widokach. Trzeba działać na imaginacyą pana Szczęsnego, aby go posadzić na koń, jak tego żąda pan Hetman. — Słuchaj, jak się nazywasz?

MARYNA.

Maryna.

KSIŃSKI.

Moja piękna Maryno, umiész ty jeździć konno?

MARYNA.

Odwagi nie brakuje.

KSIŃSKI.

Słuchaj! dziś wieczorem ubierzemy ciebie w piękny ułański mundur — nauczymy, co masz mówić, i pójdziesz z nami do zamku.

MARYNA.

Ja się lękam pana Hetmana... taki straszny — czerwony! on strzela w ludzi!

KSIŃSKI.

Nie bój się! Pan Hetman da ci owszem piękny posag, jeżeli zrobisz to, czego żądamy.

MARYNA.

A czy panicz się nie będzie gniéwał?

KSIŃSKI.

I owszem, i owszem! — Panicz ciebie bardzo pokocha w twoim ładnym mundurze.

MARYNA.

Namyślę się...

KSIŃSKI.

Mości Panowie, otóż to głowa Ksińskiego! Stworzył Jeanne d'Arc... targowiczańskiéj partyi! Do tego szampan — wymowa twoja, Panie Demostenesie Wyrwiku...

WSZYSCY.

Brawo! brawo! brawo!

KSIŃSKI *(do Maryny).*

Do wieczora...

MARYNA.

Namyślę się.

KSIŃSKI.

Ale tu nie ma czasu myśleć...

MARYNA.

Kiedy ja nie rozumiem, o co chodzi...

KSIŃSKI.

No! widzę, że się zgodzisz... Chodźmy! chodźmy!

(Odchodzą).

MARYNA.

Czego oni chcą odemnie? Żartują... Pójdę zobaczyć, gdzie ci panowie pojadą... *(odchodzi za nimi).*

SCENA III.

(Gabinet Hetmana. KARZEŁ *układa papiéry).*

KARZEŁ.

Co to jest wielkość?... Ludzie wchodzą do tego gabinetu skurczeni we dwoje... Uważam często, z jakiém przerażeniem patrzą na mnie, kiedy śmiém dotknąć koperty zapieczętowanego listu — albo hetmańskiego szlafroka... Głupcy! Ja widziałem, jak temu hetmanowi stawiał żyd pijawki: szlachcianki kałuży [1]) cięły za uchem, pompując krew z czerwonego nosa. Od tego czasu zacząłem być filozofem — i śmiać się z karłów.

SFORKA *(odsłaniając zasłonę).*

Czy Pan Hetman jeszcze nie wrócił?

KARZEŁ.

A czego chcesz, Panie intendencie?.. Nic nie odpowiedział... zły na mnie od czasu, jak go nazwałem ekonomem...

SFORKA.

Co wolno karłowi, to wolno jest panu Sforce...

(wchodzi i siada).

KARZEŁ.

Słyszałem, Panie Sforka, że miałeś odwiedziny ważnéj jakiéjś figury.

SFORKA.

Co? czy ty wiész o tém, Stynko?

KARZEŁ.

Poznałem pana po mundurze.

SFORKA.

Żebyś ty wiedział, jak to trudno z Włochami rozmawiać!..

[1]) Mowa o pijawkach.

KARZEŁ.

Zwłaszcza temu, kto nie umie geografii...

SFORKA.

Ja umiem geografią przecie.

KARZEŁ.

A sprzeczałeś się ze mną, że Wezuwiusz był cesarzem rzymskim.

SFORKA.

Kłamiesz jak pies, moja Sielawo. Wezuwiusz to góra — zawsze mówiłem, że Wezuwiusz to góra...

KARZEŁ.

A ja ci powiadam, że Wezuwiusz to dziura.

SFORKA.

A ja ci powiadam, że to wulkan.

KARZEŁ.

A ja ci powiadam, że Wulkan to bożek mitologiczny.

SEORKA.

Ja wiém bardzo dobrze, że to bożek mitogiczny.

KARZEŁ.

A dlaczegoż mówiłeś, że to góra?

SFORKA.

Chciałem z ciebie pożartować, błaźnie.

KARZEŁ.

Jak będziesz panem, to będziesz miał błazna.

SFORKA.

Skądże ty wiész, że ja będę panem?

KARZEŁ.

Świat — to loterya, Panie Sforka. Często głupi wygrywa los wielki — ogromne sumy...

SFORKA.

Ale ja nie głupi...

KARZEŁ.

Ja bardzo dobrze wiém o tém; ale kiedy głupi często wygrywa, to rozumny, jak ty panie Sforka, człowiek jeszcze częściéj...

SFORKA.

I ty myślisz, że na mnie spadną ogromne sumy?

KARZEŁ.

Prawda, że to być nie może...

SFORKA.

Być bardzo może, panie karle! Mam coś w kieszeni — kilka słówek — położyć kilka słówek odpowiedzi — a rozmnożone przez B dziesięć pytań, plus dziesięć odpowiedzi — algebraicznie i arytmetycznie dadzą...

KARZEŁ.

Dadzą X.

SFORKA.

A wiesz ty, co to X?

KARZEŁ.

Przed nazwiskiem napisane znaczy Książę...

SFORKA.

Dalibóg, że ten karzeł nie głupi! Ja sam o tém nie pomyślałem...

(Wchodzi HETMAN. KARZEŁ *i* SFORKA *wstają nagle).*

HETMAN.

Co wy tu gałgany w moim gabinecie, w czapkach?

SFORKA.

Czekaliśmy na Jaśnie Oświeconego...

HETMAN.

Mogłeś zdjąć czapkę przed moim stołkiem — nawet przed synonimem tronu.

SFORKA.

Co to znaczy synonim tronu, karle?

KARZEŁ.

Znaczy, że syn O nie ma tronu —

SFORKA.

Syn Jaśnie Oświeconego Pana będzie zapewne na tronie, jeśli się nam uda...

HETMAN.

Słuchaj! jutro, jak świt, wyjeżdżam do Wilna.

SFORKA.

Sam Najjaśniejszy Hetman?

HETMAN.

Sam. Zmieniły się rzeczy — trzeba działać... Syn mój zostanie w zamku i wieczorem przyprowadzi mi moję legią...

SFORKA.

Czy zgodził się już Hrabia Szczęsny?

HETMAN.

Zgodził się? — Dziesięciu darmojadów odpowie mi głową za jego zgodę! Wszak mi odpowiadali zawsze: niepodobna, aby syn twój nie zechciał... nasza to rzecz, Panie Hetmanie—Niech więc dziś dopną swego, albo — na Boga! powywieszam, jak wędzonki w kominach. Syn mój byle się raz skompromitował, już będzie mi niepotrzebny. Teraz ludzie uważają go za hak, na którym ojca powiesić trzeba... Wiész ty, że sam Jasiński widział się z nim przeszłéj nocy? ale nic nie zyskał...

SFORKA.

Jasiński? ten wisielec?

HETMAN.

Ksiński widział go przeszłéj nocy w ogrodzie. Gdyby miał był kilku ludzi, schwytałby ptaszka... Mówią, że się kryje koło Pomar.

SFORKA.

Może napaść na Wilno...

HETMAN.

Ja wyjeżdżam do Wilna... słyszałeś?

SFORKA.

Zapewne, że Jaśnie Wielmożny Hetman...

KARZEŁ.

I Najświętsza Panna Ostrobramska...

SFORKA.

I Najświętsza Panna Ostrobramska... nie dopuszczą...

HETMAN.

Masz listę szlachty, co tu ma zjechać wieczorem?

SFORKA.

Oto jest. *(dobywa papiéru).*

HETMAN.

Daj mi okulary... *(wkłada okulary).* Czytajmy... jakie imiona? *(czyta:)*

Łatwe do zadania,
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

SFORKA *(pada na kolana).*

Jaśnie Wielmożny Panie! to nie ten papiér...

HETMAN *(nogą bije go w piersi).*

Psie!.. (SFORKA *wywraca się omdlały).* Co? czy zdechł? Karle, zobacz!

KARZEŁ.

Oddycha.

HETMAN.

Ten stary nie wié, że każde uderzenie mego serca jest zamkniętym w piersiach piorunem.. Zawołaj hajduków!.. Czaszka tego starca z okropnym dźwiękiem uderzyła o podłogę... Sforka! Sforka! Sforka!

(KARZEŁ *z hajdukami).*

Wynieście go i zawołajcie doktora... Ty bracie, masz jednę rękę wolną — weź ten znosek *(pokazując na karła)* i daj mu dziesięć bizunów!

KARZEŁ.

Panie!!!

HETMAN.

Dwadzieścia bizunów!

KARZEŁ.

Za co?

HETMAN.

Trzydzieści bizunów!

(wynoszą Karła i Sforkę).

Czy zgodzi się syn mój?.. Pytają mnie o serce mego syna... Co to za zgiełk? hej!.. (HAJDUK *wchodzi).* Co to za zgiełk?

HAJDUK.

To wypuszczono psów na zamkowego niedźwiedzia.

HETMAN.

Zawołać karła! poszedłem z nim w zakład, że niedźwiedź rozedrze sroczkę czarną — hej! zawołać mi karła! *(wychodzi).*

SCENA IV.

(Pokój inny w zamku. KSIŃSKI *sam).*

KSIŃSKI.

Zbliża się godzina działania. Przyrzekłem panu Hetmanowi, że syn jego siądzie na koń — i dotychczas nie mogłem ani słowa prawdy wygrzebać z ust tego młodzieńca. Trzeba nareszcie, żeby się zdeklarował. Gdybym to ja był synem hetmana!.. ha! ha! pani natura nie wié sama, co robi. Taka głupia jak człowiek, coby szampana zlewał do porterowéj butelki... Pani natura dała

mi długą szyję, nogi i ręce — i właśnie uczyniła mnie człowiekiem pokłonnym, kłaniającym się. Ba! rzecz to jeszcze do rozwiązania, czy krótkiemu, czy długiemu człowiekowi łatwiéj zgiąć się we dwoje. Nie! natura — rozumna pani! Zamiast grubego brzucha, dała mi w miejscu pasa coś nakształt pergaminowych zawiasów tekturowego pudełka, brzuch, mości dobrodzieju, podobny do pustéj teki, zmarszczony — wpadły i nie skrzypiący w chwili ukłonu.

(SZCZĘSNY *wchodzi z książką*).

Witam, Panie Hrabio.

SZCZĘSNY.

Jak się miewasz, przyjacielu?

KSIŃSKI.

Pan Hrabia bawi się lekturą...

SZCZĘSNY.

Tak.

KSIŃSKI.

To zatrudnienie wielkich ludzi.

SZCZĘSNY.

Czytasz często?

KSIŃSKI.

Ja, Panie Hrabio? Od czasu szkół...

SZCZĘSNY.

Rozumiem. Czemu nie idziesz patrzeć na walkę niedźwiedziów?

KSIŃSKI.

Ważny interes dobra pospolitego zajmuje mnie całego. Mości Hrabio! dziś ważny dzień dla naszéj sprawy — cała Polska czeka ukazania się nowego słońca na horyzoncie politycznym.

SZCZĘSNY.

Czy przygotowała zaczernione dymem szkiełka?

KSIŃSKI.

Jak to, Panie Hrabio?

SZCZĘSNY.

Inaczéj oślepnie, patrząc golém okiem na słońce.

KSIŃSKI.

Twoi przyjaciele będą jako chmura koło ciebie, Szczęsny.

SZCZĘSNY.

Ha! to ja mam być tém słońcem?... *(czyta)*.

KSIŃSKI.

Nie zechcesz zapewne, Panie Hrabio, zasmucić ojca twego haniebną opieszałością. Literatura dobra jest, Panie Szczęsny, w spokojnych czasach; ale wtenczas, kiedy działać potrzeba, co znaczy alembikowanie druków na esencyą myśli?

SZCZĘSNY.

Czytałeś ty kiedy Platona o nieśmiertelności duszy?

KSIŃSKI.

Zdaje mi się, że czytałem.

SZCZĘSNY.

Cóż sądzisz?

KSIŃSKI.

Sądzę, Panie Hrabio, że potrzeba zdecydować się.

SZCZĘSNY.

Na co?

KSIŃSKI.

Ale uważaj, Panie Hrabio, że kraj potrzebuje sprężystéj pomocy, inaczéj... inaczéj... Co mi tam nieśmiertelność duszy! gdyby Platon żył w tych czasach, byłby republikaninem, jak ja.

SZCZĘSNY.

Śmierć nie jest śmiercią...

KSIŃSKI.

Ale jeżeli kraj umrze...

SZCZĘSNY.

Dusza jest nieśmiertelna, Panie Ksiński... Słuchaj! rzecz wielka — a nawet błahy odłam wielkiéj rzeczy umrzeć nie może. Oto, po przeciągu lat 2.000 wiem dzisiaj, że Sokrates z Fedonem rozmawiał o piękności, jak ja z tobą. Może trochę inaczéj, bo obaj byli bez bótów...

KSIŃSKI.

Fatałachy!..

SZCZĘSNY.

Coś jest dziwnego w tych fatałachach, porównanych z wielkimi rzeczami tego wieku! Sokrates powiedział do Fedona: — Gorąco dziś; jeżeli chcesz, to pójdziemy nad błękitny strumień — a rozmawiając nogi nasze zanurzymy w chłodnéj wodzie. Poszli nad strumień... Widzę ich... siedzieli na lekkiéj pochyłości okrytéj bujną murawą; fale żywe łaskotały nagie ich stopy, platan rozłożysty dawał cień przyjemny i słychać było śpiéwanie

polnych koników, które się kryły w murawie przed upałem południowym...

KSIŃSKI.

Powiédz mi, Panie Hrabio, cóż jest w tém wielkiego?

SZCZĘSNY.

Nic.

KSIŃSKI.

Czegoż to uczy?

SZCZĘSNY.

Abyśmy poszli obadwa na trawę, bo gorąco. Jeżeli jesteś Platonem, ty albo kto z ludzi tutaj przytomnych, choćby karzełmego ojca, to będą ludzie wiedzieli po upływie 2000 lat, żeśmy z tobą leżeli na trawie — nad Wilią.

KSIŃSKI.

To metafizyka!... nie rozumiem.

SZCZĘSNY.

Mówiąc o piękności, Sokrates przyrównał naturę człowieka do woza zaprzężonego dwoma końmi. Jeden czarny, rwie się i pieni; drugi, biały jak mléko, opiéra się zapałowi towarzysza; woźnica złotymi licami kieruje sprzeczne zapędy obu. Czarny koń — to zmysły, biały — to dusza; woźnica — to rozum.

KSIŃSKI.

Nie rozumiem, dalibóg nie rozumiem!

SZCZĘSNY.

Umiesz ty powozić z kozła?

KSIŃSKI.

Umiem.

SZCZĘSNY.

Na cudzym wozie, nie mając koni?

KSIŃSKI.

Na honor powiozę.

SZCZĘSNY.

Zepchnij woźnicę i bądź sam woźnicą.

(odchodzi — staje).

KSIŃSKI.

Ale na Boga! gdyby cię kto słyszał, Panie Hrabio, powiedziałby...

SZCZĘSNY.

Co?

KSIŃSKI.

Żeś zwaryował.

SZCZĘSNY.

Rozgłoś to po zamku... *(odchodzi)*.

KSIŃSKI.

Wywinął się... Czy on głupi, czy ja głupi?... Czy Szczęsny gada od rzeczy? Tak być musi, bo gada o niczém.

(AMELIA *wchodzi*).

AMELIA.

Słyszałam tu głos mego brata.

KSIŃSKI.

Pani, przyjmij odemnie uniżony respekt!

AMELIA.

Słyszałam tu głos mego brata, chciałabym z nim pomówić.

KSIŃSKI.

Niech go Pani raczy różanymi ustami skłonić do działania. Ciągle zajęty fatałachami.

AMELIA.

Właśnie mam polecenie od ojca, abym go namawiała do czynniejszego życia.

KSIŃSKI.

Niech Pani wymoże na nim, aby był przytomnym uczcie dzisiejszéj, a my go szampanem i wymową wyexaltujemy.

AMELIA.

Szampanem? wstydź się, Panie Ksiński!.. Ty myślisz jego wielką duszę podstępem skłonić do wielkiego dzieła? O! zaczynam wątpić o czystości waszych zamiarów, jeżeli sposoby do dopięcia celu macie tak błahe i podłe. Ja mego brata ochronię od waszéj namowy. Niech Pan będzie tak dobry, poszuka go w ogrodzie i przyśle tutaj.

KSIŃSKI.

Rozkaz Pani... *(odchodzi)*.

AMELIA.

Jaka różnica między tymi ludźmi a moim bratem! Nieraz rozmyślam głęboko, dlaczego Szczęsny wydaje mi się tak pięknym i wyniosłym, zwłaszcza kiedy spokojny; bo jak uleci w niebo myślami, nie mogę za nim ścigać i myśl moja gubi się w chmurach. O jakbym go chciała zobaczyć na scenie czynnego świata — wyższego nad ludzi!

SZCZĘSNY *(wchodząc).*

Siostro, dobry dzień!

AMELIA.

Szczęsny, ojciec mię prosił, abym pomówiła z tobą...

SZCZĘSNY.

Wolałbym rozmawiać z tobą, niż z moim ojcem...

AMELIA.

Otóż będę mówiła słowami mego serca. Ty taki dobry dla twojéj siostry; pamiętam te chwile, kiedy dziećmi będąc, razem biegaliśmy po nadwilejskich łąkach za motylami wiosny; kiedy jesienią w zasypanych liściem alejach lubiliśmy chodzić razem i dumać. Ja się nie odmieniłam, ale tyś się bardzo odmienił, Szczęsny...

SZCZĘSNY.

Czy ty myślałaś, że ja nigdy nie urosnę?

AMELIA.

Powiédz mi, czy ty mnie masz za tak błahe stworzenie, że niewarta jestem jednego smutnego słowa z twojéj duszy?

SZCZĘSNY.

Ja bardzo smutnie mówię do ciebie...

AMELIA.

Widzę, że straciłam twoje zaufanie.

SZCZĘSNY.

Czy ci mówił Ksiński, że zwaryowałem?

AMELIA.

Zostaw tych ludzi w pokoju, Szczęsny — i bądź ze mną, jak z twoją przyjaciółką, raz tylko, przez kwadrans! Powiédz mi, dlaczego nie chcesz wypełnić woli twego ojca? Ojciec nic niegodnego żądać nie może. Czyż mógłby chcieć wtrącić ciebie w przepaść? Powiédz mi, bracie, cóż widzisz w ojca zamiarach, że nie chcesz im pomagać?

SZCZĘSNY.

Nic nie widzę i dla tego właśnie, że nic nie widzę...

AMELIA.

Dlatego?

SZCZĘSNY.

Jestem ślepy...

AMELIA.

Czytałam o królu Janie-bez-ziemi, że będąc ślepy, kazał się przywiązać między dwóch śmiałych żołnierzy i z pałaszem dobytym wpadł na wrogów i poległ. Bądź więc między twoją siostrą a ojcem! niech ciebie prowadzą na pole sławy!

SZCZĘSNY.

Jaka ty uczona! *(chodzi po sali zamyślony).*

AMELIA.

Widzę, mój bracie, mój najdroższy — mój najmilszy, że ty się zaczynasz nawracać na siostry twojéj mowę. Widzę myśl wzniosłą w zmarszczkach twego czoła...

SZCZĘSNY.

Wzniosła... dziecinna!..

AMELIA.

O! nie wracaj do ironii.

SZCZĘSNY.

Dalibóg, że miałem myśl dziecinną... Masz w bukiecie twoim białą margeritkę. Oberwij ją mówiąc: t a k, n i e — za każdym listkiem. Jeżeli wypadnie t a k... to będę z moim ojcem.

AMELIA.

Jakże ty rzecz ważną możesz kłaść na te marne listki kwiatu? więc los ci może rozkazać, a siostra twoja nie może?

SZCZĘSNY.

Tak — los może mi rozkazać rzecz obojętną... bo prawdziwie, że teraz to rzecz obojętna dla mnie; a nawet wyznam ci, że tak zabrnąłem w zawikłanych sidłach tego świata, że będę się cieszył, jeżeli margeritka powie t a k... Obroni mnie od wyrzutów sumienia — rozwiąże z nienawistnych węzłów —

AMELIA.

Co ty masz na sumieniu? Bracie luby, nieraz patrząc na twoje zamyślone czoło, nie mogę znaleść innego porównania, jak do pochylonéj białéj i nieskalanéj lilii. Prawda, że twoja dusza czysta?

SZCZĘSNY.

Oberwij margeritkę!

AMELIA *(obrywa listek).*

Tak, nie... tak, nie...

SZCZĘSNY.

Patrzę na te spadające listki z okropném przerażeniem. O! błahość ludzkich zamiarów...

AMELIA.

Tak.

SZCZĘSNY.

Szatani! Wypadło tak!.. Idź, powiédz mojemu ojcu, że jestem — na wieki — na wieki! i będę z nim aż w tamtém życiu odpowiadał za krew i jęki.

AMELIA.

O Boże! o Boże!

SZCZĘSNY.

Proś za mnie Boga, bo ja ci powiadam, że lepiéj by dla mnie było, gdybym był umarł w żywocie matki! bo teraz spałbym, odpoczywałbym, a tak... a tak? czém ja będę?

AMELIA.

Bracie, przebacz mi!

SZCZĘSNY.

Tobie?.. co przebaczyć?... Ja sobie tylko przebaczyć nie mogę, że w tajemnicy serca żądałem... O! wielkość, sława!.. Ale na Boga! ja nie takiéj chciałem sławy — nie takiéj wielkości... Stało się...

AMELIA.

Bracie, ja skłamałam — wypadło nie!

SZCZĘSNY.

Teraz skłamałaś, Amelio! Wypadło tak. Ja wiem, że mię los miał rzucić na taką drogę. Wahałem się — o włosek. Włosek się zerwał — a teraz będą się urywać wszystkie skały zawieszone nad moją głową.

SŁUGA (*wchodzi*).

List do Pana Hrabiego.

SZCZĘSNY.

Kto przyniósł?

SŁUGA.

Jakiś siwy starzec, w szaréj czamarze.

SZCZĘSNY.

Ale ten list bez adresu.

SŁUGA.

Powiedział, że od ślepego człowieka.

SZCZĘSNY.

Ha!.. (*odpieczętowywa, czyta*).

AMELIA!

Szczęsny! jaką ty masz twarz?! To jakaś zła nowina!

SZCZĘSNY.

I owszem, bardzo dobra! Zaczynam być, czém jestem. Ludzie mnie poznają... Powiédz temu człowiekowi, że przyjdę. O! gdyby się cofnąć o rok życia — nie przyszedłbym na taką godzinę!.. Amelio!.. Amelio!.. Amelio!..

AMELIA.

O jaki jęk!..

SZCZĘSNY.

Nic!.. Siadaj! Prawda, że ja nie jestem złego serca człowiekiem? ty wierzysz we mnie; prawda, Amelio?

AMELIA.

Bracie, jakie ja nieznane nieszczęście ściągnęłam na twoję głowę niewinném, jak sądziłam, kłamstwem? Przysięgam ci na duszę matki mojéj, że ostatni listek kwiatu powiedział n i e.

SZCZĘSNY.

Amelio moja, teraz wcale mnie nie obchodzi przyszłość, ani przeszłość. Chciałbym ci wyznać wszystko, ale nie mogę. Jest okropna tajemnica, która by nas oboje zabiła, a bez wydania téj tajemnicy nie mogę usprawiedliwić najmniejszego wypadku w mojém życiu. Amelio, błagam ciebie na imię matki twojéj, nie sądź o mnie podług sądu innych ludzi — i zachowaj mi w sercu jedno długie wspomnienie! Takie wspomnienia smutne i jednobrzmienne wznoszą serca ludzkie do Boga.

AMELIA.

Ale ty się gotujesz na coś okropnego...

SZCZĘSNY.

Ja ciebie bardzo kochałem... więcéj niż... (*wstaje gwałtownie*). Bądź zdrowa! Kochałem ciebie, jak brat... Słuchaj! ty kiedyś będziesz miała męża i dzieci, ale przyjdą godziny, że miłość ich nie wystarczy tobie, i porównasz ją z miłością twego brata — i będzie ci czegoś niedostawać i będziesz płakać... O! jak my kiedyś byliśmy szczęśliwi dziećmi!..

AMELIA.

Co ci jest, bracie?

SZCZĘSNY.

Mam wielkie długi do zapłacenia.

AMELIA.

Długi? ale mój ojciec... mój ojciec zapłaci... wszystko... Ja ci przysięgam...

SZCZĘSNY.

Tak! i mój ojciec może zapłaci... Ale ja... Ty nie możesz rozumieć, siostro, zawiłych tego świata zdarzeń. To gorzéj, niż w najokropniejszych przepowiedniach świętego Jana!... Są serca rozdarte na cztéry części... jak zapisane głupim poematem karty papiéru w ręku rozsądnego człowieka... Bądź zdrowa!... życzę ci wstąpić do klasztoru!

AMELIA.

Do klasztoru?

SZCZĘSNY.

Wszak ty nie masz męża, ani kochanka... Nie chciałbym, aby ciebie kto oszukał — Ha! ale co ty powiesz ojcu odemnie? Czekaj, powiesz... że — pojechałem płacić długi... Ja może powrócę wieczorem. Jeżeli powrócę, to będę łachmanem, z którego nie można zrobić chorągwi dla żadnéj partyi... Więc niech ze mnie zrobi, co mu się podoba... *(odchodzi).*

AMELIA.

Zrozumiałam... Mój Boże! teraz zrozumiałam... Szczęsny! Szczęsny! *(wybiega).*

ZASŁONA SPADA.

AKT TRZECI.

SCENA I.

(W domu Horsztyńskich).

HORSZTYŃSKI i SZCZĘSNY.

HORSZTYŃSKI.

Panie Hrabio, czy jesteśmy sami?

SZCZĘSNY.

Nikogo nie ma w pokoju.

HORSZTYŃSKI.

Jest to pokój ulubiony ojca mojego... tam na prawo musi być jego obraz. Cichą i łagodną miał twarz i białe włosy, jak

moje włosy, ale srebrny włos jego żadnéj hańby nie nosił... Tam nad drzwiami musi być dotąd krucyfix ze słoniowéj kości na hebanowéj desce.

SZCZĘSNY.

Tak jest...

HORSZTYŃSKI.

Pod krucyfixem wisi para pistoletów...

(*Szczęsny zdejmuje pistolety*).

SZCZĘSNY.

Oto są.

HORSZTYŃSKI.

Nienabite... w stoliku na prawo — rożek z prochem i kule.

SZCZĘSNY.

Znalazłem.

HORSZTYŃSKI.

Pan wiész zapewne, że potrzeba jeden z pistoletów nabić. Sądzę, że umiesz nabijać. Jeden pistolet w sandał, drugi w jabłeczne drzewo oprawny. Nabij Pan... (*cisza*). Czuję zapach lip mojego ogrodu — myślałem, że będę kiedyś spokojny — na starość!.. Czy już nabity?..

SZCZĘSNY.

Wybierz Pan jeden z pistoletów.

HORSZTYŃSKI.

Ja ślepy...

SZCZĘSNY.

Wszak los powinien być sędzią...

HORSZTYŃSKI.

Los...

SZCZĘSNY.

I Bóg.

HORSZTYŃSKI.

Proszę wybrać!

SZCZĘSNY.

Ja wiém, który nabity.

HORSZTYŃSKI.

Proszę wybrać!

SZCZĘSNY.

Wybrałem.

HORSZTYŃSKI.

Siądź Pan tu blisko, daj mi lewą rękę. A wiész Pan, że ja nic nie wiem, czy jesteś winny, czy niewinny — czy podły, czy szlachetny...

SZCZĘSNY.

Strzelajmy!

HORSZTYŃSKI.

Jeżeli zabijesz mię, będziesz zabójcą — jeżeli ja ciebie zabiję, będziesz samobójcą — ja będę czysty przed Bogiem.

SZCZĘSNY.

Strzelajmy...

HORSZTYŃSKI.

Może chcesz Pan pomieniać się na pistolety?

SZCZĘSNY.

Nie! [1]).

---

[1]) Scena powyższa była pierwotnie inaczéj przeprowadzona. Po napisaniu przekreślił ją poeta i dał natomiast to, co zamieszczamy w texcie. Pierwotne ułożenie było następujące:

HORSZTYŃSKI.

Czekaj, młodzieńcze! Oto chcę, abyś zobaczył, co po śmierci zostawiam na ziemi... Żebractwo, żebractwo! . Czytaj .

SZCZĘSNY.

Cóż to? Sądów ziemskich wyrok .

HORSZTYŃSKI.

Czytaj głośno.

SZCZĘSNY.

W imieniu królewskiém .

HORSZTYŃSKI.

Idź daléj.

SZCZĘSNY.

Widzę nazwisko ojca mojego — herby sądowe . i głowa mi się zawraca.

HORSZTYŃSKI.

Wychodząc na wojnę pożyczyłem był u ojca pańskiego 5000 dukatów na całą hypotekę dóbr moich. Ojciec podczas mojéj niebytności wytoczył sprawę — na nieprzytomnym wygrał — i oto wyrok.. Jutro zatradowany cały mój majątek.

SZCZĘSNY.

Cały? .

HORSZTYŃSKI.

Czytaj Pan wyrok... z prelewacyą na rzecz mojéj żony, jéj posagu i wiana.

SZCZĘSNY.

Boże!

HORSZTYŃSKI.

Żona moja nie miała posagu; a wiana zrzekła się, kiedym potrzebował pieniędzy.

SZCZĘSNY.

Jeden z naszych pistoletów nabity — jeden z nas zostanie na ziemi — i będzie czuwał nad...

HORSZTYŃSKI.

A teraz Pan wiész, że ja Pana zabić nie mogę. Ludzie powiedzą, że się chciałem pomścić straty majątku... plama haniebna pokryje moję nędzę, zatruje

HORSZTYŃSKI.

Młodzieńcze! Nieraz punkt honoru — duma tak jest silna w człowieku, że wystawiony na wybieranie między życiem a śmiercią, wstydzi się wybrać życie, myśląc, że się tym wyborem upodli — i myśli, że się poświęca. — Hrabio, ja się poświęciłem dla kraju mego i widzę teraz nicość mojego poświęcenia się. Jeżeliś niewinny, upamiętaj się i nie idź do grobu z taką obojętnością. Przypominam ci słowami starca: że Bóg nie napróżno wlał w serca nasze bojaźń śmierci. Śmierć jest coś okropnego — bardzo okropnego. Ślepy, nie mając co robić, myślałem po całych dniach, o tajemnicy grobu — i prawdziwie śmierć jest okropnością nieopisaną — cieniem wszystkiéj myśli — sprężyną każdego wahania się. — Jeżeliś niewinny, upamiętaj się, nie kładź na moje siwe włosy ciężaru zbrodni — złóżmy pistolety — wybierzesz je po raz drugi.

---

ostatni kawał czarnego chleba. — Rad będę jednak widział, jak osądziłeś siebie... w tym pistolecie jest wyznanie albo twojéj podłéj duszy — albo winy twojéj.. i winy waszéj... Słuchaj!

(strzela na wiatr w ścianę).

Ha! osądziłeś się winnym..

SZCZĘSNY.

Oddawałem moje życie.

SALOMEA *(wpada).*

Co to za strzał?

HORSZTYŃSKI.

Prosiłem Szczęsnego, aby spróbował moich pistoletów ..

SALOMEA.

Mężu! O!... Twój pistolet gorący... to ty strzeliłeś .

HORSZTYŃSKI.

Niechcący ..

SALOMEA.

Strzaskałeś krucyfix ze słoniowéj kości.

HORSZTYŃSKI.

Krucyfix?...

SALOMEA.

Dlaczego Pan masz w ręku pistolet?

SZCZĘSNY.

Pani, mój pistolet nienabity — nikomu strasznym być nie może.

(skrzesza z panewki)

SALOMEA.

Mężu!

HORSZTYŃSKI.

Moja córko, zostaw nas samych. Gwarzyliśmy sobie o dawnych czasach — dziś wigilia wzięcia Częstochowy. — Jak żeńce będą z pola wracali, każ im na dziedziniec beczkę piwa wytoczyć — dawno już nie słyszałem pieśni smutnéj żeńców. . Przyślę ci wkrótce Pana Hrabiego, aby wybrał najpiękniejszą żniwiarkę, któréj ty dasz czerwoną grażu wstążkę. *(Wychodzi Salomea).*

SZCZĘSNY.

Wolałbym prędko ukończyć tę scenę.

HORSZTYŃSKI.

Ale wiész, że ja nie mogę jeszcze wierzyć, abyś ty był winny. Szanowałem ciebie, ufałem tobie — a choć mi oddasz życie twoje, będę pogardzał tobą — przysięgam, że nie wyleję łzy nad tobą, kiedy będziesz leżał u nóg zhańbionego starca. Słuchaj! Między mną a ojcem twoim jest wielka nienawiść — i wiele do nienawiści powodów. Zdaje mi się, że Bóg wybrał rodzinę twoję, aby była ogniem strzechy mojéj — trucizną studni moich — wichrem obrywającym sady moje... Walczyłem — teraz upadam jak robak rozciśniony nogami — szczęśliwy, ilekroć sobie powiem

---

Panie Hrabio, mówmy otwarcie... W innych okolicznościach prosiłbym ciebie, abyś odjechał... Ja stary, kaleka — mam prawo do kilku dni cichego życia na téj ziemi... Ale rozmyśliłem się... Żona moja spotkawszy mię tego rana, krzyknęła okropnie — inaczéj nie wiedziałbym, że przez noc jednę osiwiałem... Więc Bóg zamroził krew w żyłach moich .. Nie mogę rosnąć jak chwast nieużyteczny pomiędzy ludźmi... Skargi moje odprowadzają mię od celu. Proszę cię, Panie Hrabio, zostań w domu moim — i czuwaj nad nią jutro... Wiesz zapewne, że żona moja wzięła po matce usposobienie do melancholii czarnéj. Jeżeli przebędzie dzień jutrzejszy, może będzie kiedyś szczęśliwa ..

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński, nie obrażaj się moją mową... Oto mój ojciec wydzielił mi małą wioszczynę nad brzegiem Willi...

HORSZTYŃSKI.

Nie kończ Pan...

SZCZĘSNY.

Wyjeżdżam za granicę — wioska moja zniszczeje bez pańskiego oka...

HORSZTYŃSKI.

Co? ja mam być ekonomem?

SZCZĘSNY.

Mówiłem, że pańskiego oka potrzeba. .

HORSZTYŃSKI.

Ja nie mam oczu.

SZCZĘSNY.

Nie mówmy więc o tém.

HORSZTYŃSKI.

Rozmowa nasza urywa się...

SZCZĘSNY.

Więc odchodzę.

HORSZTYŃSKI

Daj mi rękę... Co? ty płaczesz? — Wstydź się, dziecko! — Kiedyś byliśmy w szkołach z twoim ojcem i dawałem mu plagi, a śmiał się; — teraz on mi oddał wet za wet — i basta! — Uspokój się, mój synu. Kiedyś chodząc po tym domu, wspomnij starego wojaka .

na pociechę: — Oto kraj wali się: nie dziw, że gruzy zasypały dom starego szlachcica... W ogromie takiego upadku gubię pamięć nieszczęścia; lecz kiedy pomyślę, że upadek mój, hańba domu mojego jest darem zdrajcy —

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński!..

HORSZTYŃSKI.

Przysięgam, że to upodlenie, nieszczęśliwym zostać przez panów Kosakowskich. Nie oparłem chaty mojéj o mury zamku waszego — przyszliście sami szukać mojéj dziedziny. Ojciec bierze mi i wydziéra chléb, ostatni kawał chleba na starość — a ty, ty może gorszy od ojca. Zdaje mi się, że wy bardzo podli — muszę zostawić tobie życie, Panie Szczęsny.

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński, wybierajmy pistolety.

HORSZTYŃSKI.

Słuchaj! tak pogardzam waszą rodziną, że jeżeli ona kochała ciebie: to lituję się nad nią — bo to nieszczęście i hańba

---

SZCZĘSNY.

Ja nie winny twego nieszczęścia.

HORSZTYŃSKI.

Nikt nie winny: — kraj cały wali się, gruzy zasypały dom starego szlachcica.. Zdaje mi się, że jakaś ogromna pochodnia pożaru przyświéca mojemu upadkowi; chciałbym tylko — jak czytałem niegdyś w dziejach o królu Janie-bez-ziemi — chciałbym siąść na konia, przywiązać go między dwa konie śmiałych ludzi — i rzucić się tak ślepemu z pałaszem w ręku na Drewicza szeregi! .. Rąbać, pók zarąbią! .

SZCZĘSNY.

Kto wié, czy kiedy razem nie zginiemy tak, jak mówisz.

HORSZTYŃSKI.

Szaleństwo! .. Zasnęli Polacy, i czuję, że na długo, na długo . Pułaski w Ameryce, król w Warszawie, kraj zaprzedany Moskalom — zdrajce!.. Dzieci ich kiedyś przeklinać im będą. Zaprawdę, że póki tyle głów z ich pokolenia pod toporem kata nie spadnie, ile rublów wzięli z kazny moskiewskiéj, to kraj nie ożyje!. *(Szczęsny załamuje ręce z rozpaczą i wychodzi).*

Wyszedł... Oto pierwsza kara na zdrajców, że dzieci ich uciekają od dźwięku imienia ojcowskiego. Szlachetny to jednak młodzieniec. Ona z nim będzie szczęśliwa... Trzeba teraz pomyśleć, jak złamać nasz ślubny pierścionek. Śmierć! Nigdy przed sobą nie widziałem nędzy: a dziś... jutro . Cóż robić na świecie?.. siąść przy drodze i żebrać jałmużny: na litość Boga! dajcie grosz ślepemu?... Psa nie mam, coby mię co dnia pod krzyż zaprowadził rano, a odwiódł do jamy wieczorem...

Nie chcę sobie w łeb strzelić: — śmierć taka nie ukryje się, krew i mózg zawala te podłogi — i sędziowie ślizgać się będą, jak w dzień sądny na Jozefata dolinie... Może w domu jest trucizna... *(klaska).*

i kara boska i plaga mojżeszowa, kochać podłego człowieka. Ale może ty niewinny téj ostatniéj zbrodni... W takim razie... czy wiész, że zhańbiłem ciebie śmiertelnie słowami — a mam broń, którą zabiję ciebie, ojca twojego i wasz honor — i pamięć waszego życia zabiję na wieki! — Wybiéraj Acan pistolety!

SZCZĘSNY.

Poczekaj... chcę obaczyć jeszcze raz — myśl jednę...

HORSZTYŃSKI.

Wybieraj, zdrajco!

SZCZĘSNY.

Wybrałem.

HORSZTYŃSKI.

Boże! Boże! czuję w ręku ten sam pistolet, co pierwéj. *(odwraca się i strzela w ścianę).* O! Boże!

(Słychać głos SALOMEI *za drzwiami).*

Puszczajcie! Jezus! Marya! Umrę... puszczajcie!

HORSZTYŃSKI.

Otwórz, Szczęsny!

(Szczęsny otwiéra, Salomea pada omdlała w jego ręce, krzycząc:)

Zabiłeś go?

HORSZTYŃSKI.

Żono!.. dlaczego tak cicho?

SZCZĘSNY.

Omdlała.

HORSZTYŃSKI.

Ocuć ją. Czy tylko omdlała?.. Chodź tu, młodzieńcze! wybierz drogę, jaką sądzisz, że należy ci wybrać. Ja wybrałem...

SZCZĘSNY.

O! zabiłeś mnie wzgardą!... Teraz gotów jestem na wszelkie niegodne postępki. Będę z nimi...

HORSZTYŃSKI.

Z kim?

SZCZĘSNY.

Z tymi, co pogardą wszystkich ludzi mszczą się za pogardę siebie.

HORSZTYŃSKI.

To mi bardzo obojętne, czém ty będziesz.

SZCZĘSNY.

I dla mnie to bardzo obojętne... Bądź zdrów, panie Horsztyński!

HORSZTYŃSKI.

Zostań — niech ona zobaczy, że ty żyjesz... [.....[1])] a ja lituję się nad nią. Szkoda téj kobiéty!

SALOMEA.

Gdzie mój mąż? mój mąż?

HORSZTYŃSKI.

Przyprowadź ją do mnie!... Co ci jest, moja żono? Skąd tobie taki przestrach? próbowaliśmy pistoletów...

SALOMEA.

Mężu, to ty strzeliłeś!.. twój pistolet gorący...

HORSZTYŃSKI.

Prochem był nabity... wszakże i prochu szkoda na wróble...

SALOMEA.

Mężu, strzaskałeś krucyfix, co wisi nade drzwiami.

HORSZTYŃSKI.

Krucyfix?

SALOMEA.

Czemu Pan masz broń w ręku?

SZCZĘSNY.

Nie nabita. *(skrzesza).*

HORSZTYŃSKI.

Panie Szczęsny, to mówiłeś, że gotów jesteś dać mi swój turecki kindżał za te dwa francuskie pistolety — namyśl się... a jeżeli chcesz takiéj zamiany, to ja zgodzę się nareszcie zyskać na tobie.

SZCZĘSNY.

Co do mnie, to rzecz skończona.

HORSZTYŃSKI.

Bardzo się cieszę — będę miał po tobie pamiątkę... miłą...

SZCZĘSNY.

Zapiszę ci jeszcze w testamencie pochwę mojego kindżała.

HORSZTYŃSKI.

Starzy pierwéj umierają; — ale się jeszcze może zobaczymy, bo podobno masz wyjechać — walczyć za ojczyznę...

SZCZĘSNY.

O! to jeszcze nie prędko... Mam ojca —

---

[1]) Miejsce wydarte w manuskrypcie. *(Przyp. Wyd.).*

HORSZTYŃSKI.

Ha! kiedy tak, to się będziemy widywali często.

SZCZĘSNY.

Życzę ci dobrego wieczora. — Niech Pani patrzy, jak piękny zachód słońca — kwiaty jéj ogródka ożywają — i będą płakać rosą tego wieczora.

SALOMEA.

Gdzie Pan jedzie?

SZCZĘSNY.

Do domu — idę do ojca mojego...

SALOMEA.

Ale czy Pan wié, co znaczą te słowa w piśmie świętém?

SZCZĘSNY.

Słowa mają różne znaczenia — podług księgi, na któréj je znajdują. Te same słowa, które są świętymi w piśmie świętém, są bezbożne w księdze bezbożnéj — a nieszczęścia mają dźwięk — w księdze pełnéj nieszczęśliwych wypadków. Bądźcie zdrowi!

(Szczęsny odchodzi).

[. . . . . .
. . . . . .*)]

HORSZTYŃSKI.

Co tobie, Sally? wpadłaś do pokoju jak waryatka!...

SALOMEA.

[. . . . . .*)].

HORSZTYŃSKI.

[. . . . . *)] przestraszyłaś mnie bardzo.

SALOMEA.

O mój Xawery! czy ty mnie jeszcze kochasz?

HORSZTYŃSKI.

Czemuż nie miałbym kochać — Sally? Byłaś dla mnie dobrą, długo [. . . . . *)] pamiętam, jak wyjeżdżałem z moimi ludźmi na barską wyprawę: sama piekłaś nam chleby; — widziałem ciebie, jak z zakasanymi po łokieć rękoma miesiłaś czarne ciasto, a kiedy wszedłem do kuchni, schowałaś ręce i podałaś się cała ku mnie różaną i liliową twarzyczką, abym ciebie pocałował — zawsze pamiętam tę scenę. — Dlaczego ty

*) Wszystkie miejsca tu zapełnione kropkami znaczą, że rękopis tu uszkodzony. *(Przyp. Wyd.).*

klękasz przedemną? — nie lubię tych oznak teatralnych... Sally, dlaczego ty klękasz przedemną? — czuję głowę twoję na moich rękach. Wstań, moje dziécię, i wyjdź na dziedziniec — jak będą żeńce wracali z pola, śpiéwając tę piosenkę, którą ja tak lubię, to każ im wytoczyć na dziedziniec beczkę piwa i daj żniwiarce czerwoną wstążkę. Proszę ciebie, Sally, niech się chłopi rozhulają i będą weseli...

SALOMEA.

Dobrze, mój Xawery. Gdybyś ty wiedział, jak jestem szczęśliwa, kiedy mi dajesz jakie polecenia... *(wychodzi).*

HORSZTYŃSKI.

Czy wyszłaś?... Wyszła... Czuję, że mi Bóg policzy tę godzinę w niebie na zmazanie grzechów moich. Tak, niech będzie spokojna — a ja? .. Wszak uczyniłem stałe przedsięwzięcie... jakie? — usunąć się z téj drogi, po któréj idą szumiący ludzie wielkimi tłumami. Nędza albo śmierć! Nigdy tak blisko nie widziałem nędzy i śmierci .. Co robić na świecie? — Siąść przy drodze pod krzyżem i śpiéwać kantyczkową piosenkę: dajcie grosz ślepemu! — Żebrak przynajmniéj ma psa wiernego, co go zaprowadzi pod krzyż, do karczmy, i odwiedzie do wsi wieczorem — a ja... Jutro sąd tradycyjny w tym domu... ha! postawię im nowy sprzęt do zagrabienia — trumnę starca... Konfederat barski! — jak ja lubiłem, kiedy mnie tak nazywano. Muszę siebie sam nazywać przed śmiercią sławą życia mojego... Nie trzeba krwią plamić tych podłóg, po których raczkowałem niegdyś... nie trzeba... ha! gdyby staremu konfederatowi trucizny!... Może w domu jest trucizna — spróbujmy... *(klaszcze).* Świętoszu! Świętoszu!

ŚWIĘTOSZ.

Jestem, Panie...

HORSZTYŃSKI.

Powiédz mi, co tam się dzieje w polu?

ŚWIĘTOSZ.

At — pszenica niezła i żyta dzięki Bogu dosyć.

HORSZTYŃSKI.

Dziś żną?

ŚWIĘTOSZ.

Tak, Panie, od chaty Szewruka aż do nagolickiego kopca... Nie wiém, czemu się też Pan konno nie wybierze na pole zobaczyć żyta.

HORSZTYŃSKI.

Głupi! — a czy nie pamiętasz, jak mi gromnicami oczy wykapali.

ŚWIĘTOSZ.

Niech ich jasny Bóg piorunuje...

HORSZTYŃSKI.

Słuchajno, Świętoszu! czy mógłbyś ty pojechać do miasteczka — w ulicy liwskiéj wisi ogromny szyld, gdzie żyd Josiel trzyma aptékę; kup za parę złotych u żyda acidum prussicum.

ŚWIĘTOSZ.

Cóż to panie? lekarstwo na prusaki?... a gdzież to znowu zagnieździły się u nas tarakany? — a to ja ogniem spalę...

HORSZTYŃSKI.

A to może ty w domu masz truciznę?

ŚWIĘTOSZ.

A jużci: — muchomory na muchy — i coś zostało jeszcze arszeniku we flaszeczce od gomułek na szczury.

HORSZTYŃSKI.

Ha! masz arszenik? — właśnie szczury za obiciem mego sypialnego pokoju porobiły gniazda — i całą noc szeleszczą obdartymi papiérami.

ŚWIĘTOSZ.

To ja przyniosę gotowy pączek w maśle usmażony...

HORSZTYŃSKI.

Nie, przynieś mi flaszeczkę z proszkiem; — ja sam przyrządzę.

ŚWIĘTOSZ.

Ale to, Panie, jak na oczy upadnie, to człowiek oślepnie.

HORSZTYŃSKI.

Nie, mój Świętoszu, nie lękaj się — włożę okulary.

ŚWIĘTOSZ.

O głupi ja — głupi!

HORSZTYŃSKI.

Co? czy ty myślisz, że mam jakie zamiary?...

ŚWIĘTOSZ.

Co?! jakie zamiary? o co mię Pan posądza?

HORSZTYŃSKI.

O nic! — idź!... przynieś mi arszenik!

(Świętosz odchodzi).

Już byłem pewny, że się ten człowiek domyślił i narobi hałasu... Ha, jeszcze trzeba będzie do księdza Prokopa napisać list: — będzie to moja spowiedź pośmiertna — z grzechu śmierci...

ŚWIĘTOSZ.

Oto, Panie, flaszczyna z proszkiem.

HORSZTYŃSKI.

Daj! Czy daleko jeszcze do wieczora?

ŚWIĘTOSZ.

Słońce zachodzi za nagolickim kopcem.

HORSZTYŃSKI.

Gdzie to ten kopiec?

ŚWIĘTOSZ.

A tam, gdzie Panisko woził kiedyś kolaską naszę panią — a pani przejeżdżając koło kopca, zawołała: Świętoszu: zatrzymajno konie, bo widzę mnóstwo konwalii — zeżnę sobie bukiecik.

HORSZTYŃSKI.

Pamiętam... Przysuń mi tu stolik, podaj papiér i pióro... Jeżeliby kto wszedł, kiedy pisać będę — to mię ostrzeż... Czy moja ręka na papiérze? czy pióro umoczone? — jak dojdę pismem do końca papiéru, to mi powiédz.

ŚWIĘTOSZ.

Niech Panisko jedzie... stąd — do góry — zawróć Pan!.. Dalibóg, Pan cudownie pisze, dwie ryguły jedna przy drugiéj, by koléj od kałamaszki... Noga w tył — nie zjeżdżaj!... To mi się widzi, że Pan by mógł jeszcze szablą pisać po wąsach Moskalom, gdyby te biesy nocą nie napadali... jak to było...

HORSZTYŃSKI.

Umiesz ty czytać?

ŚWIĘTOSZ.

Nie.

HORSZTYŃSKI.

Jutro jak świt... zaniesiesz ten list do celi księdza kapucyna Prokopa; — jak świt... nie zapomnij, bo to rzecz bardzo ważna.

ŚWIĘTOSZ.

Dobrze, Panie! *(odchodzi).*

HORSZTYŃSKI.

Chciałem rzucić się na szyję temu człowiekowi i lękałem się, aby się nie domyślił, że go Pan żegna jak umierający. Czło-

wiek najsamotniejszy — a któż samotniejszy nademnie — tyle ma nitek do zerwania, nim wyjdzie z tego świata! Już wieczór — świerszcze zaczynają śpiéwać w szczelinach mojéj chaty. Co będzie jutro ze mną o téj godzinie?.. Mój Boże! mój Boże! Chryste Panie! sądź mię tak, jak sądzisz ludzi nieszczęśliwych — miéj litość nademną! Boże, wszak Ty bez cudu mógłbyś mię zatrzymać na ziemi: — powiédz sercu mojemu, niech mi powie, że jestem jeszcze potrzebny na ziemi rzeczom, wypadkom albo ludziom; — powiédz sercu mojemu: żyj! — a żyć będę. Żyłbym, gdyby była choć nadzieja odzyskania oczu... Jak zażyć tę truciznę? — muszę zawinąć w opłatek.

(Idzie omackiem i dobywa z szafy opłatki).

Ślepy, a przecież znalazłem opłatek — kto rękę moję prowadził? Czuję te drżące listki chleba w moich dłoniach. Jak ja lubiłem niegdyś dzień Bożego Narodzenia! W tym samym pokoju z opłatków kleiłem różnokolorowe słońca, kołyski — jakaś świętość i wesele napełniały moje dziecinne serce.

(Łamie opłatek i sypie truciznę, potém skleja).

Dziś jeszcze nie rozumiem, co znaczą te litery święte, wyciśnione na opłatkach. Będąc dzieckiem, myślałem, że to jakieś słowa z pieśni anielskiéj i z błękitnego języka... Gorąco mi — chciałbym się przejść po pokoju — i lękam się uderzyć czołem o zimne ściany.

(Słychać pieśń wracających żeńców — daleko).

Cicho!... pieśń żniwiarzy. — O! moja wiosko! moja wiosko!... Jutro w tym domu trumna — księża — sąd... Jutro ta pieśń... jutro inny pan — i nikt się nie zlituje nademną! — Ja przecież wszystko poświęciłem krajowi! — ten dług strwoniłem prochem i kulami... a jutro gdybym żył, byłbym głodny jak pies — i nikt się nie zlituje nademną! Stary i siwy — i sam — bez dzieci. — Oni mię nie pogrzebią w święconéj ziemi. Mój ojciec musiał okropnie zawinić, bo ja cierpię.

Pieśń żniwiarzy wyraźnie:

Pożęli żyto, pożęli jarkę:
Niechaj nam pan da na wódki czarkę.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

Plon żyta — pochlebiają mi ci ludzie — plon żyta... Widać, że żona moja kazała im beczkę piwa wytoczyć... jaki gwar na dziedzińcu.

Pieśń.

Pożęli żyto, wygnali zajca:
Nie żałuj, Pani, wstążki okrajca.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

W téj pieśni widzę moje żółte łany — i zielone lasy... Z początku ta pieśń rozdrażniła serce moje, a teraz uciszyła je jak pieśń mojéj mamki, jak pieśń kiedyś mojéj Izabeli — niech jéj światło niebieskie świéci na wieki wieków, Amen... I mnie także niech będzie tak cicho po śmierci, jak kiedyś przy niéj, kiedy śpiéwała... Cyt!... ktoś idzie! to ona... Słyszę i poznaję szelest jéj sukni... w jedwabnéj sukni ubrana...

(Wchodzi SALOMEA).

SALOMEA.

Mężu, wyjdź na dziedziniec do ludzi.

HORSZTYŃSKI.

O nie — nie mogę, żono!...

SALOMEA.

Kilku starych chłopów weszło aż na ganek i kłaniali mi się do nóg, prosząc, abym im pana łaskawcę wyprowadziła.

HORSZTYŃSKI.

Żono... nie wyjdę!

SALOMEA.

Dlaczego zasmucać tych ludzi?...

HORSZTYŃSKI.

Dlaczego? Bo świat smutny, a ja świata rozweselić nie mogę jak arlekin — bo jestem — ślepy — i stary... Powiédz mi, Salomeo, czy nigdy tu podczas mojéj niebytności nie przyniesiono jakich sądowych papiérów?

SALOMEA.

Nieraz na drzwiach przybijano mi różne manifesta: barskie, targowiczańskie. Z początku odczytywałam je pilnie — potém rzucałam wszystkie do wielkiéj szafy w szpichlerzu.

HORSZTYŃSKI.

To dobrze. Czy ty mówisz zawsze wieczorną modlitwę z czeladką?

SALOMEA.

Zawsze modlimy się razem.

HORSZTYŃSKI.

Dzisiaj nie zapomnij, moja żono, modlitwy... za tych, co cierpieli — i żyli...

SALOMEA.

Mężu, módl się z nami.

HORSZTYŃSKI.

Nie zdrów jestem — muszę się położyć do łóżka.

SALOMEA.

Zaraz?

HORSZTYŃSKI.

Sally, przechodząc do twego pokoju, stąpaj cicho... Nie, tego ci nie trzeba zalecać... Ale idź bez świécy, bo światło... o! ja szalony! — widzisz, że ja, tak jak mój Świętosz, nie mogę czasem zapomnieć o moich oczach... Nie obudź mię, żono, bo czuję, że mi snu potrzeba. Chciałbym spać téj nocy. Ty sama bądź przy wieczerzy.

SALOMEA.

Mężu, chcesz, bym czuwała przy tobie?

HORSZTYŃSKI.

Cóż ty, moja gołąbko? Już ci się zdaje, że ja śmiertelnie chory. Czyś ty zapomniała, że kilka miesięcy temu sypiałem na zimnéj rosie, pod koniem moim... Jaki to był koń!... Czułem często, jak nogą zwolna poruszył i dotknął moich piersi — jak ostrożnie, jak Swiętosz, kiedy szklankę kryształową stawia na stół. Ten koń w kopytach miał czucie: nie rozdarł nigdy moich piersi — nawet przez sen... *(Salomea zakrywa oczy dłoniami).*

Salomeo, pomóż mi pas odwinąć.

(Salomea bierze za jeden kutas pasa, Horsztyński odkręca się jak w walcu, ale zwolna, tak że odchodzi aż na koniec pokoju; pas zostaje w rękach Saloméi).

Widzisz, Sally moja, pas ci został w ręku, a mąż się odwinął — i na wieki... Oto historya życia. Rano trzymałaś za koniec pasa, ja zbliżałem się do ciebie; wieczorem... Co? ty klęczysz przedemną?... Córko moja, kochana moja Sally, ty mię nigdy nie będziesz przeklinać — prawda, że nie będziesz przeklinać

pamięci mojéj, cobądź przyjdzie na ciebie — z mojéj winy... Daj mi rękę — zaprowadź mię ku drzwiom sypialnego pokoju i przechodź sama cicho — bo wiész, że ślepi słyszą najmniejszy szelest... Dobréj nocy, Sally.

SALOMEA.

Do jutra...

HORSZTYŃSKI.

Co?...

SALOMEA.

Jutro może będziesz mężu spokojniejszy.

HORSZTYŃSKI.

Tak — spokojniejszy...

(Wchodzi do sypialnego pokoju).

SALOMEA. [1])

Muszę kazać, żeby się ci chłopi uciszyli na dziedzińcu, aby ten starzec biédny mógł zasnąć... *(odchodzi).*

SCENA II.

(Przedpokój Hetmana).

(Słychać mocne dzwonienie — HETMAN *wpada).*

HETMAN.

Cóż to, na miłość Boga! nikogo? nikogo?...

(KSIŃSKI *wbiega).*

KSIŃSKI.

Cóż to, jaśnie wielmożny Panie?

HETMAN.

Gdzież moi ludzie? — Ten człowiek musiał rozpaplać przed zgrają o rewolucyi w Warszawie... Każ mu wypalić w łeb, jak

---

[1]) W rękopisie było dane pierwéj takie zakończenie téj sceny. Późniéj je autor przekreślił.

SALOMEA *(sama).*

O mój Boże! jaka okropność... Koń mu nie rozdarł piersi nawet przez sen — a on pomyślał; a ty Salomeo... Widziałam ich obu z pistoletami w ręku... Mąż musiał strzelić i nie trafił w Szczęsnego. O Jezu Chryste! ty odwróciłeś tę kulę — wizerunek twój przyjął w piersi jeszcze jednę ranę. O Jezu! broń mię ty od czarnych myśl i snów... Kiedym zobaczyła mego męża z pistoletem, jakaś okropna myśli nienawiści ku niemu przewiała przez moje serce... ale to nie moja myśl — to myśl innéj duszy. — Widzę Szczęsnego: idzie zwolna przez lipową aleję, zapewne do celi księdza.. Pójdę zwołać ludzi na wieczorną modlitwę — może będę spała spokojnie. *(odchodzi).*

psu!... To nieprawda! Warszawa nie powstała... w Warszawie spokojniéj niż w moim łbie siwym!... Na miłość Boga, zawołaj tu ludzi — zaprzęgać karetę — i wróć tu. — Gdzie jest mój syn?

KSIŃSKI.

Wyjechał konno.

HETMAN.

Kazałem Acanu, abyś kazał zaprząc karetę. — Przykuć łańcuchem do koła tego posłańca z Warszawy; zaciągnę go do gubernatora wileńskiego... *(Ksiński odchodzi).* Rwie się, rwie się skała — ale ja zatrzymam ją. Szewcy się burzą... Gdybym chciał, mógłbym się przyczaić w moim zamku i siedzieć jak mysz — ale te papiéry... Ha! panie Horsztyński, papiéry twoje zgubią Polskę... Pozajutro Moskale nadciągną...

KSIŃSKI *(wraca).*

Wydałem rozkazy.

HETMAN.

Panie Ksiński, ponieważ mam ciebie pod ręką, muszę cię użyć. Oto skoro szlachta zjedzie się do zamku, syn mój powinien stanąć na czele i natychmiast jechać zbrojno pod Wilno od strony ostrobramskiéj. — Są wieści, że jutrzejszéj nocy Jasiński tamtą stroną chce się wkraść do Wilna. — Schwytać i natychmiast powiesić go jak szpiega, bez sądu — rozumiesz — nie wierzyć mu, że się nazywa Jasiński.

KSIŃSKI.

Tak, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Ale wiész ty, że mój syn... choć to niepodobna — może nie zechce stanąć...

KSIŃSKI.

Tak, choć to niepodobna, jaśnie wielmożny Panie... może nie zechce...

HETMAN.

Ty staniesz.

KSIŃSKI.

Będę się starał dowieść Hetmanowi, że...

HETMAN.

Milcz! milcz! milcz! — Słowa — to śmiecie... Otóż jeżeli syn nie zechce, zawołasz do sali moich żołnierzy, co zamknięci w tylnym dziedzińcu — i zaaresztujesz ptaszka. Rozumiesz?

KSIŃSKI.

Rozumiem.

HETMAN.

Wsadzisz go do jakiéj ciupy — i sam na koń, pod Wilno! Pan Horda przyprowadzi mi 50 ludzi zbrojnych do mego zamku w Wilnie, a ty z resztą będziesz się uwijał koło Ostréjbramy.

KSIŃSKI.

Wszystko się stanie podług Jego woli.

HETMAN.

Sforka pokaże ci zapas prochu na wieży. Oto mój pierścień — rozumiesz, Mości Panie! Wszyscy ciebie mają słuchać, jak mego maleńkiego palca u ręki...

KSIŃSKI.

Dumny jestem zaufaniem...

HETMAN.

Ale mój syn... ja chcę, aby mój syn był na czele — rozumiesz?

KSIŃSKI.

Tak.

(AMELIA *wchodzi*).

HETMAN.

Co to za kobiéta? — Amelio, czego Acanna?

AMELIA.

Ojcze, chciéj mnie posłuchać.

HETMAN.

Jutro! — jutro!

AMELIA.

Dziś, ojcze. — Panie Ksiński, oddal się Pan.

(KSIŃSKI *wychodzi*).

HETMAN.

Co to znaczy? Ufasz zanadto w moję łaskawość.

AMELIA.

Ojcze drogi, gdzie ty jedziesz?

HETMAN.

Do Wilna.

AMELIA.

Zaklinam ciebie, ojcze, zostań w zamku... Jakieś ogromne grozi tobie nieszczęście.

HETMAN.

Śniło ci się.

AMELIA.

Ojcze, byłam sama w moim pokoju i patrzałam, jak wschodził księżyc czerwony. Psy zaczęły wyć głucho i okropnie — odwróciłam się — i wierz mi, ojcze, nie uważaj mnie za jasnowidzącą waryatkę: — matka moja była ze mną...

HETMAN.

Nieboszczka?..

AMELIA.

Ojcze, jaki ty dobry, że wierzysz mi. — Myślałam, że ty mnie odrzucisz ze wzgardą, a widzę mgłę zamyślenia na czole twojém. Spodziewałam się zawsze, że kiedyś będziesz kochał twoję córkę.

HETMAN.

Czy mówiła co do ciebie?

AMELIA.

Milczała długo... struny arfy mojéj zaczęły grać same smutnie i powietrzną jakąś pieśń — potém zdawało mi się, że jakiś głos kobiéty jęknął — i z płaczem mówił: ojciec twój kona...

HETMAN.

Ojciec twój?..

AMELIA.

W okropném poruszeniu leciałam do twego sypialnego pokoju — otworzyłam drzwi — i znów cień biały był przedemną... Zdawało się, że go przyniosłam z sobą w oczach...

. . . . . .

(Tu braknie kart cztérech drobnego i nabitego pisma w rękopisie).

. . . . . .

AKT CZWARTY

SCENA I.

(Pokój Sforki w pałacu).

SFORKA — MAŁGORZATA.

SFORKA.

Idź Acani i nie przeszkadzaj mi.

MAŁGORZATA.

Ale mój mężu, dalibóg wbijają Acanu jakieś duby w głowę, a ty wierzysz. Szkoda, że złożyłam czerepy twojéj głowy, którą pan Hetman rozbił wczoraj, jak zgniłe jaje.

SFORKA.

Idź Acani, pilnuj kur i gęsi! Ja czekam na kogoś...

MAŁGORZATA.

Zamknę Acana na klucz i nie puszczę tych sowizdrzałów, co ci mózgi mięszają, jak rumianek w filiżance łyżeczką.

SFORKA.

To nie żaden sowizdrzał, moja duszko. Tu przyjdzie najrozumniejszy człowiek między muzykantami pana Hetmana, człowiek z imaginacyą, pierwszy trombon.

MAŁGORZATA.

Jeżeli chcesz grać na trombonie, to za drzwi!

SFORKA.

Ale ja nie będę grać na trombonie. Czy ty mnie masz za takiego głupca, moja żono?

MAŁGORZATA.

Cóż Acan będziesz robić z muzykantem?

SFORKA.

Pracować.

MAŁGORZATA.

Zmyję ci głowę, panie siwoszu, jeżeli mi jeszcze będziesz gadał o tych napolitańskich sumach. Miéj to w zanadrzu i basta— a nie pijcie z tym trombonem, jak bibuły. Pójdę na mszą wyprosić u Boga trochę rozumu dla ciebie, bo już mi dziecinniejesz. Źle

musiałeś prowadzić się w młodości, panie mężu, jeżeli w sześćdziesiątym roku przychodzi na ciebie grzybowa starość. Piaseczku tobie i kamyczków — baw się, lubko!... *(wychodzi).*

SFORKA.

Głupia, głupia! To szczęście, że w księdze rachunków przepisałem na dwie ręce pytania pana Nuncyusza... Ha, pan trombonista!.. (KSIĄDZ *wchodzi*). Do dyabła, to ksiądz Prokop. — Witam, ojcze wielebny. Czy po barana?

KSIĄDZ.

Niech mi Jegomość wybaczy, że przerywam jakieś zatrudnienie, może rachunki. Chciałem widzieć pana Szczęsnego — mówiono mi, że całą noc niewiadomo gdzie przepędził i nie wrócił jeszcze do pałacu. Ważną mam rzecz do zakomunikowania panu Hrabiemu, rzecz, która obchodzi zdrowie i szczęście drogiéj mu osoby. Udaję się do ciebie, panie Sforko, abyś był pośrednikiem między nami. Daj mi kawałek papiéru i pióro — napiszę kilka słów do pana Szczęsnego, a ty, mój stary przyjacielu, zechcesz mu je jak najprędzéj wręczyć.

SFORKA.

To mówiłeś, ojcze...

KSIĄDZ.

Prosiłem o kawałek papiéru i pióro...

SFORKA.

Natychmiast... proszę siadać — może kieliszeczek wódeczki?

SFORKO.

Na miłość Boga, panie Sforko! nie zatrzymuj mnie grzecznościami, bo muszę wrócić jak najśpieszniéj czuwać nad nieszczęśliwą sierotą. Pić nie mogę z tobą, panie Sforka, albowiem mam odprawić mszą żałobną.

SFORKA.

W czémże mogę usłużyć?

KSIĄDZ.

Proszę o kawałek papiéru i pióro... *(do siebie)* Czy ten starzec ogłuchł?

SFORKA.

A! kawałek papiéru. Oto jest... siadaj i pisz, mości księże; wybacz mi, że cię nie mogę zabawić rozmową — bo prawdziwie ważną mam rzecz do rozwiązania...

(Ksiądz pisze przy biórku.

SFORKA.

To dziwne! Wieczorem zdaje mi się, że ta fortuna nie jest niepodobną — a rano zdaje mi się, że to wszystko głupstwo. — Czy ja rozumny rano, a głupi wieczorem? — czy też rozumny wieczorem, a głupi rano? (*Wchodzi* TROMBONISTA). Ha! witaj, mości Garnoszu.

TROMBONISTA.

Sługa. — Co tu robi ten ksiądz?

SFORKA.

Wyprawię go natychmiast, mości Garnoszu. Bardzo obowiązany ci jestem, żeś raczył przyjść i dopomóc mnie biédnemu... Natychmiast zbędziemy się tego księdza —

KSIĄDZ.

Panie Sforko, zaklinam ciebie na starą naszę zażyłość, abyś oddał ten list panu Szczęsnemu, skoro tylko powróci. To rzecz bardzo ważna! los wielu osób zależy od tego kawałka papiéru...

SFORKA.

Bardzo dobrze, przyrzekam. Los zależy od kawałka papiéru — zdarza się to często. Czy ten ksiądz wié o mojéj historyi?

KSIĄDZ.

Pokój temu domowi!

SFORKA.

Uniżam się do nóg, Ojcze wielebny.

(Ksiądz odchodzi).

TROMBONISTA.

Cóż będziemy poczynać?

SFORKA.

Panie Garnoszu, zdarza się często na świecie, że ludzie grają w loteryą. Otóż, jeżeli los wielki wygrają, to są wielkimi panami... otóż... Cóż to jest los, mości trombonisto, co to jest los? — głupstwo — i nie głupstwo! Bo jeżeli stawiasz na loteryą, a nie wygrasz: to mówią ludzie, żeś głupi. A jeżeli wygrasz, to mówią ludzie, żeś rozumny. Cóż to więc jest rozum, panie trombonisto? — rozum — to los.

TROMBONISTA.

Postaw, panie Sforka, kufel — i daj ten papiér, o którym bajałeś. . Obaczymy.

SFORKA.

Do Acana! *(pije)*. Otóż choćby te pytania do niczego nie prowadziły, to wszelako pij, panie trombonisto! Zdaje się, że łatwo będzie rozwiązać... Czytaj!

TROMBONISTA.

Ja czytam nuty na trombon pisane — ale skoropisu nie łaska.

SFORKA.

Słuchaj!.. Łatwe do zadania
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

TROMBONISTA.

Mówią, że trudne do rozwiązania?

SFORKA.

Chcą nas przestraszyć!.. Odczytajmy i zaczniemy od najłatwiejszych... *(czyta:)*

Primo: Dla czego kij ma dwa końce?
Secundo: Co ja myślę?

TROMBONISTA.

Kto myśli, panie Sforka?

SFORKA.

Nic... Napisano: co ja myślę... i basta... i punkt. Ale posłuchaj daléj!..

Tertio: Jak najprędzéj świat objechać?
Quarto: Co Bóg pierwéj stworzył, czy jajko, czy kurę?
Quinto: Co to — ja?....

TROMBONISTA.

To, mości Sforka, głupie pytanie!.. to głupie pytanie!..

SFORKA.

Sexto: Co więcéj waży... czy funt piasku, czy funt żelaza?
Septimo: Czém byłby człowiek, gdyby nie był człowiekiem?
Octavo:

TROMBONISTA *(przerywa)*.

Zacznijmy odpisywać na piérwsze pytanie, to drugie same się odpiszą...

SFORKA.

Trzeba przeczytać do końca.

Octavo: Dlaczego mówią: ma ćwieka we łbie?..

Nono: Dlaczego dziewięć pytań, a nie więcéj zadano do rozwiązania?

W postskrypcie jeszcze dodano wierszem:

„Jeśli rozwiąże
Quaestiones, quae pendent,
Sforka intendent:
To będzie książe...

„Prosimy jeszcze, aby wynalazł sposób puszczania baniek kwadratowych z mydła... i przysłał nam jednę bańkę do Medyolanu na próbkę, pocztą albo balonem".

Cóż sądzisz Acan?

TROMBONISTA.

Sądzę, że bańkę z mydła trzeba wydmuchać. Inaczéj, wszystko będzie jak bańka z mydła.

SFORKA.

Ale ja sądzę, że ostatek na ostatek... Naprzykład, powiédz Acan, dla czego kij ma dwa końce.

TROMBONISTA.

Dla czego? jakto dla czego?

SFORKA.

Mnie się to wszystko takiém głupstwem wydaje, że przyznam ci się, mam ochotę plunąć.. i basta.

TROMBONISTA.

Otóż ja przeciwnie... Radzę Acanu nie zrażać się trudnościami. — Ale pójdźmy do drugiego zapytania... czytaj Pan!

SFORKA.

A z piérwszém co zrobić?

TROMBONISTA.

Pst!.. piérwsze to głupstwo!.. Co tam daléj?..

SFORKA.

Secundo... co ja myślę?

TROMBONISTA.

To bardzo łatwe do rozwiązania, co ja myślę ..

SFORKA.

Ale co ja myślę?

TROMBONISTA.

Jakto co Acan myślisz? — Czy ja wiém, co Acan myśli?

SFORKA.

Ale kto to ten ja? —

TROMBONISTA.

Ten, co pyta Acana... To jasno, jak słońce...

SFORKA.

Może to się jakoś rozwiąże. Idźmy daléj... Jak najprędzéj świat objechać?

TROMBONISTA.

To, mości Sforko, rzecz najłatwiejsza. Gdyby na świecie nie było morza, to pocztą... Gdyby nie było ziemi, tylko morze, to okrętem. Ponieważ jest i ziemia, i morze na świecie, więc objechać pocztą i okrętem! Pisz, panie Sforka: pocztą i okrętem.

SFORKA.

No, niech tak będzie! Choć mi się to nie bardzo podoba... pocztą i okrętem... Ujdzie!.. ujdzie!..

TROMBONISTA.

A ja mówię Acanu, że to nawet bardzo ujdzie...

SFORKA.

Winien ci będę, panie trombonista... No basta!.. daléj!.. Pij, przyjacielu ..

TROMBONISTA.

Widzisz, że nie tak straszny wilk, jak się wydaje.

SFORKA.

Hum! Hum!... Ale ty wiész, że to trzeba wszystko wygotować przed wieczorem; bo jeżeli nie... to finfa...

TROMBONISTA.

Więc śpieszmy się, panie Sforcya!

SFORKA.

To już mnie Acan nazywasz panie Sforcya?

TROMBONISTA.

Ha! wszystko idzie jak z płatka. Czytaj, mości Sforko!

SFORKA.

Co pierwéj Bóg stworzył, czy jajko, czy kurę?

TROMBONISTA.

Jak się Acanu wydaje?

SFORKA.

Kurę.

TROMBONISTA.

Mógł wprawdzie stworzyć kurę, ale mógł stworzyć i jajko. Trzeba odpisać z pewnością.

SFORKA.

Ale gdyby stworzył jajko — któżby je wysiedział?

TROMBONISTA.

Kura.

SFORKA.

Omyliłem się na Acana imaginacyi, mości trombonisto! Jakżeż kura?.. to głupia odpowiedź.

TROMBONISTA.

A ja dowiodę Acanu, że nie głupia. Ja pewny jestem, że jajko stworzył. A naprzykład, gdyby kury nie było, to wiész Acan, że ciepło człowieka może... albo w piecu...

SFORKA.

Ale kiedy pieców nie było, mości dobrodzieju!

TROMBONISTA.

To Ewa mogła wysiedzieć. Więc to rzecz najłatwiejsza do rozwiązania. — Każ Acan żonie swojéj spróbować. A jeżeli wysiedzi jajko, to Bóg stworzył jajko.

SFORKA.

Ja nie chcę zaczepiać mojéj żony.

TROMBONISTA.

Więc odpisz prosto: jajko — odpisz: jajko. Ja ci ręczam, że jajko.

SFORKA.

Zdaje mi się, że ja to wszystko przemienię, namyśliwszy się głęboko. A teraz, do czasu, niech tak będzie! — Czytajmy... Quinto: co to ja?

TROMBONISTA.

Ale to już było to pytanie.

SFORKA.

Gdzie?

TROMBONISTA.

Wyżéj!.. już rozwiązałem i zapomniałem dawno.

SFORKA.

Ale ja ci uręczam, że nie było... Co to ja?

TROMBONISTA.

Głupie pytanie, co to ja!

SFORKA.

Ty — trombonista.

TROMBONISTA.

Ha! więc pisz: trombonista.

SFORKA.

Za pozwoleniem! Któż wié, że Acan byłeś ze mną i pytałeś się mnie, co to ja? Owszem, nie trzeba, aby się domyślili ludzie, że Acan pomagałeś mi w skrypturze.

TROMBONISTA.

Ładu z Acanem dójść nie można!

SFORKA.

O! gdyby tu karła hetmańskiego! ma więcéj rozumu w garnku, niż cała muzyka Hetmana.

TROMBONISTA.

Karzeł by tobie inaczéj nie odpowiedział, mości Sforko! Spytaj go: co to ja? a powie: trombonista. A karzeł spyta mnie, to mu powiém: jesteś karzeł. A spytaj mnie, Panie Sforko, co to ja?

SFORKA.

Dalibóg od godziny pytam, co to ja?

TROMBONISTA.

Ty — indendent Sforka.

SFORKA.

Ja wiem, że ja indendent Sforka.

TROMBONISTA.

A dla czegoż pytasz Acan o takie głupstwo?

SFORKA.

Ale kiedy to nie ja pytam Acana, ale ten papiér pyta.

TROMBONISTA.

Jak to papiér?

SFORKA.

Żegnam ciebie, panie trombonisto. Bałamucisz mnie i potém kłócisz się ze mną, jak z dzieckiem. Odczytam Acanu te pytania, jak sam na nie odpiszę.

TROMBONISTA.

Nie odpiszesz, panie Sforka — dalibóg nie odpiszesz!

SFORKA.

Pęknę, a odpiszę.

TROMBONISTA.

Do dziś wieczora?

SFORKA.

Do dziś wieczora!

TROMBONISTA.

Na wszystkie?

SFORKA.

Co do joty!

TROMBONISTA.

I na bańkę z mydła odpiszesz?

SFORKA.

Bańka!.. Dalibóg nie pomyślałem o bańce.

TROMBONISTA.

Otóż jeszcze przez przyjaźń poradzę tobie, panie Sforko, względem bańki. Wszak powinna być kwadratowa?

SFORKA.

Tak.

TROMRONISTA.

Otóż trzeba wynaleść kwadratową słomkę...

SFORKA.

I ja wiem o tém... ja wiem o tém... Ale jak posłać próbkę .. pocztą!

TROMBONISTA.

Posłać mydło i kwadratowę słomkę, to rzecz jasna. Niech sami Medyolańczycy puszczają bańki.

SFORKA.

Prawdziwie! Pójdę na pole szukać słomki... a ty gdzie idziesz?

TROMBONISTA.

Grać na trombonie.

SFORKA.

Przyjdź Acan zajrzeć wieczorem w pytania.

TROMBONISTA.

Uniżam się do nóg.

SFORKA.

Wyjdziemy razem... *(Zapomina listu na stoliku — wychodzą).*

SCENA II.

(Odkrywa się głąb teatru — ogromna sala zégarowa, — wieża w głębi — stoliki nakryte zielonem suknem. Młodzież gra w karty, pije i pali lulki. KSIŃSKI *pomiędzy nimi. Jedni grają, drudzy tłumami chodzą i rozmawiają; ciągły gwar i śmiéch).*

PIERWSZA GRUPA.

— O dwie butelki szampana!

— Na honor...

— Ale kiedy ja się zakładam z tobą...

— Dajcie pokój!... Zakładacie się o rzecz bardzo jasną dla drugich.

— Cha! cha! cha!... Widziałeś ty kiedyś Kościuszkę?

— Gdyby mu był szlachcic dał córkę, siedziałby teraz spokojnie i siał grykę. A tak — bruździ i hałasuje.

— Acan także podobno w konkurach nieszczęśliwy?

— Wygrał! wygrał Wschowski — płać szampana!...

— O co zakład?

— Mówiłem wam, że gdyby się był ożenił Kościuszko z córką tego szlachcica, który pogardził biédnym inżynierem: nie byłby pojechał do Ameryki i nie byłby dziś straszny człowiek.

— To tak, jak Kromwel, co już był wsiadł na okręt, płynąc do kolonij jako majtek. Aż tu rozkaz królewski przyszedł, aby okręt nie odpływał. Kromwel został — i z nudy zaczął być wielkim republikaninem.

— Co? ty Kościuszkę równasz do Kromwela?

— Słuchajcie — założył się Wschowski i nie może kupić szampana, bo tu darmo dają!

— Szampan taki, to nie szampan zakładowy!

— Do Wilna — kupi w Wilnie...

(Ksiński włazi na stół).

KSIŃSKI.

Panowie! uciszcie się na chwilę! Panowie! proszę o chwilę milczenia!... Panowie! Oto całą noc przepędziliśmy wesoło na kartach, czekając na Pana Hetmanowicza, który miał nam dowodzić — który się nie pokazał w zamku... Więc...

— Więc i który! — Brawo, Ksiński! — więc!...

KSIŃSKI.

Panowie! Oto pierścień Hetmana — uszanowanie! Otóż ja obowiązany jestem wziąć nad wami dowództwo i prowadzić na wskazane miejsce.

— Czekać na pana Hrabiego!... Czekać — czekać!

KSIŃSKI.

Poczekamy nań jeszcze kwadrans. Dłuższa zwłoka ściągnie na mnie wielką odpowiedzialność. Skończyłem. *(złazi ze stołu).*

— Brawo mowca! podrzucać go — podrzucać go!

(Chwytają Ksińskiego i podrzucają w górę).

— Hej! zdjąć firanki i na firankach podrzucać!

KSIŃSKI.

Ale ja mam ostrogi — zaczepię się i rozedrę firanki. Dosyć, Mości Panowie! to za wysoko! dosyć! Bardzo proszę — bo się będę gniewał.

— Przestańcie już grać w pęcherzowy balon!

— Gdzie poeta? niech improwizuje!

— Albo niech pan Kleofas śpiéwa piosenkę swojéj kochanki, która, kiedy gra na gitarze, to zdaje się, że woda leje się ciurkiem w cynowe naczynie...

— Jaka woda?

— Z czego?

— Śpiéwaj poeto piosenkę panny Anieli!

Poszła Filis do ogrodu,
Nie mówiąc matce powodu...

(Wchodzi SZCZĘSNY *czarno ubrany. Gwar z początku głośny ucicha stopniami. Niektórzy ściskają Szczęsnego za rękę, inni kłaniają się z daleka).*

KSIŃSKI.

Mamy ciebie, panie Hrabio. — Bardzo się cieszę, że przecie... Chcesz? zapoznam ciebie z głowami...

SZCZĘSNY.

Jakto z głowami?

KSIŃSKI.

Koledzy! widzę, że nasz hetman w różowym humorze... Wszak hetmanisz nam, panie Szczęsny? Gdzie to noc przepędziłeś? Widzę kwiatki polne pozaczepiane na twoim kontuszu i we włosach... *(po cichu).* cyt! u Maryny? — *(głośno)* Sentymentalnie

z gwiazdami pan Szczęsny noc przepędził, moi mości koledzy szlachta, ale ręczam, że na koniu nie zaśnie.

JEDEN Z OBECNYCH.

Ale patrzaj, on dalibóg jak śpiący. Co jemu dolega?

SZCZĘSNY.

Proszę panów bawić się — i być jak we własnym domu... Panie Ksiński, bardzo mi smutno, że zamroziłem tak nagle wesołość...

KSIŃSKI.

Panie Hrabio, zaklinam ciebie: obudź się i bądź przecie człowiekiem! — tak nie pójdziesz z nami!

SZCZĘSNY.

To rzecz obojętna.

KSIŃSKI.

Jakto obojętna?

SZCZĘSNY.

Obojętna dla mnie... Panowie grają w karty?

GŁOS Z TŁUMU.

Faraonik... Panie Hrabio, spróbuj szczęścia!

SZCZĘSNY.

Szczęścia?

KSIŃSKI.

Dajcie pokój z faraonem, na Boga!

SZCZĘSNY.

I owszem, będę grać. *(zbliża się do stołu).*

JEDEN Z GOŚCI.

Co pan Hrabia stawi?

SZCZĘSNY.

Moję osobę — to jest, moje przedsięwzięcie. Jeżeli wygracie, będę z wami; jeżeli ja wygram, zrobię, co mi się podoba.

KSIŃSKI.

Szczęsny, to śmiesznie!

SZCZĘSNY.

Wcale nie! Mówię z wielkiém zastanowieniem się... Król... *(ciągną faraona).*

GOŚĆ.

Król!... Wygrałeś, Panie Hrabio.

SZCZĘSNY.

Karta bankiera?

GOŚĆ.

Król... to rzecz dziwna!...

SZCZĘSNY.

W takim razie...

GOŚĆ.

Połowa summy dla bankiera.

SZCZĘSNY.

Połowa mojéj woli do was należy. — Cóż wy zrobicie z połową mojéj woli?...

KSIŃSKI.

Połowę twojéj woli mamy, Panie Hrabio! to już wiele!... Musisz nam drugą darować!...

SZCZĘSNY.

Ha!... zapomniałem spytać o cel wyprawy?

KSIŃSKI.

Jakto?... Żartujesz, Panie Szczęsny!... Sprawa twojego ojca — sprawa narodu...

SZCZĘSNY.

Wy myślicie o sprawie narodu? Czy państwo wszyscy jesteście szlachta?

GŁOSY.

Wszyscy! wszyscy! wszyscy!

JEDEN.

Oprócz mnie.

SZCZĘSNY.

Kto to krzyknął: oprócz mnie?

KSIŃSKI.

Któryś z panów chciał pożartować.

SZCZĘSNY.

Niech ten, kto się nie zaparł, stanie przy mnie. Jak to? żaden z panów?

— Pan Hrabia jak Dyogenes, z latarnią szuka człowieka.

SZCZĘSNY.

Jak dziwnie ten głos zabrzmiał w sercu mojém!... Ja go muszę odkryć, tego człowieka. — Słuchajcie mnie, Panowie! Jest coś w atmosferze rewolucyjnéj tego zamku, co zapala moje zmysły i duszę. Konia i lancę!... Dajcie mi konia i lancę! — będę z wami. Ludzie — mrówki — robaki — kamienie — mijam w prze-

locie konnym. Nic, z którego nic zrobić nie można, a co się nazywa narodem — to wszystko w moich oczach przybrało dziwną blahość. Jeżeli wy nie macie dosyć ognia na topienie koron, dosyć brylantów na tworzenie innych: — to ja wam wleję cały ogień, wysypię na was wszystkie skarby duszy mojéj. Bo ja wam przysięgam, że wasza myśl nigdy nie ogarniała takich przestrzeni, jak moja powszednia kraina marzeń!

GŁOSY.

Vivat Szczęsny! vivat! vivat!...

SZCZĘSNY.

Cicho! — Wiecie wy, że my stworzymy kraj z brązową twarzą dawnych narodów? — Miecz będzie dłutem... Serce kraju ukształcimy na wzór żelaznego wołu Dyonizyusa. — Będzie ryczeć okropnie paszczą ognistą na cztéry końce świata — jękiem zamkniętych i palonych we wnętrzu nędzarzy i męczenników... Czy serce wasze bije litością?... Ojcowie nasi mieli prawo zabijania, a my nie możemy wystawić teatru gladyatorów na zahartowanie serca dzieci naszych. Powiédzcież, zaden z was nie doznał niebieskiéj rozkoszy? nie czuł się wyższą istotą, kiedy go chłopi wioski jego czcili jak Boga i przyznawali zwierzęcym instynktem wyższość natury? — Szaleńcy i przeklęci, co chcą pozbawić następne pokolenia tego uroku, téj puścizny, dawanéj przez los szczęścia, zaczętego w kołysce, a skończonego wspaniałością marmurowych grobowców!...

KSIŃSKI.

Szczęsny!..

SZCZĘSNY.

Wszystkie wasze dumy pomieszczą się w mojém sercu. Starałem się długo otruć żywotną myśl wielkości blahymi napojami uczuć. I nie mogłem!.. Myśleliście, że wy mnie będziecie prowadzić... Ja was wtrącę w taki wir, że będziecie jak ludzie pijani albo lunatycy chodzić po gzemsach ogromnéj budowy. Biada temu, co się przebudzi — któremu nad uchem zawołają: zdrajca!.. Zbudzi się — i upadnie z przepaść. Macie wy czoła tak blade, że na oczy świata blednąć nie będą? — albo policzki tak rumiane, że napiętnowane uderzeniem całego ludu, płonąć nie będą? Jeżeli utworzeni jesteście z żelaza, to mówię wam, że będę z wami. — Bo ja szukałem czegoś twardego i wielkiego na ziemi — będę zgrzytał i giął w ręku żelazne sztaby, a raz zasnąwszy snem okropnym upojenia — nie obudzę się, póki ostatni

z was nie skona za moję wielkość i dumę. Duma jest duszą duszy mojéj. — Będę szczęśliwy, wywracając przesądy i prawa — jak byłem szczęśliwy nieraz, wygrywając partyą kościanych szachów. Duma jest to harfa, która ma tysiąc strun — tysiąc wielkich i cienkich tonów, tysiąc wzniosłych i błahych tryumfów. — Stańcie wy na szachownicy świata . . . . . .

. . . . . .

(Tu braknie dwóch kart w manuskrypcie).

. . . . . .

. . . . . pismu, które ja sam podpisałem.

KSIŃSKI.

Pan Hrabia odpowiész przed ojcem!

SZCZĘSNY.

Podpisałeś, Panie Ksiński?

KSIŃSKI.

Podpisałem.

SZCZĘSNY.

Koszta podjęte przez Panów zapewne zwrócone będą przez mego ojca. Żegnam was, Panowie!

KSIŃSKI.

Dalibóg, tęgi z ciebie chłopiec, Panie Szczęsny! zadrwiłeś z nas.

SZCZĘSNY.

Nie! to mi wcale obojętne. Bywaj zdrów, sąsiedzie!

KSIŃSKI.

Zarekomenduj mnie twojemu przyjacielowi...

SZCZĘSNY.

Poznam was kiedyś... To bardzo godny człowiek — ale nie wiem jego nazwiska.

KSIŃSKI.

Upadam do nóg.

SZCZĘSNY.

Chodź tu!.. Jakiś mam ciężar na sercu. Przyrzecz mi, że nikomu nie powiesz o téj dzisiejszéj scenie. Dziecinną mi się wydaje, marzyliśmy kiedyś z tobą w szkołach o wielkiéj sławie. Wi-

dzisz, że ja teraz pokazuję maryonetki, zabity jestem na sercu, jak inni ludzie zabici na duszy. Jutro może będę i na duszy zabity..

MARYNA.

Panie Szczęsny, Pan się gniéwa na Marynę?

SZCZĘSNY.

Co? ty płaczesz, dziewczyno! Dalibóg ładna, jak aniołek!... chodź... *(całuje ją w czoło)*. Gdyby widok téj dziewczyny nie obudzał w sercu mojém nikczemnych pamiątek, kto wié, czém byłbym teraz.

MARYNA.

To już ja paniczowi niepotrzebna?

SZCZĘSNY.

Idź do chaty — weź twoję płócienną spodnicę i wianek bławatkowy. I siedź w oknie, uśmiechając się do młodych chłopców. Przyślę ci posag...

MARYNA.

Ale Panicz mnie będzie zawsze kochał?

SZCZĘSNY.

Idź, kochaj męża i potém kochaj dzieci twoje! Niech twoje życie będzie spokojne i szczęśliwe!

MARYNA.

Jak Panicz mówi, to mi się chce płakać... Mnie tak dobrze było, kiedy się Panicz do mnie uśmiechał.

SZCZĘSNY.

Zapomnisz o mnie...

MARYNA.

Kto wié!.. A może zawsze, jak pomyślę o Panu... jak pomyślę o Panu... kochaj mnie panicz, bo ja biédna dziewczyna!...

SZCZĘSNY.

Słuchaj: czy jak umrę, posadzisz mi różdżkę rozmarynu na mogile?

MARYNA.

Panicz nie umrze! Panicz nie umrze!... Jak Panicz mówi takie rzeczy — bo już Panicz raz mówił, że chce umrzéć: to ja płakałam przędąc na kołowrotku.

SZCZĘSNY.

Posadzisz mi garstkę rozmarynu... Ale nie rwij tego rozmarynu potém do ślubnego wianka, bo to mnie bardzo zasmuci. Idź do chaty...

MARYNA.

Ale Pan przyjdzie?

SZCZĘSNY.

Może... jutro... przyślę ci posag...

MARYNA.

Ale Pan przyjdzie...

(odchodzi).

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, ty marzysz o jakiéjś smutnéj rzeczy...

SZCZĘSNY.

Nie wiem, dlaczego — ale jestem senny. Czy sądzisz, że mój ojciec...

NIEZNAJOMY.

Na ojca twego padają podejrzenia — ale nie lękaj się o jego życie. — Lud nasz przywykł szanować wielką władzę — i blaskiem bogactw odepchnięty jest daleko od możnych ludzi...

SZCZĘSNY.

Ale są jakie podejrzenia na moim ojcu?

NIEZNAJOMY.

Tak, oskarżają go o dumę — i ambicyą... Mówią nawet... ale to tylko między wyższymi osobami...

SZCZĘSNY.

Gdyby mnie nazwano zdrajcą — zdrajcy?.. Ty jedziesz do Wilna...

NIEZNAJOMY.

Tak.

SZCZĘSNY.

Czuwaj nad nim!.. weź arabskiego konia z mojéj stajni. Jeżeliby co się zdarzyło tego wieczora, znajdziesz mnie jeszcze...

NIEZNAJOMY.

Co to znaczy: jeszcze?

SZCZĘSNY.

Ojciec mój niedoczekawszy się swoich ludzi, zapewne jutro rano wróci do zamku.

NIEZNAJOMY.

Cóż zamyślasz robić?

SZCZĘSNY.

Nic... W bramie będzie sosnowy próg — z cztérech desek...

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, czyliż ja ciebie widzę wyniszczonym przez piérwszy czyn twojego życia? Wysiliłeś się, rzucając piérwszy pocisk na świat spróchniały?

SZCZĘSNY.

Nie pytaj, co się dzieje w sercu mojém... Słyszałeś, jakem gadał do tych ludzi, kiedy byłem w zapale.

NIEZNAJOMY.

Kłamałeś sam sobie i tym ludziom.

SZCZĘSNY.

Kto wié?.. Może w tych wyrazach była część najprawdziwsza myśli mojéj —

NIEZNAJOMY.

Nie wierzę!.. nie wierzę, na Boga!

SZCZĘSNY.

Jedź do Wilna i zostaw mnie samotności... Przebyłem wiele smutnych wypadków, a mam przeczucie, że to nie koniec wszystkiego...

AKT PIĄTY.

SCENA II.[1]

(Sala w pałacu, jak w Akcie I.).

(AMELIA *prowadzi maleńkiego* MICHASIA *za rękę*).

AMELIA.

Nie wiész ty, gdzie braciszek Szczęsny?

MICHAŚ.

Widziałem go, siostrzyczko. Spał na sofie zielonéj.

AMELIA.

Spał? Od nikogo dowiedzieć się nie mogę, co się stało w tym zamku. Taki był gwar — teraz tak cicho i spokojnie.

---

[1] Sceny I. tego aktu braknie. *(Przyp. Wyd.).*

MICHAŚ.

Czy ty, Ameleczko, powiész mi dziś jaką śmieszną bajeczkę.

AMELIA.

Wczoraj zapomieliśmy zmówić pacierz, Michasiu.

MICHAŚ.

Cóż to szkodzi, Amelko?

AMELIA.

Bozio może się będzie gniéwał na ciebie.

MICHAŚ.

Nie będzie gniéwał się, nie będzie — ja mu dam bębenek.

AMELIA.

Mój kochany wróbelku, chodź, pocałuj mnie, mocno— mocno...

MICHAŚ.

O tak! *(rzuca się jéj na szyję).*

(SZCZĘSNY *wchodzi zadumany).*

SZCZĘSNY.

Co to? już noc?... Jakiś sen ciężki spadł na moje powieki. Śpię od południa. *(spostrzega Amelią).* Ha! — Amelio, dobry wieczór. Spałem, jak przed burzą, ciężko i głęboko... Czy pogodny czas?

AMELIA.

Księżyc świéci, wieczór bardzo spokojny i chłodny.

SZCZĘSNY.

Pogodny? *(otwiéra okno).* Czy nie przyjechał ojciec?

AMELIA.

Nie. — Chodź Michasiu spać, już późno...

MICHAŚ.

Nie późno — nie późno!... Braciszku, pohujdaj mnie na nodze!..

SZCZĘSNY.

No — trzymaj się, chłopcze.

MICHAŚ.

Jeszcze — jeszcze!

SZCZĘSNY.

Dosyć... jutro pojedziemy na koniku.

AMELIA.

Jeżeli grzecznie zmówisz paciorek.

MICHAŚ.

To ja przed braciszkiem zmówię paciorek.

AMELIA.

Dobrze. Klęknij tu na dywanie i złóż rączki. Mów za mną:— Boże...

MICHAŚ.

Bozio...

AMELIA.

Daj zdrowie...

MICHAŚ.

Daj zdrowie...

AMELIA.

I szczęście...

MICHAŚ.

I szczęście...

AMELIA.

Mojemu papie...

MICHAŚ.

Mojemu papie...

AMELIA.

Bratu Szczęsnemu — siostrze Amelce...

MICHAŚ.

Bratu Szczęsnemu i siostrzyczce Amelce...

AMELIA.

I wszystkim ludziom.

MICHAŚ.

I wszystkim ludziom.

AMELIA.

Zmiłuj się, Boże, i weź do nieba...

MICHAŚ.

Zmiłuj się, Boże, i weź do nieba...

AMELIA.

Mamę moję...

MICHAŚ.

Mamę moję...

AMELIA.

I miéj litość...

MICHAŚ.

I miéj litość...

AMELIA.

Nad mamą Amelki.

MICHAŚ.

Nad mamą Amelki.

AMELIA.

Boże...

MICHAŚ.

Boże...

AMELIA.

Daj Michasiowi rozum...

MICHAŚ.

Daj Michasiowi rozum...

AMELIA.

I kochaj mnie, jak będę grzeczny...

MICHAŚ.

I kochaj mnie, jak będę grzeczny.

AMELIA.

Amen.

MICHAŚ.

Amen.

AMELIA.

Szczęsny, jak daleko od nas czas, kiedy mówiliśmy tak cichy paciérz...

SZCZĘSNY.

Bardzo daleko!

AMELIA.

Wiész ty, jaki smutny wypadek w zamku? Biédny staruszek Sforka zwaryował — żona powiozła go do Wilna do szpitalu Bonifratrów.

SZCZĘSNY.

Jakto do szpitalu?

AMELIA.

Mówi, że tam bardzo dobry doktor — i dla tego woli męża oddać pod dozór dobrych księży, niż go wystawiać w zamku na śmiech lokai.

SZCZĘSNY.

Cóż za przyczyna waryacyi?

AMELIA.

Żona pana Sforki wróciła z kościoła i zastała męża puszczającego bańki z mydła. Puszczał je i śmiał się — dmuchał i płakał. Rozgniéwana i zadziwiona staruszka rozbiła spodek filiżanki z mydlaną wodą — i połamała słomki. Starzec rzucił się na nią, jak wściekły — aż nareszcie musiano go związać. Widziałam, jak go związanego wynieśli ludzie i posadzili w kałamaszce. Pytał wszyst-

kich: co to ja? co ja myślę? — Hajduki śmiali się — a żona biédaczka tak płakała, że aż litość była patrzeć...

SZCZĘSNY.

Waryacya — to rzecz okropna!... Idź połóż spać Michasia... Przyjdę potém pomówić z tobą... Wiele mam smutnych myśli, które dawno leżą na sercu. Przyjdę do ciebie, siostro, może się wyspowiadam z całego życia.

AMELIA.

Mój najmilszy, będę ciebie czekać i nastroję moję harfę... Pocałuj braciszka, Michasiu, pójdziemy spać...

MICHAŚ.

A jutro na koniku...

AMELIA.

Będę ciebie czekać, Szczęsny...

(odchodzi z dzieckiem).

SZCZĘSNY.

Jak sen dziwnie odświéża i hartuje myśli. Zdaje mi się, że gotów jestem zacząć drogę czynnego życia. — Myślałem o śmierci, jak o ostatniém schronieniu. Nie! Zacznę jeszcze walczyć z wypadkami i z ludźmi — wytrzymam spojrzenie ojca — i pokonam go spokojnością czoła... *(wchodzi* SŁUGA).

SŁUGA.

Panie! dziwne biegają wieści. — Żydzi mówią we wsi, że rewolucya w Wilnie.

SZCZĘSNY.

Rewolucya?... dzisiaj?...

SŁUGA.

Powiadają, że zaczęła się o siódméj godzinie wieczorem... Wzięto arsenał... lud cały uzbrojony...

SZCZĘSNY.

Każ osiodłać konie! zbierz co jest ludzi w zamku, niech się uzbroją natychmiast! natychmiast!

SŁUGA.

Żyd arendarz, rozsądny człowiek, radził, aby iluminować zamek: to płyty idące do Wilna zaniosą wieść o tém, że się nasz pan zdeklarował...

SZCZĘSNY.

Nie trzeba!.. Nasz pan w Wilnie... Nie lubię tych świateł, co z po za szyb rzucają jakieś blade światła na pokoje. Osiodłać konie!

SŁUGA.

Mówią jeszcze żydzi, że kilka dni temu była rewolucya w Warszawie...

SZCZĘSNY.

Osiodłać konie!... *(Sługa odchodzi).* Warszawa — Wilno — Polska cała — naród — ja. — Orszak ogromnych wypadków przesuwa się przed moimi oczyma. Jak się weń wmięszać — jak stanąć — gdzie?... Czém być?... Czém będzie mój ojciec?... O! ja mu się rzucę do nóg i będę płakał jak dziécię, prosząc za biédnymi ludźmi, co się miotają w ogromnéj sieci wypadków. Zdaje się, że słyszę krzyk rewolucyjny ożywających gruzów... Boże wielki! ja się dawno nie modliłem do Ciebie, a teraz czuję serce moje wołające z głębi wnętrzności o litość nad nami... Nad nami? Czém ja jestem? Ja nie powstałem!.. Krzyczę między cztérma murami wtenczas, kiedy inni umierają w milczeniu... Będę spokojnie patrzał na walkę ludu, jak na rzeź gladyatorów... W imię Boga idę skonać!..

(Wstaje i chce wychodzić. CIEŃ HETMANA *wchodzi przez drzwi przedpokoju, staje na środku i macha ręką na Szczęsnego, aby został).*

SZCZĘSNY.

Ojcze... ty wracasz?... Co mamy robić?

(CIEŃ *pokazuje ręką, aby został).*

Ojcze... ale mów!.. Przecie ty będziesz z narodem?...

CIEŃ.

O! o! o!.. *(Przechodzi przez salę i wchodzi do gabinetu).*

SZCZĘSNY.

Na Boga!.. taki cichy i biały... włosy mi powstają na głowie... *(dzwoni — wchodzi* SŁUGA). Co to? Pan przyjechał?... co wam rozkazał?.. czy mówił do was?...

SŁUGA.

Pan?!

SZCZĘSNY.

Czy byli ludzie w przedpokoju?

SŁUGA.

Było nas cztérech.

SZCZĘSNY.

To spaliście pewnie! Idź do gabinetu i zapytaj pana, czy nie chce czego.

SŁUGA.

Ale ja przysięgam Panu Hrabiemu, że pan Hetman nie wrócił. — Słyszelibyśmy zajeżdżający powóz.

SZCZĘSNY.

Musiał konno przyjechać... Jest teraz w tym gabinecie — zobacz... *(Sługa otwiéra drzwi do gabinetu).*

SŁUGA.

Panie Hrabio — tu nie ma żywéj duszy.

SZCZĘSNY.

Kłamiesz!.. Mój ojcze!.. *(patrzy do gabinetu).* O!.. czy ja dostałem pomięszania zmysłów?... szklankę wody!

GŁOS HETMANA.

Szklankę wody!...

SZCZĘSNY.

Czy słyszałeś?... Wszak to głos mojego ojca — prosi o szklankę wody.

SŁUGA.

Ja nic nie słyszałem, Panie.

SZCZĘSNY.

Ale ja przysięgam, że słyszałem głos mego ojca...

SŁUGA.

Gdzie?

SZCZĘSNY.

Tu! *(uderza nogą).* Może wszedł do pokojów na piérwszém piętrze — szukajcie ze światłami, może jest na piérwszém piętrze...

SŁUGA.

Ale Pan mówiłeś, że wszedł do tego gabinetu... Z gabinetu nie ma wyjścia.

SZCZĘSNY.

Logika sługi.. to rzecz dziwna!.. Idź, bo ja muszę być chory... Nie mów nikomu w zamku... Na Boga, nie mów nikomu!.. bo ja muszę być chory...

SŁUGA.

Czy zawołać doktora?..

SZCZĘSNY.

Nie — nie!.. Co to za tętent?... Ktoś jedzie konno w mojéj głowie.

GŁOS *w przedpokoju.*

Gdzie pan Szczęsny! gdzie Szczęsny?...

(*wpada* NIEZNAJOMY).

NIEZNAJOMY.

Szczęsny! Szczęsny!.. *(do Sługi).* Odejdź!..

(Sługa odchodzi).

SZCZĘSNY *(odpycha Nieznajomego, patrzy na niego długo).*

Ojciec mój — musiał umrzéć... Ja widziałem cień mojego ojca... Ojciec mój musiał umrzéć...

NIEZNAJOMY.

Umarł.

SZCZĘSNY.

Ha!... *(pada na krzesło).*

NIEZNAJOMY.

Nie wiém, co mu powiedzieć...

SZCZĘSNY.

Daj mi rękę... pomóż mi wstać... trzeba wiedzieć o wszystkiém... Wiész... a przynajmniéj dowiedź mi w godzinie nieszczęścia, że mnie masz za człowieka. Opowiédz wszystko... jak tam było... w Wilnie. Patrz mi ciągle w oczy i trzymaj oczyma myśl moję, bo mi się głowa zawraca... Ale powiédz wszystko... bo jeżeli moja imaginacya będzie musiała kończyć obrazy, to gotów jestem — rozumiesz?.. Co widziałeś?..

NIEZNAJOMY.

Siądź.

SZCZĘSNY.

Nie... stać będę... lżéj... opowiadaj!..

NIEZNAJOMY.

Otóż... w nocy o godzinie siódméj Jasiński z trzystu ludźmi przeszedł wyłomem muru koło Ostréjbramy — księżyca jeszcze nie było — przed Ostrąbramą świéciła lampa... Spiskowi idąc przed nią, żegnali się... i cicho podsunęli się wszyscy pod odwach naprzeciw ratusza. Jasiński poskoczył szybko i zabił szyldwacha, tak że Moskal nie jęknął... Chwycił za karabin. Spiskowi rozebrali broń z kozłów i tarabany. Jasiński rozesłał barabańszczyków na wszystkie ulice — i rozkazał, aby skoro uderzy ósma godzina, wszyscy zaczęli bębnić. Sam ulicą zamkową z dwiestu pięćdziesięciu ludźmi poszedł na Arsenał... Uderzyła ósma... we wszystkich ulicach ozwały się bębny — Moskale w popłochu sądzili, że na każdéj ulicy stoi oddział żołnierzy — i uciekali od bębna do bębna... Jasiński wziął arsenał — i kazał bić we dzwony... Okropny rozgłos dzwonów obudził lud — zaczął w arsenale zbie-

rać się — broń rozebrał i mordował Moskali... Byłem przy Jasińskim — wszyscy polscy panowie będący w Wilnie nie mieli się czego lękać — bo lud zajęty był Moskalami... Wtém jakiś stary przedziera się do Jasińskiego i podaje mu plikę papiérów. Jasiński kazał podać pochodnie i przeczytawszy papiéry, plunął i rzucił je ze wzgardą. — Lud rozerwał między siebie listy... zaczął się zbierać koło tych, którzy umieli czytać, i długo nie mogłem pojąć téj sceny. Myślałem, że to były proklamacye i manifesta... Nagle słyszę... krzyk z tysiącznych ust! Hetman zdrajca!... potém... jeszcze okropniejsze słowo...

SZCZĘSNY.

Mów!

NIEZNAJOMY.

Wieszać!... *(Szczęsny chwieje się cały i daje znak ręką).* Przedzierając się, a raczéj niesiony z falą ludu, oparłem się aż o sztachety pałacu twego — Hetmana... Lud zapchał całe schody — i wył, jak hyena... Nagle coś zleciało z otwartego okna i przebiło się na pół na żelaznych sztachetach... to był karzeł. — Skonał wijąc się jak robak na ostrzu żelaznem...

(Szczęsny trzęsie się).

W kilka chwil potém wyprowadzono... Blady był, ale spokojny.

SZCZĘSNY.

Ubrany?

NIEZNAJOMY.

W szlafroku. W ręku coś ściskał — tak mocno, że nikt mu nie mógł ręki otworzyć.

SZCZĘSNY.

Mówił co?

NIEZNAJOMY.

Mówił: szklankę wody.

SZCZĘSNY.

Dali mu?

NIEZNAJOMY.

Jeden w tłumie chciał lud odwrócić namową od zapędu: chciał, aby sądowi oddano nieszczęśliwego... *(Szczęsny ściska za rękę).* Potém jakiś ksiądz zbliżył się i słuchał spowiedzi. Spowiadający się był nieco roztargniony i patrzał często.

SZCZĘSNY.

Nie dręcz mnie!.. patrzał w stronę zamku... czekał, jeszcze czekał!...

NIEZNAJOMY.

Spokojny był... i uśmiechnął się. Potém otworzył dłoń ściśnioną — w dłoni była papiérowa tabakierka — zażył... i jednemu człowiekowi, co nic nie mówił i patrzał na niego, oddał tabakierkę. *(Szczęsny wyciąga rękę, ale nagle ją odsuwa machinalnie).* Krótko cierpiał...

SZCZĘSNY.

Jak krótko?...

NIEZNAJOMY.

Pół minuty, nie więcéj...

(Szczęsny dobywa zégarka i patrzy).

SZCZĘSNY.

Ale to długo!... patrz, jak to długo!... widzisz, że ja spokojny... Bądź zdrów! *(chce iść).*

NIEZNAJOMY.

Szczęsny! Na miłość Boga, gdzie idziesz?

SZCZĘSNY.

Ale... idę odczepić ojca z szubienicy.

NIEZNAJOMY.

Spokojności — rozwagi, mój przyjacielu!

SZCZĘSNY.

Ja nie zabiłem ojca mego — ale gdybym był pojechał z ludźmi przed kilku godzinami, to mój ojciec jeszczeby żył. Ale ja nie zabiłem mego ojca. — Czy sądzisz, że ja mógłbym był go obronić?...

NIEZNAJOMY.

Nie, na Boga nie!

SZCZĘSNY.

Tak! — przysięgam, tak, mogłem go był obronić!... Przekonaj mnie, że nie — bo padnę trupem na podłogę...

NIEZNAJOMY.

On nie może płakać... Szczęsny, daj rękę. *(kładzie mu w rękę tabakierkę).*

SZCZĘSNY.

O!.. tabakierka.

(zakrywa oczy i słychać łkanie).

NIEZNAJOMY.

Biada! biada!

SZCZĘSNY.

Patrz — na tabakierce mój portret, kiedy byłem dzieckiem.

Widzisz, miałem taką różową twarz, taki uśmiech... Ojciec mnie takim całował i pieścił na kolanach. Biédny mój ojcze! biédny mój ojcze!... Idź! bo ty płakać nie możesz... Zaklinam ciebie, nie patrzaj na mnie — ja chcę być dzieckiem.

(Przychodzi SŁUGA*).*

SŁUGA.

Panie! przyjechałem co koń miał ducha z Wilna. Lud wściekły wali się tłumem z miasta rabować ten zamek. Za półtoréj godziny będzie w bramie... Ojciec Pana zamordowany...

SZCZĘSNY.

Ha!... lud się wali rabować zamek?

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, zaklinam ciebie: nie bierz przedsięwzięcia oporu. Trzeba mieć Rzymianina serce, Szczęsny... trzeba lud wyjący zostawić, aby się wysilił na ścianach i zwierciadłach. Trzeba się poświęcić, Szczęsny!

SZCZĘSNY.

Ha! chcesz, abym ja był latarnią zamku mojego?...

NIEZNAJOMY.

O! na Boga, nie mów tak okropnie!

SZCZĘSNY.

Czy on mnie zna, ten motłoch?... Czy nie zechce rzucić mi w oczy skrwawioną w sercu ojca mego chustką? *(Dzwoni — wchodzi* SŁUGA*).* Wszyscy! *(dzwoni).*

(Wiele SŁUG*).*

Rozbierzcie między siebie wszystko złoto, które się znajduje w skarbcu — i idźcie spokojnie czekać mnie na górze o pół mili stąd. Nie ruszać sprzętów, a tak sprawiać się spokojnie, aby siostra moja nie posłyszała najmniejszego szelestu! Będę z wami o godzinie piérwszéj w nocy; ale rozkazuję — ja teraz pan wasz, aby przed dwunastą godziną żadnego już w zamku nie było.

SŁUDZY.

Słuchamy...

SZCZĘSNY.

Dziękuję wam za wierne usługi. Czy są między wami tacy, co od dzieciństwa znają ojca mojego? *(Kilku sług wychodzi).* Módlcie się za duszę pana waszego! —

(ściska za rękę, daje znak, aby odeszli. Odchodzą. Szczęsny chodzi po pokoju).

NIEZNAJOMY.

Co myślisz robić?

SZCZĘSNY.

Powiedziałeś, że mam serce Rzymianina... Wysadzę zamek w powietrze... żadna go ręka nie dotknie... na wieży są prochy...

NIEZNAJOMY.

Jakto? więc chcesz zginąć? — słuchaj: ja jestem silny — wyniosę ciebie, jak dziecko z zamku.

SZCZĘSNY.

Nię! wszak można zamek wysadzić na powietrze i żyć. Mam sposób — sam mi dopomożesz... Wiész, że nawet nie chciałbym zginąć. Muszę oczyścić w oczach narodów dwie pamiątki, zmazać dwie plamy. — Słuchaj! na wieży są prochy — włożysz ten pistolet nabity rurą do jaszczyka — cyngiel pistoletu połączysz długim sznurkiem z mechaniką zégara na wieży. Przywiążesz go do pałasza Pogoni litewskiéj. Po wybiciu godziny dwunastéj w nocy ta Pogoń podnosi pałasz i uderza w orła rosyjskiego — podnosząc pałasza, pociągnie sznurkiem za cyngiel pistoletu i wszystko będzie... popiołem, błyskawicą, niczém... Uczyń to!

NIEZNAJOMY.

Ale ty nie zostaniesz w zamku?

SZCZĘSNY.

Słuchaj! Oto biorę na siebie zbawienie siostry mojéj i braciszka, którzy nie wiedzą o niczém i śpią w tym pokoju. Jakże chcesz, abym ja z nimi skonał? zostanę chwilę po tobie w zamku, aby moję siostrę przygotować i nie przestraszyć boleścią mojéj twarzy. Muszę dla tego przez chwilę samotnie pomyśleć i uspokoić się, aby uspokoić drugich. Czekaj mnie na drugiéj stronie Wilii, ale przyrządź piérwéj wszystko, jak mówiłem... przysięgnij!

NIEZNAJOMY.

Przysięgam...

SZCZĘSNY.

Chodź, uściśnij mnie!... Prawda, że to noc okropna?...

NIEZNAJOMY.

Będzie mi się śniła w grobie nawet.

SZCZĘSNY.

Czekaj! w grobie się nic nie śni... Czy sądzisz, że myśl jest tak silna, że jéj nie mogą całkiém stargać wypadki okropne życia? Czy dusza jest niewypaloną nigdy lampą? Czy ziemia gro-

bowa może jéj dać nowe kolory i siły wilgocią, jak kwiatowi? Czy dla tego niszczy ciało, aby dusza snić mogła?.. więc niszczy coś — dla niczego! Zastanów się i postaw się na mojém miejscu i myśl. Gdybyś ty mógł teraz rozwiązać tę zagadkę wszystkich religij na świecie... Ja nie mogę do nieba zanieść pamiątki téj nocy. A jeżeli nie będę pamiętać o tém, czém byłem: — cóż znaczy to słowo: b ę d ę?

NIEZNAJOMY.

O jakże ty złamany nieszczęściem!

SZCZĘSNY.

I owszem: myślę — więc żyję...

NIEZNAJOMY.

Czekam ciebie z drugiéj strony rzeki.

SZCZĘSNY.

Nie żegnamy się... *(odchodzi Nieznajomy).* Nie widzę żadnéj drogi przed sobą... Zdaje się, że chodzę na gzemsach zamku. Ja... i siostra... i to dziécię... dziécię, co się modliło dziś jeszcze: Boże, daj zdrowie!... Jak głos tego dziecka stał się piosenką duszy mojéj... Boże, daj zdrowie! Ale co robić? powiédz wahająca się myśli, co robić?

(KSIĄDZ *wchodzi).*

(Dokończenia dramatu nie ma).

KRAKUS.

DRAMAT

(FRAGMENT)

AKT PIÉRWSZY.

SCENA I.

(Sala w zamku Lecha).

LECH — ŚLAZ — GRYF — RYCERZE — ARFON — GWYN.

LECH.

Mości Panowie Radni i Rycerze!
Oto dziesięty rok, jak na téj ziemi
Niezachwianego kosztujem pokoju.
Jam się zestarzał i zbyłem rzeskości;
Część mego serca poniosła do grobu
Nieboszczka żona — a drugie pół serca
Między trzech moich rozdzieliłem synów.
Lecz teraz muszę rozdzielić na nowo
Moję ojcowską miłość między synów
I z nich jednego muszę wydziedziczyć.
Krak, mój najstarszy, jak to wszyscy wiecie,
Zaprzedał swoję duszę złym nałogom
I dał się uwieść ludziom niecnotliwym.
Nie dziw, że trunkiem i gorszą rozpustą
Popsuła się w nim krew, a ta popsuta
Zepsuła serce; a takie zepsucie
Jako zarazy plama się dzień po dniu
Szerzy i wkrótce mi z mego dziécięcia
Rzecz obrzydliwą zrobi, obcą dla mnie.
O! lepiéjże więc teraz się go wyrzéc,

Dopóki można jeszcze po nim płakać;
Lepiéj gorzkiego dziś użyć lekarstwa,
Dopóki gorycz może być skuteczną.
Niechaj więc moja wola, wyjawiona
W obliczu waszém, będzie ostateczną:
Syn mój najstarszy od dnia dzisiejszego
Przestaje być już do tronu następcą,
A prawa jego spadają na głowę
Syna mojego Arfona. Pan kanclerz
Ślaz niech napisze wyrok w takiéj treści
I niech to wszemu ogłosi ludowi.

GRYF.

Pomnij, co robisz, królu miłościwy!
Kraka nałogi są młodości burzą.

LECH.

Cóż? i ty Gryfie stary jeszcze myślisz,
Że się pijanica ten poprawić może?!
O! gdyby nie wstyd, wyjawiłbym tobie
Rzecz jeszcze o nim haniebniejszą — ale
Ja jestem ojcem... dosyć! ani słowa!
Panowie państwa, przybywa tu wkrótce
Królewna Scytów, która zamierzyła
Na dworze moim szukać oblubieńca.
Z tego powodu dwór się mój wystroi
Cały na gacha — i ja, chociaż stary,
Nie będę może ostatnim w zalotach.
Cha! cha! cha! chociaż stary, jeszczem rzeski,
Na wyspie Gopła kazałem wystawić
Pałacyk świéży z cedrowego drzewa.
Tam w murach wonnych posadzę tę różę,
Co się w krainie lodów rozpłoniła
I tu białością śniegu i kryształu
Przybywa w ciemnéj się lasów zieleni
Błyszczeć, jak posąg czekający ognia. —
Cóż, mój Arfonie? czy aści serduszko
Nie bije młotem? Cóż, kurczę?... odwagi!
Odwagą tylko można się podobać.
Spuszczone oczy miłe starym wdowom:
Panna nie może się zakochać w pannie,
A ty wyglądasz, Arfonie, jak panna.

Niech cię przestroga moja nie zagłusza!
W przestrogach ojca zawsze pół pochlebstwa.
Dość!... chodźmy w jasne ubrać złotogłowy
Rycerskie nasze i szorstkie postawy,
A potém jedźmy na spotkanie Donny. *(wychodzą).*

SCENA II.

(Karczma).

(LELIWA *siedzi przy stole z* DOLIWĄ).

LELIWA.

Mości Doliwo, gdzie nasze Kraczątko?

DOLIWA.

Mości Leliwo, na księżycu.

LELIWA.

Pijmy!

DOLIWA.

Pijmy, a bijmy...

LELIWA.

Kogo?

DOLIWA.

Kto nie pije.

LELIWA.

Panie Doliwo! już mi się tu nudzi,
Że gdy ja leję, to Wacpan dolewasz.
Ja powiem słowo mądre, a Waść zaraz
Do tego słowa dodasz drugie — głupsze,
A trzecie jeszcze głupsze, a dziesiąte,
W którém już nie ma sensu i za szeląg. —
Ja sobie coś zanucę, to Waść zaraz
Do mojéj pieśni zrobisz taki ogon
Ze swego wycia i kichań i wiatru,
Że aż mnie dyabli biorą, mój Doliwo!
Czy wiész, czego ci braknie?

DOLIWA.

Czego braknie?

LELIWA.

Jużciż nie brzucha, ani rubinowych
Pryszczów na nosie, lecz braknie rozumu
I lakonizmu tobie braknie — pijmy!

DOLIWA.

Pijmy i żyjmy!

LELIWA.

Niech cię porwą dyabli!
(Rzuca mu w łeb szklanką).

DOLIWA.

Niech ciebie dyabli porwą do Erebu!

LELIWA.

Niechże Wacana zadepcą koguty!
Wacpan się gniewasz nawet dodatkami.

DOLIWA.

Kwita z Waszmością.

LELIWA.

Jakto proszę — kwita?

DOLIWA.

Ja wczoraj nogą ci dałem — hum — w barki,
A dziś mi Wacan dałeś szklanką w głowę:
Więc kwita.

LELIWA.

Jak chcesz? niechaj będzie kwita.

DOLIWA.

Kwita — bo mamy obadwa do syta.

LELIWA.

Powiédz mi Wacan: jaka jest w Acanu
Organizacya, że zawsze na język
Przychodzą — dyabeł wié skąd — dwa wyrazy
Podobne sobie, jak dwie małpy. — Czy drwisz
Z języka, czy twój język stał się błaznem
I bawi własne twe zęby? — Mospanie,
Czy to od bolu zębów jest lekarstwo,
Czy dziwny jaki fałsz w Acana dziobie?

DOLIWA.

Nie w dziobie, ale ku ozdobie.

LELIWA.

I znów —
Bogdajbyś dyabła zjadł!

DOLIWA.

I siadł...

LELIWA.

Mospanie,
Przynajmniéj, kiedy ja mówię, to Waść milcz!

DOLIWA.

Ale nie gniewaj się Wacpan; to zwyczaj...

LELIWA.

Jeśli Wacpana ja nie odzwyczaję,
To niech mię piorun strzaska!

DOLIWA.

Jeśli łaska,
Pozwól Doliwo, że odpowiem na to
Bez ceremonii. Wacan się indyczysz,
Dyabeł wié czego — a ja chcę żyć w zgodzie,
W zgodzie i nie o wodzie. A więc zróbmy
Układ: ilekroć powiem dwa wyrazy
Podobne sobie, to dla ubłagania
Waszmości powiem zawsze „z przeproszeniem“ —
I tak, Leliwo — piwo — z przeproszeniem
Panie, dopóki stanie w dzbanie piwa,
Doliwa, z przeproszeniem, się nie gniéwa.

LELIWA.

Zbójco! — tancmistrzu językowy, kacie,
Ptaku drapieżny!...

(Wchodzi KRAK).

KRAK.

Co to są za krzyki?

LELIWA.

Kraczątko, rozsądź nas. — On przejął zwyczaj,
Słowa zamykać słowami na kłódkę
I odzwyczaić się nie chce. Kraczątko,
Jak będziesz królem, to postanów prawem,
Ażeby tacy ludzie nie gadali...

DOLIWA.

Kraczątko, moje lwiątko —

LELIWA.

Słyszysz? słyszysz?
Jak z nim pożyję, to wyjdę na głupca.
Ten człowiek plagą jest moją — on do mnie
Przypiął się, jakby nasienie bodiaku!

Bóg przypiął do mnie tego grzeszyciela,
Bóg mi przywiązał ten cień do ogona
Jak pęcherz z grochem kotowi... Ja umrę!
On mi humidum radicale z ciała
Smokcze, on pije mnie, on mną się żywi,
On jest zarazą moją! — Gdyby nie on,
To byłbym mądry i dobrze wyglądał.
On moję cerę zniszczył przez zgryzotę,
Bo ja się gryzę, że on taki głupi.
Eheu, jak mówią Grecy, królewicu,
I ty źle wyjdziesz, źle na obcowaniu
Z tą beczką — będziesz musiał go powiesić,
Jak będziesz królem; — więc się nie przywięzuj,
Bo smutno będzie wieszać przyjaciela.
A ja dlatego chciałbym zostać królem,
Aby mi było smutno, że on wisi.

KRAK.

Ja ci powiadam, że się on poprawi.

LELIWA.

Poprawi? — dyabli wezmą mnie i ciebie,
Nim się ta beczka chuci wyklaruje.
Cóż tam, króliku mój, słychać na dworze?

KRAK.

Już od miesiąca nie byłem u ojca.

LELIWA.

Kraku, dlaczego?

KRAK.

Ojciec mój oszalał! —
Ten Ślaz — ten kanclerz z bocianimi łapy,
Prowadzi za nos starca...

LELIWA.

Co, ten chudosz?

KRAK.

Ten chudosz, co był kiedyś księżym sługą,
A dziś, okradłszy pana swego zmyślnie
Z astrologicznych kilku wiadomości
I z kilku szmatek kuchennéj łaciny,
Prymuje w zamku. Razem jest kanclerzem
I moich błaznów braci guwernerem.

LELIWA.

Przeklęta zmora! — Ot wiész co, Doliwo,
Co masz tu więdnąć i stać bez potrzeby,
To idź i trzaśnij go w pysk...

DOLIWA.

Co? kanclerza?

LELIWA.

I cóż?

DOLIWA.

A to mnie powieszą!

LELIWA.

To i cóż?

DOLIWA.

Panie Leliwo, Wacpan kpisz.

LELIWA.

Kraczątko,
Ty mi coś dzisiaj smutny — co to znaczy?

KRAK.

Znudzony jestem tą ciągłą potwarzą,
Tą ciągłą walką z ludźmi zazdrosnymi.
W całym rycerzy tłumie nie znalazłem
Jednego człeka, któryby miał rozum
I serce dobre — i dziwią się błazny,
Że ja przepędzam czas z beczkami dwiema,
Że ja przenoszę głupców towarzystwo
Nad towarzystwo gałganów zazdrosnych;
Dziwią się ludzie, że zagustowałem
W dwóch tłustych ludziach, co nie mają w głowie
Mózgu kurczęcia...

LELIWA.

Co myślisz, Doliwo?

DOLIWA.

Gdybym Wacpanem był, tobym się gniéwał.

LELIWA.

Jabym się gniéwał, gdyby o mnie tylko
Takie haniebne zdanie wykrakało
Nasze Kraczątko; — lecz że o dwóch mowa,
To więcéj cieszy mnie, że Wacpan dureń —

Niż smuci, że mnie uznano za głupca.
Kto z kim przestaje, to takim się staje: —
Jam żył z Wacpanem, jak się pokazuje,
Za długo — czuję to sam już, żem zgłupiał.

KRAK.

Nudni jesteście dziś — jak dwa puhacze. —
Mam propozycyą jednę, Mospanowie?

LELIWA.

Co? co takiego, Kraczku, moje dziécię?

KRAK.

Przyjeżdża tutaj młoda Syberyna,
Scytów królewna — piękna, urodziwa.
Skoro przyjedzie, wnet będą zabiegi,
Aby ją zaraz tu w Lechii zaślubić
Któremu z moich braci. — Ja wyklęty,
Mnie oni zaraz oczernią, okłamią.
Idzie mi o to, aby zyskać serce
Téj młodéj dziewy — i zdobyć jéj rękę...
A kto chce serce pozyskać kobiéty,
Ze wszystkich zmysłów niech tylko uwiedzie
Oczy, a reszta pójdzie bardzo łatwo.

LELIWA.

Poślij nas w swaty, my uwiedziem oczy.
Patrz, nos Doliwy błyszczy, jak jutrzenka —
Ja dobrze śpiéwam, więc uwiodę uszy.
W nas dwóch jest dosyć lepu i przynęty
Na wszystkie zmysłów pięć — nas poślij w swaty!

KRAK.

A ba! innego tu trzeba sposobu. —
Chodźmy, poradzi nam piastunka Diwa,
Weseléj będzie radzić przy butelce. *(wychodzą).* [1])

---

[1]) Pierwotnie miała ta scena następujące zakończenie przez autora przekreślone:

KRAK.

Bądźcie wy mi choć raz użytecznymi. —
Ty się przebierzesz, Mospanie Leliwo,
Za jakie zwiérzę straszne i drapieżne;
Wacpan za jaką rybę albo smoka;
Ja za Świętego Jerzego — i będę
Was obu grzmocił w obliczu kochanki,
Przysięgam, tylko kijem będę grzmocił.

SCENA III.

(W namiocie. — SZAMAN — SYBERYNA).

SZAMAN.

Córko kochana, jesteśmy już blisko
Siedziby Lecha. Poddaj mi się teraz,
Ja ci wybiorę przyszłego małżonka
I szczęście życia zapewnię wyborem.

SYBERYNA.

Ojcze! ja między lody wychowana,
Nic nie widziałam, nic nie znam na ziemi.
Tyś mi pokazał wczoraj tulipana:
Myślałam, że to jest duch ze złotymi
Oczyma, w głębi swego serca żywy;
Wczoraj dotknęłam się listka pokrzywy
I ukąszona biłam ten kwiat ręką
I ciągle kąsał — aż ojcze nadbiegłeś...

SZAMAN.

Kwiat najpiękniejszy będzie tobie męką,
Jeśli się oczom dasz wieść.

DOLIWA.

Ja protestuję!

LELIWA.

A ja mówię: zgoda.
Gdyby jednemu mnie okładał boki,
Płakałbym jak bóbr — ale że Wacpana
Boki okładać będzie, to mi słodko...
Chodź Wacpan — zaraz uczynię Wacpana
Rzeczą, co będzie bita...

KRAK.

A więc zgoda?

LELIWA.

Zgoda, Kraczątko moje.

KRAK.

A więc chodźmy!
Piastunka moja, Diwa, nas ustroi
W nowe figury — i szczęście zamówi.

LELIWA.

Doliwa będzie rybą — będzie bity...
Zaraz ułożę dla niego piosenkę. *(wychodzą).*

SYBERYNA.

Ty mię strzegłeś,
Ojcze, od wiatru, co w północy wyje.
Żyłam śród białéj, nieżywéj krainy.
Przyprowadziłeś mnie teraz w doliny,
Gdzie wszystko jak ja oddycha i żyje.
Tu jest brzęk życia w powietrzu: — motyle,
Jak śniegu różnokolorowe płatki,
Lecą na ziemię — źródła szemrzą mile;
Gdy spojrzę okiem przez pień sosen rzadki,
Widzę cudowne zwiérzęta w koronach,
Jak nasze reny — ale całe złote...
Czy my jesteśmy, ojcze, w jakich stronach
Zaczarowanych?... Pokaż mi istotę,
Którą ja kochać mam — bo już się kocham.
Już zakochałam się, ojcze, w kolorach,
W ciepłém powietrzu, co powiewa wonnie
I księżycowi chłód odbiéra z twarzy...

SZAMAN.

Dziewczyno moja, kochasz się oczyma:
Zmuszony będę ci odebrać oczy,
Aby szalone — serca nie uwiodły...

SYBERYNA.

Oczy odebrać mi, ojcze? dlaczego?...

SZAMAN.

Mówiłem tobie, by ocalić serce.

SYBERYNA.

Pozwól mi patrzeć, ojcze — ja przyrzekam,
Że nie obaczą ludzie mego wzroku,
Ty sam nie będziesz widział, że ja patrzę.

SZAMAN.

Za młoda jesteś — zdradzisz się.

SYBERYNA.

Nie, ojcze.

SZAMAN *(do siebie)*.

Muszę doświadczyć, jaka jest moc kłamstwa
W najniewinniejszéj z żeńskiego półgłowia.
(głośno).
Dobrze więc — pomnij, moja Syberyno,
Że dodąd będziesz między ludźmi ślepą.

Obaczysz wtenczas, kto się ulituje
Nad twą ślepotą i zgodzi się zawsze
Być twojém słońcem, a co jeszcze gorsza,
Być niewidzianym przez tak duże oczy.

SYBERYNA.

Zobaczysz, ojcze, jak ja ich oszukam.

SZAMAN.

Idź teraz spocząć po długiéj podróży.

SYBERYNA.

Ojcze, gdzie twoje czoło?

SZAMAN.

Jużeś ślepa?

SYBERYNA.

Ustami tylko mymi teraz widzę...
Dobranoc, ojcze... gdzie drzwi?

SZAMAN.

O! fałszerko!

(Odprowadza ją i wraca).

Jestże piękniejsza rzecz na całéj ziemi,
Jak wychowana w ustroniu dziewica
Czysta, wstydliwa, choć ogniem miłości
Już przepełniona, jak kwiat nieotwarty
A pełny woni w zatulonych liściach?
O! jakże pięknie ta fałszywość piérwsza,
Maleńką groźbą ojca wywołana,
Błysnęła w oczkach jéj: — „Ojcze, gdzie czoło?
„Gdzie drzwi? ja, ojcze, nie widzę“ — i prosto
Patrzała w oczy mi gwiazdami dwiema
Rozwidnionymi ogniem i uśmiechem...
Dla niéj oddałem się czarów nauce:
Straciłem ducha wolność — włos mi zbielał
Przestrachem różnych okropności, które
Wywoływałem z głębokości ziemskiéj,
Nim do wyższego podniesiony szczebla,
Nauczyłem się okropném zaklęciem
Wyższe i piękne wywoływać duchy. —
W pięknych jest większa moc nad przyrodzeniem:
Straszne i brzydkie im ulegać muszą

I są narzędziem piérwszych... Syberyno!
Twój ojciec królem jest pięknych aniołów
I girlandami jasnych władz otacza
Swoje kochane dziecko, kiedy smutne. —
Ty nie wiész sama, dlaczego twe łezki,
Małym kaprysem w oczach urodzone,
Wnet zdmucha wonne radości powietrze
I osusza je, nim na ziemię spadną.
Ty nie wiész, czemu świat ci się wydaje
Pełny kolorów — i oddychający
Miłością, szczęściem, w najmniejszym listeczku.
Ty wszystko widzisz przez mgłę, utworzoną
Z ulatujących i motylich Nixów,
Których jest ciałem woń i kolorowość,
A kształt nie inny, jak to z czego człowiek
Marzeniem może stworzyć zamyśloną
Postać — i widzieć ją duszy oczyma...
Śpij, Syberyno — ja cię przeprowadzę
Przez teatr świata: i tylko cię tyle
Dotknie boleści, ile może człowiek
Uczuć łez albo przestraszenia we śnie —
Ach! tylko tyle, ile doznać trzeba,
Aby obudzić się z radosnym krzykiem
I obudzenia swego nie żałować...
Chodźmy — ten smutny ci sen przygotuję
Ze sługą moim, jasnym Eolionem. —

SCENA IV.

ŚLAZ — ARFON — GWYN — BARBARUS.

ŚLAZ.

Barbarus, stój tu z lichtarzem i ucz się,
Et participiat myśl twa barbarzyńska
Z nauki, którą wkładam jak łopatą
W przejasne głowy mądrych królewiców.
Ergo: zapytam z czoła katechizmu — —

ARFON.

Z czoła? dlaczego z czoła?

ŚLAZ.

Twarda głowa!
Szczęściem, że będziesz, panie Arfon, królem.
Powiédz mi, Mości Książę, kto świat stworzył?

ARFON.

Bóg.

ŚLAZ.

Mości Książę Gwynie, a Waść powiédz!

GWYN.

Piérwszego pytaj mnie, to ci odpowiem.

ŚLAZ.

Barbarus, zawstydź księcia! — Kto świat stworzył?

BARBARUS.

Bóg, dobrodzieju.

ŚLAZ.

Bóg — Deus — Jehowa. —
Panie następco tronu, s o l co znaczy?

ARFON.

Słońce.

ŚLAZ.

Co to jest słońce, panie Gwynie?

GWYN.

Okno, którędy dzień schodzi.

ŚLAZ.

Barbarus,
Ucz się, gałganie ciemny — jest to okno?

BARBARUS.

Mój dobrodzieju...

ŚLAZ.

Cóż to? co, niedźwiedziu?
Apollinarius Sidonius — Gwalbertus —
Sanctus Avitus — o tym luminarzu
Mówią, że to jest... luminarz... więc ergo...
. . . . . .
. . . . . .

WALLENROD.

DRAMAT

(FRAGMENT).

OSOBY

WALLENROD.
KIEJSTUT.
JAGIEŁŁO.
KIRGIEŁ, NARYMUNT } bracia Jagiełły.
WITOŁD, syn Kiejstuta.
HALBAN.
ALF, giermek.
DWÓCH WAJDELOTÓW.
I i II KRZYŻAK.
BIRUTA, żona Kiejstuta.
ANNA, żona Witołda.
AXENA, siostra Jagiełły.
KSIENI, matka Wallenroda.

AKT PIÉRWSZY.

SCENA ...[1]).

PIÉRWSZY KRZYŻAK.

I poszedł na roraty.

DRUGI.

Z pałaszem i w szlafmycy.

PIÉRWSZY.

Dobra piosenka, Panie Knyper, bo zawsze człowiek czego się innego domyśla, a tu rzecz niewinna. No, jeszcze strofę!

(*wchodzi* WALLENROD).

WALLENROD.

Cóżto za śpiéwy w moim domu, knechty?
Czyścić mi zbroję, opatrzyć oręże!
Jutro na Litwę wyjeżdżamy — precz stąd!
(*Krzyżacy odchodzą*).
Ha! więc godzina przyszła! Żegnaj teraz,
Rycerska sławo, dumo i ty jędzo,
Miłości własna, żegnaj! Los zaczyna
Podgryzać twardą podstawę posągu,
Aż runę z góry i w proch się położę.
(HALBAN *wchodzi*).
Jesteś, nieszczęścia kruku! Weź tę harfę
I wyjdź na ganek, graj, aż moja matka
Usłyszy i tu zejdzie korytarzem..
(HALBAN *wychodzi*).

---

[1]) Początku téj sceny, jako i początku tego całego aktu, braknie w własnoręcznym manuskrypcie poety. Jestto już scena trzecia od końca. *(Przyp. Wyd.)*.

O smutna pieśni, którą tyle razy
W dzieciństwie mojém słyszałem na Litwie!
Jak ty rozdzierać musisz matki serce,
Podobna skardze szczęścia minionego
I zawiedzionych nadziei płaczowi...
(*wraca* HALBAN).

HALBAN.

Słyszała i tu idzie przeorycha.

WALLENROD.

Dobrze... Nic nie mów do mnie, jestem wściekły...
(*wchodzi* KSIENI).
Matko, na Litwę idę...

KSIENI.

Już na Litwę?

WALLENROD.

Jagielle pomóc przeciw Kiejstutowi.

KSIENI.

Przeciwko ojcu ty idziesz własnemu?

WALLENROD.

Czy ja mam ojca? wszak jestem bękartem!
Natura nie ma żadnych praw nademną.
Jestem — jako struś, wywiedziony z jaja
Słońca promieniem — słońce mam za ojca.

KSIENI.

A Litwę masz za matkę — jestem Litwą...

WALLENROD.

Nieszczęście zaś za siostrę, śmierć za żonę,
A krew za napój. Wszak tak, stary mnichu?

HALBAN.

Naklnij losowi — a potém się poddaj!

WALLENROD.

Czy wy jesteście pewni, że mię w Litwie
Nie pozna żaden człowiek — nawet oczy
Własnego ojca — nawet jego serce?..
Trzęsiecie głową... takżem ja zmieniony?

HALBAN.

Choroba twoja w Hiszpanii, Walterze...

WALLENROD.

Tak, zwaryowałem był kiedyś z tęsknoty;
Lecz teraz jestem zdrów. Cóż rozkażecie?

KSIENI.

Przysiąż, że nigdy się nie zdradzisz!

WALLENROD.

Siebie?!
Byłbym człowiekiem pełnym nierozumu,
Gdybym się zdradzał...

KSIENI.

Przysiąż mi, Walterze!

WALLENROD.

Dobrze — przysięgę tę weź, moja matko,
I zrób z niéj worek.

KSIENI.

Jakże to rozumiesz?

WALLENROD.

Worek na ludzkie przysięgi — kradzione.

KSIENI.

Gorzko ty mówisz do mnie na odjezdném.

WALLENROD.

Matko, ja ciebie kocham...

HALBAN.

Dziwne serce!
Jako wosk miękkie — jak wicher szalone!

WALLENROD.

Niech ten filozof stary, co prowadzi
Za nos narody, i mnie jako frygę
Kręci — niech będzie Homerem! Inaczéj
Wszystkie me czyny rycerskie nie warte
Życia jaskółki...

HALBAN.

Nie bój się, żyć będą!

WALLENROD.

Gdzie? na księżycu?

HALBAN.

Wyjeżdżasz komturem,
Wrócisz zakonu mistrzem...

WALLENROD.

Wróżba krwawa!..
Lecz wróżby trzeba jako sny tłómaczyć
Na wspak.... Czy Winrych chory?

HALBAN.

Walter Stadion
Powróci mistrzem!

WALLENROD.

O! męska Hekate!
Widać w nim zawsze starego guślarza,
Choć został mnichem świętego Franciszka...
Słuchaj, a Winfryd Juningen czém będzie?

HALBAN.

Umarłych dusze idą zawsze w stadach
Jako bociany, z żałosnymi wrzaski,
Aż zejdą z nieba i polecą w ciemność —
Nieprawdaż, matko?

KSIENI.

Zostaw nas, Walterze!
My uprzątniemy tobie drogę z ludzi,
Schowamy trupy; znajdziesz miejsce czyste,
Posłane łoże, wymyte podłogi...
Wszystko się stanie wprzód, nim ty pomyślisz,
A gdy pomyślisz, już będzie zrobione.
A teraz ci dam ostatnią przestrogę:
Oszczędzaj Litwy krew i głowę ojca,
Lecz bądź zwycięzcą!

WALLENROD.

Kobiéca przestroga!

KSIENI.

Guślarzu, idźmy teraz zbierać zioła. *(Odchodzą).*

WALLENROD.

A ja do stajen pogadać z rumakiem,
Czy się nie złamie pod zbrojnym krzyżakiem...

SCENA PRZEDOSTATNIA.

(W zamku Kiejstuta).

KIEJSTUT — BIRUTA — *Dwóch* WAJDELOTÓW — *Giermek* ALF — WITOŁD — ANNA, *żona jego.*

KIEJSTUT *(do Anny).*

Cóż ty, Rusinko, w złotym kokoszniku?
Czy ci wesoło w Trokach? Cóż, Witoldzie?
Miodowy miesiąc zawsze bywa słodki.
Biruta, co ma teraz włosy srebrne,
A pierwéj miała włosy takie złote,
Jako miodowy księżyc — niechaj powie,
Czy Kiejstut dobrze kochał ruski miesiąc?

BIRUTA.

Drapałam ciebie wtenczas pazurami,
Biłam, jak słowik skrzydełkiem gadzinę,
Jak wąż skakałam do oczów. Mój stary,
Jeśli to miód był, to pewno nie słodki!

KIEJSTUT.

Skłamałaś, stara moja... o! skłamałaś.
Bom ja uciekał — tyś goniła za mną!
Schowałaś mi hełm, abym nie wychodził,
Spaliłaś w piecu lipowe chodaki,
Ukradłaś kiesę, bym nie pił za domem;
Potrułaś mi psy, abym nie polował.
Tak, na Peruna tak! Widzisz, Witołdzie,
Jak matka kłamie. Bij twoję Rusinkę,
Bo nadto wielka dobroć psuje żony.

ANNA.

Jeśli bić będzie, to mu przypnę rogi
Takie, jak twoje, teściu mój, Kiejstucie.

KIEJSTUT.

Takie, jak moje?

ANNA.

Wszak masz hełm z rogami.

KIEJSTUT.

Ha widzisz! sarna je była przypięła
Jednemu z czarnych jeleni, dlatego
Że nie bił żony — to są rogi sarnie.

ANNA.

Ja Witołdowi przyprawię miesięczne.

WITOŁD.

Co mi tam! posag już po tobie wziąłem.
Nie dbam o mięso sobole — mam skóry...

ANNA.

Nie dbasz o kunę twoję? nie dbasz o nią?
Jak ci dam szczutkę w hełm, obalę z koniem,
Zawinę ciebie w pieluchy, jak dziecko,
I gdzie powieszę na haku... Pohaniec,
Nie dba o żonę!

WITOŁD.

Cyt, moja kraszanko!

ANNA.

Nosek o nosek — uderz! twój się stłucze...

WITOŁD.

Twój był stłuczony już, gdy ciebie wziąłem.

ANNA.

Pies! O Biruto, każ mu pójść do kąta!
Każ wleść pod ławę! Odszczekaj mi zaraz,
Mój srebrny mężu, zaraz mi odszczekaj,
Bo wajdelotom powiem, że na ciele
Jesteś kosmaty — będą w pieśniach śmiać się...

WITOŁD.

Koteczko moja!

ANNA.

Aj! jak ty mię ciśniesz!

WITOŁD.

Niech ojciec wiedźmę tę wypędzi z domu!
Wczoraj potłukła wajdelotom liry
Dlatego, że jéj zaśpiéwali o mnie.
Alfa przez okno rzuciła w jezioro,
Aby zobaczyć, czy Litwin z natury
Pływa po wodzie, czy zaś idzie na dno.
Dwa dni — sokoła mego najstarszego,
Który już siedział na łaskawym chlebie,
Kazała upiec i dać na wieczerzę!
Pytam: co taki twardy ptak? — a ona:
Mężu, to kura! — patrzę — a ta kura

Na szyi pierścień ma żelazny — ścierwo!
A jużem udo zjadł...

KIEJSTUT.

Udo sokole?!

WITOŁD.

Jeszcze się teraz ze mnie śmieją wszyscy!

KIEJSTUT.

Biruto, widzisz, jaki nasz syn głupi:
A mówią, że to bohater za domem.

ANNA.

Mnie, żony, spytać — powiem, czy bohater!

WITOŁD.

Cyt, słyszę jakieś trąbienie — od Wilna...

ANNA.

Jacyś rycerze tu jadą na wyspę.

KIEJSTUT.

Bogdaj nie jakich czarnych nowin gońce!
Bo mi tak dobrze, jak jest — a odmiana
Już być nie może na lepsze. (*Wchodzi* GONIEC).
Co słychać?

GONIEC.

Jagiełło uciekł z Krewa dzisiaj w nocy!
Narymunt, jego brat, i Korygiełło
Zdradą na wozach pod chlebem i sianem
Do Wilna skrytych wprowadziwszy ludzi,
Zajęli miasto, oraz zamki oba.
Załoga, napół zbrojna, tu się cofa...

KIEJSTUT.

Ranek spokojny — nad wieczorem burza.
Widzisz, Witołdzie — ja tobie mówiłem,
Że nigdy ufać nie można Jagielle!
Ciebie ta lisia skóra będzie łudzić
Do dnia sądnego. Widzisz, co się stało!
Trzeba go było przykuć, jak niedźwiedzia,
A myśmy miodem lipcowym karmili.
Masz teraz skutek! Znów wojna — pożary —
Znów wnętrzne rzezie: — a takiego ranku,
Jak dziś, by cała książęca rodzina

Zasiadła razem i ludzkiego szczęścia
Zakosztowała — może już na długo,
A może nigdy już się nie spodziewać! —
W nieszczęsną ty się urodziłeś chwilę,
Zły mój synowcze, co tak Litwę kłócisz!

WITOŁD.

Jagiełły wszakże potępiać nie można!
Wolności szukał, jak z nas każdy — i ty
Ojcze Kiejstucie. Wszak byłeś trzy razy
Więźniem i zbiegiem — wie o tém Biruta.
O sobie myśląc, nie potępiaj w drugich
Takiego ducha i takiéj odwagi...
Wszak się nie dziwisz, że latają orły;
Wszak się nie dziwisz, że co wiosny bocian
Znajduje zamek trocki i powraca.
Tak człowiek wolność swoję zna — i do niéj
Wie dobrze drogę. Jagiełły nie bronię;
Winien był, ojcze, nam zaufać dłużéj,
A tybyś mu był sam dał w podarunku
Skarb, który dzisiaj sam Jagiełło bierze.
Do nas należy drugi raz odebrać
I drugi raz mu dać, by z łaski naszéj,
A nie z przemocy, był nam równy w Litwie;
A tak wyższymi zawsze my będziemy,
Lecz jako ludzie — w dobroci i duszy
Wyższymi, także jeśli można, w sławie.
Ziemią i skarby dzielmy się na równo,
A nawet — kto mniéj weźmie — szlachetniejszy,
Jeśli mógł więcéj, a wziął tylko mało...

KIEJSTUT.

Patrzaj, Biruto, jaki to filozof
Nasz syn! Wyprawiłby nas starych z torbą...
Witołdzie, wraz mi na koń! Dzwonić w trąby!
Sam na koń wsiędę. — Alf! pociągnij miecza.
A wy do komnat, baby! — Wajdeloci,
Gotujcie liry wasze, bo podobno
Raz ostatni pieśń o mnie zabrzmicie —

WAJDELOTA.

Żałobną!

(wychodzą).

SCENA OSTATNIA.

(W Klasztorze Krzyżaków).

(KSIENI — HALBAN).

KSIENI.

Słuchaj — te świéce ze krwią gotowane!
Do łoju strasznych przymięszałem jadów.
Zapal je — gdzie chcesz, aby człowiek skonał:
A człowiek skona...

HALBAN.

Daj tę czarną świécę!
Choćby odkryto, żadne podejrzenie
Na Wallenroda nie padnie...

KSIENI.

Idź i truj!

(Rozchodzą się).

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Obóz Jagiełły).

JAGIEŁŁO — KIRGIEŁ — NARYMUNT.

JAGIEŁŁO.

Byliśmy prawie do szczętu pobici.
Kiejstut jak stary lew chodził w około,
I wszędzie oczy straszne mego stryja,
Jako dwie gwiazdy krwawe, spotykałem
W mojém utkwione sercu. Dziesięć razy
Byliśmy tylko o miecza dłużynię,
I zawsze starzec nie podnosząc miecza
Stał, srogo patrząc na mnie; a ja byłem
Gotowy klęknąć, gdyby się uśmiechnął:
Ma uśmiech mego ojca — i coś w twarzy,
Co nakazuje miłość...

NARYMUNT.

O Jagiełło!
Gdyby nie Krzyżak, bylibyśmy zbici.

JAGIEŁŁO.

Dziwna krzyżacka pomoc! Stał na górze,
Ani się ruszył...

NARYMUNT.

Ale straszna postać
Gdy się na górze nagle ukazała:
Obiedwie strony przejął strach — i obie
Spuściły miecze.

JAGIEŁŁO.

Tak, w porę się zjawił!
Mieczem przeżegnał z góry i rozbroił.
Lecz słyszę trąby — to ów Krzyżak idzie...
(Wchodzi WALLENROD).

WALLENROD.

Gdzie tu jest książę Jagiełło?

JAGIEŁŁO.

Ja jestem.

WALLENROD.

Przychodzę tobie pomóc. — A ten rudy?

JAGIEŁŁO.

Mój brat Narymunt.

WALLENROD.

A ten z płaskim nosem?

JAGIEŁŁO.

Drugi brat, Kirgieł.

WALLENROD.

Każ mi podać krzesło!
Wiele Krzyżakom dasz, jeślić pomogą?

JAGIEŁŁO.

Konturze, teraz nie jestem bogaty:
Mogę obiecać, ale dać nie mogę.
Wieleżbyś żądał za twą pomoc szczérą?

WALLENROD.

Nic prawie! Knechtów, których mi zabiją,
Każesz przeważyć z końmi i rynsztunkiem
A potém srebra dasz na wagę trupa...

JAGIEŁŁO.

Srebra? — czy myślisz, że się w Litwie rodzi?

WALLENROD.

Co knechty, wiem, że z Prus je sprowadzacie.

JAGIEŁŁO.

Łatwiéj o knechtów, niż srebro.

WALLENROD.

Nie, wcale!

JAGIEŁŁO.

Już nie wytrzymam téj krzyżackiéj dumy...

WALLENROD.

Jeśli nie dajesz tyle, ile żądam,
Wraz wojnę w Litwie rozpocznę dla siebie.

JAGIEŁŁO.

Czyń, jak chcesz! nadto jesteś w ustach twardy.

WALLENROD.

Więc do widzenia! *(odchodzi)*.

JAGIEŁŁO.

Widziałże kto w Niemcu
Podobną dumę? — Bracie Narymuncie,
Jedź do Kiejstuta, ofiaruj układy,
Witołda serce skrusz — Witołd mię kocha. —
Powiédz, że z Niemców mamy nieprzyjaciół.
Namiot wystawić każę przed wojskami
I tam na stryja mego będę czekał
Z uszanowaniem i z podległą skruchą.

SCENA II.

(Obóz Kiejstuta).

KIEJSTUT — WITOŁD — ALF.

KIEJSTUT.

Witołdzie, teraz Jagiełło z Niemcami!
O! widzisz, jaki to wąż — widzisz synu!
Mój Witołdzie, już mi nie mów więcéj o tym człowieku.
Grób nam wykopał, grób ciemny!

WITOŁD.

O! jeśli takim, jakim dziś się czuję,
I jutro będę: jutro będę królem!...

Dziśbym wystrzelał wszystkie gwiazdy z łuku!
Dziśbym wziął w ręce słońce płomieniste
I rzucił z procy na Jagiełły głowę;
Dziśbym go z koniem zarzucił na księżyc,
A potém skoczył za nim i tam deptał,
Jak krwawą żmiję; dziśbym robił cudy,
A gdybym umarł, bogi by mi dały
Zapalać piorun lub odpiérać tarczą
Zhukane morze, albo dźwigać góry
I ziemią całą trząść pod niemi z gniewu!...

KIEJSTUT.

Ja także jestem jakby odmłodniały;
Nie czuję trwogi — ani téż rozpaczy.
Spokojny jestem, jak jezioro trockie,
Jak stare puszcze głębokie i ciemne.
O siebie jestem spokojny — lecz moja
Biédna Biruta!... Litwa się zepsuła!
Czy myślisz, żeby się znalazł jeszcze w Litwie jaki człowiek, któryby chciał skonać na moim stosie, gdybym ja umarł?

WITOLD.

Ojcze Kiejstucie, co za czarne myśli?

KIEJSTUT.

Alf, chodź tu!

ALF.

Panie...

KIEJSTUT.

Czy tybyś się spalił ze mną?

ALF.

Ja?... spaliłbym się!

KIEJSTUT.

Tak ci się zdaje, dziecko. Psy skowycząc uciekają od człowieka, gdy je chce złowić; psy przeczuwają śmierć i wyjąc idą w lasy; trzeba je w workach wiązać i nieść do trupa pańskiego.

ALF.

To psy...

KIEJSTUT.

Patrz, Witoldzie, jaka duma w tém dziecku! Któżby powiedział, że to bękart tego zdrajcy haniebnego Waltera Stadiona?!

ALF.

Spalę się na stosie twoim, ale ojca mego nie nazywaj zdrajcą.

KIEJSTUT.

Niestety! Moje dziecko, ja go kiedyś kochałem. Ojciec twój uciekł do Krzyżaków, a potém gdzieś oszalał w hiszpańskim szpitalu i umarł wściekły... Zdrada jego przypadła właśnie w czas bardzo srogi dla Litwy: byliśmy zupełnie pobici — pamiętasz, Witołdzie? — lecz ty miałeś wtenczas lat siedem... Matka jego z rozpaczy powiesiła się była przed mymi oknami na staréj sośnie, lecz pastuch przechodząc rano, odciął powróz i ocucił ją... Potém zniknęła... Także jeden guślarz z pod Trok — zniknęli razem... Chodź tu, Alf, sierotą jesteś...

ALF.

Więc mię umarli widzą.

KIEJSTUT.

Ciebie — i myśli twoje.

ALF.

Jeśli się spalę, czy będą o mnie śpiéwać wajdeloci?

KIEJSTUT.

Będą.

ALF.

I za sto lat?

KIEJSTUT.

Pieśń żyje wieki.

ALF.

A ty wiele jeszcze możesz pożyć, Kiejstucie?

KIEJSTUT.

Dziwne to psiątko! — zalewa mi oczy
Przezroczystymi łzami... Chodź! daj mi ust...
Różane twoje usta tchną mi życiem,
A twarz mi dawne czasy przypomina.
Dziś mi innego znajdź, Witołdzie, giermka!
Niechaj to dziécię żyje lata długie!

ALF.

Dlaczegoż ty mię chcesz odprawić, księże?
Czym źle ci służył?

KIEJSTUT.

Cicho, małe szczenię!

ALF.

Jeśli odprawisz, pójdę do Krzyżaków.

KIEJSTUT.

Każę cię wtenczas złowić i powiesić.
Patrzno mi kruka!

WITOŁD.

Idzie brat Jagiełły
Zapewne zgodę ojcu proponować.
(*Wchodzi* NARYMUNT).

KIEJSTUT.

Nie, nie, nie! nie ma zgody między nami!
Nie! póki Kiejstut ma broń, nie ma zgody!

WITOŁD.

Mów, Narymuncie, z czém jesteś przysłany?

NARYMUNT.

Przychodzę stryja mego serce skruszyć;
Przychodzę — tę krew, co między Jagiełłą
A między starym Kiejstutem się toczy,
Jako Wilenka między dwiema góry —
Przychodzę na téj krwi z mojéj pokory
Most zrobić pewny, aby się Jagiełło
Z Kiejstutem mogli zejść, połączyć dłonie
I wiecznie zjednać. Przyszedłem, Kiejstucie,
Abyś na mojéj pokornéj osobie
Wzrok przyzwyczaił do Jagiełły twarzy
I piérwsze gniewy na mnie tak wyrzucił,
Jak chmura piérwsze piorunowe strzały
Wypuszcza w lasach na żubry i łosie,
A potém idzie spokojna i cicha
Po nad głowami królów. O! Kiejstucie,
Mnie karz — a przebacz Jagielle urazy!
Jam go namówił uciéc, jam go wspiérał —
Na moim garbie stanąwszy, dosięgnął
Krewskiego okna i z więzienia wyszedł —
A teraz widzi, że napróżno walczyć
Z Kiejstutem starym i z Witołdem młodym.
Kiejstut jest wichrem, a Witołd piorunem!
Królewska godność patrzy z waszych liców,
Pokora płynie z ust Olgierdowiców.

KIEJSTUT.

Zawsze masz słodkie usta, mój kochany,
A złe ci patrzy z oczu, stary kocie!
Nie jestem książę na Trokach blaszany
I to pokażę wam. Jadasz na złocie
I złotem jesteś jak indyk nadziany,
A jeszcze szukasz kraść, gdzie się nadarzy.
A wieleś ty wziął od Jagiełły w łapę
Za to, byś przyszedł, bym na twojéj twarzy
Splunął gniew piérwszy? A czemu Jagiełło
Sam tu nie przyszedł? Straszne z was kręciele!
Nie ufam więcéj — nie ufam... Zdradzicie!

NARYMUNT.

Witołda poślij — niech z Jagiełłą mówi!

KIEJSTUT.

Poślę niedźwiedzia, niechaj go rozedrze!

NARYMUNT.

Serce Jagiełły już rozdarte żalem...

KIEJSTUT.

Cóż z niego płynie — czy krew, czy trucizna?

NARYMUNT.

Łzy płyną gorzkie!

KIEJSTUT.

O! o! jeleń płacze!
Muszą go więc psy już trzymać za uszy.

NARYMUNT.

Żal mu, że wezwał Krzyżaków na Litwę...

KIEJSTUT.

Żal mu, że trzeba groszem płacić mnichy.

NARYMUNT.

Żal mu, że stryja dobrego obraził.

KIEJSTUT.

Płacze jak dziecko więc, kiedy je biją,
A z tyłu kułak pokazuje, grożąc.

NARYMUNT.

O! że nie grozi, patrzaj — oto dowód: —
Sam tu przychodzi. *(Jagiełło wchodzi).* O! Jagiełło bracie,

Te wykopałem doły kolanami
Jako dwa groby: — Stryj przebaczyć nie chce.

JAGIEŁŁO.

Stryju Kiejstucie! przysłałem do ciebie
Z przeprosinami brata Narymunta,
Lecz gdy się późnił długo, sam przychodzę.
Zapomnijcie mi, stryju, moje winy;
Lecz nie tak, jako pierwéj, zapomnijcie —
Karząc więzieniem, jak podłego zdrajcę!
Witołdzie, witaj!... patrzysz na mnie srogo,
Albo odwracasz oczy gdzieś na ściany,
Jakbyś się za mnie wstydził... Mój bratanku,
Miałżem w ciemnicy zgnić — nie użyć zdrady?
Wszak wyście Wilno mi zajęli zdradą,
Zamordowali męża mojéj siostry,
A mnie samego wsadzili do lochu,
Karmili chlebem, kwasem ukwasili...
A teraz, widząc księciem — cóż tracicie?
Jagiełło — książę, przeprasza Kiejstuta!
A to jest lepiéj, niż gdyby go więzień
Prosił o łaskę... Olgierd by się zaparł
Takiego syna — ty takiego brata!
Czyli wam smutno, że nie jestem podły?

KIEJSTUT.

Tak, do Witołda ty obracasz mowę.
Ty wiesz, że Witołd ma z bursztynu serce,
Gdzie twoja przyjaźń, jako utopiona
Żaba, tysiąc lat bez powietrza żyje
I rusza brzuchem, choć ty jéj nie karmisz
Ani dobrocią, ani zaufaniem...
Witołd — to hardy młokos, z miękkiém sercem!
Witołdem żyjesz ty na stryja stole!
Witołda dobroć jest twoją spiżarnią!
Witołda chowasz sobie od potrzeby
Na wszystkie zdrady — jak myśliwiec jaki,
Który, nim stanie na dzika z oszczepem,
Pierwéj upatrzy do ucieczki drzewo...
Lecz się ten wreszcie most pod tobą złamie!
Wybrałeś wszystko, coś miał u Witołda: —
Witołd już wyznał, żeś ty jest przewrotny,

Dumny, ambitny i samolub chciwy.
Znamy cię teraz dobrze, mój synowcze!
Będziemy kochać, ileś wart — nie więcéj: —
Dawać, ile sam zasłużysz — i mierzyć
Podług twojego głodu twoje ścierwo,
Wilku żelazny! — Czegoż chcesz odemnie?

JAGIEŁŁO.

Twardoś mi, stryju, odpowiedział, twardo!
Za broń-by trzeba chwycić i za żagiew,
Przez ciebie skoczyć i pójść aż na Troki;
Silniejszy bowiem jestem w broń i ludzi.
Krzyżacy stoją na górach, a Wilno
W moim jest ręku. Jednak nie odejdę,
Dopóki mogę bez ostatniéj hańby
Uniżać czoła.

WITOŁD.

Przebacz mu, Kiejstucie...

KIEJSTUT.

O! zgubisz ty mię, synu, zgubisz synu!

WITOŁD.

Ja wiem Jagiełły zamiar, ojcze drogi!
On chce uderzyć zgodnie na Krzyżaków.
Jeżeli jakie oszukaństwo kryje,
To nie przeciw nam, lecz przeciwko mnichom...
On wie, że Witold potrzebny na Niemce,
A więcéj jeszcze zwycięstwu pomaga
Imię Kiejstuta. Dajże mu twe imię,
Daj mu Witołda — niechaj ma zwycięstwo!

KIEJSTUT.

Prawdę on mówi? — chceszże ty na Niemca?

JAGIEŁŁO.

Téj saméj nocy.

KIEJSTUT.

No, to weź Witołda!

JAGIEŁŁO.

Lecz wy mi, stryju, pomożecie? *(całuje go w rękę)*.

KIEJSTUT.

Jagło!
Jeszcze raz tobie przebaczam; — pamiętaj,
To raz ostatni.

NARYMUNT *(na stronie)*.

Tak, to raz ostatni!

JAGIEŁŁO.

Witołdzie, namów ojca — niech do Wilna
Na tę noc zjedzie i dla bezpieczeństwa
Sprowadzi z Wielkich Trok żonę i dzieci.

KIEJSTUT.

O! zdaje mi się, że bezpieczniéj w Trokach,
Niż w twojém Wilnie.

WITOŁD.

Ojcze, znów go ranisz...

KIEJSTUT.

Jechać? — Witołdzie, powiédz —

WITOŁD.

Ojcze, jechać!
A ja do tego czarnego kontura: —
Wyspowiadam go i wojnę mu rzucę.

JAGIEŁŁO.

Kirgieł niech jedzie prosto do Biruty
I z całym dworcem kniahynią sprowadzi
W zamek wileński! — A ty, Narymuncie,
Śpiesz i przygotuj ucztę na zamczysku,
Oraz wysokie dla Kiejstuta krzesło!
My, stryju, zwolna pojedziemy błoniem,
Aby widzieli ludzie, żeśmy w zgodzie.

SCENA III.

(Zamek w Wilnie).

AXENA — *później* NARYMUNT.

AXENA.

Dziś całą ciemną noc nie spały kawki
Na mojéj wieży, lecz wrzeszczały ciągle;
A w tym szeleście i krzyku słyszałam,
Jakby mówiły: my objadły kości
Twego Wojdyły, gdy na szubienicy
Zawieszony był przez stryja Kiejstuta. —
Ja wrona jemu siedziałam na głowie

I jadłam oczy. My dwie na ramionach...
Druga wrzasnęła głucho: trup był czarny!
Trzecia wrzasnęła cicho: księżna słyszy —
Małżonka jego, księżna śpi pod nami!...
Wisielca tego żona śpi pod nami!
Kiejstuta synowica śpi pod nami!
Wstałam i okno otworzyłam: — Kawki,
Krzyknęłam, księżna nie śpi — księżna słyszy!
Księżna, wisielca żona nie śpi w łożu!
Czekajcie, siostry czarne, księżna da wam
Głowę Kiejstuta... Kiedy to wyrzekłam,
W powietrzu głowę ujrzałam Kiejstuta,
Bladą Kiejstuta głowę — szklane oczy
I krwią zwalane siwe, długie włosy.
Zaczęłam wtenczas ją wabić jak ptaka:
Chodź tu, dam tobie jeść — otwarła usta...
Chodź, mówię, dam ci pić — patrzała cicho...
Chodź — wyciągnęłam rękę na powietrze —
Uciekła — potém znów się pojawiła
Pomiędzy ręką moją i oczyma,
Jak plama, cała ze krwi i z płomieni...

(*Występuje* NARYMUNT).

NARYMUNT.

Axeno...

AXENA.

Bracie!

NARYMUNT.

Przygotuj się, księżno,
Niemiłą ci rzecz powiem...

AXENA.

Mów!

NARYMUNT.

Nie miłą...

AXENA.

Czekam okropnéj.

NARYMUNT.

Nie, okropną nie jest —
Tylko cię muszę, siostro, przygotować.

AXENA.

Jagiełło zginął?...

NARYMUNT.

Nie, zdrów i powraca.

AXENA.

Wraca... zwyciężył?

NARYMUNT.

Nie — wraca bez jeńców,
Ale ci mnogich naprowadza gości.

AXENA.

Kogo?

NARYMUNT.

Niemiłych gości...

AXENA.

Kogo?...

NARYMUNT.

Siostro,
Tylko nie popsuj całéj pajęczyny,
Którą tak trudno było nam umotać...
Jagiełło wraca z Kiejstutem.

AXENA.

Ze stryjem?

NARYMUNT.

W zgodzie najlepszéj powraca ze stryjem.

AXENA.

Wraca z Kiejstutem?

NARYMUNT.

Idź, przygotuj ucztę!

AXENA.

O! przygotuję ucztę... Narymuncie,
Znajdź mi zabójców!

NARYMUNT.

Ha! cóż ty zamyślasz?

AXENA.

Znajdź mi zabójców... nic!... zabójców mi znajdź,
Nie pytaj o nic!... Czy Biruta także
Będzie na zamku?

NARYMUNT.

Tak sądzę.

AXENA.

Biruta!...
Zrobię z Biruty mnie!... Cóż, Narymuncie?
Dla ciebie skarby trockie — chcesz być ze mną?
(wychodzą).

SCENA IV.

(Obóz Krzyżaków).

WITOŁD — KRZYŻACY — *później* WALLENROD.

WITOŁD.

Gdzie jest ten Kontur, pies dyabelskiéj mości,
Kuce krzyżackie!? — gdzie? — chcę z nim pomówić...
Cóż? dobywacie szabel? cóż, murzyny?
Czy nie widzicie, że niosę na kiju
Kawał spodnicy, co mię czyni świętym?...
Gdzie jest wasz kontur? — chcę mówić z konturem.
(Wchodzi WALLENROD*).*

WALLENROD.

Cóżto za baba? — wrzeszczy, jak przekupka.

WITOŁD.

Jestem tandetnik, przychodzę kupować
Stare krzyżackie łby — zrobię z nich papiér,
Pójdą pod folusz... Ha, po czemu twój łeb?

WALLENROD.

Czy tak książęta w Litwie wychowane?
Wiele chcesz za twą grzeczność, tandetniku?
Znoszona bardzo i nie warta nawet —
Gdyby na tynfy mój gniew bić w mennicy —
Nie warta nawet tynfa z mego gniewu.

WITOŁD.

Czy masz gniew? — Właśnie przychodzę, Krzyżaku,
Po twój gniew: — dobrze! przedaj mi gniew — dobrze!
A kiedy na twój gniew chcesz włożyć zbroję
I gniew posadzić na konia? — co? kiedy?...

WALLENROD.

Cóż? czy samego wyzywasz na rękę,
Czy z całém wojskiem, które mam — na wojsko?

WITOŁD.

Wojsko na wojsko, a ciebie — na siebie.
O! o! batalia będzie, jak należy.
Zamiast trąb — świstać rozkażę w orzechy
I hasło boju wydadzą świstuny.
Żony szczutkami będą zabijały
Wasze kolumny; wróble, widząc trupy,
Zmienią naturę i w sejmie uradzą,
Że kiedy łatwiéj o trupy, niż ziarno,
Odtąd, jak wrony, będą żyły ścierwem.

WALLENROD.

A któż ty jesteś, co tak grozisz?

WITOŁD.

O pies!
Znasz ty mię dobrze! — jestem książę Witołd.

WALLENROD.

Jakiżto Witołd?

WITOŁD.

Witołd, syn Kiejstuta.

WALLENROD.

Czekaj — zapiszę sobie twoje imię,
Abym spamiętał.

WITOŁD.

Musisz mieć łeb twardy; —
Jutro napiszę na nim moje imię.

WALLENROD.

Jednego tylko w Litwie znam rycerza,
Coby mógł złamać mój maleńki palec,
Używszy na to machin i taranów,
Którymi zamki na Litwie walicie.

WITOŁD.

Jakiżto rycerz, powiédz, taki silny?

WALLENROD.

Walterus Stadion.

WITOŁD.

O! to bądź spokojny
O twój paluszek, moja piękna panno: —
Walter już dawno w grobie, zdrajca podły!

WALLENROD.

Co? już nie żyje?

WITOŁD.

Dawno, dawno, dawno!

WALLENROD.

Jeśli nie żyje, to już w całéj Litwie
Nie ma człowieka...

WITOŁD.

Słuchaj mnie, Krzyżaku!
Ten Walter, co tak tobie siedzi w głowie,
Z mego się ojca rodzi — był bękartem.
Krew, którą mnie dał Kiejstut, rubinowa —
Krew, którą jemu dał, nie warta wody!
To kalinowy sok — nie krew Kiejstuta!
Kobieta ją ukradła Kiejstutowi
I z téj kradzionéj krwi miała Waltera,
A Walter ukradł tę krew znów ojczyźnie
I dał Krzyżakom... Ród jego i życie
Ciągłą kradzieżą jest — potém oszalał
I gdzieś w szpitalu skończył życie podłe...

WALLENROD.

Łżesz, bo się Walter kiedyś w Litwie zjawi!
Ty wiesz, że Walter żyje!

WITOŁD.

Niemcze twardy!
Ja ci powiadam, że ten zdrajca w grobie —
A ty mi wmówić chcesz, że zdrajca żyje...
Syn jego żyje: ojcu memu służy,
Za żoną moją nosi ogon — i śpi
Pomiędzy psami przy Kiejstuta łóżku.
Ale to małe psiątko nie ma zębów —
Jeśli o małym mówisz.

WALLENROD.

Nie! o wielkim.

WITOŁD.

O wielkim zdrajcy...

WALLENROD.

O tym wojowniku,
Co kiedyś zaćmi wszystkie wasze sławy,

Najdłużéj będzie w pieśniach waszych słynął —
Na kilka wieków umrze i znów wstanie
Straszniejszy, niż Bóg jaki piorunowy,
Mścić się i... Dosyć, mój ty giwojtosie!
Jeśli Waltera nie ma teraz w Litwie,
To nie mam się z kim bić — i do Prus idę,
Bo wy nie warci naboju w rusznicy!

WITOŁD.

O! tak mów — tak mów prosto, że uciekasz!
Ale ci Witołd młody na kark wsiądzie,
Jak sroka, kiedy na tłustym baranie
Siedzi i wełnę rwie i na wiatr rzuca.
O tak! powiadaj prosto, że uciekasz!
Powiadaj, że ci Witołd w nosie kręci!
Powiadaj, że się boisz stać na ziemi,
Pod którą Witołd jako wulkan siedzi
Gotów się rzucić w górę — aż na księżyc!...

WALLENROD.

Jeśli się cofam, to tylko dlatego,
Że wasz Jagiełło skąpy — a ty goły...

WITOŁD.

Cofasz się, bo się boisz.

WALLENROD.

Zgnieść Witołda?!

WITOŁD.

Téj nocy jeszcze trzeba mu wpaść na kark...

WALLENROD.

Téj nocy jeszcze trzeba zdjąć namioty...

WITOŁD.

Cóż? — do widzenia, Niemcze!..

WALLENROD.

Dobra droga!

(*Witołd odchodzi*).

WALLENROD (*sam*).

Piérwsza ofiara z méj rycerskiéj sławy!
Piérwszy raz miecz się z pochwy nie pokazał krwawy.

SCENA V.

(Sala w Wilnie).

AXENA — NARYMUNT — LITWINI.

AXENA.

Tu zasadzeni stójcie po krużgankach!
Ty, Narymuncie, wleź w komin — siedź cicho. —
Ja sama z sali wywołam Jagiellę,
A potém wejdę tu i na Kiejstuta
Rzucę mój fartuch. Wtenczas wy do mieczów!...
I do więzienia z nim, nie robiąc krzyku! *(wychodzi).*

(*Wchodzą* JAGIEŁŁO — KIEJSTUT — ALF — WAJDELOTA).

JAGIEŁŁO.

Tu, mój kochany stryju, na tém krześle —
To Giedymina stołek — tu siadajcie!

KIEJSTUT.

A gdzie jest dziewka Axena? czy w Wilnie?

JAGIEŁŁO.

W tym samym zamku siostra moja biédna.

KIEJSTUT.

Żałuję szczerze téj krwi... Między nami:
Czy jeszcze dla niéj nie znalazłeś męża?

JAGIEŁŁO.

Nie chce o drugim mężu ona myśleć,
Lecz się z boleścią swoją ożeniła:
Śpi z nią... i gada do niéj... i z nią żyje.

KIEJSTUT.

Więcże mię w zamku źle gotowa przyjąć?

JAGIEŁŁO.

Tak! — może będzie wiele łez i wrzasku.

KIEJSTUT.

Przy sobie nie mam dla niéj podarunku.
Może Biruta się domyśli stara
I co przywiezie. Jak tu w zamku głucho...

(wchodzi LITWIN).

LITWIN.

Krywe Krywejta chce mówić z Jagiełłą.

JAGIEŁŁO.

Niechaj tu wejdzie!

LITWIN.

Nie chce tu wejść stary,
Ale pod zamkiem czeka.

JAGIEŁŁO.

Dumny starzec!
Stryju kochany, bawcie się, aż wrócę. *(wychodzi).*

KIEJSTUT.

Chodź, Wajdeloto... ciężko mi coś bardzo
Na sercu!... Alfie, idź i patrz ku Trokom,
Czy już nie jedzie Biruta z synową...
O czém wesołém mów mi, Wajdeloto:
Mam ciężkie serce... (AXENA *wchodzi).* Ha! otóż Axena.
Witaj mi, córko moja, Olgierdówno!

AXENA.

Witaj, Kiejstucie stryju! — gdzie Wojdyło?

KIEJSTUT.

Sama wiesz lepiéj.

AXENA.

Jam go nie schowała!
Patrz — pod fartuchem moim nie schowałam.
Ty go zabiłeś, stryju... gdzie Wojdyło?

KIEJSTUT.

Chodź, daj mi rękę... i nie wspominajmy.

AXENA.

Gdzie jest Wojdyło, stryju?... Kto co weźmie,
Ten może wrócić. Wziąłeś mego męża,
Teraz cię proszę, wróć mi mego męża,
Albo mi powiédz, gdzie ja znajdę męża?
Może za tobą jest, możeś go schował?
Więc mi go pokaż? — niech mu się rzucę
Na szyję, niech go pocałuję!... Stryju,
Jestże to prawda, żeś go zamordował?
Żeś go niewinnie, srogo zamordował?
Żeś go na górze gdzieś powiesić kazał?
Ktoś mi to mówił, ale ja nie wierzę,
Ażeby w tobie było takie serce!
Wróć mi Wojdyłę, stryju — wróć Wojdyłę!

KIEJSTUT.

Bóg widzi, że go już nie mogę wskrzesić.

AXENA.

Nie możesz wskrzesić? ha! nie możesz wskrzesić?
Więc płaczże, stryju!

KIEJSTUT.

Już mi łzy nie płyną . .

AXENA.

O! płaczesz, płaczesz ty, jak stara baba!
Fartuchem ci łzy będę ocierała,
Ażeby ludzie twych łez nie widzieli,
Bo się przelękną — tych łez krokodyla!
O daj mi oczy!.. niechaj je obetrę...
(Rzuca mu fartuch na głowę).
Do mnie, Litwini! bierzcie tego starca!
Precz do więzienia z nim — precz do więzienia!
Ja sama teraz rozbroję Jagiełłę...
(Litwini wyprowadzają Kiejstuta. JAGIEŁŁO *wraca).*

JAGIEŁŁO.

Siostro, gdzie Kiejstut?

AXENA.

Co?

JAGIEŁŁO.

Gdzie stary Kiejstut?

AXENA.

Tyś go nie widział?

JAGIEŁŁO.

Nie — tum go zostawił.

AXENA.

Więc ja ci powiem, gdzie jest stary Kiejstut:
Stary już Kiejstut w więzieniu.

JAGIEŁŁO.

W więzieniu?
Któż ten haniebny czyn popełnił?

AXENA.

Kto? — ja!

JAGIEŁŁO.

O! więc go odrób teraz, nieszczęśliwa!
O! więc tę plamę ze mnie zmaż haniebną!

AXENA.

O! mimowolny uśmiech zdradził ciebie!
Ty się radujesz w sercu, że bez ciebie
Rzecz się zrobiła... Ja ci oszczędziłam
Kilka bezsennych nocy — ty się cieszysz!...
Ja twą naturę znam...

JAGIEŁŁO.

Siostro, lecz Witołd...

AXENA.

Tu siedzi kolec w tobie... Otóż całe
Twoje sumienie, bracie — strach Witołda!
Witołda trzeba schwycić, nim się dowie
O losach ojca.

JAGIEŁŁO.

Jeśli tak, to każę,
Gdy będzie wracał, pochwycić go w bramie.

AXENA.

Idź! bo ci to da całe wielkie księstwo,
A mnie Kiejstuta krew zgasi pragnienie.
(odchodzą).

SCENA VI.

(Pod Wilnem).

(WALLENROD, *później* ALF).

WALLENROD.

Zdjęte namioty — wojsko wyruszyło,
A ja się na téj górze jeszcze trzymam,
Jak stare drzewo, do ziemi wrośnięte,
Ale umarłe — i patrzę na Wilno...
Ojczyzno moja! gdym ciebie porzucał,
Potrzebowałaś mnie! Ale na ciebie
Bóg spojrzał — i mnie już nie potrzebujesz...
A więc odejdę... i mój żywot zdrady
Skończę, jak stary pies, pod cudzym płotem...
Bądź zdrowa więc, ojczyzno! Raz ostatni
Patrzę na ciebie — i tym znakiem krzyża
Zlewam na ciebie całe szczęście ludzkie,
Które mi kiedyś Bóg przyobiecywał

O wschodzie życia. — Ty, ojcze Kiejstucie,
I synu, biédny sługo, bądźcie zdrowi,
Aż się po śmierci dowiecie, że byłem
Blisko waszego serca, że me imię
Nie było godne tego potępienia,
Które rzucili kiedyś na mnie ludzie...
Bywajcie zdrowi...

(ALF *nadchodzi*).

ALF.

Witołdzie! Witołdzie!

WALLENROD.

Jakiś dziecinny głos...

ALF.

Mój drogi Niemcze,
Prowadź mię prędko do waszego wodza,
Gdzie teraz książę Witołd na umowach;
Witołda szukam.

WALLENROD.

Powrócił do Wilna.

ALF.

Więc rozminąłem się z nim, gdy powracał!
Więc go z Kiejstutem wrzucą do więzienia!

WALLENROD.

Kiejstut w więzieniu?

ALF.

Zdradzono Kiejstuta!
Mojego pana okropnie zdradzono.
Kiedy go brano, oknem wyskoczyłem
I tu przybiegłem, by ostrzéc Witołda,
Że ojciec wzięty...

WALLENROD.

Nie znasz ty pacholę
Giermka, co służy na Kiejstuta dworze?
Nazywa się Alf.

ALF.

To ja.

WALLENROD.

Ty?

ALF.

Ja, Panie!

WALLENROD.

Czy masz ty ojca?

ALF.

Nie, nigdy nie miałem.

WALLENROD.

Nie prawda! Ojciec twój — jest Walter Stadyon.

ALF.

A skądże to wiesz?

WALLENROD.

Czemuś go się zaparł?

ALF.

Bom wolał zaprzéć się, niż mówić prawdę.

WALLENROD.

Dlaczegoż prawdy czystéj nie mówiłeś?

ALF.

Bo to dla ojca lepiéj — ojciec w grobie,
Ojciec mi na tym świecie nie pomoże.

WALLENROD.

Prawda, że ojciec tobie nie pomoże;
Ale jeżeli chcesz, będę ci ojcem.

ALF.

Nie pójdę z tobą, nie chcę być Krzyżakiem!
Wolę — jeżeli zabiją Kiejstuta,
Na stosie spłonąć jako wierny sługa
I ośpiéwanym być przez Wajdeletów.

WALLENROD.

Na stosie spłonąć? *(zbliża się do Alfa).*

ALF.

Ha! chcesz mię uchwycić,
Niemcze, Krzyżaku! lecz ja prędko biegam...
(uchodzi).

WALLENROD.

Zniknął!.. Jestże to sen? Widziałem syna,
A każde jego słowo było mieczem...
Ohydna męka — serce mam rozdarte
Ojciec mój — syn mój — Litwa — wszystko, wszystko
Znowu zapadło w toń... znów jestem zbawcą.
Precz, czarna zbrojo! znów jestem Litwinem!
(*Przychodzi* HALBAN).

HALBAN.

Nieprawda! — jesteś Mistrzem!

WALLENROD.

Co? Szatanie!
Pozwól mi pierwéj, mnichu, być człowiekiem!
Ojciec w więzieniu, syn...

HALBAN.

O kruche serce!
Gdy ci w młodości myśl podałem wielką,
Tyś drżał, chwytając nowe jadło duszy.
Mówiłem wtenczas: — lecz pomyśl, Walterze,
To lat dwadzieścia nędzy! — A ty na to:
Chociażby wieki, krzyknąłeś. — Mówiłem:
Lecz ojciec umrze, lecz syn twój, sierota,
Będzie przeklinał twe ohydne imię.
Niech klnie! krzyczałeś — niech ginie! krzyczałeś...

WALLENROD.

Ja byłem wtenczas młody, a nieszczęście
Miało kobiécą twarz... Dziś — jako jędza
Z rozczochranymi włosami, w łachmanach —
Ciągnie mnie zimną ręką. O Halbanie!
Ta zemsta, którą ja z krzyżactwa biorę,
Nie jest już świętą... Słuchaj! tu jesteśmy
Jak dwaj Rzymianie. Chcesz? to się nawzajem
Tu, na téj górze, przebijemy mieczem,
Aby już skończyć...

HALBAN.

Od dawna już widzę
W twym charakterze jakąś dziwną senność
I zimną rozpacz nudy. Lecz to minie.
Przed godzinami śmierci są pioruny,
Które człowieka budzą i znów czynią
Człowiekiem... Chodź, chodź! jeszcze będziesz młody!
Jeszcze krew zagra w tobie po dawnemu,
Jeszcze raz będziesz Walterem Stadyonem.
Przez jednę tylko noc — ale nim będziesz!

WALLENROD.

Będę, czém byłem? nie! to niepodobna!

HALBAN.

Na uroczysko tam kiedyś pójdziemy,
Gdzieśmy schowali twą litewską zbroję;
Na uroczysko, gdzie konwalia kwitnie,
Gdzie trzy strumienie srebrne leją wodę,
Tam... czy pamiętasz?

WALLENROD.

O! ty jesteś harfą,
Która mię do łez skłania...

HALBAN.

Bądź człowiekiem,
Który pomiędzy Cezarem a dawnym
Leonidasem będzie wspominany,
Gdy Litwa dowie się o twardym Rzymie
I zrówna swoich rycerzy z tamtymi,
Którzy pomarli. — Nie! ty będziesz piérwszy!
Ty piérwszy jesteś zabójcą narodu!
Ty piérwszy jesteś podobny do Boga!
Nie między ludźmi, lecz przeznaczeniami
Będziesz wpisany!

WALLENROD.

Znów mię łowisz, stary,
Jak ćmę — pochodni blaskiem! Rzecz skończona.
Jestem w twéj ręce mieczem — więc zabijaj!

HALBAN.

Do Prus, Walterze, na twoje mistrzowstwo.

AKT TRZECI.

SCENA I.

JAGIEŁŁO.

W ręku więc moim teraz mam Kiejstuta!
Ale go wzięto zdradą, nie orężem...
W ręku więc moim mam teraz Witołda —
Lecz Witołd był mi zawsze przyjacielem.

Cóż więc zyskałem, że go mam dziś jeńcem?
Straciłem serce jego — mam osobę...
Trzeba go trzymać, doglądać — i bać się...
Kiedy go brano, krzyczał: powiédzcie Jagielle,
Że nie dałbym za głowę jego pół szeląga,
A za jego książęcą czapkę — kuniéj skóry,
A za jego sumienie — jednego Bóg zapłać!...
O! prawda, że nie warto dzisiaj człowiekowi
Kupować choćby za nic mojego sumienia! —
Więc czemuż nie naprawię zła, które zrobiłem?
Ha!... bo widzę, że można wyciągać korzyści
Z rzeczy już raz zrobionéj. Straciłem na sławie,
Lecz mi to Kiejstut ziemią zapłaci litewską;
A gdy będę miał więcéj ziemi, to zasieję
Więcéj sławy — i więcéj zbiorę, niźli miałem...
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . [1])

[1]) Tu się wątek tego dramatu urywa. — Znalazłem w papiérach Słowackiego inny fragment pozostały z sztuki mającéj także Wallenroda za bohatera, który jednak nosi tu imię Waltera Stadyona. Widocznie wzięto tu za przedmiot jakąś chwilę rychlejszą z jego życia. Było to zupełnie inne opracowanie, jak to okazuje wiersz rymowany. Dołączam i ten drugi fragment do powyższego.
(Przyp. Wyd.).

WALTER STADYON

(FRAGMENT).

WALTER — *jego* MATKA — HALBAN. *Rzecz dzieje się na Litwie.*

MATKA.

Nadęty, niby Bogiem zachłyśniony,
Zawracający oczy tak, że świéca
Białka i powiek obrąbek czerwony
Tasiemką ognia — pod mózgiem... Walterze!
Jam go tą duszą, tą duszą kobiécą
Na wskróś jak nożem przebiła. Nie wierzę
W czystość człowieka tego, ni w pokorę.

WALTER.

Cóż, matko? Z sobą w tłómoczku zabiorę
Twe podejrzenia, a jak czas pozwoli,
To je odczytam.

MATKA.

O! jak serce boli,
Gdy się otworzy przed człowiekiem, jako
Przed Bogiem, a on... ot weźmie garść piasku
I sypnie w usta krwawe!

WALTER.

Lasy w brzasku...
Muszę odjeżdżać!

MATKA.

Pamiętaj wszelako,
Że ja zostałam tu biédna i sama,
Ja, twoja matka, część twojego ciała...
Matka — pamiętaj o tém, bo to cała
Moja nadzieja — ty...

WALTER.

Jest w Litwie krama,
Gdzie takich synów, jak ja, kupić można.

MATKA.

Gdzie?

WALTER.

Na cmentarzu.

MATKA.

Ha!

WALTER.

Pocałuj w czoło
I puść mnie z Bogiem!

MATKA.

O mowo bezbożna,
Co mię zabijasz! Ach! jakie ty zioło
Pełne trucizny włożył w usta? Ach ty
Chłopcze okropny! z pod żebraczéj płachty
Pokażę ci tę pierś, co tobie dała
Mléka a teraz da krwi.... O dziecino!
Patrz na mnie — do nóg padam — łzy mi płyną!
Jam kiedyś nóżki twoje całowała,
Te nóżki... o! te nóżki... o te! o te!
Gdzież ty je teraz powleczesz odemnie?
Powiédz, daleko pójdziesz? aż na złote
Gwiazdy? Co? prawda? Ty gdzieś, o! Walterze,
Idziesz po czarną śmierć!... O! mów mi szczérze,
O! mów!... Jeżeli na śmierć: to ja stara,
Ja pójdę z tobą...

WALTER *(do Halbana)*.

Halbanie...

MATKA.

Ta mara
Niech się nie zbliża! ten człek niech tam stoi!
Niech się nie zbliża!... Ach, któż uspokoi
Serce matczyne, jeśli syn nie może?
Ja ciebie puszczę — puszczę — puszczę. Boże!
Ty byłeś zawsze dla mnie dobroczyńcą!
Idź z Bogiem — ja ci błogosławię. *(odchodzi)*.

HALBAN.

Walter
We łzach..

WALTER.

O we łzach! we łzach!... Słuchaj, jeszcze
Gałązka sucha tam w lesie szeleszcze!
Słyszysz? to szelest mojéj matki kroku,
Ostatni tu raz na ziemi słyszany...
Cyt! już nie słychać!.. O! — Czy zakopany
Hełm mój i tarcza?

HALBAN.

Tam w lesie, przy stoku
Pod konwaliami.

WALTER.

O! jak rzeczy świata
Ckliwe są, kiedy po smutkach przychodzą
Trudzić człowieka!

HALBAN.

Idźmy!

WALTER.

Dusza lata,
A człowiek chodzi... Idźmy! Niech tu rodzą
Matki szczęśliwszych synów!

HALBAN.

Dość żałości!
Twego smutku świat cały kiedyś pozazdrości.

SCENA....[1])

Ci mi powiadasz? Walter Stadyon?
— Pani
Ten pierścień kazał złożyć w pożegnaniu,
Na którym, jako widzisz, ten wąż rani
Swe własne serce.
— Jestem na kazaniu
Niemieckiém! Jakto? wyjechał i kazał
Ten pierścień złożyć? Ha! i cóż? nic więcéj?
— Jam się z jéj serca, rzekł, teraz wymazał,
Jestem niegodzien jéj i najgoręcéj
Proszę, ażeby o mnie zapomniała.
— Ha! i nic więcéj?
— Jeżelibyś miała
Jaką odpowiedź, mówił — poślij słowa

[1]) Słowacki nie wyraził imienia osób, które ten dyalog z sobą prowadzą. *(Przyp. Wyd.).*

Na miesiąc blady, lub na słońce złote;
Bo on za tarcze te się obie chowa
Przed okiem ludzi.
— Pleciesz!
— Co ja plotę,
To jest jedwabiem jego ust.
— Szatanie!
— Więc ty mi gwiazdą szatańską, czerwoną!
— Wiesz ty? ja byłam jego...., żoną!
On mię na swoje tak miał zawołanie,
Jak psa! Jam w lesie za nim tak wietrzyła,
Jak pies. Ja teraz za nim biéc gotowa,
Jak pies! O słowa! słowa, słowa, słowa!
Idź — bo na cały zamek będę wyła,
Na mury będę skakała, żwir jadła!
Jak letargnica pogryzę grobowa
Paznokcie, ręce... Słowa! słowa! słowa!
Ach! gdybym teraz gdzie noża dopadła
I mogła... mogła — ach!.. w serce bękarta
Choćby przez miesiąc blady — tak...
— Rumianku!
— Co?
— Jesteś chora...
— Chora? idź do czarta!
Ja jestem wściekła!
— Boję się, że z ganku
Skoczysz w jezioro.
— Nie bój się, nie skoczę.
— Myślałam, że masz taki zamiar —
— Co? ja?
— Prosiłaś o nóż.
— Daj!
— Utniesz warkocze,
Jak Artemizya.
— Myślisz?
— Pani moja,
Myślę, że sobie utniesz złote włosy
I czarnych oczu światła się pozbawisz...
— Tym nożem język ci utnę!
— Pokrwawisz
Białe rączęta!..

— Jesteś, jak połosy
Skrzydlate, z ogniem w oczach, wyprężone.
Gotówes skoczyć na mnie.
— Wolę wkraść się.
— Ach! ty lokaju! ty psie! chciałbyś paść się
Resztkami stołu...
— Twe niedogryzione
Kosteczki, usta twoje koralowe...
— Stu piorunami spadnę ci na głowę,
Jeżeli zacznę kochać, będąc wściekłą.
— Zgadzam się.
Będziesz miał na ziemi piekło!

. . . . . .
. . . . . .

JAN KAŹMIERZ.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

. . . . . .
. . . . . .

MARYA LUDWIKA.

Mademoiselle Kalinowski, donnez moi la leçon du polonais — chce uczyć po polski.

KALINOWSKA.

Ne prolongez pas ainsi le s k i!

MARYA.

Po poolski...

KALINOWSKA.

Tak, Najjaśniejsza Pani.

MARYA.

Tak, nannniejsza pani...

KALINOWSKA.

Dobrze!

MARYA.

Dobrzé. [1])

SCENA II.

(Kwatera pana Harmidera — w Warszawie).

Pan HARMIDER — *Luzak* SKÓRKA — SZEWCZYCHA.

HARMIDER.

Skórka!

SKÓRKA.

Co, Wielmożny Panie?

HARMIDER.

Idź, wykup moję szablę Batorówkę od żyda Jankiela; masz dwa tynfy. Do krocset furdamentów! wykup szablę i obetnij żydowi uszy — w procencie!

---

[1]) Cała ta rozmowa przekreślona w rękopisie. *(Przyp. Wyd).*

SKÓRKA.

Dobrze, Panie. *(wychodzi).*

HARMIDER.

Do krocset furdamentów! świat cały będzie czerwonego koloru, jak jajko wielkanocne... brr! brr!... wojna. — Pani Szewczycha! (*Wchodzi* SZEWCZYCHA). Pani Szewczycha, cóż Wacpani jak kometa nie umyta? Do krocset furdamentów! wyjeżdżam na wojnę, Pani Szewczycha; zróbmy rachunek, Pani Szewczycha!

SZEWCZYCHA.

Niechaj się Jegomość policzy, co winien.

HARMIDER.

Do krocset furdamentów! policzywszy się z sumieniem, to ja nic nie winien, Pani Szewczycha.

SZEWCZYCHA.

Nic Jegomość nie winien? Mocny Boże!

HARMIDER.

Acani mi winna felicitas... bff! do krocset furdamentów! jakem Litwin! Policz się Wacpani z sumieniem, czy Wacpani mi nic nie winna?

SZEWCZYCHA.

Mocny Boże!

HARMIDER.

Wacpani jesteś wdową, a ja mam serce: — sunt consequentiae. — A wiele ja winien Wacpani?

SZEWCZYCHA.

Dwa tynfy i pół na Zielone Świątki; a potém trzy tynfy dałam Jegomości w Kwietnią Niedzielę; a przez luzaka Skórkę posłałam, kiedy Jegomość siedział in fundo za obcięcie nosa burmistrzowi w Klecku...

HARMIDER.

Do krocset furdamentów! Wacpani rachujesz się jak żydówka; gdybym był wiedział, nie przyjmowałbym żadnych łask — timeo Danaos — od Wacpani. Ja to wszystko oddam, bo honor czuję w obrażeniu, ale jak oddam, to, Pani Szewczycho, zakwitowanie in aeternum... do krocset! nie obaczysz mnie więcéj. — Nieboszczyk Acani mąż miał czerwone oczy jak królik, a ciało jak szczypce — i był szewcem: — ja mam w Litwie dobra i wotuję na sejmikach w Nowogródku, a siostra moja jest za panem Kolibajło ze Żmudzi. Ale że się Wacpani upominasz, to oddam

jéj co do szeląga. Dzięki Bogu, mam w pasie sto czerwonych złotych w gotówce, tylko mi się nie chce wypuszczać brzucha na wolność; ale jak się będę rozbiérał, to oddam Wacpani do krocset furdamentów! spleśniałe tynfy, a kwitem Wacpani utrę sobie nosa — i basta! Ale kiedy na Rusi obetnę uszy Chmielnickiemu, to zauszniczki daruję Najświętszéj Pannie Częstochowskiéj, a uszy przyślę Wacpani na bigos... Do krocset furdamentów! nie spodziewaj się więcéj o mnie usłyszeć — aż na ostatecznym sądzie, stojąc na lewicy za nieczułe serce twoje, Pani Szewczycho!...

SZEWCZYCHA.

Dlaczego mnie Wacpan smucisz, panie Harmider? dlaczego mnie Wacpan smucisz? — Ja się o moję należność nie upominała.

HARMIDER.

Ale sumienie moje, mościa Szewczycho, upomina się, a Wacpani temu winna jesteś. Cóż? dlatego, że Wacpani miałaś pieniądze, to ja miałem nie jeść i nie pić?!

SZEWCZYCHA.

I dobrze Jegomość robił.

HARMIDER.

Addio, Pani Szewczycho, chowaj moje skrypty, a jeśli ja zginę, to dyabeł sam przyśle swego plenipotenta z pieniędzmi i zapłaci Wacpani z mego majątku — bom człowiek honorowy: duszę przedam, a zapłacę, com winien, albo pojmę Acanią za małżonkę przed świętym ołtarzem. Do krocset furdamentów! honor — to nie woda! Pani Szewczycho, znasz mię?

SZEWCZYCHA.

Ja?

HARMIDER.

Znasz mię czy nie? — znasz mię?

SZEWCZYCHA.

Znam, jak złego szeląga.

HARMIDER.

I ja Wacpanią znam, żeś kobiéta stateczna; ufaj Acani memu sercu, że cię nie opuszczę.

(*Wchodzi* SKÓRKA).

SKÓRKA.

Oto jest szabla, Wielmożny Panie.

HARMIDER.

A tynfy?

SKÓRKA.

Oddałem żydowi.

HARMIDER.

Bogdajbyś dyabła zjadł! — trzeba było znów od niego pożyczyć, zyskawszy kredyt. Goły jestem jak święty turecki — poratuj mnie, Pani Szewczycho, bo jestem goły.

SZEWCZYCHA.

A mówiłeś Jegomość, że masz w pasie dukaty.

HARMIDER.

Musiałem szablę wykupić, Pani Szewczycho; niech powie Skórka — dałem pięćdziesiąt czatych, żeby szablę wykupić... *(słychać strzały działowe).* Co to? strzelają z dział?

(*Wpada otyła* RZEŹNICZKA).

RZEŹNICZKA.

Gwałtu! harmider na ulicach! pali się! uf! uf! uf! koniec świata!...

HARMIDER.

Skórka, przypasz mi szablę, bo pod brzuchem nie widzę. Cóż to za hałas, pani Otylska, co za hałas?

RZEŹNICZKA.

Biją się, Wielmożny Panie, na ulicach. — Pani Podkanclerzyna z bratem swoim, panem Służką, napada na dom pana Podkanclerzego, swojego małżonka!

HARMIDER.

Widzisz, Pani Szewczycho, co to jest żenić się z kobiétą? Napada dom swojego małżonka! Do krocset furdamentów! gdybym miał z sobą sto takich, jak ja, w kawalerskim stanie będących! Trzeba dopomóc panu Podkanclerzemu: Skórka, weź berdysz i za mną!

SZEWCZYCHA.

Nie lazłbyś Jegomość w ogień niepotrzebnie.

HARMIDER.

Ja zawsze w ogniu, mościa Szewczycho! ogień, to mój żywioł serdeczny! — Skórka, za mną!

SZEWCZYCHA.

A wyjdźmy i my, pani Otylska, zobaczyć, co się dzieje... *(wychodzą).*

SCENA III.

(Przed domem Radziejowskich).

RADZIEJOWSKI PODKANCLERZY *wewnątrz domu.* SŁUŻKA *przed bramą.*

SŁUŻKA.

Hej! hej! wysadzić petardą tę bramę!...
Czekajcie! w oknie stoi Podkanclerzy.

PODKANCLERZY.

Stój, panie Służka, stój! — kapituluję.

SŁUŻKA.

Ustępuj z domu mojéj siostry! fora!

PODKANCLERZY.

Jeżeli wyjdę, czy zapewniasz życie?

SŁUŻKA.

Żyj sobie, panie Radziejowski, ale
Oddaj mi pałac — bo cię każę spalić!
Usmażę jako naleśnika, szwagrze,
Zamiast po rozwód posyłać do Rzymu.

PODKANCLERZY.

Siostra Wacpana splamiła mi łoże.

SŁUŻKA.

Boś Wacpan w niém spać nie umiał po ludzku.

PODKANCLERZY.

Oszkalowała mnie przed konsystorzem.

SŁUŻKA.

Boś ją przymusił Wacpan do rozwodu
Srogiém obejściem się, podejrzeniami
I niepełnieniem marytalnych ślubów.

PODKANCLERZY.

Miałem pokrywać hańbę mego domu
I być mojego wstydu parawanem?

SŁUŻKA.

Czynisz to, nie chcąc przyzwolić na rozwód,
Abyś z rozwódką nie stracił posagu.

PODKANCLERZY.

Na świadka biorę Ciebie, wielki Boże,
Żem dotąd na te gwałty nie zasłużył!

Ale ponieważ wstyd mój odsłoniono
Przed całym światem i użyto siły,
Aby mię wyzuć ze czci i z majątku:
Ustąpię teraz przemocy — bom słabszy,
Ale użyję odwetu w swéj porze.
Bierz, panie Służka, dom — ale niedługo
Utrzymasz się w nim; taki znajdę i ja
Przyjaciół, którzy mścić się dopomogą
Nad żoną i nad szwagrem i nad moim
Cudzołożnikiem!

SŁUŻKA.

Bierzmy to, co nasze!
Mości Panowie! proszę na wieczerzę
W tymto pałacu naszym — i zdobytym.

SCENA IV.

(W zamku królewskim).

KRÓL JAN KAŹMIERZ — PAŻ.

KRÓL.

Co to za zgiełki i burdy w Warszawie?

PAŻ.

Podkanclerzyna, Miłościwy Panie,
Radziejowskiego żona, ze swym bratem
Służką napadła dom własnego męża
I zajechała gwałtem i bezprawnie.

KRÓL.

Nie w porę, o! nie w porę się wybrała
Z takimi gwałty pani Radziejowska!
Lecz otóż ona sama tu przybywa.

(Wchodzi PODKANCLERZYNA).

PODKANCLERZYNA.

Mąż mię tu ściga, Miłościwy Panie,
Mąż mój, furyozus, za napaść pałacu.
Panie, opiekę mi daj i obronę!

KRÓL.

Wacpani sama zebrałaś tę chmurę,
Która ci teraz w oczy sypie gradem.

PODKANCLERZYNA.

Król-że to mówi? do swojéj Elżbiéty?

KRÓL.

Król rozgniéwany mówi, Mościa Pani,
Ale masz w sercu mojém adwokatem
Jana Kaźmierza, który zawsze sprzyja
I broni ciebie przeciwko królowi.

PODKANCLERZYNA.

Więc ten adwokat jest szlachetnym królem,
Z którym ty, Królu, wiąż się aliansem
I słuchaj rady jego bez oporu...
Lecz otóż i mój mąż furyozus wpada.

(*Wchodzi* RADZIEJOWSKI).

RADZIEJOWSKI.

Skarżę się tobie, Miłościwy Panie;
Wyrugowano mię z mojego domu —
Okryto hańbą; — wszystkimi obelgi,
Jakie ród ludzki wymyślił na siebie,
Okryła mię ta nierządna kobiéta,
Którą tu widzę z takiém obrzydzeniem,
Jakbym przy stopach króla widział węża
Już się pnącego aż na berło złote!
Królu! jam niegdyś szczycił się i chlubił
Życzliwém twojém opiekuństwem — łaską;
Byłem ci miłym od młodości: teraz
Widzę, że oczy odwracasz odemnie. —
Czyliż obelgi żeńskie okryły mię
Przerażającym, obrzydliwym trądem,
Na który ty sam nie chcesz patrzeć, Panie!? *(klęka)*
Jeżeli to trąd — a więc w rękach króla
Oczyszczające jest lekarstwo dla mnie: —
A więc się dotknij mnie i podnieś z kolan
I niechaj widzą ludzie, że nie jestem
Czołgaczem próżnym u stóp mego Pana; —
A ona, gdy ja klęczę, niech nie stoi!

PODKANCLERZYNA.

Kto stać nie może, ten niechaj uklęka.

RADZIEJOWSKI.

Wacpani prośby swe zanosisz leżąc.

PODKANCLERZYNA.

A Wacpan moich próśb słuchiwasz chrapiąc.

RADZIEJOWSKI.

Szalbierko!

KRÓL.

Ciszéj, Mości Podkanclerzy!
Hamuj się nieco w mojéj przytomności.

RADZIEJOWSKI.

Powróć mi Panie dom, i tę kobiétę
Oddaj pod moję marytalną władzę.

KRÓL.

Jakiż ci, proszę, przybędzie pożytek
Z niechętnéj żony, Panie Podkanclerzy?

PODKANCLERZYNA.

Jaki pożytek z żony — niechaj powie.

RADZIEJOWSKI.

Kobiéto pełna żółci, ty masz w sobie
Gniazdo octowe, które wszystko kwasi
I czyni octem. Odwróć te szydzące
Oczy, bo stracę rozum i cierpliwość!

PODKANCLERZYNA.

Cokolwiek stracisz — wiédz, mój adonisie,
Że mnie straciłeś już na wieki wieków;
Chowaj więc rozum, Mości Radziejowski,
Aby ci żoną był i nie szedł, jak ja,
O rozwód. Co zaś do mnie, Mości Królu,
Na konsystencyi zostaję u ciebie
I w zamku będę mieszkała — aż póki
Ten człowiek sobie nie wybije z głowy,
Że Orfeuszem jest i Eurydyki
Dostanie z piekła, grywając na drumli.
U Prozerpiny jestem dla Wacpana —
Ani myśl o mnie, Panie Podkanclerzy. *(wychodzi)*

RADZIEJOWSKI.

Będziesz-li, Panie, cierpiał nierządnicę
W pałacu własnym?

KRÓL.

Mości Podkanclerzy,
Muszę Wacpanu powiedzieć otwarcie,

Że tak zaszedłeś daleko w rozterkach
Z swoją małżonką i takeś rozszerzył
Przepaść pomiędzy sobą a tą panią: —
Że teraz nawet ja sam, król, nie mogę
Sperandy żadnéj dać Wacpanu; chyba
Czas ułagodzi to wszystko — atoli
Co do mnie, chciałbym między wami zgody.
Sam Radziejowską nieraz namawiałem,
Sam za Wacpana mówiłem osobą,
Królowa także się wdawała sama —
Lecz w téj kobiécie upor trwa zacięcie. —
Pocoś ją Wacpan wziął za żonę? — nie wiem,
Ani pojmuję, pocoś brał za żonę.
A wziąwszy, trzeba było trzymać krótko.
Stało się — teraz już nie widzę rady;
Lecz Wacpan żony téj odstąpić musisz.

RADZIEJOWSKI.

Komu?

KRÓL.

Kochany Podkanclerzy, śmiech mię
Bierze: — za dobry jesteś dla niéj. Co zaś, —
Że tobie pałac wzięto: to nagrodzić
Łatwo; myślałem o tém nieraz. — Słuchaj:
Gdyby Wacpanu starostwo lubelskie
I kasztelania — naprzykład krakowska,
Obiedwie teraz wakujące — mogły
Załatać dziurę i poprawić losu...
Co myślisz?

RADZIEJOWSKI.

Z tego nic nie będzie, Królu!
Zawielkie dary rodzą podejrzenia!
Nie zasypiesz mię tak po głowę złotem,
Aby nie widział świat, że noszę rogi!
Z jelenia chcesz mię zmienić w kasztelana!
Ja kasztelana nie chcę, a rogalem
Nie będę — a mój dom odbiorę gwałtem! *(wychodzi).*

KRÓL.

O! trudne, trudne panowanie, kiedy
Żądze się własne plączą między sprawy
I sprawiedliwość w samym pączku trują,

Jak złe robaki, piérwéj urodzone,
Nim się zawiązał kwiat — Szczęście, że wojna
Da myślom inny kierunek — i od téj
Sprawy odwróci ludzkie słuszne sądy. *(wychodzi)*.

SCENA V.

(Ulica).

Pan HARMIDER — SKÓRKA.

HARMIDER.

Skórka!

SKÓRKA.

Słucham, Panie!

HARMIDER.

Skórka! dowiédz się u przekupki, którą się to bramą wyjeżdża na Ukrainę — bo ja nie wiem.

SKÓRKA.

Oto jakiś szlachcic otyły, który także, jak widać, wyjeżdża na wojnę, jak my: ten powie Panu, gdzie Ukraina.

(Nadchodzi pan BULSKI).

HARMIDER.

Mości wojaku! jak honor?

BULSKI.

Pan Bulski, do usług.

HARMIDER.

Pan Harmider, wzajemnie.

BULSKI.

Uniżam się do nóg.

HARMIDER.

Całuję stopy Pana Dobrodzieja... do stu furdamentów, jaki brzuch!

BULSKI.

Czy szkodzi?

HARMIDER.

Raduje, Mości Dobrodzieju; dobra tusza, to grunt.

BULSKI.

A jednak jabym się opasał Acana wąsami, widzi mi się.

HARMIDER.

Utnij, Panie Bulski!

BULSKI.

Wacpan szukasz zaczepki, widzi mi się.

HARMIDER.

Jak się podoba, Panie Bulski!

BULSKI.

Nie od tego... *(biją się).*

HARMIDER.

Zasapałeś się, Panie Bulski; pocałujmy się!

BULSKI.

Proszę o przyjaźń, Panie Harmider.

(ściskają się).

HARMIDER.

Do krocset furdamentów! aż do ciemnego grobu, Panie Bulski. — Kto Wacpana rodzi?

BULSKI.

Stolnikówna rawska, widzi mi się.

HARMIDER.

Bardzom rad. — Skórka!

SKÓRKA.

Słucham, Panie!

HARMIDER.

Pobież do kwatery: niech pani Szewczycha przygotuje wieczerzę — zyskałem przyjaciela. Wróćmy się, Panie Bulski, po pojedynku trzeba odpocząć.

BULSKI.

Regiment w marszu, Panie Harmider!

HARMIDER.

Dopędzimy go, Panie Bulski! — poczeka!

(wychodzą).

SCENA VI.

(W Zbarażu).

(FIRLEJ — KONIECPOLSKI).

FIRLEJ.

Cóż dumasz, Panie Koniecpolski? — pono
Zégar, co bije w zbaraskim kościołku,
Wkrótce zadzwoni ostatnią godzinę
Dla nas, przez króla tutaj zapomnianych.

KONIECPOLSKI.

Czegoż czekamy, Mości Kasztelanie
Belski, Firleju, za tymi okopy —
Aż głód wyniszczy, aż trupów fetory,
Które tu strasznym swędem zalatują,
Wyniszczą wojsko, poddać się przymuszą? —
Już dwa miesiące trzymamy się tęgo,
Dwadzieścia szturmów odparliśmy raźnie!
Nie jest to obóz — ale zarażona
Mogiła, która zastępuje drogę
Krwawym kozakom: konie ich nie śmieją
Przeskoczyć przez wał trupi i na Polskę
Lecieć galopem. — Biada narodowi,
Który pozwala tak rycerzom ginąć!

(Wchodzi KSIĄŻĘ WIŚNIOWIECKI).

KS. WIŚNIOWIECKI.

Cóż, jak wam zdrowie służy, moje Pany?
Cóż, czy podoba się wam Ukraina?
Firlej — to człowiek; lecz ty, Mości Panie
Regimentarzu, w bakaliach chowany,
Musisz za matką tęsknić? — coś mi smutny!
Czy zachorował wam kucharz francuski?
Czy dał w pasztecie wam kozackie uszy
Frykasowane, czy łopatkę końską
Niedopieczoną? — Zamknąłem się z wami,
Chociaż nie hetman, ani regimentarz —
Zrobiono ze mnie ciurę; — lecz myślałem,
Że się na waszym stole odjém suto,
Dlatego się tu zamknąłem w Zbarażu.
Pfu! ani jadła — ni konsyderacyi.

KONIECPOLSKI.

Jestże to zbawca nasz, Jeremiasz książę,
Który nas ręką żelazną obrania,
A potém szydzi — i tak sobie płaci
Za pomoc swoję, jakby nigdy nie znał,
Na czém zależy rycerza szlachetność?

KS. WIŚNIOWIECKI.

Ja nie szlachetny jestem, ale głupi,
Żem się tak zamknął z wami, jak szczur stary;

Mogliście sobie wszyscy i bezemnie
Odwiedzić Stambuł. — Hej, który z Kozaków!

KOZAK.

Co Książę każe? szczo batiuszka każe?

KS. WIŚNIOWIECKI.

Zapalić ten dom żyda, bo mi ciemno!

FIRLEJ.

Żartujesz, Książę — w tym domu są prochy.

KS. WIŚNIOWIECKI.

Staruszku, słuchaj! powąchaj się tylko:
Już pachniesz trupem — i ja — i ten młokos...
Jak ci nazwisko? — bo pamiętam tylko,
Żeś regimentarz jest — z mlekiem pod brodą.
A gdzieś ty podział twoich towarzyszy,
Pierzynę i Łacinę? — Co się tyczy
Prochów: wysadźmy się w drogę, Panowie,
Aż do Najświętszéj gdzieś Maryi Panny
W gości! Bo niech mię dyabli, jeśli jutro
Kozacy z nas nie zrobią jajecznicy!

KOZAK.

Od Chmielnickiego przybył trębacz i chłop.

KS. WIŚNIOWIECKI.

Do nich się udaj, do Regimentarzy;
Ja tu się liczę między proste ciury.

FIRLEJ.

Wprowadzić tutaj kozackiego posła!

(Wchodzi POSEŁ).

POSEŁ.

Zdrowie, Panowie szlachta!

FIRLEJ.

Z czém przybywasz?

POSEŁ.

Pany Hetmany! Chmielnicki przysyła,
Ażebyście się wnet poddali wszyscy
Na łaskę jego. Wolność wam przyrzeka,
Cało wypuści was z obozem waszym;
Jednego tylko księcia Jeremiasza
Wiśniowieckiego zatrzyma w niewoli,

Aby za naszę krew kozacką — gwałty —
Tortury — pastwy — odpowiadał głową.

FIRLEJ.

Na taką mowę nie ma odpowiedzi...

KONIECPOLSKI.

Owszem, odpowiedź jest: weźcie kozaka
I głową jego nabijcie harmatę!

POSEŁ.

Za moję głowę Chmielnicki odeśle
Wam tysiąc szlachty czerepów wąsatych,
Tak że was nasza artylerya skropi
Deszczem z krwi waszych bratów i obryzga!

FIRLEJ.

Powiédz tam panu Chmielnickiemu od nas,
Że propozycya jego Firlejowi
Włos poczerniła siwy — krew zażegła
Ogniem młodości! — Niech przysyła więcéj
Odmładniających takich kosmetyków,
A nawet trupy nasze wstaną z grobów
I oburzone za broń chwycą rdzawą!
Jeremijasza chcecie? co? — Dlaczegoż
Nie zażądaliście z każdego serca
Po funcie mięsa? — z każdéj naszéj żyły
Po kwarcie żywéj krwi? — z każdego oka
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

ZŁOTA CZASZKA.

(SZCZĄTEK DRAMATU).

OSOBY.

Pan Koniecpolski, alias Gwint.
Złota Czaszka, strażnik krzemieniecki.
Pani Strażnikowa, jego żona.
Panna Agnieszka, jego córka.
Pan Gąska, regent.
Pan Milowicz, szlachcic [1]).
Ksiądz Prowicyał franciszkański.
Inny Ksiądz.
Zakrystyan.
Jankiel, Żyd arendarz.
Stanisław, skrybent.
Jan, Kleofas, Szaweł } studenci od Jezuitów.
Magda, dziewka.
Skopek, kaleka.

Rzecz dzieje się w Krzemieńcu — za panowania Jana Kaźmierza.

---

[1]) W piérwszem wydaniu wydrukowano Milewicz; mowa tu jednak o Sewerynie Milowiczu,| którego| potomek do dzisiaj jest właścicielem Dymitrówki. Ob. Scenę IV. *(Przyp. Wyd.).*

AKT PIÉRWSZY.

SCENA I.

(Stancyjka Stanisława).

STANISŁAW, JAN, *później* GĄSKA.

STANISŁAW.

Cóż tam, Panie Janie? źle słychać. Podobno, że pan Strażnik krzemieniecki Złota Czaszka wydaje córkę swoję, pannę Agnieszkę, za pana Regenta Gąskę... A cóż będzie z Wacpanem?

JAN.

Będzie, co Bóg zechce.

STANISŁAW.

Zdaje mi się, że trzebaby złemu zapobiéc.

JAN.

A jakim sposobem?

STANISŁAW.

Pana Gąskę od małżeństwa odstraszyć! Słuchaj ja ćwik! Masz mnie; jeżeli chcesz, to usłużę. Oto naprzód — patrz: wykleiłem sobie wertep z papiéru i będę chodził po domach, pokazując dyabła i anioła. To mi przyniesie kilka groszy — i będzie czém Boże Narodzenie pokropić. A Wacpana podobno z domu Strażnika wypędzono? — Otóż pomaluj sobie korkiem brwi, naucz się kolędy — a ja Wacpanu wejście do domu pana Strażnika ułatwię; pomówisz z panną Agnieszką w ciemnym kącie — a ja dziatwie i starym będę pokazywał dyabła w wertepie.

JAN.

Cóż ja jéj powiem? — ja jestem ubogi...
Pan Regent jasnych atłasów naniesie,

Przyjedzie końmi karymi w kolesie —
Opowie, jakie ma pod domem stogi,
Jakie baranów, owiec pełne góry;
Jak te barany jutro w Berdyczowie
Przemieni w pereł kałakuckich sznury
I ją ubierze — że jak aniołowie
Będzie świéciła między siostry swymi,
Okryta blaskiem i gwiazdy złotymi!
A ja — co powiem? ja, student, żak szkolny,
Co ja przyniosę?... Czy bławatek polny?
Czy narcys biały? — Tu cały fundament
Urząd — podkówki srebrne — axamity;
Potrzeba czasem wyprawić traktament,
Potrzeba miejskie plotkarki, kobiéty
Przynęcić i mieć wszystkie po za sobą;
A wiesz, że moja biédna matka wdowa — —
Jedna jest tylko u nas w domu krowa,
I ta nie daje mléka! a ozdobą
Domu naszego jest — bocian na dachu
Zamiast blaszanéj z herbem chorągiewki!
U matki mojéj przędą biédne dziewki —
Ona przedaje płótno... Tak, mój Stachu,
Być mi żołnierzem, nie Strażnika zięciem!

STANISŁAW.

Wiem, że nie jesteś hrabią ani księciem,
Ale pan Strażnik także nie majestat.
Wacpan się tylko strój — niech panna kocha...
Lecz ot — ktoś wchodzi. — (*Wchodzi* GĄSKA).
Co widzę? Pan Gąska!

GĄSKA.

Czy tu mieszka pan Stanisław, skrybent?

STANISŁAW.

Ja jestem; do usług WPana.

GĄSKA.

Hum... czy Wacpan komponujesz wiersze?

STANISŁAW.

Komponuję; co WPan rozkaże?

GĄSKA.

Radbym mieć wierszem ułożoną kolędę... amoroso... w sposobie miłosnym... dla jednéj panny, dla któréj mam affekt i postanowienie...

JAN.

Dla Agnieszki?

GĄSKA.

Skomponuj mi Wacpan i napisz na najpiękniejszym papiérze; rozumiesz? — Na wierzchu mają być kaligraficznie wydane dwa serca, jednemu uległe postrzałowi; strzała srebrna, Mocium panie, przeszywająca na wylot; — pod spodem miejsce na podpis... i jakie łacińskie symptoma.

STANISŁAW.

Rozumiem, WPanie.

GĄSKA.

Co za to będzie należało — zapłacę. A proszę, aby dobrze było rezonowane i assumpt z wysoka; masz zadatek! *(wychodzi).*

STANISŁAW.

Dukata rzucił! — Niech go dyabli — dukata rzucił! — Wiesz ty co?... że... panna Agnieszka... e... e... e... dukata rzucił!... Idź na żołnierza... idź na żołnierza! — Tu nie ma co robić gołemu człowiekowi, gołemu jak bizunus. Niech go dyabli, jak płaci!

(śpiéwa).

Póki nie obrośniesz piérzem,
Póki masz pchły za kołnierzem,
Requiescas!

Uf! to jakiś studukatowy szlachcic! — Chodź na wino do Jankiela! *(śpiéwa).*

Póki nić ustrzyże Parka,
Żydóweczka nam szynkarka
Léj, léj, léj!
Adonisie, z miłości się
Śmiéj, śmiéj, śmiéj!
Chodź do Jankiela na wino!

JAN.

Lecz co będzie z moją miłością?

STANISŁAW.

Co? — Czy ja wiém, co będzie z twoją miłością? — Zatknij kwiat do czapki, ubierz się fantastycznie — i złap sobie jaką ciepłą wdowę, co ma pieniążki... *(wychodzą).*

SCENA II.

(Szynk w zajezdnym domu).

Pan KONIECPOLSKI — JANKIEL, szynkarz.

JANKIEL.

Nu — a co tam słychać w Krakowie?

KONIECPOLSKI.

Źle, Żydzie, słychać: Szwedy w Krakowie — a Kozaki na Podolu — a jeszcze i Rakocy ciągnie. Król Jan Kazimierz nie ma piędzi ziemi w Polsce.

JANKIEL.

Nu — tak cóż on zrobi? a gdzie on?

KONIECPOLSKI.

W górach karpackich siedzi.

JANKIEL.

A co będzie, jak z gór wypędzą?

KONIECPOLSKI.

To pójdzie za góry.

JANKIEL.

A co będzie, jak za góry za nim pójdą?

KONIECPOLSKI.

Gałganie żydzie, co ty mi pędzasz króla jak Hamana? Zrobimy tu konfederacyą i wypędzimy Szwedów!

JANKIEL.

Ja nie przeczę.

KONIECPOLSKI.

Któż tu ma największe między szlachtą znaczenie?

JANKIEL.

Tak tu różnych jest panów; ale najbojowszy pan, to pan Strażnik, co dostał złotéj czaszki.

KONIECPOLSKI.

Wytłómacz się, żydzie!

JANKIEL.

Tak to nie wielki pan, ale kochany bardzo i między swymi i między nas żydków. Tak to pan, co miał stłuczony łeb, a sprawił sobie złotą głowę, jak moja Siora, co nosi perły na głowie i brylanty. On ma złoty łeb — i dobry łeb — i stary łeb! — Pani

Strażnikowa, to dobra kobiéta; jest i panienka w domu, cymes panienka! — a idzie za mąż za bogatego szlachcica...

KONIECPOLSKI.

Gdzie mieszkają ci państwo?

JANKIEL.

Tak Pan idź na prawo; tam jest nad potokiem pod górą dworek biały i dwie lipy: tam państwo wielmożni Strażnikowie mieszkają.

KONIECPOLSKI.

Trzeba mi do nich zapukać. *(wychodzi).*

JANKIEL.

To jakiś Haraburda! — Przyszedł robić szablistość... A czego on tu? Handel upadnie przez niego; przyszedł robić zabij — wytnij — morduj! Ja nie widzę, żeby ten król był potrzebny, kiedy się bez niego obeszło... Trzeba mi zobaczyć, gdzie on idzie. *(wychodzi).*

SCENA III.

(Piekarnia w domu Strażnikowstwa).

PAN STRAŻNIK i PANI STRAŻNIKOWA.

STRAŻNIK.

A cóż? każ serce, niech się dziewki zejdą na kolędę. Czy rozdałaś im wstążki?

STRAŻNIKOWA.

Dałam każdéj po wstążce i po tynfie — kontente! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem...

STRAŻNIK.

A Gnusi coś dała?

STRAŻNIKOWA.

Kornecik z czarnéj koronki z różami.

STRAŻNIK.

A ja tobie co dam?

STRAŻNIKOWA.

Nie szaléj, dziadu! Czy ja jeszcze głodna na twoje fatałachy?.. Ot wiesz co? Spraw Gnusi złotem szyte trzewiczki na korkach.

STRAŻNIK.

A weź, serce, na to z biórka pieniędzy i daj odemnie.

(Schodzą się DZIEWKI).

No! dziewczęta, poprawcie kagańca i zaśpiéwajmy o Bożém Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

(Śpiéwają).

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes;
Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.
Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes;
Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes;
Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;
Potém je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

AGNIESZKA *(wchodzi).*

Tatku, jakiś pan chce z Tatkiem mówić.

STRAŻNIK.

Proś go tu, do piekarni.

(AGNIESZKA *wychodzi).*

KONIECPOLSKI *(wchodzi).*

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

STRAŻNIK.

Na wieki wieków! — Kto Wacpan jesteś?

KONIECPOLSKI.

Jestem wojak, Mości Dobrodzieju!

STRAŻNIK.

A z jakich stron?

KONIECPOLSKI.

Z Ukrainy.

STRAŻNIK.

A jak godność?

KONIECPOLSKI.

Nazywam się Gwint.

STRAŻNIK.

Familia Acana Dobrodzieja mi nieznajoma.

KONIECPOLSKI.

Wierzę; jestem z małéj szlachty.

STRAŻNIK.

Ja także z małéj...

KONIECPOLSKI.

Ale, jak słyszałem, z tęgiéj?

STRAŻNIK.

Tak sobie! — Czémże mogę służyć Acanu Dobrodziejowi? — Dziś dzień święty: zastałeś mię, że z ludźmi śpiéwałem kolędę. Siadaj Wacpan! — Magdo, przynieś sztofik z szafki i pierniczki... Proszę, siadaj Waé...

KONIECPOLSKI.

Prosto Wacpanu Dobrodziejowi powiem, że przyjechałem tu robić konfederacyą.

STRAŻNIK.

U nas?

KONIECPOLSKI.

Czy to Wacpana dziwi?

STRAŻNIK.

Miasteczko żydowskie, Mościdzieju!...

KONIECPOLSKI.

Ale przecież tu mieszka i szlachta?

STRAŻNIK.

Są — są — ale nie tędzy!

KONIECPOLSKI.

Uważasz Wacpan, że tu nie tak chodzi o rzecz, któraby miała szczęśliwy sukces — jak o danie piérwsze hasła narodowi, niszczonemu przez Szwedów i Kozaków. Wszak Wacpan służyłeś w wojsku?

STRAŻNIK.

Dotknij Waé palcem; czy czujesz?.. twardy mam łeb — z kruszcu, Mości Dobrodzieju! Widać, że byłem cięty.

KONIECPOLSKI.

Słyszałem.

STRAŻNIK.

Więc Wacpan jesteś przysłany do zrobienia konfederacyi. — A kto przysyła?.. Czy wolno spytać, kto przysyła?

KONIECPOLSKI.

Oto jest list.

STRAŻNIK.

Gnusiu!

(Wchodzi Panna AGNIESZKA).

AGNIESZKA.

Co, Tatku?

STRAŻNIK.

Daj mi okulary... Widzisz, jaką mam tęgą dziewkę! Słabe to, sucherlawe, ale nieszpetne; co?

KONIECPOLSKI.

Przystojna panna!

STRAŻNIK

I dobra... *(bierze okulary)*. Idź precz, bo tu my mamy z sobą do pomówienia. *(czyta)*. Więc Wacpana sam król upoważnił? Ha! *(wstaje)*. Zrobimy, co się da... zrobimy... Jutro wysłuchawszy trzech mszy u Franciszkanów, sproszę tu panów braci szlachtę — i wypróbuję... A gdzie Wacpan mieszkasz?

KONIECPOLSKI.

U żyda Jankiela.

STRAŻNIK.

Przenieś się do mnie, tu będzie wygodniéj.

KONIECPOLSKI.

Nie długo tu bawię, więc nie chciałbym Wacpanu Dobrodziejowi domu przewracać do góry nogami.

STRAŻNIK.

Jak wola; szczérém sercem proszę.

(Koniecpolski wychodzi).

Gnusiu, zawołaj mi matki.

(*Wchodzi* STRAŻNIKOWA).

STRAŻNIKOWA.

A co, serce?

STRAŻNIK.

Jutro, serce, będziemy mieli wiele gości; przygotuj się na to, serduniu.

STRAŻNIKOWA.

Z jakimże to deszczem spadną ci goście?

STRAŻNIK.

Spadną, bo zaproszę — więcéj babom wiedzieć nie trzeba. A słuchajno, serce! Trzebaby, żeby już ten pan Gąska, były Marszałek, z naszą córką skończył; bo my nie długowieczni — a spadek niewielki. Cóż, czy ona się przychyla?

STRAŻNIKOWA.

Nie męcz dziecka!

STRAŻNIK.

Wacpani jesteś nadto powolna; w tych rzeczach trzeba trochę musu.

STRAŻNIKOWA.

Ale daj czas!

STRAŻNIK.

Bhu! Bhu!

STRAŻNIKOWA.

Cóż to tak parskasz, dziadu?

STRAŻNIK.

Przygotuj Wacpani córkę, bo się lękam, że pierwéj mi zadzwonią na pogrzeb, niż na córki wesele.

STRAŻNIKOWA.

Idż spać — idź spać, zrzędo, proroku czarny!

STRAŻNIK.

Dobréj nocy, moja babo! *(wychodzi)*.

STRAŻNIKOWA.

Biédna moja Gnusia! Iść za takiego drewnianego człowieka w axamicie!... Gnusiu, a chodź tu!

AGNIESZKA.

Co, Mamo?

STRAŻNIKOWA.

Staremu się coś ubrdało, chce koniecznie przyśpieszyć twoje wesele.

AGNIESZKA.

O nie! o nie! Niech mnie Mama broni, póki można.

STRAŻNIKOWA.

Cóż ja będę zawsze ciebie bronić?.. Trzeba, żebyś się zdecydowała. Pan Gąska przysłał podarunki. — Magdo! dobądźno tam z komody zawinięcie w jedwabnéj płachcie i przynieś... *(Magda przynosi)*. Widzisz? więcéj tu jest złota, niż ty warta, błaźnico; łokieć téj koronki kosztuje pewnie dwa holenderskie

dukaty. Jankielowa mi dawała cztérnaście tynfów bez targu... Cóż ty się tak skrzywiła? Smorgońska fioko, fiu fiu w głowie! przefuchasz ty panieństwo i zostaniesz na koszu. Magdusiu, przypnij jéj do głowy tego narcysa!

AGNIESZKA.

Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

(wyrywa kwiat i depce go nogami).

STRAŻNIKOWA.

Ale, Gnusiu, cóż będzie? — Trzeba panu Gąsce coś odpowiedzieć.

AGNIESZKA.

Niech czeka.

STRAŻNIKOWA.

Więc mu nie rekuzujesz?

AGNIESZKA.

Rekuzuję.

STRAŻNIKOWA.

Ale, Gnusiu, ojciec chce...

AGNIESZKA.

Mało czego ojciec chce! Powiédz mu Mama, że ja za młoda że jeszcze nie mam do stanu małżeńskiego powołania.

STRAŻNIKOWA.

A skąd ty się nauczyła takich exkuz, moja panno? Skąd takie kaprysy?... Za młoda! — W twoim wieku już byłam matką Michała — niechaj Pan Bóg świéci dziécięciu! Byłby już teraz wojakiem, gdyby żył. Bóg daje, Bóg odbiéra: niech będzie Jego wola przenajświętsza!... Ja widzę z miarki twojéj na gorsecie, że ci czas na męża; namyśl się, bo okazya raz stracona nie wraca. Ja nie bardzom także kochała mego szczygła ze złotą głową i z podrąbaną wargą, kiedym szła za niego — a teraz mi z nim dobrze Trzy razy już adamaszek na kotarach naszego łóżka zblakował, a Bóg widzi, że nigdy nie odwróciłam się w gniewie od mego dziada, ani w niechęci zasypiałam. Pamiętaj, Gnusiu, że małżeństwo — to nie piérwsza para w draganta, co jak skrzypak przestanie digać swoje, tak i ona tańcować. Małżeństwo — to sakrament!... A jak nas Bóg zabierze, to przy kim ty się uwiesisz?... A pamiętasz, jak odwiedzaliśmy siostrę moję zakonnicę we Lwowie? — Piernikami cię nakarmiła — fioków papiérowych nasypała do fartucha — i płakała! Wiesz ty, czego płakała? bo się jéj

chciało dyrnąć z klasztoru i być choćby żoną chłopa a nie zakonnicą! Pamiętaj, pamiętaj!

AGNIESZKA.

Czy Mama się od księdza Przeora nauczyła gadać kazanie?

STRAŻNIKOWA.

Błaźnico jedna, przyganiasz ty matce?! — Myłam to, czesałam to, póki było młode — a teraz mam na starość autorament w téj mendeweszce! A chore to, a nędzne to! a strzeż jak porcynelę na stoliku! No, jeśli mi ty się stłuczesz, kraszanko! Pamiętaj: pókiś cała, to jeszcze dbam o ciebie; ale jeśli mi się stłuczesz...

AGNIESZKA.

Co Mama gada? *(wychodzi).*

STRAŻNIKOWA.

Zaczerwieniła się. — Magdusiu!

MAGDA.

Co Imość?

STARŻNIKOWA.

Nic, nic! Obudzisz mię jutro, jak świt i rozczynisz ciasto w nieckach wielkich. Jegomość zapowiedział gości. *(wychodzą).*

SCENA IV.

(Dom zajezdny. Noc).

(Pan KLEOFAS *i* SZAWEŁ, *studenci.* JANKIEL).

SZAWEŁ.

Jankiel, wina!

JANKIEL.

A kto płaci?

SZAWEŁ.

Wina, żydzie!

JANKIEL.

A kto funduje? Wacpanowie studenty, nie ojce familiom.

SZAWEŁ.

Wina, żydzie! masz dukata!

JANKIEL.

Nu — kiedy dukata, to dukata... *(kłania się).* A jakiego wina?

SZAWEŁ.

Jakie ksiądz Gwardyan franciszkański pije w piątek.

JANKIEL.

Zaraz przyjdzie. *(odchodzi).*

SZAWEŁ.

I cóż daléj było z twoją miłością, Kleofazissime?

KLEOFAS.

Co dnia o godzinie piątéj rano chodziłem na ulicy około dworku Pana Strażnika czatując, jak będzie otwiérała okienice. Suka czarna Znajda już nie szczekała na mnie; okienice także, które zrazu skrzypiały na zawiasach, zaczęły się otwierać cicho, jakby je kto namaścił oliwą. Kamień był jeden pod murem na załamaniu ulicy, gdzie siadywałem z wielką zawsze konfuzyą et incertitudine...

(Żyd przynosi wino).

SZAWEŁ.

Podléj gardła.

JANKIEL.

Dobranoc, JW. Panowie studenty! A zagasicie szabasówkę, idąc precz.

SZAWEŁ.

I podpalimy karczmę.

JANKIEL.

A za co karczmę?

SZAWEŁ.

Za to, że ukrzyżowała Pana naszego Jezusa Chrystusa; rozumiesz, Żydzie?

JANKIEL.

Nu — karczma nie winna.

(Rusza ramionami i wychodzi).

SZAWEŁ.

Cóż daléj?

KLEOFAS.

Co dnia więc o rannéj zorzy
Stawała mi w okienicy;
Czekałem, aż okno otworzy,
I tak jak od błyskawicy
Ślepłem białością olśnięty.

SZAWEŁ.

Rozumiem.

KLEOFAS.

Oczy jéj to dyjamenty
Morską napełnione falą,
Zielone, gwiazdowe, przeczyste —

Jak błyskawica ogniste;
Leją się strumieniem — palą,
Odwrócić się od nich nie można...

SZAWEŁ.

Oczy zielone...

KLEOFAS.

Pobożna!
Widziałem, jak w usta bierze
Nieco powietrza i słońca
I czyste mówi pacierze,
I w pierś bije się bez końca.
„Moja! wina! moja wina!“
Niewinna mówi dziewczyna,
Złocista w słońca promyku;
A u méj białéj dzieweczki
Dwie róże, jak aniołeczki,
Siedzą w białym korneciku
I słuchają — i śmieją się z win...

SZAWEŁ.

Potém dzwonnik franciszkański
Zadzwoni na Anioł Pański:
Din don din! din don din!
A ty uciekasz; wszak tak?

KLEOFAS

Potém w swoje ręce bierze
Jak Iris tęczowy szlak,
I mówiąc ranne pacierze —
Jasna cała, jak lilija
Ślicznych jeszcze pełna kras,
Ojcu jasny trzyma pas;
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc w koło;
Potém ją całuje w czoło,
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

SZAWEŁ.

Tatko Dobrodziéj!...
Słuchaj — i tak zawsze z daleka patrzysz?

KLEOFAS.

Tak zawsze patrzę zdaleka,
Jak z jéj rąk tęcza ucieka,
Jak gołębie z ustek jedzą,
Jak w kornecie białym siedzą
Wielkie rozkwitnięte róże.
Myślami jéj w pracy pomagam,
Myślami jak pachołek jéj służę;
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam
I przepraszam na kolanach,
Jak Najświętszą Pannę Maryją.

SZAWEŁ.

Her Jejzus! ten młokos zwaryował.

KLEOFAS.

Coś mi śpiéwa w domu ścianach,
Jakby je ze strun budował
Dla serc, co młodością biją,
Jaki Anioł — budowniczy!...
Kiedy powraca z pastwiska
Wieczorem ich krowa i ryczy:
Czy z daleka czyli z bliska,
Czy ryknie na światło księżyca
Znam, gdy głos leci z gościńca
I znam, kiedy jałowica
Woła z kochanki dziedzińca...

SZAWEŁ.

Her Jejzus! zwaryował! Gada jak pozytywek. Podléj gardła!... Lecz ciebie z domu wypędzono?

KLEOFAS.

Nie wspominaj mi!

SZAWEŁ.

Pan Strażnik powiedział, jak słyszałem, że masz obdarte łokcie.

KLEOFAS.

Kto ci to mówił?

SZAWEŁ.

Nie zżymaj się!...

KLEOFAS.

Kto śmiał — powtórzyć?!

SZAWEŁ.

Widzisz? — Zdradziłeś się! Więc nazwał ciebie obdartusem, a ty cierpisz?...

KLEOFAS.

Ja...

SZAWEŁ.

I plamisz w osobie swojéj honor szkół! szkolną famę w obelдze umoczoną gnoisz! Na furdament pałasza, jeśli jéj nie uwiedziesz, będziesz kpem.

KLEOFAS.

Zgubić ją?

SZAWEŁ.

Cóż to? Czy ty nie wart córki Strażnika Złotoczaszki? Alboż to on senator? — Idź Wać pod okno: już zaczyna szarzeć powietrze — a staraj się, aby ci wyznaczyła schadzkę; o to się tylko staraj! *(wychodzą).*

AKT DRUGI.

SCENA I.

(Sień w domu Strażnika).

(Pani STRAŻNIKOWA — MAGDA).

STRAŻNIKOWA.

Magdo, Kachno, wstawajcie! W kadzi nie ma wody. Ambroży leniuch, zmyję mu głowę. Magdo, Kachno, a dać kurom jeść!... Ave Maria... Magdo! Magdo! *(wchodzi* MAGDA).

MAGDA.

Jestem, Pani.

STRAŻNIKOWA.

Spiocho ty! idź mi obudź panienkę... Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykaty wylepię na nim cyfrę Gnusi... Drugi mazurek biały z cyfrą pana Gąski... Nie! przeciwnie: na żółtym będzie cyfra pana Gąski, bo Pan Młody także żółty... *(wraca* MAGDA). A cóż panienka?

MAGDA.

Zaraz przyjdzie — nie śpi już.

STRAŻNIKOWA.

Nie śpi już?

MAGDA.

Podlewała na oknie narcysy, jak weszłam do pokoju.

STRAŻNIKOWA.

Podlewała narcysy?... Gnusiu! Gnusiu!

AGNIESZKA *(z pokoju)*.

Zaraz! zaraz idę!

STRAŻNIKOWA.

Czy ubrana była panienka?

MAGDA.

Zasznurowana, ale jeszcze nie włożyła jupki i niezdjęła kornetu.

STRAŻNIKOWA.

Zasznurowana!... Gnusiu! Gnusiu!

(wchodzi P. AGNIESZKA).

AGNIESZKA.

Jestem, Mamo.

STRAŻNIKOWA.

A dla czego ty tak rano wstała?

AGNIESZKA.

Przez serduszko mojéj okienicy wlazi słońce i zawsze mi bije w same oczy. A potém ten Skopek, co to wiesz, Mamo, ma Walentego chorobę i mnie Ciocią nazywa, spał widać na naszym dziedzińcu dziś na gnoju, i tak chrapał, że spać mi nie dał. — Ot i on wlazi do sieni — biédne stworzenie, sparaliżowane!...

SKOPEK.

Tiotia, daj jeść!

STRAŻNIKOWA.

Magdo, przynieś mu obwarzanka.

SKOPEK.

Tiotia! ja tiotię kocham; tiotia! ja tego skubenta kijem — tak, tak, tak! — jak mamę kocham... Czego łazi?

AGNIESZKA.

Jak się on ślini! — Daj mu co, Magdo, i wypraw.

MAGDA *(daje obwarzanek)*.

No, idź precz!

SKOPEK.

Hi, hi, hi! Magda krowa!...

(Posyła buziaka ręką P. Agnusi i wychodzi. Wchodzi P. STRAŻNIK *z drzwi drugich.)*

STRAŻNIK.

No, kobiéty, zwijajcie się! A potém do kościoła XX. Franciszkanów: będzie tam wielki festyn. Moje serce, czy mi dobrze w tym kontuszu? — Coś mi go Josiel ciasno skroił — co?

STRAŻNIKOWA.

Mnie się zdaje, że w sam raz. Bo ty zawsze chcesz być, jak wilk w worku.

STRAŻNIK.

Gnusiu, a przybierz się Acanna do kościoła, jak wypada. *(wychodzi).*

STRAŻNIKOWA.

Do piekarni! do piekarni! miesić ciasto! Gnusiu, weź z po za zwierciadła receptę na marcypanowe ciasto i przynieś. *(wycho dzą)*

SCENA II.

(Zakrystya Franciszkanów).

ZAKRYSTYAN. *Później Pan* STRAŻNIK.

ZAKRYSTYAN.

Nuż, chłopcy, zamiatać — a żwawo! *(wchodzi P.* STRAŻNIK) Cóż tak rano sprowadza Wacpana Dobrodzieja?

STRAŻNIK.

Przewielebny ksiądz Gwardyan jeszcze nie wstał?

ZAKRYSTYAN.

Wczasuje się jeszcze, Mości Dobrodzieju.

STRAŻNIK.

Zaczekam. —

(Zakrystyan podaje stołek; Strażnik siada i opiera się na złotéj lasce dumając; Zakrystyan tymczasem fałduje obrusy, nalewa ampułki i obciera z pyłu krucyfixy. — Wchodzi KSIĄDZ, *kłania się Strażnikowi — potém idzie do stołów i ubiera się w ornat. Cisza głęboka. — Wchodzi* GWARDYAN. *Pan Strażnik wstaje).*

STRAŻNIK.

Witam Ojca Gwardyana. *(całuje go w rękę).*

GWARDYAN.

A! Pan Strażnik!

STRAŻNIK.

Proszę o posłuchanie.

GWARDYAN.

Czy w potrzebie sumienia jako księdza, czyli w świeckim interesie?

STRAŻNIK.

W świeckiéj sprawie.

GWARDYAN.

Siadaj Wacan Dobrodziéj.

STRAŻNIK.

Przystąpię do rzeczy bez exordium. Otóż, Mości Dobrodzieju, winienem powiedzieć, iż téj nocy otrzymałem ordynans od JKMości, abym w mieście tutejszém zrobił konfederacyą w protestacyi przeciwko wrogom Ojczyzny naszéj — ująwszy się za sprawą JKMości aż do ostatniéj kropli krwi mojej...

GWARDYAN.

Domine Jesu Christe, da nobis pacem! — Konfederacyą?!

STRAŻNIK.

Wysap się Acan Dobrodziéj i umityguj się.

GWARDYAN *(siada i składa ręce na brzuchu).*

Słucham Acana Dobrodzieja.

STRAŻNIK.

Gdybyśmy na konsystencyi mieli u siebie Chorągiew Pancerną, albo komputowe wojsko: — rzecz byłaby łatwa. — W takim razie ja albo Wacan zwołujemy Koło Chorągwiane; wychodzę Mości Dobrodzieju naprzód, mając za sobą plecami Acana Dobrodzieja; — i odwoławszy się do czystych rycerskich serc, zyskujemy, że z pomiędzy grona naszego wysłana jest deputacya do JWPana Regimentarza, w przełożeniu i z wszelką submisyą żądająca, aby się zgodził w sprawie publicznéj na rzecz prędkiego potrzebującą ratunku i zadowolenia. Rozumiesz Wacpan Dobrodziéj?

GWARDYAN.

Z Chorągwią byłaby rzecz łatwa...

STRAŻNIK.

Lecz my nie mamy Chorągwi — —

GWARDYAN.

Otóż to, że nie mamy Chorągwi!..

STRAŻNIK.

Że trzeba bicz z piasku ukręcić — —

GWARDYAN.

Otóż to jest, że trzeba bicz z piasku ukręcić!...

STRAŻNIK.

A jakże go ukręcić, Mości Dobrodzieju?

GWARDYAN.

Ha!

STRAŻNIK.

Nie poddawaj się nagłéj rozpaczy Acan Dobrodziéj! Rzecz się da zrobić.

GWARDYAN.

Trudno!

STRAŻNIK.

Ja wiém, że trudno; ale Panu Bogu wszystko jest podobieństwem! — Nim co będzie, każ Wacpan bić we dzwony i poślij cztéry trąby na wieżę.

GWARDYAN.

Więc sądzisz Wacpan Dobrodziéj, że jak w dzwony uderzą i zatrąbią marsza festynnego, to... to...

STRAŻNIK.

To zbierze się cała szlachta tu osiadła do kościoła.

GWARDYAN.

Masz racyą.

STRAŻNIK.

I Wacpan, Wielebny Ojcze, raczysz ze zwykłym darem przekonywania przemówić z ambony, zagrzewając serca ku ratunkowi Ojczyzny.

GWARDYAN.

I sądzisz Wacpan, że moja słaba wymowa —

STRAŻNIK.

Zrobi efekt, Mości Dobrodzieju!

GWARDYAN.

Ale... e... e!..

STRAŻNIK.

Zrobi, Mości Dobrodzieju; przysięgam!

GWARDYAN.

Wątpię, ale spróbuję... ale spróbuję. — Kiedy Wacpan Dobrodziéj tego żądasz, to ja spróbuję.

STRAŻNIK.

Krzyżem leżeć będę, a błagać Pana Boga, aby Wacpana Dobrodzieja wymowa zwykła w tym excesie nie odbiegła.

GWARDYAN.

Przytomny dosyć jestem w takich razach, przytomny...

STRAŻNIK.

Potém wyprowadzisz Wacpan Dobrodziéj to wszystko — celebrując — choć śniég, na mogiłki: każąc nieść w auxilium ołtarzyk N. Panny Szkaplerznéj przed sobą. A zagrawszy w trąby i ucichnąwszy, dozwolisz mi głosu: — a może z pod téj czaszki złotéj coś wydobędę na chwałę Ojczyzny, szlachty polskiéj i Jezusa Chrystusa, Pana naszego, co równie będzie uwielbieniem i klasztoru, w którym Wacpan Dobrodziéj jesteś gwardyanem. Proszę Wacpana Dobrodzieja o postęp w rzeczy...

GWARDYAN.

To jest: trzeba zacząć..?

STRAŻNIK.

Trzeba kazać w dzwony bić, ojcze Gwardyanie.

GWARDYAN.

A jak Szwedy zrujnują klasztor?

STRAŻNIK.

To pan Strażnik będzie chyba nie na mogiłkach — lecz pod mogiłkami! Co mi Wacan mówisz o Szwedach? — Czy to ja przyszedł jak dureń do Wacpana Dobrodzieja, nie pomyślawszy, że w kraju są Szwedy?! Więc gdy zaatakują, to się zaniesiemy z żonami i z dziećmi i z kościelnymi gratami na górę królowéj Bony, do ceglanéj ruiny — niby orłowie niebiescy; a kto ma w Panu Bogu ufanie, ten nie będzie strącony do czeluści piekielnych — i nad nim siły szatańskie nie przemogą! — Postępujmy, Mości Gwardyanie: czas drogi ulatuje na skrzydłach, a my się starzejemy!

GWARDYAN.

Bogdajmy to wszystko na dobre wyszło — bogdajby!

(wychodzą).

SCENA III.

(Rynek).

OBYWATELE — LUD.

PIĘRWSZY OBYWATEL.

Słowo stało się ciałem! U Franciszkanów grają w trąby na wieży. Czy ksiądz Gwardyan zwaryował?

DRUGI OBYWATEL.

Ksiądz Gwardyan lubi muzykę.

PIĘRWSZY.

Wracam z kościoła — pełny jarzęcego światła, adamaszkami wybity! Pan Strażnik krzyżem leży na samym środku. —

DRUGI.

Krzyżem leży?

PIĘRWSZY.

I szlocha tak, że się kościół trzęsie.

DRUGI.

Tu przebąknął ktoś o konfederacyi.

PIĘRWSZY.

Co?

DRUGI.

Patrz! patrz! patrz! Jakiś rycerz na koniu wjeżdża na rynek.

(Pan GWINT *wjeżdża zbrojny i staje śród tłumu).*

GWINT.

Na ten miecz przysięgam: kto nie usłucha głosu nieszczęsnéj Ojczyzny, będzie ścięty!

LUD.

Jezu drogi! Jezu drogi! Archanioł albo kat jaki przebrany — Szwed! Szwed! Szwed!

GWINT.

Jeżeli dbacie o domy wasze i o trumny wasze: ruszajcie się — bo wytnę do szczętu!

LUD *(śród płaczu i szlochania).*

Jezu drogi! Od powietrza, głodu, wojny ratuj nas!

GWINT.

Podajcie mi tokaju!

(Podają wino; on wylewa w hełm i pije).

Jeremiasz książę Wiśniowiecki pije za zdrowie pana Strażnika Złota Czaszka, Marszałka konfederacyi na Krzemieniu!

(Rzuca konia w galop; lud za nim).

LUD.

Jeremiasz! Jeremiasz! Jeremiasz!

SCENA IV.

(Mogiłki).

(Ciągle biją w dzwony. Pan STRAŻNIK *wstępuje na najwyższą mogiłkę. Na prawo stoi* X. GWARDYAN *z monstrancyą pod baldachimem; na lewo ołtarzyk N. Panny ubrany w złoto i kwiaty.* PAN GĄSKA *w jaskrawym ubiorze — i wiele* SZLACHTY *toż* STUDENTÓW *w głębi i na przedzie).*

STRAŻNIK.

Wielmożni Mości Panowie Szlachta! Obywatele cechowi tu licznie zebrani! słuchajcie. — Ja Strażnik krzemieniecki, vulgo Złota Czaszka: zebrałem was, wołając z wieży Franciszkanów dzwonami et trombis — a wołałem, abyście biegli ratować Ojczyznę. A nie wołałem dla żadnéj innéj światowéj mamony i dla chwały osobistéj mówienia do was. Jeśli więc Złota Czaszka ma u was jaką wiarę i zachowanie: wierzcie mu, że teraz na rany boskie was zaklina, krzyżem przeleżawszy rozesłany podczas Mszy świętéj, i podniesiony z prochu jak robak, przez litość jedynie boską i szczére ku sprawie publicznéj zamiary. — Wierzcie Złoséj Czaszce, bratu i słudze WCPanów Dobrodziejów, a związcie się w konfederacyą i obierzcie na tém miejscu Ragimentarzem Najświętszą Pannę, Matkę Boską i patronkę królestwa polskiego, abyśmy nie zginęli z duszami, broniąc Ojczyzny naszéj! — A nie mówię tego, żebym nie sądził godnym regimentarstwa pana Gąskę, Marszałka tu przytomnego; ani też Wielmożnego Seweryna Milowicza z Dymitrówki z kwitkiem odsyłał, a nie z należytą w konfederacyi powagą; ani też innych sądził niegodnymi tego zaszczytu: — lecz Matkę Boską sądzę godniejszą od innych i bezpieczniejszą w téj sprawie dla nas obroną, niż miecze ludzkie i Gotfredowe tarcze — i nawet rozum wasz, który jest ludzki. Na téj mogilce, Wielmożni Panowie, gdzie stoję — tu podemną, złożone są śmiertelne zwłoki ś. p. Michała, trzechletniego synka mego. Jakżebym chciał wam kłamać i na złe was prowadzić, mając pod nogami drogie kosteczki dziecka mego, a przed sobą wieczność boską już

dla mnie zbliżającą się? A i to wiem, że nie znajdę przy boku moim ludzi, z którymi niegdyś w wojsku Ojczyźnie mojéj służyłem, a którzy już są w grobach i nie będą widzieć mnie, ani dopomogą. Ale czyż przeto wy, nie mogąc się spytać i dowiedzieć u hetmanów dawnych, Kalinowskiego, że ja jestem tęgi wojak, czy nie uwierzycie mi, że jestem tęgi, kiedy wam to przysięgam na siedm ran Chrystusa, przyrzekam w piérwszém zdarzeniu pokazać i udowodnić, i krew wrogów ojczyzny przyświadczy mi i wasze oczy zobaczą! Więc umyśliłem napaść na Szwedów stojących w Dubnie, których jest tylko dwieście, dla zaprawienia was i ośmielenia. A jakaż chwała będzie, gdy ich pobijemy i konfederacya nasza pod waszymi skrzydłami, Wielmożni Panowie, rozszerzy się! Czyja więc wola, niech się zapisuje na regestrze złożonym na ten cel w refektarzu, a późniéj zechce zaszczycić dworek mój, albo tego — którego obierzemy Marszałkiem — z zawarowaniem zawsze regimentarstwa dla Najświętszéj Panny, orędowniczki naszéj, świécącéj w gwiazdach nadziei naszéj! — Skończyłem i proszę WPanów z procesyą do refektarza na gałkowanie.

(Okrzyk powszechny i procesya wychodzi).

SCENA V.

(Dziedziniec Strażnika).

(Wbiega JANKIEL).

JANKIEL.

Nu, nu, nu, co się dzieje? Miasto całe do góry nogami! a pan Strażnik narobił, a pan Strażnik nie odrobi — a ja wysłał do panów Szwedów mego Jankielka na koniu; lepiéj zapobiéc wczas, niech się ta rzecz nie rozidzie po wszystkich gościńcach... Pani Strażnikowa...

STRAŻNIKOWA.

Co tam, Jankielu?

JANKIEL.

Nu, Pani w domu, a pan Strażnik w konfederacyi po uszy, i panowie z nim w konfederacyi, i miasto w konfederacyi! Ja nie wiem, żydów może będą wieszać albo rozbijać — niech Wielmożna Pani przyjmie na skład kilka z mego towarów; ja nie chcę kwitu — niech leżą u JWPani w bezpieczu.

STRAŻNIKOWA.

Co mówisz, konfederacya?

JANKIEL.

Nu, pan Strażnik wlazł na mogiłkę i gadał, że panem Regimentarzem będzie kościół franciszkański — a Szwedy w Dubnie pójdą w kaszę. Ja nic nie wiem, ale to fakt!

STRAŻNIKOWA.

Jaki fakt?

JANKIEL.

Nu, fakt, fakcya — ja nie wiem, ja trzymam się domu JWPani, a ja nic nie wiem... *(słychać strzały).* A, ot! ona już strzela — ta konfederacya!

STRAŻNIKOWA.

W saméj rzeczy strzelają na rynku. Jezus, Marya, co to jest?!

JANKIEL.

Wielmożnéj Pani męża niosą na rękach, a za nim całe miasto — a ja jeden tu!

(Krzyki).

Vivat Marszałek Złota Czaszka!

(Wchodzą na dziedziniec cechy z chorągwiami, potém wnoszą Marszałka Złotą Czaszkę na rękach; — za nim pana Gąskę niosą — za nim p. Milowicza).

JANKIEL.

To piérwszy Marszałek, a drugi Chorąży, a trzeci Sekretarz; a ten sekretarz ma suchoty, on umrze; czego jemu było szukać konfederacyi?

PIÉRWSZY OBYWATEL.

Panie Kasperowicz! Wacpan jako krawiec ubierz domek pana Marszałka w chorągwie cechowe.

DRUGI.

Zamykajcie drzwi, bo się nadto ludu naciska!

TRZECI.

A ot! i panienka wychodzi z sztofikiem i z kieliszkiem.

(Wchodzą KLEOFAS *i* SZAWEŁ).

SZAWEŁ.

Jesteśmy deputacyą od szkół jezuickich, prosimy wyprosić do nas pana Marszałka... *(do Kleofasa).* Podnieś czoła, odważniejszym bądź! Córka poszła sama do ojca, ale jak spojrzała na ciebie! Fiu, fiu! wy się z sobą znacie! — Czerwony jesteś jak gil, co tam siedzi na lipie; podnieś czoła i najeż wąsa — o tak! — Cóż, czy ci wszy chodzą po sercu?

STRAŻNIK *(za sceną)*.

A czego chcą te błazny *(Pokazując się we drzwiach — za nim panna Agnieszka)*. Czego Wacanowie?

SZAWEŁ.

W deputacyi od szkół, JW. Marszałku.

STRAŻNIK.

Czy pan Prefekt przysyła?

SZAWEŁ.

Libertatem quaerentes przychodzimy motu proprio, JW. Marszałku, zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, wyłamawszy drzwi, gdzie nas zamknięto z przytłumieniem woli naszéj i z uhamowaniem zapału naszego. Szkoły jezuickie, Mości Panie Marszałku, zrobiły ten akt liberationis et deliberationis, a mają słuszną sperandę, że nie tylko wieniec i dębową koronę, ale słuszne ukaranie księdza Prefekta, hamującego ten szlachetny zapał, otrzymają — i w obronie Ojczyzny pójdą tryumfalnie pod chorągwiami rycerstwa polskiego! Dixi.

STRAŻNIK.

A błazny jedne! a błazny!

PANNA AGNIESZKA.

Tatku...

STRAŻNIK.

A smarkacze wy, z mlékiem pod brodą! Wam do konfederacyi? Każę związać, oćwiczę i księdzu Prefektowi odeślę pod bizun. Młokosy jedne, precz mi stąd!

SZAWEŁ.

Panie Złota Czaszka...

STRAŻNIK.

Precz! mówię, obdartusy szkolne, żaki, kanalie! Ja miałbym szafować krwią dzieci, żeby mi rodzice potém wyrzucali, żem ich szlacheckie gniazda ogołocił i zaprzepaścił?! Co to wy myślicie, że to ja konfederat malowany? A to co, infimusy? Wam podnosić rokosz na księdza Prefekta? Na klęczkach mi go przeprosić, błazny — precz stąd!

(Panna Agnieszka zakrywa oczy płacząc).

SZAWEŁ.

Panie Złota Czaszka, taka afrontacya...

STRAŻNIK.

Afrontacya? *(do cechów)*. Panowie miejscy, wyrzucić mi za płot tych infimusów!

(Studenci dobywają szabel. Miejscy chorągwiami wypędzają ich z dziedzińca i gonią ulicą).

STRAŻNIKOWA.

Serce, Agnusia nasza czegoś płacze...

STRAŻNIK.

Precz, baby! — Co innego mi teraz w głowie, nie panna Agnieszka.

STRAŻNIKOWA.

To idźże do gości.

SCENA VI.

(Cela księdza Prowincyała).

(ZAKRYSTYAN *krząta się;* PROWINCYAŁ *siedzi na krześle).*

PROWINCYAŁ.

Cóż myślisz, Barabaszu, o tém wszystkiém?

ZAKRYSTYAN.

Myślę, że ci panowie powaryowali.

PROWINCYAŁ.

Masz racyą.

ZAKRYSTYAN.

A kiedy chcieli byli robić konfederacyą, to mieli klasztor księży Jezuitów i klasztor ojców Bazylianów. Nie — przyszli Księdza Prowincyała wciągnąć! A wié Ksiądz Prowincyał dlaczego? — bo Ksiądz Prowincyał ma dobre stare wino węgierskie w lochu.

PROWINCYAŁ.

Dureń jesteś, stul pysk! A gdzie moja sroka? nie widziałem jéj dziś.

ZAKRYSTYAN.

Sroka Księdza Prowincyała, kiedy Ksiądz dziś celebrował, to chodziła za baldachimem jak grzesznik, a kiwała ogonem, tak jakby mówiła: — „Oj Ojcze Prowincyale! oj Ojcze Prowincyale!“ Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli ta sroka nie mędrsza od nas! A jabym chciał, żeby ta sroka ukradła panu Strażnikowi złotą czaszkę i włożyła Księdzu Prowincyałowi do kieszeni... ale sroka nie żyje...

PROWINCYAŁ.

Co?

ZAKRYSTYAN.

Zadeptano w tłumie.

PROWINCYAŁ.

Nie prawda!

ZAKRYSTYAN.

Ojcze, zadeptano! bij mnie — zadeptano.

PROWINCYAŁ.

Nie prawda!

ZAKRYSTYAN.

Zadeptano.

PROWINCYAŁ.

Kłamiesz, kłamiesz! Mój kochany Barabaszu, poszukaj ty jéj: ty może myślisz, że to mnie mało martwi — ale ja z téj sroki miał pociechę.

ZAKRYSTYAN.

Mało z czego Ksiądz Prowincyał miał pociechę; a trzeba się będzie przyzwyczaić do zguby! A kto będzie księdzu Prowincyałowi grał na trąbach po nieszporach, kiedy trębacze poszli na trębaczy do konfederatów? A ksiądz Prowincyał lubił z panem organistą Fokiem grać w warcaby, a pan organista Fok zapisał się na regestrze w refektarzu, choć Niemiec...

PROWINCYAŁ.

Moich ludzi będę reklamował.

ZAKRYSTYAN.

Tak, reklamował! a gdzie i od kogo reklamował, kiedy Ksiądz Prowincyał jesteś sam regimentarzem?

PROWINCYAŁ.

Ja! — jako żywo!..

ZAKRYSTYAN.

Ksiądz Prowincyał drwi ze mnie.

PROWINCYAŁ.

Ja?!

ZAKRYSTYAN.

Ksiądz Prowincyał stoisz podpisany na regestrze i na uniwersałach, jako regimentarz.

PROWINCYAŁ.

Ale to za Matkę Boską.

ZAKRYSTYAN.

Ale to nie „Ja, Matka Boska, regimentarz“ stoi w regestrze! ale „Ja, Prowincyał księży Franciszkanów, regimentarz“ stoi w regestrze! A co mi tam patrzeć w myśl Księdza Prowincyała!

PROWINCYAŁ.

Jezu drogi! to ja zabrnąłem, mówisz?

ZAKRYSTYAN.

Bez rekursu.

PROWINCYAŁ.

A czemu ty mi nie szepnął na ucho, kiedyś widział, że mnie pan Strażnik w zakrystyi atakuje?

ZAKRYSTYAN.

Ksiądz Prowincyał wié lepiéj, co klasztorowi czynić przystoi.

PROWINCYAŁ.

Prawda, że wiem; ale tobie trzeba było mnie ostrzéc — a teraz przychodzisz, kiedy już po czasie. Ktoś puka.

ZAKRYSTYAN *(otwiérając drzwi)*.

Jakiś dragan.

PROWINCYAŁ.

A czego on? *(wchodzi* DRAGANT*)*.

DRAGANT.

JW. Złota Czaszka Marszałek przysyła z ordynansem, abyś jutro Ksiądz Prowincyał gotów był poświęcić chorągwie i błogosławić regimentowi, który wychodzi na Szwedà.

PROWINCYAŁ.

Odpowiédz panu Złotéj Czaszce, że dobrze. *(Do Zakrystyana)* Widzisz, że ja tylko mam błogosławić.

*(*P. STRAŻNIK, P. GĄSKA, P. MILOWICZ *i kilku innych wchodzą)*.

STRAŻNIK.

Witam Księdza Prowincyała! Przychodzimy na naradę i po radę do Księdza Prowincyała, jako do naszego regimentarza.

ZAKRYSTYAN.

A widzi Ksiądz?

PROWINCYAŁ.

Milcz, durniu! — Bardzom rad! jestem całém sercem na usługi.

MILOWICZ *(grobowym głosem)*.

Zafundujesz nam przecie wina, Księże Prowincyale.

ZAKRYSTYAN.

A widzi Ksiądz?

PROWINCYAŁ.

Milcz, błaźnie! — *(głośno)*. Barabaszu, przynieś antałek i szklanki.

(Zakrystyan wychodzi i po niejakim czasie wraca z winem).

STRAŻNIK.

Coś mi, Księże Prowincyale, dumasz?

PROWINCYAŁ.

Czy my się nie pośpieszyli zanadto?

STRAŻNIK.

Wacpan Dobrodziéj słuchasz zanadto kościelnego sługi, który Acpanu głowę troskami nabija i w przedsięwzięciach go hamuje. Jeszcze Ksiądz Prowincyał masz czas ku odwróceniu od nas swoich afektów; a ja się oddam księżom Jezuitom albo Bazylianom: — a wtedy co będzie?

PROWINCYAŁ.

Panie Strażniku!

STRAŻNIK.

Udałem się do Księdza Prowincyała, albowiem uważałem w nim największy majestat i blask, a w ceremoniale nikt mu nie wyrówna...

PROWINCYAŁ.

Co, czy byliście kontenci z procesyi?

STRAŻNIK.

Niech pan Gąska powie; mówiłem mu otwarcie, żem się nie spodziewał takiego festynu. Tu Ksiądz Prowincyał posuwa się — a tu przed nim sypią różane listeczki — a tu trąby na wieży grzmią, aż trzęsła się góra królowéj Bony! — myślałem, że pójdzie w taniec...

GĄSKA.

Góra, czy Ksiądz Prowincyał?

WSZYSCY.

Cha! cha! cha!

MILOWICZ.

Góra z Księdzem Prowincyałem!

WSZYSCY.

Cha! cha! cha!

PROWINCYAŁ *(do Zakrystyana)*.

Postaw tu, durniu, antałek i ponalewaj lampeczki JW. Panom. — Miałem wielkie zmartwienie w dniu dzisiejszym, zadeptano mi sroczkę moję.

STRAŻNIK.

Przyślę Księdzu Prowincyałowi piérwszego Szweda, którego mi się uda złapać, aby mu był wynagrodzeniem; tymczasem niech się Ksiądz Prowincyał uzbraja.

SCENA VII.

(Pokoik Panny Agnieszki).

P. AGNIESZKA i MAGDA.

AGNIESZKA *(płacząc)*.

Magdo, daj mi chustkę.

MAGDA.

Tak, tak! Jak panienka z żałości umrze, a Jegomość będzie płakał: powiem — dobrze Jegomości tak! Jegomość zabił dziecko, a teraz płacze! dobrze Jegomości tak!

AGNIESZKA.

A skąd ty wiesz, Magdo, dlaczego ja płaczę?

MAGDA.

Z miłości płacze Panienka; ja wiem, że z miłości.

AGNIESZKA.

Otóż ja nie z miłości płaczę — ja tak płaczę.

MAGDA.

Ha, ha! jabym w to uwierzyła? Jaka mi Panienka mądra! jabym w to uwierzyła?

(wchodzi Pani STRAŻNIKOWA).

STRAŻNIKOWA.

Co to mi za szlochy, Gnusiu? Ojciec pyta o ciebie: pan Gąska chce wnosić zdrowie twoje.

AGNIESZKA.

Powiédz Mama, że ja nie pójdę, że ja chora, że ja umarła, że ja leżę na cmentarzu Zołobieckim pod śniegiem, że ja siebie zabiję i pana Gąskę otruję. Weź sobie mama ten kornecik z różami — ja niczego nie chcę! ani prezentów, ani czego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! Czego wy chcecie odemnie? czy ja

wasza niewolnica? czy ja wasz haman? Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mię, zostawcie, zostawcie! — Ja się chcę uspokoić: zostawcie mnie!

(*wchodzą* P. STRAŻNIK i P. GĄSKA).

STRAŻNIK.

A kto tu szlocha?.. a dlaczego to Wacpanna szlocha?

STRAŻNIKOWA.

Daj pokój — przy obcych ludziach!..

(Agnusia ociera łzy i staje przed ojcem ze spuszczonymi oczyma).

STRAŻNIK.

Widzisz mi płaksę? — Obetrzyj Wacpanna łzy i podnieś oczy: — pan Gąska przyszedł z komplementem.

AGNIESZKA.

Dziękuję.

GĄSKA.

Niech mię Panna Strażnikówna nie wyklina: nie przyszedłem woli wielmożnéj Acanny Dobrodziejki wiolentować... W cierpliwości oczekiwać będę, aż moja afekcya...

STRAŻNIK.

Patrz — płaksa roześmiała się!

GĄSKA.

Rozjaśnienie jéj czoła szczęśliwą mi jest wróżbą. Czy mogę upraszać o jednego z tych narcysów, co stoją na oknie?

AGNIESZKA.

Nie.

STRAŻNIK.

Grzeczna mi bądź, błaźnico!

GĄSKA.

Pozwól mi Acan Dobrodziéj, pozwól mi: — tu ja sam jestem wystawiony na szwank, niech mam wszelką wolność. *(Do panny Agnieszki).* Czy moja osoba jest przedmiotem jakiéjkolwiek odrazy? — proszę szczérze...

AGNIESZKA.

Żadnéj odrazy nie czuję do Acana Dobrodzieja, ale ja szczęścia Pańskiego nie zrobię: ja nic nie umiem, jestem w domu jak obrazek malowany...

STRAŻNIK *(do żony).*

Serce, a wydobądźno krosienka i pokaż panu Gąsce appara-

tum, które wyszyła złotem do franciszkańskiego ołtarza. Wierz mi, panie Gąsko, że to rozumna główka — a bierz, bo to skarb

GĄSKA.

Jabym chciał dać czas pannie Strażnikównie do namysłu.

STRAŻNIK.

Cóż to, czy mi się Wacpan rekuzujesz?

GĄSKA.

Prędzéjbym żywota mego odstąpił i duszę moję opuścił, niż wyrzekł się złotéj dla mnie nadziei! Ale sądzę, że szablą, ponieważ się zdarzyła okazya, potrafię w oczach panny Strażnikówny przydać sobie waloru. Dlatego więc proszę, abyś WPan Dobrodziej, ponieważ otwartéj nie mam jeszcze rekuzy, zostawił to w sperandzie i w expektatywie. Wszak tak? ostatecznie mi Panna nie rekuzujesz?

AGNIESZKA *(spojrzawszy na ojca groźną twarzą)*.

Nie.

STRAŻNIK.

Jest to konsensum.

GĄSKA.

Wróćmy do kielicha. *(wychodzą)*.

STRAŻNIKOWA.

Bardzoś była mądra; aż rosłam słysząc, jak ty przytomnie odpowiadasz. Dobrze, Gnusiu! I on mi się podobał: bardzo rozsądny i stateczny. Widziałaś ty, jaką miał karmazynową sajetę na żupanie? Takiéj sam król nie nosi. Zielony kontusz z tureckiéj materyjki w kwiateczki, także dobrze dobrany... Cóż ty, kwoczko?

AGNIESZKA.

O nieszczęśliwa ja! zanieście wy mnie na cmentarz!

Więc widzieliście w chorągwie cechowe
Ubrany dworek starego szlachcica;
Kto myślą sięgnął w niebo lazurowe,
Widział, jak duchy i Bogarodzica
W promieniach zorzy trzymająca głowę,
A stopy dzierżąc na srebrze księżyca,
Na dom jasnością piorunową biła
I z po nad starych lip błogosławiła.

Chorągwie dworek okryły ubogi,
Że był jak namiot jakiego mocarza,
Z jedwabiu cały — a złote miał rogi,
A w środku jasną cnotę gospodarza.
Dla nędzy także otworzone progi,
I obwarzanek biały dla nędzarza;
I piękność chował dawnych, szczérych rysów
Napełniającą dom wonią narcysów.

Tam, kiedy w cichą noc duchowie czarni
W śniegowéj korzą się burzy i wichrze,
Jasna kolęda w przyćmionéj piekarni
Płakała — w rytmy ubrana najlichsze.
Z nią usypiali ludzie gospodarni,
A od serc naszych serca mieli cichsze,
A gdy się rwali z ubogiéj pościeli,
To więc do szabli albo do kądzieli!

I pokazałem wam klasztorne życie —
I pokazałem studentów i żaków,
I pokazałem w przeszłości błękicie
Lud, co nazywał się ludem Polaków. —
Teraz, przy dalszéj zorzy zobaczycie
Las pływający rozwiniętych znaków,
Ten domek w zieleń wiośnianą ubrany —
I usłyszycie, jak puka do ściany

Nieszczęście.... Bądźcie więc wyrozumiali
Dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni!
Spokojne domy także piorun pali,
Chociaż je wiara, chociaż czystość broni;
A jeśli wszystko zważymy na szali,
Nieraz się człowiek rozpaczy uchroni
. . . . . .
. . . . . .

Reszty braknie. (Przyp. Wyd.).

DWA FRAGMENTY

Z DRAMATU

BENIOWSKI.

PIÉRWSZY FRAGMENT [1]).

(Okolica lesista na Litwie. Słychać wrzawę i wystrzały niedalekiéj bitwy).

(PAMFILUS *i* BENIOWSKI *stoją na wzgórku, przypatrując się walce).*

PAMFILUS.

Zatrzymaj się tu, aż dymy opadną.
To piérwsza walka w życia epopei —
Kula wydaje się ptaszyną ładną,
Co świszcze w uchu piosenkę nadziei.

BENIOWSKI.

Przecudny widok: dymu tumany
Jako tumany jesienne lecą,
Szable złotymi listkami świécą.

PAMFILUS.

Czy słyszysz jęki?

BENIOWSKI.

Wiatr obłąkany
Jakieś harf tony w stronę unosi.

PAMFILUS.

Patrz, tam się rumak z ziemi podnosi,
Lecz wstać nie może — złamany ma krzyż.

---

[1]) Właściwie niewiadomo mi, który fragment należałoby nazywać piérwszym, a który drugim. Każdy z nich zapełnia osobny arkusz, bardzo drobno i ściśle zapisany. Na arkuszach tych nie ma liczb paginacyi, po których wnosićby można, na jaką część dramatu każdy z nich przypadał. Wewnętrzna osnowa także wątpliwości téj nie rozstrzyga. *(Przyp. Wyd.).*

BENIOWSKI.

O jak czarownie śmiertelny spiż
Bucha i wyje i błyskawicą
Zamiata ziemię i wszérz i wzdłuż.
Dymy się zdają duchów przylbicą,
A dalsze dymy, do białych róż
Podobne — z ziemi krwawéj wychodzą.

PAMFILUS.

Patrz! dwaj rycerze na siebie godzą
Tam, gdzie z tumanów ziemia odkryta.

BENIOWSKI.

W imię Chrystusa naprzód! — Kobiéta!...
(zbiega ze wzgórka).

PAMFILUS.

Leć, głupcze, i opal sobie skrzydła w ogniu miłości! Leć, głupcze, i bądź, jak Orlando szalony, zbawcą urojonym księżniczki. Twój miecz rąbie jak młot Wulkana... Że téż ręka taka w proch się kiedyś obróci, a dusza taka wypali się w ciele i nie zostawi nawet popiołu!

BENIOWSKI *(wraca niosąc omdlałą Księżniczkę).*

Precz mi z rumaka! patrzaj — draśnięta,
Koń jéj zabity, koń biały jak śnieg;
Leżała pod nim jak róża zmięta...

KSIĘŻNICZKA *(budząc się z omdlenia).*

Któż mię obronił?

BENIOWSKI.

Anioł cię strzegł.
Daléj! — unośmy ją z pola walki!
(wybiega unosząc Księżniczkę).

PAMFILUS.

Za nim! — Miłość go może wydrzéć z moich ręku i powrócić czystym władzom duszy; a to jest człowiek, który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy.
(wybiega za Beniowskim).

(Przed chatą w lesie).

BENIOWSKI *(prowadzi Księżniczkę).*

Odpocząć musisz w téj kurnéj chacie,
Moja Księżniczko.

KSIĘŻNICZKA.

Jeszcze mi słabo...

BENIOWSKI.

Chodź tutaj. — Śpiesz się ojcze i babo!
Otwórzcie wrota!

(Z chaty wybiega CHŁOP *z żoną i dziećmi.*

Cokolwiek macie,
Stawcie na stole. — Co? kwas z piołunem?
Śpiesz mi się prędzéj, ojcze z kołtunem,
I przynieś jasnéj wody źródlanéj.

CHŁOP.

Ne maju wody...

BENIOWSKI.

Nie macie wody? —
Chata podobna łodzi oblanéj
Stawy smutnymi; zwalone kłody,
Sosny ponure i mchy czerwone!
Okropna ziemia!

KSIĘŻNICZKA.

Pragnieniem płonę.

BENIOWSKI.

I nigdzie źródła, nigdzie dokoła?

CHŁOP.

Nikudy źródła.

BENIOWSKI.

Co ty jész?

CHŁOP.

Hryzu
Lilioczki, pane.

BENIOWSKI.

Potok Cefizu
Nie mógł by w lepszą nadpłynąć porę.
Czekaj, księżniczko: kwiatów nabiorę
Z chłopcami tymi i na wyścigi
Zniesiemy tobie białego kwiecia,
A ty ssać będziesz słodkie łodygi,
Sama liliją... *(odchodzi).*

KSIĘŻNICZKA.

Co tutaj śmiecia,
Co tutaj brudu, dobra kobiéto!

WIEŚNIACZKA.

Ne maju hroszy, pannoczko świetna.
(Beniowski wraca niosąc lilie wodne).

BENIOWSKI.

Oto jest, Pani, anielskie żyto,
Woda gołębi — krynica kwietna.

KSIĘŻNICZKA *(ssąc łodygi lilii podanych).*

Prawda, te kwiaty słodkie.

BENIOWSKI.

Twoje słowa
Słodsze daleko! jutrzenka różowa
W twoim uśmiechu...

KSIĘŻNICZKA.

Pan mi zbawił życie? —
Jak Pan przyszedłeś na moję obronę?

BENIOWSKI.

Po turkusowym oczu twych błękicie
Jako po gwiazdach, co zdobią koronę
Najświętszéj Panny, byłem wiedzion w boju.
Ujrzałem ciebie przy skrwawionym zdroju
Pod koniem twoim, co jak śniegu bryła
Leżał na jasnych wiośnianych fijołkach
I gniótł niewinne...

KSIĘŻNICZKA.

O tak! ledwiem żyła.

BENIOWSKI.

Uśmiech się kryje w twoich jasnych dołkach;
Ale sen ciężki, jak smutek, tęsknota,
Leży na czole, jak błękitno-złota
Chmurka na niebie.

KSIĘŻNICZKA.

Niech mię Pan zawiedzie
Do chaty: zasnę. Może brat nadjedzie —
Będzie mię pewnie szukał w całéj puszczy.
(Beniowski wraz z wieśniaczką wprowadzają Księżniczkę do chaty. — PAMFILUS *wchodzi).*

PAMFILUS.

Czy tu przyszedł młody panicz?

CHŁOP.

Pryszou.

PAMFILUS.

Gdzież są?

CHŁOP.

Moja baba zawedła do chaty.

PAMFILUS.

Dam chłopcu twojemu dwa grosze — niech pobiegnie na kopiec. Znajdzie tam pana konno; — niech mu powie, że siostra jego, księżniczka, znalazła się, a ten pan mu da groszów i was uszczęśliwi.

CHŁOP.

Dobre, panyczu.

(Chłop wyprowadza chłopca, i sam wraca po chwili. — Z chaty wychodzi BENIOWSKI).

BENIOWSKI.

Od niéj się chata rozpromieniła
Jak alabastru słoneczna bryła.

PAMFILUS.

Co? czy spać poszła?

BENIOWSKI.

Zamknęła oczy
I rozsypała tęczę warkoczy.
Lecz gdym wychodził, jak dwie pokusy
Z pod listków białych oczy turkusy
Jasne i duże łysnęły do mnie...

PAMFILUS.

Cóż będziesz robił?

BENIOWSKI.

Co? — myślał o niéj.

PAMFILUS.

Słuchaj mię, jeśli możesz, przytomnie:
Kto chce laur złoty nosić na skroni,
Powinien liczyć serdeczne bicia
I nie posuwać zégaru życia...

Ale to wszystko nic. — *(do chłopa)*. Chodź tu, chłopie! — Ten chłop jest wielkim mitologiem: pogadaj z nim, on cię może wprowadzić w nieznajome myśli krainy. — Miłość nie jest jedyném

nadpowietrznem marzeniem — są inne równie piękne. Raz się im oddawszy, można zapomnieć, że Ewa zjadła jabłko rajskie i urodziła miłość z grzechu ciekawości.

BENIOWSKI.

Jakże? — ty chcesz, abym zatrzymywał oczy moje na tym chłopie, który w porównaniu z nią nie jest nawet człowiekiem?

PAMFILUS.

O jakże ty daleko epoki wielkich gawęd, która nadejdzie, i to, co teraz mówisz, poczyta za bluźnierstwo. Że też się ludziom przyszłość nie przyśni! — Cóżkolwiekbądź, nie gardź mitologią chłopa. — Ja ci powiadam, że gdyby Homer z harfą złotą stał na twojém miejscu, stroiłby teraz pieśni narzędzie i słuchał, co ten niedźwiedź zarosły włosami opowie. — *(Do chłopa).* Chodź tu, potomku Gedymina! Jak ci na imię?

CHŁOP.

Grażułas, panyczu.

PAMFILUS.

Czy daleko stąd do Wilna?

CHŁOP.

Nie wiedaju.

PAMFILUS.

A do Boga?

CHŁOP.

Oj, dałeko, panyczu!

PAMFILUS.

A do słońca?

CHŁOP.

Do staryka?

PAMFILUS.

Tak.

CHŁOP.

Staryk sołńce żywie za jetym lasom — het, het, dałeko za lasom. Chatoczka jeho na kurij łapci.

PAMFILUS.

Rozumiesz? Febus litewski mieszka za sosnową puszczą w chacie na kurzéj łapce. — *(Do chłopa).* Mów daléj, mitologu grecki!

CHŁOP.

Na kurij łapci, panyczu, chatoczka — a staryk z żenkoju staruchoju zapalaje szczo ranka szczop smolnoho łuczywa, taj wychodyt z chaty, i niesiet nad hołowoju ohoń, szczob buło wydno.

PAMFILUS.

Uważaj: starzec zapala sito ze smolnych gałęzi i idzie po niebie, trzymając w ręku słońce. — O Faetonie! —

CHŁOP.

A żinka starucha derżyt misiać w boczci.

PAMFILUS.

Miesiąc w beczce pod dozorem staruszki! Z tego wniosek, że żony mają zawsze w swojém posiadaniu rogi gotowe, które zatrzymują w głębi beczułek, to jest w pewnym rodzaju piscin (?) Salomonowych. — Daléj, beocki wieszczu!

CHŁOP.

Tak weczerom żinka wychodyt, taj nese misiać nad hołowoju.

PAMFILUS.

Dyana!

CHŁOP.

Taj wsio, panyczu.

PAMFILUS.

Czekaj — spróbujemy tego słonecznego systemu logiką. — Powiédz mi, Hezyodzie, dlaczegoż w zimie słońce prędzéj powraca do chaty?

CHŁOP.

Staryk na morozie merznet, taj idet pid pieczku spaty i hrejaty sia.

PAMFILUS.

Dobra przyczyna! Kopernikowska przyczyna! Staremu bogu zimno, więc powraca coraz prędzéj za piec. Ptolomeusz płacze w piekle ze złości.

BENIOWSKI.

Jednak to wszystko cudowne, Pamfilu!
W puszczowéj głębi chata z jasném łonem,
Tam żyje Baucys stara z Filemonem.

PAMFILUS.

Do ognia lecisz, żałobny motylu;
A ja ci drogę zamiotę ogonem.

BENIOWSKI.

Słońce się w myślach ludu zestarzało:
Już nie Faeton, nie młoda Dyjanna —
Lecz groźny stary Litwin z głową białą,
Lecz stara wiedźma z piersią wyschłą, suchą,

Jakaś uwiędła słowiańska Marzanna,
Hekate puszczy...

PAMFILUS.

Szkaplerz za pazuchą,
Na głowie księżyc krwawy lub niebieski;
Pierś ma obwisłą jak posąg efeski,
Czerwona — jako marmurowe glazy,
Czasem zczerniała... cóż? — kończę obrazy.

BENIOWSKI.

I oni kiedyś musieli być młodzi,
I oni kiedyś miłością różowi
Wschodzili razem, jak jutrzenka wschodzi.
Myśl o poranku ich, podobna snowi,
W pamięci mojéj cały Eden rodzi,
Pełny róż, złotych jabłek i narcysów.

PAMFILUS.

Rafaelowskich pełny jesteś rysów.
Dobrze, zakochaj się w marach, co błyszczą.
Takie miłości żywota nie niszczą.

BENIOWSKI.

O! chciałbym tych puszcz zgłębić tajemnicę,
Co w nich tak smutnie szumi i wzdycha.
Chciałbym pić z polnych kwiatów kielicha
Rosę i wonie, aż się nasycę.

PAMFILUS.

Czekaj: zapytam chłopa, czy w lesie
Są jakie nimfy? — pójdziemy szukać,
A baba niech nam kwasu przyniesie.
(Do chłopa).
Chłopie, kiedy zaczniesz kukać,
Czy co w lesie odpowiada?

CHŁOP.

Kryczyt w lesie Świtezianka.

PAMFILUS.

Słyszysz, Maurycy — Dryjada!
(Wieśniaczka wynosi dzban z chaty).
Napij się kwasu ze dzbanka.

BENIOWSKI *(pociągnąwszy z dzbanka).*
Gorzki!

PAMFILUS.

Chłopska Hipokrena!
(do siebie).
Z głowy mu wyszła kochanka
I odmieniła się scena
Jak na teatrze.'
(Do chłopa) Hej chłopie, prowadź nas w las nad jezioro, gdzie Świtezianka twoja kąpie się. Na Bachusa, co się upił kwasem litewskim i zdobył Indye po pijanemu, schwycimy tę boginią za skrzydła. — Słońce bliskie zachodu: prowadź, chłopie!

BENIOWSKI.

Myśli we mnie kręcą się.
(Wychodzą).

(Wjeżdżają książę KAROL RADZIWIŁŁ, *ksiądz* KANTEMBRYNG, *i* MORAWSKI *porucznik, prowadzeni przez chłopię — zsiadają z koni).*

RADZIWIŁŁ.

Mości Kantembryngu, pójdź Wacpan do téj kurnéj chaty i zbesztaj ją, a każ, niech siada na koń! — Nigdy mię więcéj, panie kochanku, z babami nie wywiodą w pole. Że przegraliśmy, to bab wina: — jedna z szabelką na koniu jak ś. p. królowa Wanda, druga w karecie za mną pani Branicka jak Rzepicha... Moskale przez grzeczność, panie kochanku, co strzelą — to nie w kobiéty, ale we mnie. — Że żyję, to cud Matki Boskiéj Częstochowskiéj, bo wszyscy moi przyjaciele w piérwszym ogniu zginęli. — Nieprawdaż, panie kochanku?

KANTEMBRYNG.

Nie wiem, Mości Książę, bo ja w piérwszym ogniu zginąłem.

RADZIWIŁŁ.

Ale prawda, panie kochanku, że do mnie strzelali?

KANTEMBRYNG..

Tak, bez wątpienia, Mości Książę.
(wchodzi do chaty).

RADZIWIŁŁ.

Kontusz mi cały podziurawili, drugiego nie ma za co spra-

wić! — Nieśwież zabrany, dobra poniszczone i zajęte — na żebraka pójdę, panie Morawski.

MORAWSKI.

Niespokojny jestem, czy Księżniczka nie ranna.

RADZIWIŁŁ.

Co Wacanu myśleć o księżniczce? — Nie podnoś oczu tak wysoko, panie kochanku, bo zobaczysz dziesięć tysięcy gwiazd i Najświętszą Pannę, do góry nogami jak w księdza Poczobuta teleskopie.

MORAWSKI.

I zobaczę szablę Waszéj Książęcéj Mości, którą mu dziś tak kozak z rąk wyświsnął, że poleciała na księżyc.

RADZIWIŁŁ.

Piérwszy to jest znak upadłéj fortuny,
Że przyjaciele gorzką mówią prawdę.
Dziękuję Waści, żeś mi nie oszczędził
Na moim krzyżu żółcianego kubka.
Dziękuję Waści, żeś mię zaczął uczyć
Języka, którym do wygnańców mówią
Obce narody, gdzie się idę błąkać. —
Będzie to dla mnie kąsek niestracony!
A żem jest wdzięczny, ostatnim ci płacę
Moim pierścieniem.

MORAWSKI.

Książę miłościwy,
Daruj!... Te usta chléb twój jadły wczora,
A dziś już — smakiem zaprawne piołunu —
Jak harfa w jakiéj nieuważnéj ręce
Fałszywie jękły, ażem się sam wzdrygnął.
Daruj, mi Książę — na kolanach proszę,
Abyś mi nigdy słów tych nie pamiętał,
Słów, które będą w samotnych godzinach
Same do mojéj chaty przychodziły
Jako natrętne sumienia dłużniki,
Których zapłacić nie ma czém sumienie.

RADZIWIŁŁ.

Wstań i wesołéj myśli bądź, kochanku;
Pamiętam dobrze, żem ci winien życie,
A teraz cię sam piérwszy obraziłem
W miłości własnéj...

(KSIĘŻNICZKA *wychodzi z* KANTEMBRYNGIEM *z chaty*).

Lecz oto Księżniczka. —
Pogódź nas obu, miła mościa panno,
Bośmy się tutaj o ciebie skłócili.

KSIĘŻNICZKA.

Ksiądz was najlepiéj obudwu pogodzi.

RADZIWIŁŁ.

Między was także pono wsadzę księdza.

KSIĘŻNICZKA.

O! nie czas, bracie, o tém dziś rozmawiać!
Niech mi podadzą konia! — Gdzież mój zbawca?

RADZIWIŁŁ.

Nikogośmy tu nie zeszli przed chatą.

KSIĘŻNICZKA.

A więc nie czekał, aż się wdzięczność zbudzi...
(wsiadając na konia).
Panie Morawski, konia mego pilnuj,
Bo nie mam siły ni myśli ku temu.

RADZIWIŁŁ.

Jedźmy! jesteśmy do szczętu rozbici.
Pan Hetman już pojechał do Galicyi:
W tę samę drogę i nam się należy.
(odjeżdżają).

(Jezioro śród lasu — Noc miesięczna).

BENIOWSKI, PAMFILUS i CHŁOP.

BENIOWSKI.

Księżyc się w jeziorze pali,
Nie ma wiatru — nie ma fali;
Lecz przez błękitną ciemnotę
Przelatują muszki złote.

CHŁOP.

Tu wziała za hołowu i kinuła w wodu pastucha. Nikoły uże ne pryszou, nebożycha żywe pid wodoju.

PAMFILUS.

Wyjdzie on kiedyś z wody — ale nie pastuchem, tylko niemiecką balladą. — Idź, chłopie, i naucz się czytać.

CHŁOP.

Diakuju panam. *(odchodzi).*

PAMFILUS.

Cóż? jesteś w zadumaniu?

BENIOWSKI.

Dziwny zapach!..

PAMFILUS.

Woń zwiędłego liścia — perfuma przyszłéj poezyi. — Lecz chodź ze mną.

BENIOWSKI.

Którędy?

PAMFILUS.

Tu.

BENIOWSKI.

Wody się rozstępują — piasek srebrny wabi mi stopy.

PAMFILUS.

Daléj!

BENIOWSKI.

Woda się nad głową łączy,
Miesiąc się przez wodę sączy,
Czasem kroplą złotą ciecze,
Czasem srebrne rzuca miecze.
Ciemno — zimno — i zielono...
Cóż to za mara? — prześliczna!

PAMFILUS.

Rzuć! to muza romantyczna.

BENIOWSKI.

Cudna! z tęczową koroną,
Z twarzą dziecinnych aniołków;
Od niéj leci woń fijołków
I zapach wiośniany miły —
Za nią krzyże i mogiły.

PAMFILUS.

Krzyże i mogiły samobójców! — Chodź daléj! Jesteś w Olimpie.

BENIOWSKI.

Gwiazda nad jéj czarną brwią...
Jezu! z ust buchnęła krwią.

PAMFILUS.

Nie wspominaj tu świętych! — Krew niech cię nie przeraża: — powiem ci pod sekretem, że ta piękna nimfa ma suchoty.

BENIOWSKI.

Obrusem krwi z gęby leje —
Cały podziem czerwienieje.

PAMFILUS.

Idźmy daléj!

BENIOWSKI.

Nawet tęcza
Jak krwawego pół obręcza —

PAMFILUS.

Biały kolor przy czerwonym pięknie wygląda... Rozkrój najpiękniejszą kobiétę, a cała czerwona, jak rak ugotowany! — Poezya, któréj boginią jest ta nimfa, rozkroi kobiétę: lecz co w niéj zobaczy?! — Tfu!... rzeczy, o których się nie śniło Agamemnonowi, kiedy nożem ofiarnym dobywał serce Ifigenii. Lecz są lilie — są lilie — są lilie! Lecz patrz — jesteśmy w garderobie wiekowego kolorytu: tu się ubierają poemata, które kiedyś na świat wyjdą.

BENIOWSKI.

Widzę — lecz braknie mi tchu.
Ta kobiéta z twarzą złotą
Na wzgórzu z białego mchu;
Węże się koło niéj plotą,
Pogański w powietrzu śpiew.
Patrz — z błota wytryska lew
Widny tylko do połowy —
Orzeł mózg mu dzióbie z głowy.

PAMFILUS.

Ta kobiéta — to Indyanka; a ten lew — to Witołd; a ten orzeł — to orzeł. Czy ci jasno?

(Ciemnieje — chmury miesiąc zakrywają. Wicher się zrywa, czarci w potwornych postaciach latają w około).

BENIOWSKI.

Na sosnach siedzą czarne straszydła,
Gałęzie łamią, a drzewa jęczą.
Nad głową moją szeleszczą skrzydła
A pod nogami pieniądze brzęczą.

(Rozmaite widziadła ukazują się i znikają jedne po drugich).

PAMFILUS.

Przeklnij to piekło narodów, które się nie skończyły, i chodź daléj. Pokażę ci kuźnię przyszłości. — Tam zobaczysz, czy człowiek winien się opierać w Termopilach — i będziesz mógł przysiąc albo odprzysiąc się.

BENIOWSKI.

Dlaczego milczą te mary?

PAMFILUS.

Bo nie mają co powiedzieć — rzecz prosta — bo nie mają co powiedzieć. — Daj im dzidy i życie, a będzie na świecie krzyku dosyć.

BENIOWSKI.

Smutek mię ogarnął dziwny.

PAMFILUS.

Spojrzałeś na zégar stojący.

BENIOWSKI,

W twarz mi bije wiatr przeciwny,
Jakiś straszny wiatr błyszczący.

PAMFILUS.

To z błyskawic wicher wieje
I od przyszłości odpycha.

BENIOWSKI.

Za tym wiatrem coś się śmieje
I coś płacze i coś wzdycha.

PAMFILUS.

Walkirye męczą Hamana.

BENIOWSKI.

Jakaś woda po kolana —
Daléj — tu drzwi: ha! zamknięte.
We drzwiach stoją węże wzdęte
Z szyją czarną i niebieską,
Zbite, jako deska z deską.
Obrócone ku nam gady
Z gardł płonące leją jady;
Jad rozlewa się i pali.

PAMFILUS.

To morze piekielne Walhalli!
Tu był skąpany Achilles: — dobrze umocz pięty, pamiętając na bramę Scejską. Gdybyś był nie gonił za dziewczyną, co

miała tęczę na głowie, nie zamoczyłbyś teraz butów w jadzie wężowym. — Widzisz, że z wszystkiego dobry człowiek może wyciągnąć moralną naukę.

BENIOWSKI.

Chodź za mną! — Coś błyszczy za morzem,
Przerznę się przez węże nożem.
A! a!

PAMFILUS.

Widzisz? — plac Odyna!

BENIOWSKI.

Drzewy zarosła dolina,
Pałac ze srebra na górze —
Na najwyższym stoi murze
Wiedźma, w błyskawicach cała.

PAMFILUS.

Tak! na głowie ma błyskawice, jak krągły słomiany kapelusz. — To Walkirya, a ten pałac jest arsenałem księżyców.

BENIOWSKI.

Jakto?

PAMFILUS.

Cóż, kiedy mi ty zaraz wystąpisz z astronomią i śmiać się będziesz z tego, co powiem.

BENIOWSKI.

Na Boga, mów! — Widzę trupa,
Co w bramę zamkniętą trąca.
Na nim leży twarz miesiąca
Jako na żółwiu skorupa,
W ręku miecze oburęczne. —
Patrzaj, już wchodzi do bramy
I przez okien puste ramy
Wylewa się światło miesięczne.

PAMFILUS.

Mówiłem ci, że zamek jest składem księżyców. — To, co ty widzisz na ziemi i nazywasz księżycem, a co się wydaje czasem okrągłe, a czasem rogate: nie czém inném jest, jak tarczą albo łukiem, który po śmierci niosą dusze rycerzy i tu składają w zbrojowni, aby się czém mieli bronić w dzień ostateczny, kiedy wilk będzie połykał słońce.

BENIOWSKI.

Co mówisz? — w dzień ostateczny
Wszystkie trupów milijony —
Każdy ma księżyc czerwony
Przed piersią i łuk słoneczny? —
Gdzieś na ciemnym niebios rogu
Takie wojsko przeciw Bogu?

PAMFILUS.

Nie zapalaj się, bo to jest Skandynawia, kraj zimny; — możesz dostać kataru.

BENIOWSKI.

Tęcza ognistych księżyców..

PAMFILUS.

Patrz raczéj tam pod drzewa! Widzisz jeden z najdziwaczniejszych pojedynków? Od czasu Don Kiszota nie było tak głupiéj walki. — Patrz! — Odyn ją rozetnie na trzy części, a potém zjé i popije czarą hydromelu i strawi.

BENIOWSKI.

Na Boga! jakaś dziewczyna
Na białym walczy rumaku.
Zbroja szmelcowana, sina,
Tarcza bez żadnego znaku —
Lecz na hełmie gwiazd girlanda.

PAMFILUS.

Przypatrz się, to święta Wanda,
Co dziś jak spita od chmielu
Powstała we śnie z Wawelu
I tu się jak rybka rzuca.

BENIOWSKI.

Zabił ją, wstąpił na płuca!
Za mną!!

PAMFILUS *(zatrzymując go)*.

Gdzie lecisz, szaleńcze?

BENIOWSKI.

Zemszczę!

PAMFILUS *(do siebie)*.

Czas rozwinąć tęczę.

(Wszystko znika. Okazuje się znowu jezioro w dali, na przedzie mogiła; pod nią BENIOWSKI, PAMFILUS *i* WALKIRYA).

BENIOWSKI.

Jezu mój! — gdzie ja jestem?! — Kto jesteś, przeklęta
Czarna kobiéto z piorunem na głowie?
W ręku twym księga — w koło wicher i tętenta.
Lecę mścić się — tam jacyś walczyli duchowie
O co? nie wiem — lecz krew mi zawrzała namiętnie.
Choćby śmierć była w każdym z tych wichrów i tętnie,
Lecę mścić się, opierać — w ziemi i pod ziemią!

PAMFILUS.

Siądź i myśl.

BENIOWSKI.

Zimno mi.

PAMFILUS.

Siądź tylko — tu, na mogile! Dobra rada: — pomyśl pierwéj nad tém, co zamyślasz. (BENIOWSKI *siada*).

WALKIRYA.

Patrz teraz i mów!

BENIOWSKI.

Słabo mi — ten grobowiec zimny... Śnią mi się rzeczy straszne —

WALKIRYA.

Przeciwko tym i wszystkim?..

BENIOWSKI.

Nie mogę mówić —

WALKIRYA.

Zdecyduj się!

BENIOWSKI.

Choćbym miał ich zabijać duszą moją — do śmierci...
(pada i mdleje).

WALKIRYA.

O! gdybym łzy miała... *(do Pamfila).* Weź tego człowieka.

PAMFILUS *(biorąc Beniowskiego).*

Chodź na scenę świata. Poniosę cię na ramionach i rogami będę podrzucał. — Opór sam myśli kosztował ci dwa lata życia i pozbawił kochanki: a ty myślisz, że myślą można przelecieć nieskończoność, wyleciawszy z rana, i powrócić jeszcze na obiad? — Chodź, Achillu!... Do widzenia, Walkiryo!
(Odchodzi z Beniowskim).

DRUGI FRAGMENT.

(Okolica dzika i bezludna).

(Występują CHRYSTUS, MARYA *i* ŚW. PIOTR).

CHRYSTUS.

O Jeruzalem, Jeruzalem słowiańska! przychodzi godzina, że będziesz rozwaloną i rozbitą jak naczynie garncarza. —

Dla czegoście wy mury nie szły na południe? Dla czegoście wy wieże nie szły z krzyżami na głowach, mówiąc: Chrystus! Chrystus!

Stałyście na miejscu, jako morze bez fali, zasypiałyście jako trumny ołowiane; gdzie była praca i kuźnia nowych myśli, nie było was.

I powiedzą inni ludzie do pana winnicy: na cóż bierzesz robotnika onego, który śpi, który teraz późno przychodzi do winnicy, bez sierpa i bez siekiery?

Podniosę rękę nad tobą — lecz nie potępię: — albowiem będziesz ty ukrzyżowaną w dzieciach twoich i położoną w grób przez dzieci twoje i zmartwychwstaniesz przez dzieci twoje.

Przyszedłem w nocy cichéj z matką moją, abym cię pożegnał idącą do mogiły: — przyjdę w noc piorunową, abym cię widział zmartwychwstającą i powitał.

Albowiem już nie tamta, która stoi nad potokiem Siloe w cieniu drzew oliwnych, ale ty jesteś Jerozolimą moją i grobem moim.

MARYA.

Panie, tyś się zamyślił.

GŁOS Z MOGIŁY.

Skoczyłam do Wisły, cała w zbroi,
Kiedy biła godzina rozpaczy:

Dziś na grobie moim Chrystus stoi —
Wspomni o mnie mój Pan — i przebaczy.

CHRYSTUS.

Matko, ta mogiła woła do mnie z wnętrzności...

GŁOS Z MOGIŁY.

Leżę w hełmie u nóg mego Pana: —
Niech mię wskrzesi w pancernéj odzieży!
Na mym hełmie z gwiazd girlanda różana,
A krzyżowy miecz podemną leży.
Niech mię wskrzesi — ja piękna i młoda —
Niech mię wskrzesi, niech rękę mi poda!

MARYA.

Panie mój, azaliż ty nie możesz wziąć téj dzieweczki za rękę i podnieść z grobu?

CHRYSTUS.

Ujrzeliby ją i nie uwierzyliby ani w miecz jéj, ani w duszę jéj, ani w piękność jéj. — Z mogiły jéj wyprowadzę siedm kwiatów białych, i to będzie siedm oliw moich, pod którymi płakałem. Tu, w ogrodzie bieli, proście, aby Pan odwrócił kielich goryczy od was: tu się módlcie!

(Widać zdala PAMFILA *i* BENIOWSKIEGO.

ŚW. PIOTR.

Panie, tam przechodzi szatan — i prowadzi człowieka! Widzisz ich na téj czerwonéj chmurze, co jak wąż z ognia leży na kręgu ziemi? Idą śpiesznie.

CHRYSTUS.

Dozwoliłem, aby człowiek ten oddany był na pokuszenie i spróbowany w ogniu. — Stało się.

ŚW. PIOTR.

Pozwól, że mu zajdę drogę i ukażę się na polu odkrytém.

CHRYSTUS.

Jeszcze nie czas. — Duszo, unieś nas!

(Znikają).

BENIOWSKI i PAMFILUS.

BENIOWSKI.

Stańmy tu gdzie na uboczy —
Mdleję z czczości i tęsknoty.

Tak mi bije ciągle w oczy
Ten schylony miesiąc złoty,
Tak mi ciągle myśl roztrąca
Bijąc w czoło...

PAMFILUS.

Jesteś pewny,
Że nic więcéj prócz miesiąca?

BENIOWSKI.

Rosa zimna — miesiąc rzewny —
Wiatr przeciwny i nic więcéj.

PAMFILUS *(do siebie)*.

To dobrze. — Myślałem już, że siódmym zmysłem obaczył tę trójcę na spacerze i będzie mi zadawał pytania, jak młokos stojący przed obrazem Rafaela z piérwszéj szkoły. — A teraz kijem pobijmy głowy tym liliom. *(łamie kijem lilie rosnące w około)*.

BENIOWSKI.

Co to jest? — Nie widziałem nigdy, żeby lilie dziko rosły na polu, zwłaszcza na miejscu wyniosłém i suchém.

PAMFILUS.

Tak, to jest rzecz dosyć dziwna.

BENIOWSKI *(patrząc ku górom)*.

Więc to są moje rodzinne Karpaty! —
Oto nad niemi niebo się rumieni —
Powstają ze mgły w koronach z promieni...
Słońce wyleci jak orzeł skrzydlaty —
Lecz nie wiem jeszcze, z któréj wejdzie góry...

PAMFILUS.

Słońce? Jak orzeł mówisz złotopióry...

Trudno przewidzieć, gdzie wejdzie: — dziwne ma gusta! Raz ledwom mu w złotą nie zamalował papę... Patrzysz zdziwiony? — Czy myślisz, że słońcu nie można dać w pysk? — Panteistycznie biorąc rzeczy, będzie to sacrilegium — ale jest rzeczą podobną. Słuchaj tylko: [1])

---

[1]) Ustęp następujący tak co do głównego toku myśli, jako też co do pojedynczych obrazów, a nawet i wyrazów, przypomina wiersz p. t. »Wschód słońca nad Salaminą,« zamieszczony w I tomie niniejszego wydania str. 188. *(P. W.)*.

Jechałem raz po falach Salaminy.
Kaika grecka siekła kryształ zbity —
Żagle jak srebrne konchy Amfitryty
Wydęte wiatrem — w tych muszlach majtkowie
Każdy jak rycerz złoty — srebrny — siny,
Z czerwonym klefta płomieniem na głowie...
Słuchaj, bo to poemat...
Fale wesołe nad łodzią tańczyły —
Słońce wstać miało, jak płomień z trójnoga. —
Słońce, myślałem, że wstaniesz z mogiły
Temistoklesa, jak z mogiły boga,
I będziesz wiary nowéj jasnym gońcem,
Jakby rycerza trup zmartwychwstał słońcem!
Lecz — (o głupia gwiazda!) —
Lecz weszła, gdzie był tron Xerxesa złoty,
Skąd widział, jak tył podawały floty,
Skąd się Greczyna przypatrzył odwadze! —
Stamtąd buchnęło w ogromnéj powadze
Czerwone słońce, jak król na dywanie. —
O słońce, złoty chaldejski bałwanie!
Jeśli ty wiesz, gdzie wschodzić...

BENIOWSKI *(pogrążony w swych myślach)*.

Ranek świeży —
Mgły srebrne skrzydło na Karpatach leży —
Śnieżyce palą się jak rubinowe...

(Widać idącego drogą KRAKOWIAKA).

PAMFILUS.

Odwróć tam zadartą głowę!
Patrz — idzie Krakowiak i śpiéwa
Jak szczygieł z łebkiem czerwonym
Pomiędzy bukowe drzewa. —
Nie bądź mi tak zamyślonym!
Świat się budzi i weseli
I wkrótce słońcem wystrzeli
Jako butelka szampana.

KRAKOWIAK *(śpiéwa)*.

Ej! ej! danaz moja, dana!

PAMFILUS.

Słuchaj, jak ten człowiek śpiéwa.

KRAKOWIAK *(śpiéwa)*.

Moja zonka sła bez mosta —
Ty kapucyn, ja starosta.

PAMFILUS.

Słuchaj homerycznéj pieśni ludu! Są to tak nazwane nonsensy, z których kiedyś ułoży się Iliada — jak ciebie nie będzie na świecie.

KRAKOWIAK.

Ty Rzepicha swego Piasta —
Za trzy grose bułka ciasta!

PAMFILUS.

Słuchaj! — Widzisz: w tych wierszach jest myśl, jak posąg rodyjski jedną nogą oparta na historyi bajecznéj, a drugą na dzisiejszéj statystyce — — prawdziwy monument! — *(do Krakowiaka)*. Powiédz mi, bratku, czy daleko stąd do Czarnego Zamku Beniowskich?

KRAKOWIAK *(śpiéwając)*.

Oj daleko, oj daleko
Moja rybo — bo za rzeką.

PAMFILUS.

Widzisz, tu jest nowy element — dowcip .. ex promptu! *(do Krakowiaka)*. A powiédz mi, którędy droga?

KRAKOWIAK *(śpiéwając)*.

Prosto idźcie tą ulicą —
Az las będzie kamienicą,
Az doliną będzie góra,
Jajko, kurcę — potém kura:
A zajdziecie tam za ciemka,
Gdzie jest studnia i karcemka;
Przy karcemce studnia stoi,
Gdzie się kacka sama poi —
Za studzienką most ze złota,
Tam o restę spytaj kota!

PAMFILUS.

Jakiby z tego człowieka był Arystofanes!... O! jak mało potrzeba wieśniakowi! — Rozradował się własnym dowcipem i patrzy na nas jak na Heloty. — Cóż? wiemy drogę do zamku twego — chodźmy! *(do Krakowiaka)*. Chodź no, bratku! *(daje mu grosz)*.

Masz za twoję naukę bąka saskiego: włóż go w usta, a będziesz niewidzialny. Jeśli zaś to, co obaczysz i usłyszysz w chacie, nie podoba ci się: to wybij żonę i klechę i przyjdź do Czarnego Zamku — po lekarstwo. Rozumiesz?

KRAKOWIAK.

Niski sługa Jegomości?

PAMFILUS.

Lecz nie mów księdzu, żeś nas spotkał, bo ten grosz straci wartość i cnotę.

(Rozchodzą się w przeciwne strony).

Tu pozwólcie, że wyjdzie na scenę poeta [1])
I wziąwszy w usta konchę bogatą perłami
Pieśniorodnymi, zabrzmi jak jeden z aniołów,
Co Amfitrytę morzem błękitném prowadzi
I ogłasza królową wesołym delfinom
Pieśnią pełną tryumfu. — O tak! — Amfitrytą
Jest dla mnie Polska, morzem płynąca zbożowém,
Pełna wdzięku i bieli. — Opowiem więc prosto,
Że ta królowa — słysząc idące z północy
Burze, kazała nimfom zaprzęgać łabędzie
Do srebrnéj muszli, sama usiadła na wozie,
Kiedy łabędzie, bliskie konania, śpiéwały
Pieśni smutne — i łzami zalana jechała
Do Olimpu, Jowisza groźnego ubłagać...
Lecz Jowisz leżał martwy pod krzyżem Chrystusa!
Czoło jego rozbite i mózg rozbryzgany —
Piorun się jeszcze w ręce ostygłéj dopalał
I rzucał złote błyski na krzyż i drugiego
Boga, zawieszonego na drewnie skrwawioném.
Zdala Walkirye z niebios otwartych patrzały,
Śpiéwając straszne runy, a ze skał Kaukazu
Wisiał Prometeusza trup z piersią rozdartą
I pustą. — Przez ten Olimp skrzydłami białymi
Przeniosły cię łabędzie, o Polsko, śpiéwając —

---

[1]) Cały ten wiersz, wstawiony w środek dramatu w kształcie niejako Parabazy, jest przekreślony w autografie. *(Przyp. Wyd.)*.

Aż utuliły do snu, a potém usiadły
I konały, wylawszy swe życie pieśniami. —
A ty się obudziłaś, gdy już ich nie było.
Prosto więc poszłaś w gaje, pomiędzy sosnami
Siąść na bladych konwaliach. — Tam ciebie spotkałem —
Tam kazałaś mi śpiéwać to niebo skrwawione,
Te umarłe łabędzie i wdowią niedolę —
Podobna do posągu smutnego Nijoby.
Wziąłem więc w rękę lutnię i pośród rycerzy
Najśmielszego wybrałem; — a wprzódy mu rękę
Położyłem na sercu, czy biło jak ludzkie?
Czy się nie skruszy, wielką dotknięte żałością?
O rycerzu więc owym, co był ci do końca
Wiernym i różnéj nędzy dla ciebie kosztował,
Śpiéwać będę... i może ta pieśń nie przeminie.

Widzicie go więc teraz, że w ręku szatana
Traci młodość i z duszy ociéra skrzydlatéj
Motyle piérwsze blaski uczucia i wiary;
Widzicie go, że ufność mu wyszła na hańbę,
Że się dworskie tryumfy skończyły więzieniem.
Kiedy więc z jednéj strony po wielkich mogiłach
Stąpał Chrystus, jak człowiek, co gwiazdy złotymi
Ma napełniony przetak i z garści je sypie
Na przeorane pola: — to wtenczas po nocy
Na krwawych chmur czerwieni — podobni złodziejom —
Snuli się ludzie trudu — z sinymi twarzami,
Goniąc za szczęścia marą i widmem nadziei,
Która jako horyzont jest niedoścignioną.
Tak idąc, zaszli wkrótce do Zamku Czarnego,
Który stał na granicie, a las miał bukowy
Pod swoimi nogami, nad sobą zaś śniegi
I ciemne Oko-morza, zastygłe jezioro. —
Zamek ten za pomocą hucułów zbójeckich
Na szwagrach swoich zdobył Beniowski orężem
I wypędziwszy z domu nieprawe dziedzice,
Osiadł w pustym pałacu i w ciemnych komnatach
Założył straszną myśli pracownię — z szatanem,
Aż z głębokości ziemi wywołał na jawę
Córki... wielkich tajemnic. — Tymczasem hucuły

W bliskich grotach i w skałach, gdzie orły mieszkają,
Wieszali się nad zamkiem i z prawy ludzkimi
Toczyli straszną walkę. —

Jednego wieczora,
Gdy Beniowski w samotnéj zamknięty komnacie
Dumał, a przez tęczowe się szyby cisnęło
Rozpłomienione słońce: nad lasem bukowym
Stanęła przed nim matka umarła — w czamarze
Atłasowéj... i rzekła boleśnie: — Mój synu!
Czemu ty próżnym myślom oddałeś się cały,
Wtenczas kiedy ojczyzna już bliska skonania,
A jam jest nie zemszczona?! — [1])

---

[1]) Tu następuje ustęp w rękopisie, który — ile wnosić można — miał zastąpić dziewięć ostatnich wierszy, przekreślonych przez autora zaraz po ich napisaniu:

Spada cień wieczora —
Słońce ogniste weszło między buki,
Las cały skrwawiał, zajęczały kruki. —
Szatan wywołał w zamku cień Hektora:
W ogromnéj zbroi, z krwawą w sercu plamą
I w hełmie stanął, jak pod Scejską bramą
I rzekł: — Beniowski, podobne cię losy
Czekają na téj ziemi. . Będziesz zbity,
Kurz zwala blaski twojéj śnieżnéj kity
I krew poklei twoje krucze włosy!
Jak ja pod Troją — zginiesz i płomieniem
Będziesz pożarty — reszta jest milczeniem...
Westchnął i zniknął. — A Beniowski blady:
— Wywołaj jeszcze mi kogo z pod ziemi!
Rzekł, i z gwiazdami na czole srebrnymi
Wyszły dwa cienie: synowie Hellady,
Kastor i Pollux — i wrzasnęli razem:
. . . . . .
. . . . . .

AKT DRUGI.[1])

Tu powietrze roztopione,
Płomieniste wieją zdroje,
W tém powietrzu serce moje
Całe płonie — cały płonę —
Czuję zimny dreszcz we włosach —
Gdzież jest miłość? czy w niebiosach?
Czy ją można wolą stworzyć...
Czy przywołać zachwyceniem?..
Muszę zwiędły wstać i ożyć,
Zlać się z iskrą — wstać płomieniem...

PAMFILUS.

Chcesz miłości, już gotowa...
Czy gdzie gwiazda brylantowa
Przemieniła się w kobiétę
I tu z niebios ciemnych spada?..
Czy gdzie z buków tych Dryjada?
Czy wywołasz Amfitrytę?
Tam u śniegów — tam wysoko,
Gdzie jak kryształ — Morskie Oko

. . . . . .
. . . . . Tam gdy noc zapadła,
Jawiły się w ciemności okropne widziadła,
I ze zmierzchem w skrwawione mury zachodziły,
Blade — z rękami na krzyż — z wilgotnéj mogiły.
. . . . . .
. . . . . Onego więc czasu,
Ksiądz Marek, który wielkie gotował powstanie,
I z biskupem Krasińskim się w Wiedniu naradzał,
Bosy Ksiądz — gdy go zaszła noc głucha w Karpatach,
Do Beniowskiego zamku zapukał... Pamfilus
Otworzył drzwi i cofnął się blady — Od krzyża
. . . . . .

[1]) W »Warcie« wydrukowano z rękopisu nieznane urywki z Aktu II; podajemy je tutaj według tego czasopisma. *(Przyp. Wyd.)*.

AKT TRZECI.

(Sala w Czarnym Zamku).

BENIOWSKI — PAMFILUS i HUCUŁY.

BENIOWSKI.

Wyście mi zamek ten pomogli zdobyć
Na moich stryjach: jakże wam nagrodzę?

HUCUŁY.

Zostaw spokojnych! — My żyjemy w górach,
Pijemy z kaskad srebrnych jak orłowie;
Wieśniak się z nami każdy chlebem dzieli,
Każda dziewczyna utka nam koszulę,
Każdy z bacówki ją w maśle usmaży.
Bywaj zdrów! — My nic nie chcemy od ciebie. —
Biłeś się jak lew: choć pan — jesteś tęgi.

BENIOWSKI.

Pomiędzy wami z dworskiego fircyka
Stałem się znowu człowiekiem. — Hucuły,
Mój zamek za wasz własny uważajcie,
A jeśli kiedy będziecie uchodzić
Przed Cesarskimi: patrzcie — tu są mury,
Które obronią was.

HUCUŁY.

Bądź zdrów i szczęsny! *(odchodzą).*

PAMFILUS.

O dobrzy ludzie! ludzie wyśmienici!
Szanowne bardzo zbójce, z dobrém sercem! —
Mam oczy pełne łez — szanowni ludzie!
Jaka to szkoda, że pies na nich szczeka,
Że na nich w mieście szubienica czeka.

BENIOWSKI.

Można li mierzyć człowiekiem człowieka?
Ci ludzie innéj potrzebują miary.

PAMFILUS.

Natura na nich pogląda przez szpary.

BENIOWSKI.

Natura — kiedy stawiła te góry,
Kiedy sadziła te buki skrzydlate,
Gdzie teraz słońce jako świat z purpury
Pada i tonie — nie mogła o innych
Ludziach pomyśleć.

PAMFILUS.

Tak, Fauny brodate. —
Ale zostawmy tych ludzi w pokoju! —
Cóż myślisz robić w zamku odzyskanym?
Nie będziesz szczędził jadła i napoju,
Chorągiew zatkniesz na kurku blaszanym:
Zejdą się zewsząd weseli pielgrzymi,
Skoro zobaczą, jak twój komin dymi.
Uczynią z ciebie małego królika.

BENIOWSKI.

Natura moja posępna i dzika
Lęka się teraz nowych przyjacieli.

PAMFILUS.

Starych cię tutaj wnet twarz rozweseli,
Sprowadzę starych. Teraz się, jak śmiecie
Przed burzą, wichrzą Polacy po świecie...
Nie trudno będzie o jakie pół kopy;
Ale poradzę ci: wprzódy się ożeń
I bądź Ulissem jakiéj Penelopy.
Dąb wtenczas rośnie, gdy w głaz puści korzeń.

BENIOWSKI.

Nie gadaj o tém — to jeszcze zawcześnie.

PAMFILUS.

Tak, tak. — Małżeństwo jest jako czereśnie:
Wprzódy je wróble oskubią złodzieje,
A potém człowiek zjada nadgryzione. —
Niech żyje wolna miłość!...

BENIOWSKI.

Las ciemnieje
I słońce w buków zapada koronę,
Słyszysz? — Ktoś stuka w bramę do zamczyska.

(*Wchodzi* PIELGRZYM).

PIELGRZYM.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Pozwólcie zasiąść chwilę u ogniska —
Pielgrzymem jestem...

BENIOWSKI.

A skąd? z jakiéj strony?

PIELGRZYM.

Z Rzymu powracam.

BENIOWSKI.

To droga nie bliska. —
Posil się — widzę, że jesteś strudzony.

PIELGRZYM.

Wolno tabaczką służyć?

BENIOWSKI.

Jaka?

PIELGRZYM.

Rape. —
Czemu Wacpaństwo tych gór nie czyścicie?
Wilcy mi zjedli na popasie szkapę
Z siodłem, gdzie było skórzane zawicie
Pełne rożańców. Te wilki pohańce
Zjadły mi całą szkapę i rożańce.

BENIOWSKI.

Jakieś wesołe to mnisze biédactwo!

PAMFILUS.

Najświętszéj Panny będzie z wilków bractwo.

PIELGRZYM.

Na Boga! Dyabła tutaj czuję nosem.
Kto jest ten chudosz? Cóż to? gdzie się podział?
(Pamfilus znika).

BENIOWSKI.

W słońce utonął — w powietrze się odział,
Jest w zamku tym echem — powietrzem i głosem —
Ciemnością i ciszą — i mgłą i płomieniem,
Jest wszędzie i nigdzie go nie ma —

PIELGRZYM.

Spojrzeniem
Zabiłem dyabła! — młodzieńcze, bądź wdzięczny!

BENIOWSKI.

Nie bój się — wróci!

PIELGRZYM.

Ha! ha! będzie zręczny,
Jeśli nos wściubi tam, gdzie ja przewodzę. —
Każ przygotować wieczerzę, bo w drodze
Jest stado panów polskich i tu leci.

BENIOWSKI.

Któż to są ci goście?

PIELGRZYM.

Kamień, na którym ja zbuduję mój kościół — petra, szczéra petra! Książę Panie Kochanku, który woził siostrę do Rzymu po rozwód — Karlomanus nowy. — Czy to prawda, co o Wacpanu mówią, że należałeś do konfederacyi pana Zakrzewskiego, która godziła na życie tego Pomazańca, który był pomazany teufeldrekiem — na zgubę narodu naszego?.. Czy to prawda, że Wacpan się cudownym sposobem wydostałeś z więzienia? — Imię Wacpana już jest głośne w Polsce.

BENIOWSKI.

Wstydzę się, mój księżyno, że mam głośne imię — z niczego!

PIELGRZYM.

Coś ci powiem: — gotuje się w Polsce powstanie narodu — krucyata, na którą wymodliłem patent u Ojca Świętego. — Weź krzyż i nie grzész więcéj! Nie przyszedłem tutaj na ślepo; cudem ognistym ostrzeżony byłem o twoim wypadku: przyszedłem cię ratować, a dyabeł ustąpił z placu przed księdzem Markiem z Berdyczowa.

BENIOWSKI *(wskazując przez okno)*.

Widzisz go?

KS. MAREK.

Widzę, że jak nietoperz unosi się nad przepaściami.

BENIOWSKI.

Zniknął.

KS. MAREK.

Bądź dobréj myśli i przyjmij tu gościnnie pany polskie Tu zawiążemy konfederacyą i oddamy ją pod opiekę Najświętszéj Panny Niepokalanego Poczęcia.

(Słychać śmiech czartów w sklepieniu sali).

BENIOWSKI.

Słyszysz śmiech w sklepieniu?

KS. MAREK.

Odpędź te strachy — będę z tobą do końca. — Dla czego tu tak pusto?

BENIOWSKI.

Sługi wybite: zamek ten długo dobywałem na stryjach moich — wały jeszcze krwią zbroczone. — Oprócz staréj ochmistrzyni, a niegdyś mamki mojéj, nie ma nikogo w zamczysku.

KS. MAREK.

Zaludnimy go i rozweselimy — a teraz prowadź mię: wodą święconą pokropię pokoje i Bóg tu zamieszka w pokoju. *(Wychodzą).*

(Szczyty gór nad Morskiém Okiem. Śród wichru i błyskawic przylatuje PAMFILUS).

DYABEŁ.

Na szczycie gór,
Gdzie światła brzég,
Gdzie orłów chór,
Piorunów ściég —
Gdzie Morskie Oko
Pod lodów tarczą
Jęczy głęboko,
Gdy chmury zawarczą,
A całe się krwawi,
Gdy tęcz błyśnie szarfa,
A płacze jak harfa
Od jęku żórawi: —
Tu w bieli, w śnieżycach,
Przy chmurnych straszydłach
Jak duch w błyskawicach,
W piorunach — na skrzydłach,
Na was, wichry moje,
Znów jestem i stoję...

WALKIRYA.

Ja także — duch losów,
Twa siostra i wężów,
Pioruny lejąca z włosów,
A krew sącząca z orężów,
Najstraszniejsza na niebie —
Tu czekałam na ciebie.

DYABEŁ.

Skąd ty lecisz? z daleka?

WALKIRYA.

Z północnego bieguna
Na przebłysku pioruna.

DYABEŁ.

Siostro, tego człowieka...

WALKIRYA.

Wiem — wydarto ci z ręku! —
Lecz ten człowiek nasz będzie —
Nasz, nasz, zawsze i wszędzie!
Jak harfa pełna jęku,
Jako gwiazda stracona —
Nasz będzie — nasz, nim skona.

DYABEŁ.

Czy widziałaś Chrystusa?
Włóczy się przez ciemnotę
I sieje gwiazdy złote
Z Pelejad i Syryusa...
Jak chłop w kraj przeorany,
Sieje gwiazdy w kurhany.

WALKIRYA.

Niech wejdą kłosy świetne,
Niechaj wejdą czerwone!
Walkirya — mrozem zionę
I sierpem krwawym zetnę. —
Cóż tam więcéj na ziemi?

DYABEŁ.

Wrzask i nędza i burza.

WALKIRYA.

Patrz — księżyc się wynurza
Malowany świętymi
Jako tarcza tęczowa —
Niknij!

DYABEŁ.

Siostro, bądź zdrowa! —

. . . . . .
. . . . . .

SPIS PRZEDMIOTÓW

w tomie III^{cim} zawartych.

	Str.
Beatryx Cenci, tragedya w pięciu aktach	1
Niepoprawni, dramat w pięciu aktach	89
Horsztyński, dramat w pięciu aktach (zdefektowany)	187
Krakus, dramat (Fragment)	285
Wallenrod, dramat (Fragment)	301
Walter Stadion, dramat (Fragment)	336
Jan Kaźmierz, dramat (Fragment)	341
Złota Czaszka, dramat (Fragment)	357
Beniowski, dramat (dwa Fragmenty)	393

KONIEC TOMU III^{go}.

BIBLIOTEKA NARODOWA

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
128616
T. 3
A
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001005088218